

IGNACY DASZYŃSKI

szkice polityczne

Ignacy Daszyński



biblioteka
razem

IGNACY DASZYŃSKI

Szkice polityczne

WYBÓR PISM

Redakcja: Paweł Dembowski
Projekt okładki: Mateusz Trzeciak

W digitalizacji i korekcie poszczególnych tekstów uczestniczyli także:

Iwo Augustyński, Róża Dembajka, Jan Jankowski, Jan Świeczkowski, Martyna Urbańczyk, Wojciech Wróblewski oraz Piotr Kuligowski i Remigiusz Okraska (Lewicowo.pl)

Ten utwór nie jest chroniony majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej. Jeśli opatrzony jest materiałami podlegającymi prawu autorskiemu, są one udostępnione na licencji Creative Commons BY-SA 3.0 PL.

Wersja 1.0 wydania cyfrowego. W razie znalezienia błędów prosimy o przesyłanie poprawek na adres: biblioteka.razem@gmail.com.

ISBN 978-83-945695-0-1

Wydawca: Partia Razem
ul. Jezierskiego 7/LU 1
00-457 Warszawa
<http://www.partiarazem.pl>

biblioteka **razem**

SPIS TREŚCI

Bankructwo demokracji galicyjskiej	4
Pogadanka o socjalizmie	19
Gdzie przewodnia droga (z refleksji amsterdamskich)	29
Mowa za powszechnym, równym, bezpośrednim prawem wyborczym	36
Polityka proletariatu. Kilka uwag o taktyce rewolucji	49
Cztery lata wojny. Szkice z dziejów polityki PPSD	87
Głosuj za Polską!	107
Ksiadz w polityce	114
Czy socjaliści mogą uznać „dyktaturę proletariatu“?	118

BANKRUCTWO DEMOKRACJI GALICYJSKIEJ

ZAMIAST WSTĘPU

Dla czytelnika nie znającego stosunków galicyjskich, może się po przeczytaniu tej małej broszurki nasuwać niejednokrotnie pytanie, dlaczego z taką drobiazgowością rozpatrujemy polityczne bankructwo galicyjskich demokratów... W kraju jęczącym pod przewagą arystokracji i szlachty może by lepiej i rozumniej było, oszczędzać choć fałszywych demokratów, starać się im pomóc choćby tylko tam, gdzie egoistyczne ich zapędy popychają ich do koniecznej walki z arystokracją i stańczykami. Zamiast walki na noże może byłby lepszy kompromis?... Otóż dla ludzi nie lubiących niezaszczytnych kompromisów, szkice te powinny wystarczyć; dla innych musimy zaznaczyć, że kompromis ludzi uczciwych z „demokratami”, był w najlepszym razie możebnym tak długo, dopóki nie zorganizowała się partia *socjalno-demokratyczna*. Ponieważ broni ona nie tylko ekonomicznych żądań ludowych, ale walczy także z powodzeniem i ogromną energią o swobody polityczne, przeto prędzej czy później, bez żadnych kompromisów stanie się ona wyrazem dążeń ludu, wyrazem głównym, jeżeli nie jedynym. Najbardziej nawet „użyteczna”, byle rozumna, polityka dyktuje nam walkę z demokracją mieszczańską, nie mówiąc już o tym, że najlepsza część tej demokracji zdradza lud z bezprzykładną, zuchwałą wprost czelnością.

Na dowód przytaczamy fakt sprzed kilku zaledwie tygodni. Dnia 13 maja 1895 weszła w życie nędzna, suchotnicza wprawdzie, ale bodaj trochę robotnika chroniąca ustawa o święceniu niedzieli. Wprowadzono ją niejako dla przyzwoitości, aby się zdawało, że „koalicja”, że spółka szlachecko-kapitalistyczna potrafi zdobyć się na ustawy ochronne dla robotników. Nie oszło jeszcze czernidło drukarskie rządowego ogłoszenia tej ustawy, gdy w wiedeńskim „Kole Polskim” podniósł się hałas niesłychany przeciwko od-poczynkowi niedzielnemu w galicyjskich młynach. Na prosty telegram kilku magnatów młynarskich, rzucili się „demokraci” Lewicki i Szczepanowski na nieszczęsną ustawę, lamentując, że konkurencja węgierska zrujnuje galicyjskie młynarstwo, jeżeli polski robotnik będzie miał wolną niedzielę! Po stronie młynarzy kapitalistów stanął także dr Karol Lewakowski, prezes „Towarzystwa demokratycznego” i bronił ich interesów. Tymczasem każdemu wiadomo, że w niektórych wielkich młynach galicyjskich należy właśnie niedziela do dni męczarni robotniczej, że pracują tam z soboty na niedzielę lub z niedzieli na poniedziałek — po 18 godzin jednym ciągiem, rujnując resztę zdrowia! Dalej do rzędu właścicieli wielkich młynów należą sami magnaci lub potentaci finansowi. Dość wyliczyć barona Brunickiego, hr. Mierowę, Sapiehów, a wreszcie Lazarusa (dyr. banku) lub znanego kapitalistę Barucha. Takie czyny nie upoważniają żadnego roztropnego i uczciwego człowieka do żadnej innej polityki, jak tylko bezwzględne publikowania wszystkich oszustw politycznych, jakich się dopuścili demokraci wobec ludu w Galicji. Im więcej faktów przytoczymy, im jaskrawsze światło rzucimy na te wszystkie niezliczone wiarołomstwa demokratów, tym lepszą przysługę wyrządzą ludowi. A o to tylko nam chodzi.

I

Kiedy poseł Lewakowski zaprotełował w wiedeńskim parlamencie przeciw służalczym panegirynom hofrata Chlumeckiego na cześć zmarłego despoty Aleksandra III, byli tzw. „demokraci” galicyjscy w rodzaju Szczepanowskiego obecni w Izbie i słuchali stojąc z namaszczeniem bizantyńskiego prezydenta. Komunikat „Koła Polskiego” zaś, potępiający czyn Lewakowskiego, podpisał młody sekretarz Koła, czerwieniejący niegdyś „demokrata”, Witold Lewicki. Nie podobna by krócej opisać bankructwa rewolucyjnej niegdyś demokracji polskiej w Galicji, niż za pomocą przytoczonych faktów.

Ale nieznający stosunków, mogliby mieć bodaj słabą nadzieję jeszcze na Lewakowskiego, „niezlomnego Rejtana”, chlubę drobnomieszczan itd. itd. Mogliby sądzić, że Lewakowski i ci co za nim stoją, to ludzie przyszłości, ludzie zdrowej, demokratycznej reakcji, która kiedyś zada cios ostatni panowaniu stańczykerii w Galicji. Nie bawiąc się w horoskopy na polityczną przyszłość, musimy w imię prawdy, skorygować podobne zapatrywania.

Czyż nie uderzyło myślącego człowieka, że w chwili, kiedy szlachcice galicyjscy wyprawiali owacje dla cara i policzkowali przez to jedyne uczucia w Galicji, z fałszywą niekiedy egzaltacją pielęgnowane, uczucia patriotyzmu, i kiedy Lewakowski przeciw temu zaprotestował, kraj na serio mówiąc, pozostał dość obojętnym. Lewakowski otrzymał bardzo wiele listów i telegramów, na których naprawdę zarobił jeno c.k. urząd poczt i telegrafów. Od kogoż to bowiem były te telegraficzne owacje?! Młodzież akademicka, która się zesłała na studencki komers, „grona Polek” zachowujące swoje panieńskie incognito troskliwiej od swojej cnoty, kilku mieszczan w tym lub owym kasynie, kilka skromnych rad gminnych, kilku opastych cechowców, a wreszcie jednostki i znów jednostki „Rejtan w wiedeńskim parlamencie” jest więcej fizyczną niż polityczną postacią i jak twierdzą zazdrośni o jego popularność ma „diabelne” szczęście. Cały rok w pogoni za swoimi prywatnymi interesami i zajęciami, podchwyci raz „szczęśliwą” chwilę i potem dostaje telegramy od „grona kobiet” i od tym podobnych instytucji, stworzonych przez przyrodę. Odliczywszy zaś owe „szczęśliwe momenty”, jest to zero polityczne, mieszczące się wygodnie w dziurze niepopularności „Koła Polskiego”. Już to samo, że nawet stosunkowo najporządniejsza część demokracji galicyjskiej, owe „grona” i osobniki, nie mają nikogo, oprócz Lewakowskiego, świadczyłoby o bankructwie tej demokracji.

Oczywiście, że nie myślimy tutaj uwłaczać charakterowi prywatnemu Lewakowskiego; jest to poczytywany wiarus z r. 1863, ale dość raz jeden przyjrzeć mu się, jak w napuszonej mowie, z trudem odczytanej, przemawia do „narodu”, aby zrozumieć, że tacy ludzie nie złamią przewagi szlacheckiej, nie wyprowadzą ludu z domu głodu i niewoli.

Bo i czemu? za pomocą jakich organizacji politycznych, czy ekonomicznych? Za pomocą jakich wreszcie ludzi i jakich przewodnich idei? Na dowód jak podobne pytanie jest słuszne, wystarczy przytoczyć znamienity fakt, towarzyszący owej „telegraficznej” sympatii dla „Rejtana” w parlamencie. Równocześnie z „oburzeniem” całego kraju na „Koło Polskie” odbywały się wybory uzupełniające do sejmu i rady państwa w kilku okręgach drobnej własności wiejskiej. Otóż wszędzie zwyciężyli kandydaci szlacheccy ogromnymi większościami, a lud został znów pobity na głowę. Sentyment, albowiem „gron Polek” i komersy galicyjskich studentów, to nie są żadne czynniki polityczne i można dziś śmiało powiedzieć, że nigdy jeszcze szlachta nie miała wygodniejszej pozycji, niż terazniejsza.

I na odwrót nigdy demokracja galicyjska nie była bardziej rozbita i zwyrodniona, niż dzisiaj.

Postaramy się więc bliżej nieco przyjrzeć temu smutnemu obrazowi. Pomijając wszelkie „demokratyczne” frazesy o ludzie wiejskim, o sukmanach, kosynierach, czerwonych rogatykach i innych domorosłych środkach rozpalania fantazji pańienek galicyjskich, musimy skonstatować, że demokraci galicyjscy od r. 1846 do ludu wiejskiego się nie zbliżyli, na nim oprzeć się nie zdołali i pozostali dlań do dziś dnia „panami” albo „podpankami”, którym chłop nie wierzy i na dniu duszy chowa dla nich lekką pogardę.

Pozostały zatem miasta, tj. górna ich część, bogatsza, lub przynajmniej wstydząca się swego ubóstwa, gorzej niż zbrodni. Z góry należy odliczyć żydów, którzy w górnych swych warstwach podsłuchują z najbezczelniejszym cynizmem na rozkazy rządu, z którym do spółki robią najlepsze interesy. Miejska ludność robotnicza była również dla nich straconą; prędzej czy później musiała ona skupić się pod sztandarem socjalizmu.

Pierwszą próbę zorganizowania miast w jakąś falangę polityczną zrobiono w r. 1890, zwołując tzw. wiec miast, na którym próbowano w sposób praktyczny uchwycić wspólne interesy mieszczaństwa. W ślad zatem idzie ukonstytuowanie się „lewicy sejmowej”, która wydała program, nie zawierający nawet pierwszego warunku egzystencji demokratycznej partii tj. powszechnego, równego i bezpośredniego głosowania. Nie myślimy się nad nim rozpisywać, bo żaden z posłów, który go podpisał, nie trzymał się go nigdy i należy on do takich nieboszczyków, nad którymi nie warto się zniecać. Jak się bowiem komu podobać będzie poseł demokratyczny, taki Szczepanowski, który na podstawie tego programu udowodniał, że Galicja jest najbardziej demokratycznym krajem, że jedyne zbawienie kraju leży w podniesieniu podatków i w zwiększeniu wydatków militarnych(!), który nazywał żądanie powszechnego głosowania, progresywnych podatków i ośmiogodzinnej pracy „katarynkowymi ideami”...! Zaiste nigdy nie czyniono bezzcelniejszego nadużycia nazwy „demokracji”, jak to robili galicyjscy demokraci.

Ale wracajmy do historii. Po owych dwóch pierwszych próbach wytworzenia nowego obozu politycznego, rząd austriacki zwrócił na nie uwagę, a przyjrawszy się bliżej „demokratyczności” galicyjskich demokratów, pasował ich wnet każdego z osobna i wszystkich razem na swoich rycerzy — przepraszam za wyrażenie — na swoje sługi. Proces ten dokonał się niezmiernie łatwo; leżał on w fundamentach, w samej istocie składników, które miały stworzyć „opozycję” demokratyczną. Czymże bowiem jest klasa średniego i wyższego mieszczaństwa w Galicji? Oto urzędnicy, kupcy i przemysłowcy oraz garść ludzi z tzw. „wolnych” profesji, adwokatów, lekarzy itp.

Urzędnik galicyjski, to serwilista, pełzający na brzuchu przed władzą. Inaczej być nie może u ludzi, wytresowanych do tego w szkołach średnich i wyższych, po największej części ubogich karierowiczów, nie mających, po za urzędem, niemal niczego i skazanych w razie napędzenia, chyba na śmierć głodową. Pensje są skromne, pracy dość i dużo posłuszeństwa ślepego dla rozkazów przełożonych. Kupcy zaś i przemysłowcy omotani kredytami banków, działających pod zwierzchnią komendą rządu, znajdują się w zależności, prowadzącej częstokroć do upokorzenia.

Ledwie zatem zaszła atrament na papierze mieszczącym „program” lewicy sejmowej, a już byliśmy świadkami, jak ta „lewica”, ta niby opozycja szła przy wyborach do rady państwa w ziemie r. 1891 zwartym szeregiem na smyczy rządu i to rządu reprezentowanego przez hr. Badeniego, jednego z najbardziej zaciętych wrogów swobody ludowej. Szczepanowski był wprost rządowym kandydatem we Lwowie, a dr Witold Lewicki „radykał”, kokietujący niegdyś ze socjalizmem(!) zawdzięcza ówczesny swój wybór również obu panom hrabiom Badenim. Naturalnie, że tak wybrana „opozycja” weszła do Koła Polskiego bez żadnych zastrzeżeń, do tego Koła, które jest najzaciętszym, nieprzejednanym wrogiem rozwoju swobodnych demokratycznych instytucji w Austrii, którego *jedyną* rzeczywistą polityką jest ślepe, do ostatnich granic posunięte posłuszeństwo cesarzowi, ażeby w zamian za to mieć wolność krwawego wyzyskiwania chłopów w Galicji. W tym gronie szlachciców, z których większość reperuje za pomocą „polityki” swoje nadszargane finanse, znaleźli się „demokraci”, jak w domu...! A ponieważ zgraja ta przybyła głodna i żądna łupu, przeto zrozumiemy ich kręactwo, ich podłażenie do zastawionego i zajętego przez szlachciców stołu, zrozumiemy to powoływanie się od czasu do czasu na swój „demokratyzm”, gdy nie chcą im ustąpić coś z łupów, wspólnie zagrabionych. Zaiste, nikt nie czuł się bardziej w tej szacherce publicznej wnioskiem hr. Taafego zaniepokojonym, niż ci parwienusze, którzy czuli za sobą zorganizowane szeregi proletariatu, a nie byli pewni, czy może szlachta nie rzuci ich na pastwę ludowi, byle siebie uratować.

To stanowisko „demokracji” w sejmie lwowskim i parlamencie wiedeńskim jest dla *wszystkich* członków „opozycji” znamiennym, z wyjątkiem Lewakowskiego. — Abstrahując od tego ostatniego, możemy na każdym z tych ludzi badać wyniki korupcji politycznej, jak gdyby każdy z nich przedstawiał ją całą. — Dlatego pozwolimy sobie przytoczyć wiązkę faktów z życia publicznego tych ludzi, a czynimy to tym chętniej, że czytelnikom „Przedświtu” rzadko zapewne zdarza się zajrzeć głębiej do tej sfery stosunków politycznych, gdzie wylęgają się te „demokratyczne” galicyjskie amfibie. Niektóre imiona, które tu omawiać będziemy, mają w niektórych kołach patriotycznych, „dobry dźwięk”; niejednego zatem powinna by ta charakterystyka zająć i zmusić do sprawdzenia przytoczonych szczegółów.

Od czasu do czasu zwracają się oczy wielu bardzo z Królestwa lub z krajów zabranych na tych „demokratów” galicyjskich; niechajże nieco bliżej się im przypatrzą...

Weźmy najpierw Szczepanowskiego, owego proroka kielkującej galicyjskiej burżuazji, który przywędrował przed kilkunastu laty do kraju, ubogi jak mysz kościelna, a dzisiaj sprzedaje obcym konsorcjom dobra i kopalnie za setki tysięcy guldenów. Jaka jego kariera poselska? Najpierw wybrała go posłem *szlachta* stryjska, potem bogaci właściciele kopalń w Drohobyczu, a wreszcie 31 członków lwowskiej izby handlowej. Nad szlachtą zastanawiać się nie myślimy, ale drohobyccy i lwowscy lichwiarze, bankierzy i fabrykanci żydowscy, wybierający „demokratę”, to jest wprost ironia, piekająca, cyniczna ironia! Dość jeden raz w życiu widzieć nędzarzy robotników w kopalniach nafty, będących własnością wyborców Szczepanowskiego, aby zrozumieć całą nikczemność „demokraty”, obiecującego popierać interesy tych najbezwzględniejszych pijawek robotniczej klasy. Równocześnie z wygłaszaniem patriotycznych mów, od których słabo się robi z zachwyty w szeregach

„patriotów”, musiał Szczepanowski wydrzeć po prostu chłopom przy pomocy żandarmów grunt pod kolej dla niego potrzebny, umiał zdobyć sobie kredyt w krajowych instytucjach finansowych, który swoją olbrzymią wysokością zdumiewa. Cóż dziwnego, że ten człowiek głosował za stanem oblężenia w Pradze, i bronił go wymownie, coś dziwnego, że występuje on przeciw powszechnemu głosowaniu, że broni on polityki rządu na każdym kroku z owym sentymentalizmem ledwie osłoniętym cynizmem, który ogłusza słabych umyslowo i hipnotyzuje opinię publiczną? — Gdyby komu to sprawiło przyjemność, moglibyśmy takich taktów przytoczyć o Szczepanowskim jeszcze wielką ilość. Dla nas ten współnik żydowskich kapitalistów, umiejący wyzyskiwać swoje stanowisko poselskie dla prowadzenia swoich interesów i dający swoją nudną wymowę w usługi każdej sprawie wymierzonej *przeciw* ludowi, jest charakterystycznym „demokratą.”

Drugi pod rękę sam się niejako nawija poseł dr Witold Lewicki z Przemyśla. Starzy, nieobrabowani całkiem z uczuć ludzkich posłowie, opowiadają o nim w korytarzach parlamentu, że ten młody „pełen nadziei” karierowicz należy do najbezczelniejszych ludzi, dla których wszelki środek jest dobry, byle tylko poszedł w górę — spośród rozlicznych szalbierstw Lewickiego wyjmiemy dwa ostatnie. Gdy Stadnicki w parlamencie w r. 1893 spotwarzył wszystkich ubogich i pracujących ludzi w Polsce, mówiąc o nich że są to skorumpowane żywioły „chcące chleba bez pracy”, młody „radykał” Lewicki gratulował hrabiemu i ścisnął mu rękę po tej mowie.

Kiedy dr. Lewakowski wniósł głośny swój protest w radzie państwa, Lewicki mu także gratulował, ale tego samego dnia napisał *przeciw* Lewakowskiemu wstrętny artykuł, który przemycił do dzienników za pośrednictwem pewnego dziennikarza. Oburzenie było dość głośne i dziennikarzowi nie chciano podawać ręki. Wtedy ten wykrył autora — Lewickiego. Te dwa zajścia wystarczą dla krótkiej charakterystyki. Weźmy trzeciego „demokratę” Sokołowskiego, posła z Krakowa. Człowiek ten przeszedł do „opozycji”, z chwilą gdy go minęła katedra na uniwersytecie. — W roku 1893 przyparty przez robotników, obiecał głosować za reformą wyborczą, mocą której każdy umiejący czytać i pisać miałby prawo głosowania. W parę miesięcy potem hr. Taafę z takim projektem wystąpił i Sokołowski głosował — przeciw! Wróciwszy do Krakowa prosił policję o strzeżenie swego domu, bo lękał się ludu krakowskiego.

Kolega jego Rutowski poseł z Tarnowa tak lękał się po odrzuceniu wniosku Taafego swoich wyborców, że dopiero czynna pomoc jednego z najdzikszych wsteczników w kraju, biskupa Łobosa, wybawiła go z kłopotów. Biskup (ten sam, co wyklął z ambony wszystkie niezależne pisma chłopskie i robotnicze) odkomenderował na zgromadzenie całą chmarę księży i zapewnił wraz z policją spokój posłowi, który miał swym wyborcom zdać sprawę ze swych czynności poselskich.

Więcej przykładów polityki „demokratycznej” nie mamy zamiaru przytaczać, wszystkie one świadczą o korupcji w tym obozie i o braku niejako charakteru politycznego u tych reprezentantów słabej burżuazji miejskiej, zdanych na łaszenie się bądź szlachcie, bądź rządowi, i ogłuszających ludność ciągłymi publicznymi manifestacjami, które stanowią nieodzowny niemal środek polityki tych „opozycjonistów”.

Mamy tu na myśli tzw. „obchody narodowe”, które co roku niemal hipnotyzują to, co się nazywa patriotyczną „inteligencją”.

Naiwnym ludziom wydaje się, że uroczystości i rocznice narodowe mają służyć jak to mówią, „do podniesienia ducha”... Wszystko woła z nabożeństwem „sursum corda” — „w górę serca”!, a biada śmiałkowi, który by się odważył pozostać w takim czasie przy nastroju krytycznym. Z góry tu zaznaczyć musimy, że szlachta nie *robi* tych manifestacji. Jest ona za nadto ujęta przez rząd za pomocą synekur, urzędów, jałmużn, orderów i tytułów, ażeby bawiła się na serio w obchody narodowe. Toteż „Czas” krakowski wylewa zjadliwie od czasu do czasu konew zimnej wody na manifestantów „demokratycznych”, robiących patriotyczne „okazje”. Ci, co stoją przy pełnych żłobach nie myślą się „awanturować”. Natomiast „demokraci”, którzy nie wywalczyli dotąd dla ludności miejskiej niczego, stojący przy tym pod większą kontrolą, niż szlachta, muszą za wszelką cenę od roku do roku inscenizować wznieśłe uroczystości, żeby choć w ten sposób podziałać wprawdzie nie na oświatę, dobrobyt lub swobody polityczne swoich wyborców, lecz bodaj na ich fantazję i zadowolić konieczną potrzebę „życia narodowego”, które chce się wyjawić, pokazać na świat i zaprezentować bodaj szychem. — Ale tak jak w sejmie i w Kole Polskim. tak

samo i tu zjawiają się we właściwym czasie szlachcice i... figury urzędowe (te ostatnie za dość przejrzystymi firankami ukryte!) i na rozentuzjasmowane piersi mieszczkańskie kładą ciężary dostatecznie wielkie, aby tak przyciśnięci nie zapomnieli, że to Austria... że obok są Niemcy i Rosja i że właściwie państwa polskiego jeszcze nie ma...

W takich razach — a jest to regułą — nic nie da się porównać do małoduszności, a często wprost nikczemności prowodyrów „demokracji” galicyjskiej.

Z nieustraszonych „bojowników” itd. stają się najzwyczajniejszymi baranami, uciekającymi przed pierwszym lepszym policjantem, lub oddającymi naprzód już cały program uroczystości jakiemu hrabiemu lub księciu, któremu stańczycy każą wtedy z kwaśną miną odgrywać rolę „patrioty” z umiarkowaniem i zimnem, pozwalając tylko moralnie powieść kilku socjalistów, których się w takich razach regularnie nazywa anarchistami.

Aby nie posądzono nas o chęć generalizowania po szczególnych, odosobnionych faktach, rzucimy okiem na przebieg ostatnich kilku głośnych, cały kraj obejmujących manifestacji.

A więc najpierw pogrzeb Adama. — Myśl postawienia geniuszowi poezji pomnika i sprowadzenia zwłok do ojczyzny, urodziła się wśród postępowej młodzieży uniwersyteckiej, której komitet wraz z kilku demokratami pracował lata całe w mrówczym trudzie nad wykonaniem tego planu. — Kiedy już ta robota dojrzała, wydział krajowy wraz z biskupami „wziął rzecz w swoje ręce”, w pierwszym rządzie usuwając w skandaliczny niemal sposób inicjatorów całego przedsięwzięcia, aby broń boże — na pogrzebie rewolucjonisty polskiego, rewolucjonisty w poezji, w polityce i w religii, nie ozwał się głos jaki szczerzy i silny, głos protestu przeciw *dzisiejszej* niewoli i *dzisiejszej* nędzy milionów ludu polskiego. „Demokraci” ustąpili, sarkając jak zwykle po kątach, a deputacja, która jechała po zwłoki do Paryża (wykluczam tu dwóch studentów uniwersytetu krakowskiego) przemknęła przez Europę jak przez puszcze najeżone wrogami, lękając się, aby socjaliści nie oddali hołdu wielkiemu pocie i nie popsuli wielebnym biskupom szyków... Kto zna np. targi i walki staczane z kolonią polską w Zurychu (naturalnie przesiąkniętą socjalizmem) o to, aby przy uroczystym przywitaniu zwłok nie powiedzieć śmielszego słowa, kto zna posiedzenia w wydziale krajowym odbywane i wiele szczegółów samej uroczystości pogrzebowej, ten od razu zrozumie, że ś. p. Adam musiał tam w niebie niedobrze patrzeć na „odwagę” demokratów... Tym miłszym zaś był Władysław Mickiewicz, wielkiego ojca mały syn.

W rok niespełna potem zaczęto się szykować do obchodu „konstytucji 3-go maja”. — I rzecz dziwna, a dla nas wstrętne, próbowali demokraci lwowscy od razu zrobić z konstytucji 3-go maja jakieś straszdyło na... socjalizm i na uroczystość 1 maja! W swojej niezajomości ludu sądzili może, że to się uda i że niezakończony akt prawodawczy sprzed stu laty posłuży dziś do uwolnienia się „od kłopotu domowego”, od zorganizowanej partii socjalistycznej! Tymczasem dopięto tylko tego, że robotnicy zaczęli patrzeć z ogromną nieufnością na całe znaczenie tej uroczystości. Podczas, kiedy demokraci z 1832 r. krytykowali swobodnie konstytucję 3-go maja i wykazywali jej połowiczność, „demokraci” galicyjscy z r. 1891 zrobili z tej konstytucji coś tak nietykalnego, że po prostu zdradą narodu było, gdy ktoś ośmielił się nawet skromniej ją krytykować, niż to czynili patrioci nieskazitelni przed 60 laty! A co najlepsze, że broszury pamiątkowe strzegły się jak ognia, przytaczać *całego* tekstu konstytucji 3-go maja. Głowę by dać można, że 99 na sto rozentuzjasmowanych mieszczan i chłopów do dziś dnia nie zna całego tekstu konstytucji. W przeciwnym razie trudno by było wytłumaczyć ich zachwyty. Wprawdzie „demokraci” ratowali się jednym zwłaszcza postanowieniem sejmu czteroletniego, ale kto przyjrzy się temu ratunkowi, tego ogarnąć musi wesołość... Konstytucja nie zniosła pańszczyzny, nie porównała ludzi wobec prawa, nie została przez króla, ba przez nikogo dotrzymana, nie weszła nawet w życie... ale miała ulegać rewizji co 25 lat! Cztery razy po 25 to równe sto, a więc dzisiaj byłaby ona z pewnością lepsza, niż np. austriacka z r. 1868. Można więc krzyknąć „w górę serca” za to, czego właściwie sama konstytucja nie zawiera... Podobnymi misternymi kalkulacjami musiało się mieszczaństwo pocieszać.

Jeżeli by kogo nie przekonały powyższe przykłady, to niech spojrzy na tegoroczne obchody Kościuszkowskie. Przede wszystkim urządzało je w ten sposób, aby energia patriotyczna wyładowywała się w małych wybuchach, w różnych czasach... Dlatego każde niemal miasto kiedy indziej urządzało uroczystości pamiątkowe. Następnie strzeżono

się pilnie, aby w uroczystościach nie zabrzmiał, uchowaj boże!, odgłos mieszczańskiej rewolucji Kilińskiego, przeciwnie np. demokracja lwowska zaprosiła na swego mówcę *hrabiego* Wojciecha Dzieduszyckiego, zwariowanego wstecznika, który stoi w stosunkach z osławionym „Przeglądem”, organem wiedeńskiego Länderbanku i zaimponował mieszczanom chyba tylko swoim tytułem hrabiowskim. Natomiast komitet ze stronnictwą niesprawiedliwością traktował młodzież uniwersytecką, która tein rozdrażniona, połączyła się z socjalistami i z nimi zgodnie urządziła osobną manifestację. W Krakowie demokraci „sumitowali” się stańczykom i policji aż do bezwstydu, a pomnik prowizoryczny Kościuszki traktowała policja, jako kawał rebelii i kazała go w nocy rozbić na kawałki! Czynności tej musiał się podjąć Friedlein, autonomiczny prezydent historycznej stolicy Polski. Dalej przecież pójść nie można... W Rzeszowie jakiś pułkownik, czy generał zachowywał się przy okazji uroczystości, jak w kraju zdobytym i demokracja połknęła pigułkę; we Lwowie podczas iluminacji obsadziło wojsko całe miasto, a konnica urządziła marsze jak na polu bitwy, demokraci siedzieli cicho i dziękowali bogu, że nie było żadnej awantury. Obchód Kościuszkowski, urządzany przez robotników i młodzież, zduszono starannie milczeniem, a niektóre pisma „demokratyczne” wysiłały się, aby Kościuszkę przedstawić jako wroga rewolucji ludowej, jako legitymistę itd. — Zaledwie malutka garść mieszczańskiej demokracji miała odwagę mówić ludowi wprost historyczną prawdę, topiąc ją równocześnie w sentymentalnych frazesach.

Tak wyglądają wielkie demonstracje, które, jak widzieliśmy, stanowią jedyne źródło wpływu „demokracji” na szersze masy ludowe. Nie chcemy tu wspominać obszerniej o komedianckiej roli, jaką wyznacza się w takich razach gromadce chłopów w sukmanach, nie wspominamy też o dorocznych obchodach powstań, bo wprost nie chcemy się zapuszczać w mnóstwo drobnych, prywatno-demokratycznych ambicyjek, sympatii i nienawiści. Wszystko to jednak razem przyczynia się dzień w dzień do moralnego bankructwa „demokracji” w oczach ludzi z rzeczywiście demokratycznymi zasadami.

Krytyczne stanowisko, zajęte przez nas wobec tych omówionych demonstracji, pozornie tylko zbliża się do owych nienawistnych ujadań krakowskich stańczyków; w rzeczywistości oba poglądy są od siebie oddzielone nieprzebytą przepaścią. Dla stańczyków „demokraci” galicyjscy *za mało* jeszcze są serwilistami, dla nas są nimi *zanadto*. Dla nas powstanie w Galicji bodaj takiej mieszczańskiej partii jak np. młodocześni byliby *postępem*, dla krakowskiej „familii”, rządzącej dziś krajem, równałoby się to *śmierci*. Nie wzruszają nas zatem zarzuty atakowanych przez nas demokratów, że stanowisko przez nas zajęte, to stanowisko stańczyków.

Zarzuty te są co najmniej płytkie.

Jeżeli teraz od tych świątecznych uroczystości przejdziemy do codziennego niejako życia politycznego, do zgromadzeń, stowarzyszeń, prasy, wyborów itp., to i tutaj na każdym kroku widzimy korzenie się polityków mieszczańsko-demokratycznych przed szlachtą i rządem, uleganie, w którym resztką zasad demokratycznych ulatnia się zupełnie.

Ale o tym pomówimy w następnym artykule.

II

W codziennym życiu politycznym, w „szarej robocie” wyglądają galicyjscy demokraci jeszcze niekorzystniej, niż na trybunie parlamentarnej, lub przy uroczystościach narodowych, kiedy te mieszcuchy ubierają się w kontusze i przyczepiają do boku karabele. Prasa, stowarzyszenia, zgromadzenia, kierunki polityki drobnej, lokalnej, wszystko to przesiąkłe czymś dwuznacznym, niepewnym i niekonsekwentnym, czymś co oburza u góry i u dołu, a nie zadawała nawet warstw środkowych. — Zamiast rozpisywać się tutaj szeroko o całej prasie liberalno-demokratycznej, wskażę raczej na odnośny artykuł „Przedświtu” z końca r. 1894. Wykazuje on tam z wymienieniem *nazwisk* i bliższych stosunków wszystkie łotrostwa i fałszywe fabryki opinii publicznej w kraju, nazywa ludzi po prostu po imieniu i nie ma innej pretensji, jak tylko, aby czytająca publiczność polska miała odwagę sprawdzić te wszystkie daty. Potem dopiero każdemu stanie się zrozumiałem, czym jest właściwie „opinia publiczna” w klasowym społeczeństwie nowożytnym. W artykule tym pominięto z umysłu dwa pisma, które właśnie najwięcej zasługują na nazwy „demokratycznych”, tj. krakowską „Nową Reformę” i lwowski „Kuryer”. Ludzie

siedzący w redakcjach tych pism nie biorą łapówek, nie sprzedają się wprost, walczą nawet po swojemu z korupcją, ze stańczykami, z rządem itd., a jednak trudno by dobrać lepszych przykładów dla wykazania moralnego bankructwa „demokratycznego” stronnictwa, jak właśnie te pisma. — „Kuryer Lwowski” trzyma się tym, że jest źle redagowany i że zamiast jakiegokolwiek *zasady* politycznej, rozwijanej i bronionej konsekwentnie, czepia się wypadków lub osób, podnosząc je całkiem fałszywie do znaczenia zasady. Weźmiemy fakty najbardziej jasne, powiedziałbym nawet jaskrawe, aby unaocznić dla każdego tę płytkość „Kuryera”.

Ojcami najdzikszej demoralizacji polityczno-społecznej w Galicji jest bez wątpienia klika Badenich, do której liczy się i wiceprezydent miasta Lwowa, dyrektor Banku Kredytowego gal., obecnie zaś członek izby panów dr Marchwicki. Otóż „Kuryer” zwalczając tę klikę, nigdy nie podał swoim czytelnikom tej sprawy jasno i niedwuznacznie, a natomiast z rozwlekłym gadulstwem stawiał pod pręgierz opinii publicznej niejakiego Rossmana — faktora bankowego, żyda zależnego od potentatów bankowych i rządowych. Miesiące całe trwała walka z „russmaństwem” (wyraz oznaczający w „Kur. Lw.” szwindel i korupcję) a po jej ukończeniu Badeniowie, Marchwicki, dr Krzyżanowski, Lazarus, i inne bankowe rekiny nie poniosły w opinii publicznej żadnego, najłżejszego bodaj uszczerbku. Co więcej, podczas zgiełku wystawy krajowej z r. 1894 agent i reporter „Kur. Lw.” niejaki Fryling był za mierną opłatą niczym innym jak prawą ręką Badenich i Marchwickich, a „Kuryer” na równi z regularnymi gadzinowcami, tuszował i zakrywał wszystkie „narodowe świństwa”, które się wyłoniły z okazji wystawy. — Przypominamy tutaj tylko napaść na strajk wystawowych murarzy i cieśli, przypominamy zamilczanie o zgromadzeniach *publicznych*, gdzie robotnicy, po ukończeniu robót wystawowych rzuceni na pastwę głodu, dopominali się sprawiedliwości, wreszcie notujemy milczenie i kłamliwe zaprzeczenia „Kuryera”, gdy sekretarz wystawy ukradł z kasy znaczniejszą kwotę...

Wprawdzie ten pan był także „demokratą” i stał na czele niezmiernie patriotycznego stowarzyszenia we Lwowie, ale gdzież to wówczas była katonowska niby czystość szat „Kuryera” i czy nie jest zdumiewający antysemityzm tego pisma, w którego redakcji pracują dwaj żydzi: Fryling i Menkes, a w rzędzie właścicieli figuruje dr Edward Lilien, również żyd, do szeregu zaś dalszych nieco współpracowników należy dr Henryk Biegeleisen! Nie podnosimy wcale zjadliwości z jaką „Kuryer” rzucał się na socjalną demokrację w jej walce o najprymitywniejsze swobody polityczne dla ludu, znosimy to dość dobrze... ale żeby znów te napaści zjadliwe świadczyły o zrozumieniu zadań „demokracji” w Galicji, tego także nie można powiedzieć.

Ograniczymy się do podanych tu faktów i zajmiemy się „Nową Reformą” w Krakowie. Ten organ Romanowicza, człowieka, który szczęśliwie wydrapał się na krzesło członka Wydziału Krajowego, jest finansowo zależny od małej kliki mieszczan krakowskich. Wedle tej kliki też, jej potrzeb i zapatrywań kieruje swe kroki redakcja „N. R.” Udaje zatem, że wierzy w czystość duszy szwindlerów politycznych lewicy sejmowej, a gdy skandal staje się za wielkim i grozi ubytkiem prenumeratorów, wówczas buntuje się łagodnie, wyrzeka się „fałszywych synów ojczyzny” i buduje im złoty mosty do powrotu... I „Nowa Reforma” równie jak „Kuryer” zamiast systemu, zamiast zasad znają tylko poszczególne zjawiska, służące raczej do zamaskowania systemu. Jak „Kuryer” walił w Russmana sądząc, że to boli bardzo — Badeniego, tak „N. Ref.” napada co tygodnia na „Czas” w tym przekonaniu, że to jest najdotkliwsze miejsce rządu, stańczyków, no i bądź co bądź biskupa krakowskiego, w którego rękach spoczywają od dawna nici intryg polityki galicyjskiej. — Nie przeszkadza jej to jednak ani trochę, padać na twarz przed każdym występem biskupa, którego organem jest przecież ten sam opluwany i wyszydzony „Czas”... Podczas gdy stańczycy mają beczelną pewność siebie i brutalną, jasną politykę, „N. Reforma” usilnie wystrzega się jasności swego zdania. Nie mogą jaskrawiej scharakteryzować tej specjalnej taktyki tego pisma, jak jednym faktem, który się wydarzył w r. 1887. Sejm uchwalił ustawę drogową, która nakładała na chłopów wielkie ciężary. Aby wprowadzić w życie ustawę musiano rekwirować wojsko, bo chłopci bronili się wprost rozpaczliwie wobec tego nowego brzemienia. „Czas” był oburzony naturalnie na chłopów, a „N. Reforma” na rząd, ale nikt by nie odgadł z jakiego powodu...? Oto dlatego, że rząd sprowadził *za mało* wojska i przez to umożliwił bunt chłopski! To jest także swojego rodzaju opozycja przeciw rządowi. — Oprócz tych dwóch organów,

nazywających siebie „demokratycznymi” są jeszcze pisemka prowincjonalne, które także na podobną nazwę chcą zasłużyć. Ale z nich wszystkich tylko jeden „Kuryer Przemyski” rozumiał swoje zadanie. — Nie waha on się od czasu do czasu zapelniać swoje szpalty socjalistycznymi artykułami, popiera bowiem każdą rzetelną opozycję przeciwko dzisiejszym rządóm w Galicji. Inne pisma prowincjonalne są tak naiwne albo zależne od kieszeni małomiejskich mecenasów, że nie podobna ich traktować poważnie i dlatego pomijam je tutaj tą wzmianką. Umyślnie nie mówię nic o tzw. „*prasie ludowej*” bo będę miał wkrótce inną sposobność krytycznego rozejrzenia się w jej stosunkach do galicyjskiej „demokracji”.

Jak wyglądają demokratyczne stowarzyszenia? Do roku 1894 nie miała Galicja ani jednego stowarzyszenia politycznego, które by było urzędową organizacją demokracji.

Zadziwiający w konstytucyjnym państwie ten fakt jest najlepszym wyrazem zwyrodnienia demokracji galicyjskiej. Stańczycy mają wszystko w swoich szponach, tj. rząd centralny, szkołę, sejm, towarzystwa gospodarcze, asekuracyjne, bankowe itd. nadto kościół i obszary dworskie. „Demokraci”, nie mający nic z tego wszystkiego, nie postarali się aż do r. 1894 nawet o instytucję polityczną, zabezpieczoną ustawami, o instytucję, którą już mają Rusini, Żydzi narodowcy, robotnicy i każdy żywiół znajdujący się w walce, do której potrzeba przecież organizacji, skupienia sił i świadomej pracy. — Podczas kiedy np. u robotników opozycja polityczno-społeczna nadawała każdemu, nawet na pozór najniewinniejszemu stowarzyszeniu ton polityczny walki klasowej, „demokraci” lękali się tego ostrego tonu jak ognia, tak jak gdyby oni, a nie stańczycy rządili krajem. Każdy z nich miał formalną manię, aby go uważano za „poważnego i spokojnego” obywatela, a większość była okropnym tchórzem podszyta. Nigdy nie zapomnę komicznego wrażenia, jakie na mnie zrobili lwowscy demokraci, noszący się w r. 1893 z myślą założenia wreszcie „Towarzystwa Demokratycznego”. Jeden z nich, nader pomysłowy, proponował aby sprosić w celu uchwalenia odpowiedniej odezwy zgromadzenie demokratów, a potem *zamknąwszy drzwi na klucz* zmusić ich do podpisania manuskryptu odezwy! W inny bowiem sposób nie podobna było, zdaniem owego mówcy, skłonić ich do tego. — Z góry zatem można już było przewidzieć jak będzie wyglądało owe „Towarzystwo demokratyczne”, założone na wiosnę r. 1894. Założono je oczywiście nie za jednym razem, bo trudno było skupić w tym celu 50 ludzi na zgromadzeniu konstytuującym. W kraju o 7 milionach ubogiej ludności, nie mogło pierwsze i jedyne stowarzyszenie polityczne demokratów znaleźć 50 członków potrzebnych wedle statutu dla odbycia zgromadzenia! Nic dziwnego, że w rok potem uchwalono zmianę statutu w tym kierunku, aby już 25 obecnych członków miało prawo zachowywać się, jak zgromadzenie stowarzyszenia. Każdy przyzna, że jest w tej uchwale „demokratyczny” postęp...

Na owym zgromadzeniu zaszedł też typowy wypadek, którego nie chcemy pomijać, bo rzeźbi on drobiazgowo odwagę cywilną „demokratów”. — Przewodniczący dr. Karol Lewakowski miał jak zwykle, patetyczną, słabą zresztą, przemowę w której zapowiadał zajadłą walkę na dwóch frontach, tj. przeciw konserwatystom i *socjalistom*. Nazajutrz w sprawozdaniu „Kuryera Lwowskiego” zmieniono w tchórzliwym popędzie demokratycznego serca, słowo socjalizm na *anarchizm*...! I zdumiona publiczność czytała, jak Lewakowski kruszył kopie z „anarchistami”, których w Galicji nikt z latarnią nie znajdzie. Ale to drobne fałszerstwa, to podłożenie aby po cichu ukąsić lub oczernić socjalistów, to kaptowanie sobie filistra bodaj za pomocą najohydniejszego i najtańszego środka tj. nagonki na socjalistów, to jest znamieny rys karlich potomków niegdyś wielkiej polskiej demokracji. — Nawet i to nie pomogło jednak wiele. Po roku istnienia mamy przed sobą sprawozdanie „Towarz. demokr.”, ogłoszone przed walnym zgromadzeniem (7 kwietnia 1895), złożonym z 70 ludzi wszystkiego, z którego to sprawozdania widzimy, że w całej Galicji ma Towarzystwo 182 członków, a cały obrót roczny wynosił zaledwie 241 złr. — W przeciągu roku zwołało Towarzystwo *pięć* chłopskich zgromadzeń. Najmniejsze robotnicze stowarzyszenie ma więcej członków, większy obrót kasowy, więcej zgromadzeń, odczytów, pogadanek itd.; A nie należy nigdy zapominać, że oprócz wrogich wpływów politycznych ma robotnik do walczenia z ciemnotą, z brakiem wykształcenia, a wreszcie z *nędzą*, o jakiej nasi panowie „demokraci” często wyobrażenia nie mają.

To porównanie najuboższego ruchu robotniczego z robotą partacką naszych „demokratów”, jest nadzwyczajnie pouczającym. I nie mogły rzeczy wypaść inaczej, gdy

przyjrzymy się bliżej np. ostatniemu zgromadzeniu Towarzystwa. Zamiast jasności agitacji, zamiast programowej dyskusji, mamy tam następujące dialogi: Po szumnej mowie Lewakowskiego, oponent jakiś żąda, aby nie walczone z socjalnymi demokratami i żeby postępowano *jawnie*. Na to odpowiada się mu, że przeciwnie, należy brać wzór ze stańczyków, robiących wszystko *potajemnie* i stawia wniosek zamknięcia dyskusji! Oto wszystko. Demokracja w konstytucyjnym państwie, biorąca wzory z konserwatystów, na których rozkazy jest rząd, kler i prasa szlachecka, demokracja, która zamiast zapalać *szerokie warstwy ludowe* popularnym programem, gotuje w alchemistycznym czerepie jakieś tajemnicze plany, zmierzające co najwyżej do tego, aby wybrać dwóch, trzech posłów do sejmu, posłów, co i tak lud będą zdradzali w swej demokratycznej ograniczoności, to nawet nie tragiczne, ale zabójczo komiczne widowisko dla nowoczesnego polityka.

Omówiliśmy umyślnie trochę obszerniej stanowisko „Towarzystwa demokratycznego”, bo dla nieświadomych mogło się zdawać jego powstanie zapowiedzią tzw. „zdrowej” demokracji, początkiem poważnej opozycji przeciw pseudodemokratom, jakich przedstawiłem w pierwszym artykule — zwłaszcza że firma Lewakowskiego przyczyniała się do tego, a Lewakowski w oczach zagranicy i reszty Polski to „Rejtan”, to rycerz niezłomny wolności itd. Z rezultatów, do których po roku doszło „Towarzystwo” możemy bez wielkiej omyłki stwierdzić, że skoro tylko „lewica sejmowa” raczy wyciągnąć po nie rękę, „Rejtan”, wraz ze swym sztabem lwowskich filistrów odda się z przyjemnością w niewolę starym oszustom demokratycznym w imię naturalnie jedności narodowej itp. frazesów, służących do zamaskowania najnikczemniejszych operacji politycznych.

Ponieważ oprócz „Towarzystwa demokratycznego” nie ma Galicja żadnych innych związków politycznych demokracji, przeto wybaczy mi czytelnik, że przejdę do innych stowarzyszeń, już niepolitycznych, aby analizować działalność i upadek „demokratów”. A zatem przyjrzymy się towarzystwom „Sokół” i wielkiej ilości kas oszczędności, towarzystw wzajemnego kredytu itp. ekonomicznych formacji, których zarządy szepczą sobie na ucho, że właściwie należą do „demokratów”.

„Sokół” galicyjski, to nic innego, jak organizacja *filistrów*. Podkreślam umyślnie to słowo, bo wpośród najbardziej doniosłego patriotycznego krzyku sokolego „sursum corda!”, uchwalano, aby na zgromadzenia chłopskie nie dawać nigdy sal w budynkach „Sokoła”, a podczas przyjazdu cesarza na manewry do Jarosławia w r. 1893 posłano lwowskich „Sokolów” na wartę honorową przed mieszkaniem cesarza, co przecież o „demokratyczności” instytucji nie świadczy wcale... Zresztą w „Sokole” jest cała masa biurokratów, chcących się w pierwszym rządzie pozbyć swoich hemoroidów, a te żywiły ręką nam już za to, że demokracji na serio nie wezmą nigdy w życiu.

Mogą młodzi rzemieślnicy odczuwać po przywdzianiu sokolego mundury buńczuczne drgnięcia duszy, — cała instytucja jest dobrze pilnowana przez pp. Romanowiczów, Szczepanowskich lub ich narzędzia, tak że stąd nie wyjdzie żaden żywszy ludowy ruch na zewnątrz. I owszem z dotychczasowych spostrzeżeń możemy stwierdzić z całą pewnością, że lud miejski i robotnicy nie lubią „Sokolów”, którymi zachwycają się panienki biurokracji i średniej burżuazji.

Drobne stowarzyszenia finansowe w obu stolicach i na prowincji, które pozornie znajdują się w rękach demokratów, są przede wszystkim zależne od wielkiego kapitału kierowanego przez finansistów, zostających pod komendą Badenich lub stańczyków. Nie ma wprost możliwości, aby się te związki buntowały przeciw dzisiejszym rządóm, a pojedyncze wyjątki należy przypisać tylko szczególnym ambicjom i interesom, nie mającym w ogólnej polityce znacniejszego wpływu.

Charakterystycznym przebiegiem zaznacza się rozwój dwóch „ludowych” instytucji, do których niegdyś palili się demokraci w czasach swej młodości. Mamy tu na myśli „czytelnie ludowe” i „kółka rolnicze”. Pierwsze miały lud oświecać i przygarniać do postępu, drugie miały go podnosić ekonomicznie i dać mu możliwość walki z nędzą. Obie instytucje były stworzone przez demokratów i rokowały dla demokracji najpiękniejsze nadzieje. Ale wnet wdali się w grę biskupi i rozpoczęli zacięty bój o wydarcie ich świeckim „demokratom”. W boju tym łatwo można było przewidzieć, kto zwycięży. Księża mieli autorytet, zasoby i zaciętość wsteczników, demokraci zaś nie mieli jedynej broni opozycjonistów tj. *charakteru*.

Obecnie więc i „czytelnie” i „kółka” są w łapach kleru, który za pomocą rządowych i szlacheckich wpływów opanował te instytucje. Wyrwano jadowite demokratyczne zęby dawnym zapalcem i ze związków mających chłopów oświecać i podnosić zrobiono środek do politycznego ogłupiania go za pomocą obrzydliwych, przez stańczyków płatnych pisemek jak „Krakus” lub bernardyński „Nowy Dzwonek”, albo nudnych śmiertelnie jak np. subwencjonowana „Niedziela” itp. „Kółka” mają teraz znaczenie tylko dla bogatych chłopów; dla ogromnej masy zubożałego do szczytu ludu wiejskiego są one wprost bez wartości i bez znaczenia. Demokracja, która niegdyś sądziła, że buduje dla siebie niezdobyte twierdze na przyszłość, dziś stoi u ich wrót z żałośnymi żalami i narzekaniami w najlepszym razie, bo głupszy lub przebieglejszy spośród niej udają, że wierzą jeszcze w te dwie instytucje.

Nędza wypędza coraz więcej chłopów z ojczyzny za ocean, głód i choroby dziesiątkują ludność, 3.765.000 ludzi nie umie czytać, płace robocze spadły w niektórych miejscowościach do 12 centów dziennie za pracę dorosłego mężczyzny(!), a z „czytelni” ani z „kółek” nie wydrze się na zewnątrz ani jeden jęk chłopski, ani jedno westchnienie, mieszczące w sobie zaród protestu chłopskiego. Na karku chłopskim siedzą biskupi i panowie wraz z całą zgrają księży i ekonomów i duszą każdą opozycję w jej najskromniejszych zaczątkach. Duszą zaś i gniją dzięki nieograniczonej podłości „demokratów”, którzy bez boju niemal oddali wszystkich lud na pastwę tych pasożytów. Doszło wreszcie do tego, że na wiecu chłopskim, na którym był obecny p. Wysłouch, najskrajniejszy demokrat i redaktor „Przyjaciela Ludu”, mógł zjawić się biskup tarnowski, Łobos, aby oświadczyć chłopom jak najuroczyściej, że „ludzie nie są równi” i że nierówność społeczno-polityczna jest wyraźną wolą bożą, o czym naturalnie biskup musi być najlepiej poinformowany. Te policzki musiał p. Wysłouch znieść całkiem spokojnie, brakło mu odwagi publicznie natychmiast zaprotestować przeciw obłąkanemu wstecznikowi w szatach biskupich.

Na zakończenie tych ponurych szkiców upadku politycznego galicyjskiej demokracji zajmijmy się dwiema jeszcze sprawami, stojącymi w pewnym stosunku do tej ostatniej, sprawą *chłopską* i wyzwoleniem narodowościowym ludu *śląskiego* na Śląsku austriackim. Wszystkie postępy ludowej sprawy na wsi uczynione nie przez demokrację lecz wbrew niej. P. Wysłouch, który przed ośmiu laty rozpoczął wydawnictwo „Przyjaciela Ludu”, był przez demokratów stokrotnie spotwarzany i nie doznał od nich nigdy pomocy w prześladowaniach politycznych, jakie niegdyś na niego spadały. Kiedy w r. 1893 obłożył znany biskup Łobos klątwą „Przyjaciela” na równi z pismami socjalistycznymi, „demokraci” zacierali po cichu ręce, z zadowolenia. Tak samo założony w r. 1892 przez ks. Stojałowskiego i Potoczaków (włościan spod Nowego Sącza) „Związek chłopski” powstał i działał zupełnie odrębnie od demokratów. Rola tych ostatnich polegała na wyczekiwaniu chwili, kiedy będzie można temu chłopskiemu „Związkowi” przy pomocy duchowieństwa ukreślić łeb, albo przynajmniej go sparaliżować. Chwila ta nie długo dała na siebie czekać. Stojałowski, napadnięty równocześnie przez rząd i biskupów, musiał jechać do Rzymu „ad limina apostolorum” (do progów apostołskich), aby się tam usprawiedliwić przed kurią. Tymczasem machinacjom lewicy sejmowej udało się zdemoralizować braci Potoczaków (jeden z nich jest posłem do rady państwa, drugi do sejmu), tak że ci ukorzyli się przed Łobosem i, gdy Stojałowski wrócił, napadli nań w niegodziwy sposób na zgromadzeniu, przy czym rząd i miejscowi księża (w N. Sączu) dopomogli do sterroryzowania większości zgromadzenia, stojącej za Stojałowskim, W ten sposób wniesiono między jednolity ruch chłopski zarzewie sporu, nigdy nie gasnące, rozjątrzone spory bratobójcze między chłopami i część z nich wraz z Potoczakami uczyniono zgrają maruderów, wlokących się za konserwatystami i demokratami w ich wyprawie *przeciw* żądaniom ludowym.

Najnikczemniej jednak znaleziono się wobec Stojałowskiego. Można się nie zgadzać z tym namiętym popem, można go nie lubić osobiście, ale tego niepodobna zaprzeczyć, że Stojałowski prowadził więcej niż dziesiątek lat heroiczną niemal walkę z rządem i szlachtą, z wyższym klerem i z chłopskimi pijawkami w Galicji i na Śląsku, a dążenia jego były często demokratycznymi w najlepszym tego słowa znaczeniu. Był on niejako „próbny królikiem” dla wszystkich, najzuchwalszych, najbardziej sprzecznym z prawem prześladowań całej zgrai biskupów i świeckich policjantów z hr. Kazimierzem Badenim na czele. Dość wspomnieć, że człowiek ten przeżył 22 procesy polityczne, z których 16

przegrał, zyskując 1. 415 zlr. kary, przeszło 8 miesięcy więzienia za wyrokiem, a przeszło rok więzienia śledczego! Dla niego łamano przepisy o tajemnicy listowej, łamano ustawy prasowe i o zgromadzeniach, dopuszczano się wprost masowej kradzieży jego pism na pocztach, znoszono zupełnie konstytucję, a nikt nie upomniał się o to chociażby jednym słowem, nikt nie zapytał nawet z ciekawości rządu, czym motywuje podobne barbarzyństwo!

Jeżeli to wszystko, co robiono ze Stojałowskim, powtarzano bez końca na socjalnych demokratów, a „lewica” i demokraci milczeli, to rozumiemy to dobrze; nie żądamy od nikogo łaski i uważamy wprost demokratów, jako szkodliwych ludowi wrogów; ale ze Stojałowskim była tego rodzaju sprawa, że go formalnie wpędzano w radykalizm przez to, że nie udzielano mu najmniejszej pomocy w skutek tchórzostwa przed rządem i stańczykami.

Przed kilku tygodniami rozzuchwaleni biskupi galicyjscy: Seweryn Morawski, abp lwowski, Łukasz Solecki bp. przemyski, Ignacy Łobos bp. tarnowski i Jan Puzyna bp. krakowski pozwolili sobie na tanią zabawkę i rzucili kłatwę na pisma Stojałowskiego, Wysłoucha i „Naprzód”. Ale przytoczmy raczej dosłownie końcowy ustęp kłatwy:

„Zaklinamy was przez wnętrze Miłosierdzia Bożego, abyście pisemek tych, które noszą tytuł: *Nowa Pszczółka, Nowy Wieniec, Nowy Dzwon, Przyjaciół Ludu i Naprzód* nie czytali, ani popierali słowem, ani pieniędzmi, pod grzechem i to nie tylko tych, ale i innych — gdyby w przyszłości na ich miejsce, ze zmienionym tytułem i w podobnym duchu wychodzić miały. Gdyby zaś nadsyłało wam uparcie te pisemka, nie przyjmujcie ich, albo oddawajcie je waszym Pasterzom.

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa, niech będzie zawsze z wami.

Amen.

Dan w marca 1895 r.

† Seweryn,

Arcybiskup Lwowski.

† Łukasz, † Ignacy, † Jan,

Biskup Przemyski. Biskup Tarnowski. Ks. Bisk. Krak.”

Czytelnik zrozumie, że gdyby taka „kłatwa” mogła się bodaj w jednym wypadku udać, ludowi w Galicji groziłaby najsrozsza kościelna niewola, wobec której średnie wieki bledną. Wówczas Galicja byłaby ojczyzną głodnych i ciemnych zgrai niewolniczych, prowadzonych przez sfanatyzowanych księży. Obowiązkiem demokratów było zaprotestować przeciw tej bezczelnej biskupiej arogancji, zaprotestować choćby dla przyzwoitości! Otóż z wyjątkiem kilku kiepskich dowcipów w „Kuryerze Lwowskim” cała reszta „demokracji” nie zdobyła się na żaden silny protest, który by się odbił szerokim echem po kraju. Całkiem inaczej to wygląda, jeżeli socjalna demokracja drwi sobie z kłatw biskupich; partia ta nigdy się nie przyznawała do jakiegokolwiek nabożeństwa dla kościoła katolickiego i może sobie kpić z wszystkich kłatw na świecie. Ale galicyjska „demokracja” zawsze szła i dotychczas idzie w zgodzie z kościołem i obowiązkiem jej żądać od tegoż kościoła nieunicestwienia pierwszych podstaw wolności obywatelskiej. Jeżeli tego nie czynią galicyjscy demokraci, to wykopują sobie sami grób w niedalekiej przyszłości. Jeżeli nie zjedzą ich socjaliści, to połknie ich kler, który jak wiadomo ma najsprawniejszy żołądek

Pozostawałaby mi jeszcze analiza *sprawy śląskiej*, ale z powodu silnego zainteresowania się nią całej Polski, chciałbym tę sprawę obszerniej nieco omówić i dlatego pozostawiam ją do najbliższego numeru „Przedświtu”.

III

Nie wesołe, a często odrażające widoki zwyrodnienia politycznego i społecznego demokratów galicyjskich zakończymy szkicem „sprawy śląskiej”, którą demokracja sprowadziła szczęśliwie w opinii publicznej do założenia *polskiego gimnazjum* w Cieszynie. Nigdzie nie ma tak wybitnych stosunków społecznych, tak prostych i jasnych, które by każdemu patriocie polskiemu dyktowały wyraźniej, jakiej ma trzymać się polityki, jak właśnie na Śląsku austriackim. Powiadam wyraźnie: patriocie, bo patriotyzm to jeden z tych bogów,

któremu w dzień i w nocy ofiary składają publicznie nasi demokraci, to jest ich racja bytu niejako, bez której nie mieliby żadnego szczytniejszego hasła dla pokrycia wyzyskiwania ludu lub podlenia się wobec szlachty.

Od Bielska aż za Cieszyn rozciąga się polska dziedzina, Księstwo Cieszyńskie, zamieszkałe przez dwustutysięczny lud polski. Dalej na zachód ogromny rewir węglowy ostrawsko-karwiński, także zaludniony przez Polaków, albo tutejszych, krajowców niejako, albo przez polski żywioł napływowy, który ogromną falą płynie aż spoza Tarnowa. Ludność to rolniczo-robotnicza, chłopci pomieszani ściśle z robotnikami fabrycznymi, bo wielkich miast tu nie ma, a za to są potężne kopalnie, huty, fabryki maszyn największe w Austrii, gisernie itp.

Kolosalne posiadłości dawniej arcyksięcia Albrechta (obecnie jego spadkobiercy, ks. Fryderyka), wielkie kopalnie i fabryki hr. Larysza, żyda Gruttmana, br. Rotszylda skoncentrowały w sobie całą tzw. „wielką” posiadłość. Innej „szlachty” tu nie ma. Poniżej tych olbrzymów finansowych rozsiadła się ohydna warstwa sług pańskich, dyrektorów, zarządców, nadzorców, nastawników itd., która gniecie lud w nielitościwy sposób. Wszystko, co na tym obszarze pracuje, co cierpi i znosi samowolę, to przeważnie *polskie*, i na odwrót wszystko co wyzyskuje, dusi i gnębi, to *niemieckie*, a w małej części *czeskie*. Zdawałoby się więc, że nie można po prostu innej obrać drogi do przywrócenia Polsce tego biednego ludu śląskiego, jak prowadząc politykę wprost energicznej obrony ludowych i robotniczych interesów; choćby się wtedy ani słowa nie straciło na obronę „narodowości”, to przecież każde podźwignięcie ludu i robotników o jeden bodaj stopień wyżej, każda silna organizacja ludowa będzie zarazem klęską germanizatorów, którzy całą swoją siłę czerpią właśnie w tej pasożytniczej klasie Niemców i Czechów na Śląsku. Chcąc ratować *Polaków*, musi się ratować chłopów i robotników, bo innych Polaków tu nie ma, chyba by ktoś myślał o garstce małomieszczan w Bielsku lub Cieszynie.

Tak proste, tak jasne rozwiązanie kwestii śląskiej doznało w ręku impotentów demokratycznych zupełnego zwichnięcia. Zaczęto najpierw zbierać składki na „dom narodowy” w Cieszynie, zebrano wiele tysięcy złr. i obecnie formalnie nie wiedzą co z tym począć!... Suma ta złożona na procent w kasie oszczędności, znajduje się nadto w zawiadownictwie ludzi, którzy wszystkim innym są raczej, niż zwolennikami ruchu *ludowego* na Śląsku. Założono w Białej „dom robotniczy”, skąd wypłaszają robotników różni panowie biurokratyczni. I na to zebrano sporo pieniędzy ze wszystkich stron Polski, ale z całym spokojem mogą sobie buńczuczni Niemcy w Białej-Bielsku śmiać się z działalności tej instytucji. Zaczęto ze skwapliwością niepojętą wyszukiwać z mazołem terenu, gdzie *najmniej* Polaków i gdzie ci Polacy stanowią najlichszy żywioł do jakiegokolwiek ruchu ludowego i znaleziono szczęśliwie drobnomieszczan cieszyńskich. Założono też tutaj czytelnę ludową, koło „pań” szkoły ludowej, „Sokół”, Towarzystwo polityczne ludowe itd. Wszystkie te instytucje bez wyjątku nie żyją wcale, choć się o nich z tryumfem prasa galicyjska rozpisywała, albo wegetują nędznie, w rękach cieszyńskiej klikki stańczyków. A demokraci galicyjscy okłamują wprost społeczeństwo, umieszczając od czasu do czasu rzewne opisy patriotycznych uroczystości w tych na pół rozpadających się instytucjach.

Robotników nawet nie tknięto żadną z tych instytucji, a lud wiejski dostał dwadzieścia kilka czytelni ludowych, które prowadzą dość marny żywot. Wreszcie ukoronowano całą akcją projektem utworzenia polskiego gimnazjum w Cieszynie i „zelektryzowano” tym polskie społeczeństwo, a co ważniejsza, zebrano już przeszło 80.000 złr. na te cele.

W tym miejscu musimy na chwilę wrócić do Galicji. Co może przeciętny filister galicyjski, a więc najlepszy materiał na „demokratę” zrobić dla Śląska? Pójść, zbratać się z robotnikiem, z chłopem ubogim, z uczniem rzemieślniczym...? Mówić mu o jego nędzy, o długim czasie pracy, o niedoli na starość, o braku praw obywatelskich...? Ależ ci ludzie w kraju tym tylko żyją, że nienawidzą socjalistów właśnie za tego rodzaju agitację! Toteż demokraci galicyjscy zrozumieli tę trudność, i pisma ich, oświecające tyle miejsca wszelkim, odezwom, i komunikatom różnych komitetów śląskich, milczą jak zakłete, gdy chodzi o polskich *robotników*. Można przejrzeć dowolne roczniki dowolnych większych pism demokratycznych, a nie znajdzie tam nikt ani słowa o całym tym ruchu ludowym, o wszystkich nędzach tego ludu na Śląsku. Kiedy w Ostrawie zabijano polskich robotników, próbując na nich nowy karabin Mannlichera, pisma demokratyczne miały tylko

westchnienia i słowa oburzenia — dla agitatorów socjalistycznych; kiedy w Karwinie 53 a przedtem 150 robotników, przeważnie polskich znalazło grób w szybach Larysza i ks. Fryderyka, wówczas interpelował o to w parlamencie — Pernerstorfer! Polacy siedzieli cicho. Filister galicyjski nie wydzwignie tego ludu śląskiego z nędzy i upokorzenia, i dlatego nie odrodzi go. I warto widzieć, jak zamiast dzielnej, męskiej polityki ludowej, wynaleziono dla galicyjskiego filistra inną, wygodną, spokojną a chlubną — *politykę jałmużny*. „Członkowie kasy XY zebrali po wieczorku z tańcami w mieście Z. tyle a tyle pieniędzy na gimnazjum w Cieszynie” „Kółko takie a takie (z wymienieniem nazwisk) podarowało tyle znów a tyle guldenów” itd.; funkcję dawania jałmużny na gimnazjum podniesiono z biegiem czasu do jedynej działalności publicznej, podobnie jak zadanie socjalne klas posiadających wobec wyzyskiwanych załatwiono jałmużną kilkuset tysięcy z zysków lwowskiej kasy oszczędności na „domy robotnicze”, podobnie jak oświata opiera się na „Macierzy” powstałej ze składek, jak szkoła dla ludu ma się opierać o patriotyczno-jałmużnicze stowarzyszenie „Szkoły Ludowej” itd. w nieskończoność. Byle ludu nie poruszyć, byle w sejmie czy w radzie państwa nie zażądać *ustawowych* kredytów, byle szlachty rządzącej, lub śląskich germanizatorów nie zaczepić tam, gdzie by musieli ustąpić! Wskazują nam przy tym obłudnie na przykład Czech, a przecież w Czechach jest partia młodoczechów, prowadząca bądź co bądź, zaciętą wojnę w sejmie i parlamencie, przecież w Czechach wyłonili się postępowcy, wobec których nasi „demokraci” są ich-tiozaurami przedpotopowymi. W Czechach nie boją się poruszyć mas ludowych, a jeżeli młodoczesi nie mają pełnego prawa mówić w imieniu proletariatu, to tylko dlatego, że ten proletariatus sam już za siebie mówić potrafi, że ma swoją własną organizację. W Galicji bezsilność i zwyrodnienie demokratów zamyka oczy ludności tymi „patriotycznymi” jałmużnami i dlatego jałmużny te są wprost szkodliwe, bo nagromadzone środki dostają się potem w ręce kreatur stańczykowskich, które albo nic z tymi środkami nie robią (i to jeszcze najmniejsza szkoda) albo używają ich wprost dla dalszego ujarzmania i ogłupiania ludu, jak tego dowodzi towarzystwo „Macierzy Polskiej” i inne przykłady. Toż samo będzie, a nawet już po części jest z gimnazjum w Cieszynie.

Jeżeli z kolei wypadków zdarzy się, że „demokraci” odbywają zgromadzenia, że stykają się z ludem, to chyba ślepy człowiek nie dostrzeże, jak mało mają u tego ludu zaufania. Zgromadzenie takie rozpada się na kilka części; przy stole prezydenta i obok niego siedzą „panowie”, różni „goście” honorowi itp. a przy drzwiach tuli się rzesza wieśniacza lub robotnicza, nie rozumiejąca mowy oratora patriotycznego o doskonałościach Konstytucji 3 maja i sarkająca na napaści, którymi się obrzuca ruch robotniczy lub ks. Stojałowskiego. A gdyby ktoś był ciekawy, jak wygląda zgromadzenie „czytelni ludowej” w Cieszynie, to niechaj raczy posłuchać ustępu z długiej serii artykułów umieszczonych w prawdziwie demokratycznym „Kuryerze Przemyskim” pt. „Stańczyki w Księstwie Cieszyńskim”. Ustęp brzmi:

„Na sali przy stole przydzielonym siedzi dwóch „dyrektorów” Towarzystwa oszczędności, obok nich siedzą: profesor gimnazjalny, właściciel posiadłości rolnej, Wyższy urzędnik arcyksiążęcy itd. To jest Wydział czytelni, «ludowej». Na krzesłach widzimy: dwóch posłów do sejmu, notariuszów, adwokatów, doktorów medycyny, sędziów, urzędników itp. To są członkowie czytelni «ludowej». A gdzie, «lud» się podział? A prawda, po kątach tuli się paru rzemieślników, z minami skromnymi i lęklivymi, jak gdyby zawstydzonych, że w. tak dostojnym towarzystwie się znaleźli. To jest walne zgromadzenie członków czytelni ludowej w Cieszynie, zwołane przez sz. prezesa p. F. pod presją kilku członków czytelni, którzy zyskali sobie przez to śmiertelną nienawiść ze strony tego «powszechnie poważanego» narodu».

Tak pisze nie żaden socjalista, lecz naoczny widz demokrata, który nie może zrozumieć niedołęstwa galicyjskiego demokratycznego bractwa.

Na gimnazjum cieszyńskie zebrano przeszło 80. 000 złr., co roku potrzeba będzie dokładać do tego kilkadziesiąt tysięcy i w zamian za to dostanie się z konieczności biedną i lichą szkołę, z której raczej wszystko inne na świecie będzie korzystać, tylko nie szeroka masa ludu polskiego, za uboga, aby móc dzieci swoje do szkoły średniej posyłać. I jeszcze

jedna uwaga nie będzie może. zbytęzną. Oto, jesteśmy przekonani, że obok kilkustu uczniów, synów bogatych chłopów, będą tam synowie garści biurokratów, a zarazem Niemcy, którzy dla kariery urzędowej zechcą przyswoić sobie polski język. Nie mamy oczywiście nic przeciw temu, nawet cieszymy się z tego ale czyż to jest punkt zaczepienia „odrodzenia” ludu śląskiego, jak się to słyszy w bałamutnej frazeologii demokratycznej. Czy *na to* należało zużyć tyle zapła? Czy przykłady z *dzisiejszych* stosunków są tak zachęcające? Zacytujemy z wspomnianej serii artykułów „Kuriera przemyskiego” (pisanych na miejscu w Cieszynie!) bardzo smutny ustęp:

„Świetny Wydział krajowy *galicyjski* udziela niektóre stypendia uczniom w ks. Cieszyńskim. Jest to ze wszech miar pochwały godnym, lecz i to ma swoje „ale”... Jeden ze stypendystów galicyjskiego Wydziału krajowego, uczeń gimnazjum cieszyńskiego, który dostaje stypendium śp. Pukalskiego, biskupa tarnowskiego nie uważa sobie bynajmniej za obowiązek uczęszczać na lekcje języka *polskiego*; oprócz niektórych jego kolegów, żaden z naszych, «powszechnie poważanych» narodowców nie skarci go za to: uważając to widocznie za coś całkiem naturalnego.”

Co wobec takiego wypadku mamy sądzić o „odrodzeniu Śląska ze pomocą gimnazjum w Cieszynie”?:

Co by powiedzieli nasi „demokraci” gdyby im np. zaproponowano agitację za powszechnym prawem wyborczym do wszystkich ciał ustawodawczych? — jako środek do poruszenia mas, a w razie zwycięstwa do wybicia się ogromnej większości ludu polskiego z niewoli Niemców i Czechów, którzy w Księstwie cieszyńskim stanowią śmieszna mniejszość. Otóż o ile wiemy nie zwołali demokraci galicyjscy ani jednego zgromadzenia z takim porządkiem dziennym, pomimo, że socjaliści pokazali im drogę do tego, mając na swoich odnośnych zgromadzeniach tysiące chłopów i robotników, z zapalem przejmujących się tą agitacją!

Ani jednego zgromadzenia! powtarzamy tym wszystkim jałmużnikom, którzy zbierają na Ślązaków, jakby na jakich pogorzalców i którzy dlatego, że są w koalicji parlamentarnej z zniechędzonymi wszędzie liberałami niemieckimi, urządzają w Kole Polskim we Wiedniu niegodne szopki, aby tylko nie poruszyć sprawy śląskiej. Przypominamy, że za czasów tej „koalicji” żaden demokrat nie postawił w parlamencie uczciwie sprawy oświaty ludu polskiego na Śląsku w ojczystym języku, a gdy to w Kole Polskim uczynił zacięty klerykał, poseł ks. dr Kopyciński, ukręcono sprawie łeb przez oszukańcze wprost intrygi. I teraz zbierają po całej Polsce jałmużnę dla dwustu tysięcy ludu polskiego, który płaci olbrzymie podatki i mógłby mieć z urzędu nie jedno, ale cztery gimnazja polskie, gdyby — ach — to jedno: gdyby — demokraci galicyjscy nie byli moralnymi i politycznymi bankrutami!

Me mówimy już wcale o obowiązku uczciwego ustawodawstwa ekonomicznego, lub ochronnego np. 8-godzinnego ustawowego dnia pracy, którego zaprowadzenie podniosłoby robotnika śląskiego na tak wysoki poziom kulturalny, o jakim galicyjski demokrat nawet nie marzył nigdy. Nie mówimy o tym, że agitacja za 8-godzinnym dniem roboczym przerzuciłaby od razu cały lud śląski do tego obozu, który by ją rozpoczął, tego wszystkiego nie wymagamy od demokratów galicyjskich, których mózgi muszą wpięrw przebyć ewolucję kilku dziesiątków lat, aby się stały tak „zuchwałymi” i zaczęły myśleć bez powtarzania w kółko bezmyślnego ogólnika o „gruncie narodowym” itd. Ale czego możemy od nich żądać, to tego, żeby nie załatwiali sprawy po kapitalistycznemu, tj. żeby nie stawiali dawania i brania jałmużny, jako „misji narodowej”.

Porównajmy tylko to zbieranie pieniędzy na gimnazjum, z agitacją jaką prowadzą krakowscy socjaliści na Śląsku, a w tej chwili zobaczymy bijącą w oczy różnicę.

Ale zamiast mówić jako strona, wyręczymy się lepiej cytata *demokraty*, Ślązaka, znającego tamte stosunki i opisującego je w przytaczanym przez nas „Kuryerze Przemyskim”. Mówiąc o potrzebie ruchu ludowego, pisze on:

„W Cieszyńskim jest w tym kierunku bezczynność absolutna. Nie tylko nie istnieje żadne pismo, poświęcone sprawom robotniczym, ale wychodzące tu dwa pisemka «Przyjaciel ludu» z dod. «Przegląd polityczny» oraz

«Gwiazdka Cieszyńska» z dziwną stałością przedmiot ten pomijają, jak gdyby to było rzeczą zakazaną. Niech więc nas to nie dziwi, że w okolicach «węglarskich» obu tych pisemek trzymają nie wiele i wyrażają się o nich zazwyczaj z przekąsem lub ze wzgardą. Za to w okręgu węglowym czeskie «Odborne listy» szerokie ogarnęły koła i chociaż większość Polaków, którzy, jako członkowie Stowarzyszenia «Prokop» otrzymują je bez osobnej dopłaty, nie czyta ich wcale, bo nie rozumie, to jednak coś niecoś z tej czeszczyzny przylepie się musi. Dopiero w ostatnich czasach polskie pisma, jak «Wieniec», «Pszczółka» ks. Stojałowskiego, oraz «Naprzód» krakowski stopniowo wypierają tę narzuconą czeszczyznę i coraz większym powodzeniem cieszyć się zaczynają.

Wspomnieliśmy w numerze poprzednim jak cieszyńscy «narodowcy» starannie unikają tak potężnych środków budzenia ludu z wiekowego letargu, jakimi bez wątpienia są wszelkiego rodzaju zgromadzenia i wiece, na których słowo polskie do serc tysięcy przenika, wytwarza nowe idee i pobudza do czynu. Któż może za złe wziąć socjalnym demokratom z Galicji, którzy tu od czasu do czasu zjeżdżają i mową polską elektryzują masy ludu roboczego, spragnionego tego życiowego nektaru? Przecież oni czynią tylko to, czego nasi «narodowcy» wystrzegają się jak diabeł święconej wody. «Narodowcy» wołać ciaśniejsze szranki, ich zadawała zgromadzenie w kółku rolniczym lub czytelnicy, tłumny zaś wiec w sali lub pod gołym niebem mógłby niemile być widzianym przez władzę, więc to nie jest patriotyczne... Któż zatem jest bardziej narodowym, czy kosmopolityczni socjaliści, czy «narodowcy»? Odpowiedź jasna”.

Tak żali się autor, którego o żadne sympatie szczególne dla „kosmopolitycznych” socjalistów podejrzewać nie możemy!

I na tym więc polu, tak samo, jak i w wewnętrznym życiu Galicji „demokraci” okazali, że nie mają serca i zrozumienia dla cierpień milionów ludu polskiego.

*

Powyższe charakterystyki, choć nieraz pobieżne, choć tylko w grubych zarysach szkicowane, oparliśmy o taką masę faktów, o tak wielką ilość danych, które każdej chwili sprawdzić można, że zarzut stronniczości (w złym znaczeniu) może nam uczynił tylko ten człowiek szanujący się, kto punkt za punktem wykaże niesprawiedliwość samychże faktów i danych. Krzyki demokratycznych tchórzów nie obalą nic z powyżej przytoczonego obrazu rozkładu „demokratów” galicyjskich. Stara ich nazwa, która niegdyś oznaczała w Polsce grupę ludzi dzielnych, wielkie dusze i wielkie charaktery, okrywa dzisiaj albo oczajduszów politycznych, albo niedołęgów, godnych chyba co rychlejszego pogrzebu.

Z chwilą, kiedy socjaliści polscy w Galicji podnieśli w swoim programie wszystkie żądania swobód politycznych, które (w Europie ale nie w Galicji!) stały na kartach dawnych demokratycznych programów i na darmo wyczekiwały swego urzeczywistnienia, z tą chwilą „demokracja” spadła w Galicji do rządu obrońcy interesów wielkomieszczkańskich, a oparli się raz o interes worka pieniężnego, przyjęła jego taktykę i łąsi się przed tymi, którzy rządzą krajem: przed szlachtą.

Proces ten dokonywał się właśnie w ciągu lat ostatnich przed naszymi oczyma, a szkic niniejszy miał za zadanie przedstawić tę dezercję demokratów z ludowego obozu za pomocą całego szeregu zdrad sprawy ludowej.

Powyższy tekst ukazał się pierwotnie w 1895 r. w formie broszury wydanej w Londynie nakładem wydawnictwa Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich.

POGADANKA O SOCJALIZMIE

— Socjalista! — straszne to jeszcze dla ciemnych i głupich ludzi słowo. Co to za diabeł, nie wie wprawdzie nikt dokładnie, ale ksiądz na ambonie mówi o tych socjalistach jako o wrogach religii, pan dziedzic nazywa ich darmozjadami i złodziejami, a pan starosta grozi, że jak mu się tylko jaki socjalista w powiecie pod rękę nawinie, to go każe w łańcuszki zakuć i zamknąć do więzienia. A biedny chłop na wsi lub robotnik w miasteczku łamie sobie nieraz na próżno głowę nad tym, co też to jest socjalizm i czego to chcą socjaliści. Cały tłum, miliony biednych ludzi czują straszną nędzę, słyszą z daleka o jakichś swoich przyjaciółach, o socjalistach, co się za biednym narodem ujmują, ale nikt nie wie dobrze, co to ma wszystko znaczyć, czego chce socjalizm...

Niechajże ta pierwsza książeczka „Latarni” oświeci biednych pracujących ludzi o tym, *co to jest socjalizm i do czego dąży.*

Bieda na świecie

Mówią ludzie, że na świecie zawsze była bieda wielka, że od wieków byli ubodzy i bogacze i że tego się zmienić nie da, bo „taka już widać wola Boża”. Niechaj to będzie i prawda; ale zapytajmy, czy zawsze tak samo bieda ludzka na świecie wyglądała? Otóż historia uczy nas, że tak nie jest. Pierwotna bieda ludzka płynęła z tego, że praca ludzka była za mało *wydajną*. Dziki człowiek nie znał pluga i żył z tego, co złowił w rzece lub nad brzegiem morza, albo co upolował w lesie i w polu. A kiedy już nauczono się uprawiać rolę, to ta dawała mało i kiepskie ziarno. Wszystko było lichy zrobione, bo narzędzia były liche. Potem jednak bieda już inaczej wyglądała. Wielcy rabusie i wojownicy trzymali sobie setki niewolników i ci musieli pracować dzień i noc na utrzymanie swoich panów. Na jednego wolnego człowieka przypadało 10 i 20 niewolników, których można było zabić, sprzedać, zamieniać, jak konia czy krowę. Ten ustrój niewolniczy długie wieki trwał na świecie, a biedny niewolnik utrzymywał całe państwo, budował pałace, mosty, kanały, wodociągi, uprawiał rolę, a nawet pisał książki dla swoich panów, uczył ich i pielęgnował przez całe życie.

Dopiero nauka Jezusa Chrystusa i jego apostołów uczyć zaczęła, że wszyscy ludzie są równi, że wobec Boga ubogi Łazarz więcej znaczy, niż bogacz. *I dlatego to słyszymy nieraz, że pierwszym apostołem socjalizmu był Jezus Chrystus.* Pod wpływem chrześcijaństwa i wzrostu stałej uprawy roli, handlu i rzemiosł, zaczęto niewolników zamieniać na pańszczyźnianych chłopów, a tam, gdzie byli wolni kmiecie, powoli i tych zamieniano na poddanych. Taki poddany nie był już niewolnikiem, trzymanym jak bydło, tylko siedział na swoim kawałku gruntu, miał swoje konie, krowy, owce itd. i tylko musiał panu odrabiać na pańskim łanie lub w pańskim lesie, a nadto musiał do dworu nosić daniń: ryby, grzyby, drób i często pieniądze. Nie był on już niewolnikiem, a jednak nie był wolnym człowiekiem. Wyjechać mu ze wsi nie było wolno; często nie wolno mu się było żenić z kim chciał, tylko musiał woli pańskiej podlegać. Wszystko co się nazywało wsią, dzieliło się na dwie części: po jednej stronie szlachta wolna, panowie, magnaci, a po drugiej chłopci poddani i przykuci do roli na całe życie. W miastach jednak już znowu inaczej bieda wyglądała. Tutaj mieszkali bogaci kupcy i majstrowie rękodzielnicy. Pod nimi pracowali ich pomocnicy i czeladź, a także młodzi uczniowie, czyli terminatorzy, co się na czeladników uczyli dopiero. Miasto płaciło podatki królowi lub magnatowi, a za to rządzili się kupcy i rzemieślnicy swoimi własnymi prawami. Wszystko tutaj było przepisane, jak się ma robić, wszyscy byli związani w cechy, a każdy cech miał swoją chorągiew, starszyzną itd. Robotą była ręczna, bo maszyn żadnych nie znano, tylko narzędzia ręczne. I tutaj dobrze szło bogatym kupcom i rzemieślnikom, a ciężko było żyć czeladzi i uczniom i w ogóle służbie.

Ludzie byli w ogóle wtedy ciemni i wielu rzeczy nieświadomi, bo tylko księża zajmowali się nauką i książkami, oni umieli mowę łacińską i oni tylko nauczali w szkółkach i szkołach. Wierzono w diabły i czarownice, gusła i zabobony. Pomiędzy ludźmi panowały często srogie wojny, głody i pomory, a biedny chłop poddany lub czeladź rzemieślnicza musieli te wszystkie nieszczęścia znosić w całej pełni.

Aż się to powoli zmieniać zaczęło. Bogata szlachta poczęła podupadać, bo powstały wielkie bogactwa w miastach. Zaczęto budować wielkie fabryki, a w tych fabrykach zatrudniać setki ludzi naraz. Panowie w wielu miejscach zmienili gospodarkę i wyrzucali z roli chłopów, aby mieć większe grunta dla siebie. Chłopi szli do miasta i do fabryk, ale choć im bieda dokuczwała, nie byli już poddanymi, tylko stawali się *wolnymi ludźmi*. Wynaleziono maszyny wielkie, zaczęto kopać dużo żelaza i węgla i coraz silniejsi byli ludzie wolni. Aż przyszło w wielu krajach do *rewolucji*. Powstawały biedne masy ludu i wołały o wolność dla siebie. Rozgorzała walka i w tej walce prawie wszędzie lud zwyciężył. Ogłoszono, że już odtąd nie ma pańszczyzny, nie ma niewoli, a wszystkie prawa są dla wszystkich ludzi równe. Ale bieda nie ustąpiła, tylko się zmieniła. Teraz już wolny świat inaczej wyglądał. Już nie pytano o to, czy kto szlachcic, czy nie, ale o to, czy ma pieniądze, fabryki, ziemię, maszyny, czyli czy ma *kapitał*. Bogaci nazywają się odtąd *kapitalistami*. Zamiast dawnych niewolników i poddanych, powstały wolni biedacy, którzy pracowali za pieniądze na roli, w fabryce, na kolei, w kopalni czy przy wyrębie lasu. Już teraz kijem nie pędzono do roboty, tylko biednego człowieka głód do pracy pędził lepiej od kija! Ale ten człowiek był *wolnym*, to znaczy, mógł on sobie szukać zarobku tam, gdzie lepiej płacą, gdzie tańszy chleb i mieszkanie. Żenił się z kim chciał, wychowywał swoje dzieci nie dla pana, ale dla siebie, łączył się z swoimi przyjaciółmi w stowarzyszenia, uczył się wielu rozumnych rzeczy. Ta ludność pracująca, która ma tylko swoją pracę i wynajmuje tę pracę kapitalistom za pieniądze, nazywa się *proletariatem*. *Proletariusz* to już coś zupełnie innego, niż niewolnik lub poddany.

Cóż z tego wszystkiego widzimy? Oto, że społeczeństwo ludzkie ciągle się zmienia, i to zmienia się na lepsze dla ubogich ludzi. Bieda jeszcze ich ciągle gniecie, ale nie tak okropnie jak dawniej. Dawniej panowie myśleli, że bez niewolników świat się zapadnie, a przecie jak niewolnictwo zniesiono, lepiej stało się na świecie. Tak samo mówiła szlachta, że chłop ma być na wieki poddanym i robić pańszczyznę, a jak pańszczyznę zniesli, musieli panowie płacić robotnika i dzisiaj już by nikt do pańszczyzny nie wracał, chyba jaki wariat. Dawniej, gdy magnat zabił niewolnika lub poddanego, to najwyżej zapłacił karę pieniężną, a dzisiaj już by za to i na szubienicę poszedł!

A więc nieprawdą jest, że dawniej ludziom lepiej było na świecie, że niby to dawniej wszystkiego było pod dostatkiem, a tylko dzisiaj jest źle. Dawniej było jeszcze gorzej i polepszyło się tylko dlatego, że świat się rozwijał, że pracę ludzką zaczęto więcej szanować, lepiej ją opłacać, że biedni ludzie nie chcieli znosić niewoli a upomnieli się o swoje prawa.

Święta własność prywatna

Tak, jak teraz jest na świecie — mówią socjaliści — nie jest sprawiedliwie i nie jest rozumnie. Jeden pan ma trzy i cztery folwarki, a dwa, trzy tysiące chłopów nie mają prawie nic gruntu dla siebie. Albo jeden kapitalista ma dziesięć kamienic i fabrykę i wielką kopalnię, a tysiące robotników mają do pracy tylko swoje ręce i głowę na karku. Taki kapitalista nie potrzebuje cały boży rok pracować, robi co mu się podoba, a tymczasem tysiące ludzi pracują na niego, zarabiają dla niego i dla jego rodziny co roku wielkie sumy pieniędzy, a sami ci biedacy mieszkają w małych izbach na poddaszu lub w piwnicach i walczą z biedą. Pańskie dzieci chowają się ładnie, uczą się wielu pięknych i rozumnych rzeczy, a dziecko chłopskie lub robotnicze ginie w młodym wieku, albo gdy już przeżyje, to wałęsa się po ulicach, idzie za młodu do ciężkiej roboty i nie uczy się niczego. Zaniebane, wpada w złe towarzystwo i nieraz za młodu dostaje się do kryminału. Chłopski i robotniczy syn służy w wojsku po 3 i więcej lat, a młody panicz tylko rok. A kiedy biedacy tak narzekają na niesprawiedliwość dzisiejszego świata, odpowiadają im panowie: „Tak być musi, bo własność jest prywatna i jest rzeczą świętą”. Mówią oni, że tak zawsze było i będzie na świecie, a kto przeciw temu szemrze, ten obraża Pana Boga. Jeden ma kapitał czy folwark czy dom, fabrykę czy warsztat, a drugi nie ma nic. To niby tak było zawsze i to jest święta własność prywatna.

Popatrzmy, czy to prawda?! Dawno, dawno temu nie było wcale własności prywatnej, tylko ziemia i domy należały do całej gminy, albo do całej wielkiej rodziny. Uprawiano

grunt razem i dzielono się żniwem po bratersku. Potem, kiedy nastąpiły grabieże i wojny, cała ziemia należała do króla, a ten dopiero panom po kawałku oddawał nie na własność, ale tylko w posiadanie. Ale kiedy nawet już całkiem zaprowadzili własność prywatną i odmierzali, co do kogo należy, to jeszcze zawsze była obok niej własność *wspólna*. Na przykład dzisiaj kopalnie soli nie należą do jednego człowieka, tylko do całego państwa. Wielkie budynki szkolne należą do całej gminy, albo do całego kraju i nikt nie powie, że to jego szkoła, tylko mówi „gminna”, miejska albo krajowa. U nas i gdzie indziej koleje należą do państwa całego i lepiej tak jest, niż gdyby jeden pan miał całą kolej. Poczta także należy do całego państwa i wygodniej z tym wszystkim ludziom. Nawet tam, gdzie ludzie mają własność prywatną, łączą się oni ze sobą, aby czegoś większego dokonać. Jeżeli kilku kapitalistów złączy swoje pieniądze i wybudują wspólnymi kosztami fabrykę, to każdy jeszcze na tym zarobi i nie boi się straty. Jak kilku majstrów zechce zakupić dla siebie materiał na wyroby, to zakupują razem taniej i lepiej. Nawet w handlu ludzie się łączą i zakładają wspólny sklepik, aby na tej wspólnej własności móc sobie zrobić wygodę i nie stracić. Więc nawet dzisiaj każdy rozumny wie, że własność wspólna daje takie korzyści, jakich nie da nigdy własność prywatna jednego choćby bogatego człowieka. Mówią biednym ludziom, że własności nikomu odebrać nie wolno. Tymczasem tak nie jest. Jeżeli gdzie budują kolej, to wychodzi na grunt komisja i zabiera tyle gruntu gospodarzowi, ile jej potrzeba. Nie pyta się go o to, czy on pozwala, czy nie, ale płaci mu według taksy i grunt choćby przemocą zabiera. Państwo, kraj i gmina wywłaszczają kogo tylko im potrzeba i wcale nie dbają o to, czy własność prywatna jest „świętą”, czy nie.

A z czegoż to powstała ta własność prywatna? Chłop siedząc na kilku morgach, robotnik co sobie z zarobku całego życia kupił domek, zarobili sobie na tę swoją własność pracą uczciwą całego żywota. Ale czy można zarobić swoją pracą dwieście lub trzysta tysięcy złr.? Żeby kto nawet i tysiąc złr. rocznie oszczędzał i nigdy nie chorował, to od dwudziestego do pięćdziesiątego roku życia zaoszczędziłby dopiero 30 tysięcy! Więc jakimże sposobem powstały wielkie majątki. Z początku tak powstawały, że naczelnicy wojenni napadli na jaki kraj, rabowali dla siebie grunta i lasy. Potem na tych gruntach pracowali na panów chłopci i niewolnicy i grosz do grosza płynął z ich pracy do pańskiej skarbnicy. Stąd powstawały dawniej wielkie majątki. W nowszych czasach podobnie one powstają. Zacznie kto z małym, to oszukuje drugich i posługuje się pracą setek najemnych robotników. Płaci robotnikowi guldena dziennie, a zarabia na nim dwa: drugiego więc guldena chowa do swojej kieszeni, a skoro ma np. 100 robotników, to może już na nich sto złr. dziennie zarobić, czyli w jednym roku 30 tysięcy złr.! Wtedy staje się coraz bogatszym, a jego robotnicy zawsze jednakowo biedni; on ma majątek, a oni na starość mają szpital lub torbę żebraczy. Więc cóż to ma być takiego świętego, ta własność prywatna? Albo weźmy jeszcze inny przykład. Rodzi się dwoje dzieci: jedno u bogatego pana, drugie u robotnika. Dziecko bogatego uczy się, bawi, podróżuje do 25 roku życia i nie zarobiło ani grosza złamanego, a dziecko biedaka idzie w 14 roku życia do warsztatu, albo za parobka, pracuje ciężko dziesięć lat i nie ma nic. Panicz tymczasem odziedziczył po ojcu sklep, albo folwark i od razu ma własność, jest bogatym i najmuje sobie do roboty biedaka. Cóż ten panicz zrobił, aby być bogatym? Nic! Tyle tylko, że się urodził. Ale i biedak się urodził, a całe życie pozostanie biednym bez własnej winy, tak jak tamten wzbogacił się bez żadnej zasługi.

Zapytujemy teraz, czy to takie jest przekonanie Boże? Wcale nie. Jezus Chrystus — jak uczy Ewangelia — jedną tylko dał radę bogatemu młodzieńcowi: żeby wszystko co ma — rozdał i bez niczego poszedł za nim! Nie radził mu, żeby robił majątek i pomnażał swoją prywatną własność, a kazał mu porzucić majątek i żyć z biednymi.

Więc własność prywatna ani nie jest świętą, ani wieczną, ani zawsze korzystną, ani zawsze rozumną.

Praca

Nieraz słyszy się zdanie, że ciężka praca jest klątwą. Delikatna pani o białych rączkach boi się zbliżyć do kowala, szewca, albo parobka zasmolonego przy pracy. Myśli ona, że człowiek, co ma czarną spracowaną rękę, jest grubianin złośliwy i gdyby jej syn miał zo-

stać szewcem lub parobkiem, umarłaby z rozpacz. Nawet biedny człowiek chciałby, żeby jego syn został lekarzem, księdzem, adwokatem lub urzędnikiem, żeby tylko ciężko nie pracował. Dawniej szlachcicowi nie wolno było trudnić się pracą w rzemiośle i handlu, bo by nim po prostu pogardzano i ręki by mu nie podano. Widać z tego, że praca, zwłaszcza praca ręczna była zawsze upośledzoną. A tymczasem wszystko z tej pracy żyje, wszystko na niej rośnie i bez niej zginęlibyśmy wszyscy z głodu i zimna. Ręce czarne i zapracowane wybudowały wszystkie pałace na świecie, poprowadziły koleje żelazne, postawiły wielkie miasta, porobiły maszyny. One to odziewają, karmią, upiększają ludzi, one trzymają cały świat ludzki przy życiu. I coraz więcej uczą się ludzie szanować pracę i coraz więcej praca będzie znaczyła na świecie. A skoro tak jest, to ci wszyscy ludzie pracujący, ci wszyscy robotnicy, rzemieślnicy i rolnicy będą mieli większe znaczenie i większe prawa, niż próżniacy, choćby ci posiadali miliony.

Ale każdy to wie, że człowiek nie pracuje samymi gołymi rękoma. Do pracy potrzebne są także narzędzia i środki: trzeba mieć grunt, warsztat, maszynę lub fabrykę, aby w niej pracować. I dlatego warto nad tym pomyśleć, jak to ludzie pracują, aby zaprowadzić coraz to korzystniejszą pracę. Dawniej chłop siedział z rodziną na gruncie i odrobiwszy pańszczyznę, resztę pracował na swoim. Pomagała mu żona i dzieci. Żona uprządała i utkała odzież, kozuch i buty były u siebie w domu lub w wiosce zrobione, żywności dostarczała rola. W mieście znów szewc czy stolarz mieli warsztaty i w nich robili całe życie swoje wyroby z czeladnikami i uczniami. Ale rozum ludzki wymyślił tutaj wielkie udogodnienia. Ludzie wynaleźli maszyny do przędzenia i tkania, maszyna robi dziś i gwoździe, i igły, i nici, maszyna uszyje ubranie, robi zamek, wyhebluje deskę, spod ziemi wydobędzie węgiel i naftę, powiezie człowieka bez koni. Już teraz nie robią ludzie tego wszystkiego, co dawniej. Dziś wieśniaczka nie będzie tkala ubrania dla siebie i dla rodziny, bo w najbliższym mieście kupi sobie za tańsze pieniądze perkalu, płótna, sukna i nawet gotowe ubranie.

Ślusarz nie robi dziś tego, co fabryka za pół ceny mu sprzedaje, krawiec ręką nie szyje, bo na to jest maszyna zwinna, tania i szybka. Ludzie podzielili pracę między siebie: jedni w fabrykach robią przy pomocy maszyn tylko jeden towar i nauczą się robić tanio i dobrze, drudzy znów tylko inne przedmioty wyrabiają. A dopiero potem kolejami te towary rozwożą po całym świecie, aby nawet ubogi człowiek mógł sobie kupić tanio, co mu potrzeba. Świat się zmienił zupełnie. Dawniej ten, co pracował, miał swoje własne narzędzia, dzisiaj fabrykant ma maszyny, a robotnik tylko pracę swoją, pan ma ogromne grunta, konie, pługi, brony, a chłop przychodzi do tego z gołymi rękami.

Dawniej szewc wiedział, dla kogo buty robi, a dzisiaj fabryka robi na zapas dla całego świata, dla tych, co mają pieniądze na kupienie towaru. Teraz ludzie bogaci mający fabryki, warsztaty i wielkie grunta starają się tylko jak najwięcej zarobić na swoim przedsiębiorstwie i dlatego raz wyrabiają jak najwięcej towarów, drugi raz znowu mniej. Z tego wynika, że gdy towaru nie ma kto kupić, to fabryka nieraz musi zbankrutować, wyrzucić swoich robotników na bruk i dać im ginąć z głodu. Prywatna własność maszyn, fabryk i gruntów jest ciągłym nieporządkiem, czyli anarchią; przez zbytnią chciwość albo głupotę jednego fabrykanta pokutują nieraz tysiące jego robotników. Całkiem inaczej by te sprawy wyglądały, gdyby pracowano rozumnie, tj. gdyby cały naród obliczył, ile trzeba zrobić par butów, ubrań itd., ile zbudować kolei, mostów, ile potrzeba sukna, płótna, futer na wszystkich potrzeby. Wtedy nie byłoby tak jak dzisiaj, że tysiące biedaków chodzi boso, a szewc nie ma komu sprzedać butów i sam bankrutuje. Albo dziś wywożą zboże i bydło z kraju, a tysiące biedaków nie je chleba ani mięsa i ginie z głodu. Tak jak jest teraz, jest wprost nierozumnie i szkodę ludziom przynosi. Naród pracuje, a bogaci ludzie rozporządzają owocami tej pracy, aby się tylko więcej wzbogacić. Czyż nie rozumniej byłoby, żeby ci, co pracują, rozporządzali całym towarem, który pracą swoją stworzyli. Aby to zrozumieć, weźmy np. jedną rodzinę. Wszyscy pracowali cały rok, mają zboże, dochowali się kur, kaczek, świnek itd. Tymczasem ojciec to wszystko by sprzedał i kupił sobie złoty zegarek. Córki i synowie ginęliby z głodu, a ojciec by chodził przy złotym zegarku! Taka rodzina by się nie utrzymała nigdy. Skoro wszyscy pracowali, to powinni wszyscy najpierw o swoich najważniejszych potrzebach pamiętać, a dopiero potem kupić zegarek tani dla ojca lub dla wszystkich.

Tymczasem w narodzie naszym i w innych bogaci ludzie nie potrzebują dbać o to, czy wszyscy mają co jeść, gdzie mieszkać, porządnie się ubrać! Nie — oni tylko muszą myśleć o tym, aby swoje potrzeby, choćby najbardziej zbytkowne zaspokoili, a co tam miliony biedaków zrobią, to do nich nie należy. I dlatego to jedni mieszkają w olbrzymich pałacach, a drudzy po dziesięć osób tłoczą się w jednej izdebce, niejedna pani ma na sobie tyle brylantów, że wartość ich nakarmiłaby przez cały rok tysiąc rodzin robotniczych, które nie mają po prostu co w usta włożyć.

Gdyby ludzie pracy mogli rozporządzać środkami do pracy, wtedy nie byłoby mo- że brylantów i zbytków, ale nie byłoby głodnych, biednych i ciemnych. Przy pomocy maszyn parowych, wodnych i elektrycznych można by już dzisiaj tyle wytworzyć zboża, ubrań, domów itd., że dla wszystkich by starczyło pod dostatkiem i jeszcze by ogromne zapasy można porobić. Mieliby i urzędnicy, i nauczyciele, i księża, i lekarze, i inżynierowie, i wszyscy ludzie pracy wszystko to, co im do porządnego życia potrzeba; ludzie nie walczyliby jak dzikie zwierzęta o kawałek chleba, ale troszczyliby się o piękno, o cnotę i o wykształcenie swoje i swoich dzieci. Potęga pracy bowiem wzrosła dzisiaj ogromnie, uczeni obliczyli, że gdyby rozumnie urządzono świat w ten sposób, że cały naród by gospodarkę wspólnie obmyślaną prowadził przy wspólnej własności fabryk, warsztatów i gruntów, to by każdy potrzebował tylko kilka godzin na dobę pracować i miałby spokojną, zabezpieczoną starość. Tylko próżniakom byłoby wtedy źle na świecie!

Jedną jeszcze jest straszna wada dzisiejszego nieporządku społecznego, która jak ciężka choroba toczy ludność pracującą. Oto *brak pracy*, czyli przymusowe bezrobocie. W każdym rzemiośle są czasy, w których jest roboty za dużo, a potem znów miesiące całe, w których nie ma o co ręki zaczepić. Tysiące ludzi chodzą z kąta w kąt bez zajęcia; żebrać nie wolno, kraść jest rzeczą niemoralną, a jeść potrzeba. Ci to ludzie godzą się do jakiegokolwiek pracy za byle co; obniżają zarobek drugim, a przecież i sobie niewiele pomogą. Jest to po prostu szaleństwem, żeby tłumy ludzi trzymać w przymusowym bezrobociu, a przecież to szaleństwo widzimy codziennie przed naszymi oczyma. I nic na to nie pomoże, jak tylko rozumna społeczna gospodarka.

Co to jest socjalizm i kto to są socjaliści?

Teraz już możemy odpowiedzieć jaśniej na to pytanie. Socjalizm to *nauka, która powiada, że ustrój dzisiejszy jest niesprawiedliwy i oparty na wyzysku pracy przez kapitał*. Nauka ta okazuje dalej, że społeczeństwa ludzkie zmieniają się i dążą powoli do tego, aby uporządkować stosunki pracy jak najkorzystniej dla narodów. Najkorzystniejszym i najrozsądniejszym jest taki porządek, żeby cały naród posiadał fabryki, warsztaty, grunta i lasy i aby na nich rozumnie gospodarowano, tak aby ten, co pracuje, dostał cały owoc swej pracy i tylko na wspólne cele dobrobytu, zdrowia i oświaty oddawał pewną część swojej pracy. Socjalizm też dziś już powiada, że kapitaliści są niepotrzebni, że żyją oni bez pracy, a tylko z tego, że drudzy ich pieniędzmi, fabrykami, maszynami, gruntami się posługują.

Socjaliści zaś to są przeważnie ludzie ubodzy, robotnicy w mieście i na wsi, którzy należą do proletariatu i chcą bronić całej swej ubogiej klasy przed niewolą, uciskiem i wyzyskiem. Oni to zwolują robotników, uczą ich, łączą i prowadzą do walki o lepszą przyszłość. Głoszą oni, że praca jest podwaliną całego życia narodu i powinna rządzić tym narodem, a bogactwo i wyższe urodzenie nie powinny wynosić się i mieć większe prawa nad drugimi. Pośród socjalistów znajdują się też czasem i ludzie zamożni, ale ci wyrzekli się bogactwów i pracują odważnie z robotnikami i chłopami. Tych to bogacze najbardziej nienawidzą, bo są oni dla nich wyrzutem sumienia, ale za to robotnicy cenią tych swoich przyjaciół i sprzymierzeńców. Socjalizm powstał już w bardzo dawnych wiekach, ale dawniej opierał się tylko na jednostkach ludzkich, które na próżno wskazywały ludziom drogę do szczęścia. Było to wtedy marzeniem tylko. I tak jeden z angielskich ministrów Tomasz Morus opisał, jak by to ludzie na pewnej wyspie, którą on nazwał Utopią, mogli żyć pięknie i rozumnie, gdyby własność i praca była wspólna. Taki marzycielski socjalizm nie miał prawie żadnego znaczenia. Dopiero potem, już w XIX wieku, powstał socjalizm oparty na nauce, czyli *naukowy* i ten już nie marzył o tym, jak by to można ładnie urzą-

dzic jakąś daleką wyspę! Powiedział on, że wszędzie, gdzie miliony ludzi pracują, należy zaprowadzić porządek i sprawiedliwość, że wszędzie dzisiaj powinni ludzie zaprowadzać społeczną gospodarkę. Taki socjalizm jest też dzisiaj w całej Europie i w Ameryce, gdzie tylko jest proletariatus, tj. gdzie wolni ludzie najmują się u drugich do pracy za pieniądze.

Jak walczą socjaliści?

Socjaliści prowadzą walkę nie mieczem, ani cepem, tylko całkiem inną bronią. Przede wszystkim starają się oni robotnika w mieście i na wsi oświecić. Powiadają mu, że jest wolnym człowiekiem, że praca jego jest najważniejszą rzeczą w społeczeństwie i że ta praca nie powinna być wyzyskiwana. Pokazują mu dalej, kto z nim ma jednakie interesy, a kto go chce wyzyskać i oszukać. Opowiadają mu historię chłopów i robotników, o tym, jak dawniej ciężko było żyć ludziom pracy, jakim jest dalej ich stanowisko terazniejsze i co im pomoc może. *Robotnik powinien najpierw się uświadomić*, to znaczy przestać być ciemnym, zgnębnym niewolnikiem, a zrozumieć, że ma pewne obowiązki i prawa jako człowiek i obywatel kraju. To uświadomienie prowadzi się nie tylko słowem, ale i pismami, książkami, odezwaniami i zgromadzeniami.

Dalszą bronią socjalistów jest: *organizacja*. Robotnik widzi, że on sam jeden nic nie znaczy, może z nim niejeden robić, co mu się podoba. Jeżeli go skrzywdzą, to może tylko narzekać i skarżyć się, ale najczęściej bez skutku. Jeżeli się upomni o lepszy zarobek, zbędą go czym bądź, a czasem za drzwi wyrzucą. Ani on oparcia, ani pomocy znikąd nie ma w razie braku pracy, ani nie wie, co na szerokim świecie ze sobą począć, gdzie lepsze zarobki i dogodniejsze życie. Dopiero socjaliści pokazują mu drogę do siły i do znaczenia. Łączą oni robotników w *związki i stowarzyszenia*. Najpierw robotnicy jednego zawodu łączą się ze sobą: np. szewcy krawcy, stolarze itd. Potem łączą się robotnicy całego miasta w jedną całość, a w ślad za tym i całego kraju i narodu. Zorganizowany robotnik płaci małą wkładkę do swojego stowarzyszenia, a za to dostaje swoją gazetę, może wypożyczać książki, dostanie poradę prawną w sporze z kapitalistą, a w razie bezrobocia zapomogę. Jeżeli musi szukać roboty, stowarzyszenie mu dopomoże, a gdy znajdzie się w obcym mieście, wtedy idzie zaraz do swojego towarzystwa, pokazuje swoją kartę, że jest członkiem i dostaje zasiłek, pomoc, radę i przyjazne poparcie. Nadto robotnicy łączą się w związki we wszystkich narodach, tak, że polski drukarz lub kapelusznik może znaleźć swoje towarzystwo u Czechów, Niemców czy Francuzów.

Organizacja prowadzi do tego, aby złączyć jednostki w jedną całość i aby cała klasa robotnicza trzymała się jak jeden mąż, nie idąc na manowce dla czyjejkolwiek groźby lub fałszywych obietnic. Ta jedność nazywa się *solidarnością robotniczą*. Czy już dziś może robotnik mieć jakie korzyści z solidarności? Może, i to nawet bardzo znaczne. Weźmy kilka najprostszych przykładów. Fabrykant jakiś chce zniżyć zarobek robotnikom. Rachuje on na to, że przyjmą wszystko, co im każe. Jednej soboty oznajmia im, że odtąd zamiast 10 centów za godzinę, może im płacić tylko 9. Robotnicy zwołują w niedzielę zgromadzenie i pokazuje się, że wszyscy na to się nie zgadzają. Wybierają spośród siebie pięciu i ci idą do fabrykanta, aby mu powiedzieć, że musi on nadal płacić po 10 ct. za godzinę roboty, bo inaczej nikt do pracy nie stanie. Fabrykant gniewa się, krzyczy, że to „zuchwalstwo” i wypędza tych pięciu z roboty. Na drugi dzień fabryka stoi pusta, nikt do pracy nie przyszedł. Wtedy fabrykant woła do siebie kilku starych robotników, mających liczne rodziny i zaczyna ich namawiać, aby złamali solidarność i przyszli do roboty. Ale ci biedacy, choć w domu bieda i niejednemu może żona dokuczy i będzie robiła wyrzuty, odpowiadają fabrykantowi, że braci swoich nie zdradzą! Fabrykant grozi, gniewa się, prosi w końcu, wszystko na darmo... Wtedy postanawia ich głodem zmusić do posłuszeństwa. Zamyka fabrykę i czeka. A tymczasem robotnicy w całym kraju zbierają na swoich głodnych braci pieniądze i co tydzień posyłają im, aby z głodu nie poginęli. Strajk ciągnie się już ze dwa tygodnie. Fabrykant wysła listy do innych miast, ażeby innych sprowadzić robotników. Ale już gazety robotnicze dały znać, żeby nikt do tej fabryki nie jechał, bo tam bracia robotnicy walczą o swój los. Fabrykant czeka i czeka, gniewa się coraz bardziej, ale po miesiącu idzie do głowy po rozum i woła tych pięciu wybranych, aby się godzi. Obiecuje, że da tak jak przedtem, po 10 ct. za godzinę, ale tych pięciu

do fabryki nie przyjmie, bo mu zepsuli robotników! Ale robotnicy nie opuszczają swoich i po dwóch dniach fabrykant godzi się na wszystko! Robotnicy stają znowu do roboty dumni ze swego zwycięstwa i z tego, że pośród nich nie znalazł się żaden zdrajca, żaden odstępcą, co by złamał solidarność. Niejeden z żoną i dziećmi głodem przez miesiąc przymierał, zastawił co miał w domu, ale wytrwał i razem z innymi zwyciężył!

Weźmy drugi przykład. Dozorca w fabryce, albo ekonom na folwarku bije robotników, szachruje przy wypłacie i zaczepia żony robotnicze. Robotnicy znoszą to z początku cierpliwie, aż pewnego razu powiadają sobie, że dłużej tak być nie może. Idą do kapitalisty i oświadczają mu, że tak długo do roboty nie przyjdą, dopóki dozorca nie zostanie usunięty. Bardzo często taka solidarność skutkuje.

Socjaliści nie tylko zajmują się zdrowym robotnikiem. I owszem, pragną oni także uchronić od nędzy robotnika *chorego*. Chcą, aby wszędzie był obowiązek należenia do Kas Chorych, gdzie za parę centów tygodniowej opłaty, robotnik dostanie dobrego lekarza, lekarstwo i zapomogę pieniężną przez cały czas choroby. Nadto dążą do tego, aby każdy robotnik, który został *kaleką* brał utrzymanie aż do śmierci, a choćby nawet nie okaleczał, tylko się *postarzał*, aby w starości już bez pracy pobierał pensję i nie lękał się nędzy po całym życiu uczciwej pracy. *Dziecko* powinno też być otoczone opieką całego narodu, mieć za darmo szkołę, i w tej szkole głodu nie cierpieć, aby móc się uczyć z korzyścią dla siebie; *kobieta* powinna daleko *lżej* pracować niż mężczyzna i być oszczędzana, wtedy, kiedy wydaje na świat dzieci.

To wszystko socjaliści opowiadają robotnikom, uczą ich należeć do organizacji, wypełniać wobec drugich swoje obowiązki i razem z drugimi zdobywać pewne prawa.

Czy do tego potrzeba noża, miecza lub armaty? Czy gdyby kto zdobył gwałtem jakieś prawo, a potem z głupoty je utracił, czy to byłoby rozumne i uczciwe? Oto teraz rozumiemy, że broń socjalistów jest silniejsza niż armaty i karabiny, bo uczy ona miliony robotników solidarności i prowadzi ich w końcu do zwycięstwa. Są wprawdzie głupcy, którzy śmieją się z tego i ufają w to, że wojsko zawsze robotników utrzyma w nędzy i zależności. Ale przecie wojsko musi coś jeść, a to wyżywienie wojska jest także dziełem robotników, a dalej przecie przeciwko całemu pracującemu ludowi nikt wojska nie wyprowadzi, bo i w tym wojsku są ludzie, a nie maszyny bez serca i ducha! Wzniosłej i rozumnej myśli kulą nie zastrzelisz, ani bagnetem nie przebijesz...

Co zarzucają socjalistom?

Ludzie ciemni, albo wprost wrogowie wolności zarzucają nieraz socjalistom niestworzone rzeczy, aby tylko ludzi ubogich od nich odstraszyć i wstrzymać rozwój ruchu robotniczego. Nie sposób odpowiadać tu na wszystkie zarzuty, które robią socjalistom: wystarczy, jak tylko kilka najważniejszych tutaj przytoczymy i poznamy trochę bliżej.

Pierwszy zarzut to ten, że socjaliści chcą wszystkie majątki na równe części *podzielić*. I mówią, że skoro dzisiaj mamy równą część próżniakowi i pracowitemu, albo pijakowi i trzeźwemu, to już za parę lat pijak przepije swoją część, a próżniak sprzeda i znowu będzie jeden bogaty, a drugi biedny i będzie znowu nierówność między ludźmi!

Na ten zarzut tylko trzeba się uśmiechnąć. Socjaliści nie chcą wcale dzielić majątku, tylko przeciwnie: *złączyć* fabryki, maszyny, grunta i lasy, ażeby ludzie pracy na nich wspólnie pracowali nie na pożytek darmożjadów, a na korzyść swoją i całego narodu. Gdyby każdy człowiek dostał po pół morga, to by ustała wszelka gospodarka. A potem jakże to podzielić lokomotywę, albo choćby maszynę do szycia?! Socjaliści tak głupimi nie są i takich nierozumnych rzeczy nie żądają.

Potem pytają się socjalistów: A kto będzie buty czyścił, albo kto nawóz wywoził, albo kto na mrozie i deszczu zechce pracować, jak nie będzie panów i biedaków? Na to także łatwo odpowiedzieć. Najpierw żadnej pracy nikt się nie będzie wstydził, a potem, im trudniejsza praca, tym lepiej ją będą opłacać. Już dzisiaj nieraz ten, co w hotelu buty pana czyści, ma więcej wiedzy i ma się lepiej, niż ten pan, do którego buty należą. I dziś już za ciężkie bardzo roboty płacą coraz lepiej i przy takich robotach ludzie krócej dziś pracują. Więc w ten sposób każda praca zrówna się z drugą.

Dalej krzyczą na socjalistów, że chcą mieć po pięć żon i że rodzinę rujnują. To już jest potwarz. To raczej dzisiaj familia jest zrujnowana. Ojciec w robocie od rana do nocy przez cały tydzień, matka także często poza domem musi zarabiać, a dzieci rosą jak dziki. Nauka, nazywająca się statystyką, obliczyła, że dzieci ubogich rodziców przed 5-tym rokiem życia umierają w daleko większej liczbie, niż dzieci bogatych. Co chwila czytamy w gazetach, że wieśniaczka poszła do roboty — a tymczasem dzieci spaliły się razem z chałupą. Wskutek braku domowego wychowania dzieci wpadają na różne bezdroża, uczą się kraść, pić wódkę, kłamać i oszukiwać. Na tej drodze dostają się też w młodym wieku do kryminału, gdzie dopiero stają się zbrodniarzami. Obliczono, że na stu ludzi siedzących w Galicji w więzieniu, tylko sześciu umiało czytać i pisać. Czy to wszystko świadczy o tym, że dzisiaj rodzina jest rozumnie urządzona? Czy znękany biedą robotnik — chmurny i opryskliwy dla żony i dzieci — może być dobrym ojcem? Czy robotnica mająca do wyżywienia kilkoro dzieci, mieszkająca w jednej brudnej izdebce, zapracowana od świtu do nocy, ma czas i zdolności do wychowania swych dzieci? Tak jest u ludzi biednych. A u ludzi bogatszych ileż to razy się zdarzy, że mężczyzna, który już przeżył najlepsze siły życia — żeni się dla majątku z kobietą, której prawie że nie zna i nie kocha. I u bogatych ludzi nie jest dziś rodzina rozumną i szlachetną, a będzie nią dopiero wtedy, kiedy zniknie ta straszna troska o byt, która dziś przygniata miliony ludzi biednych, kiedy mężczyzna i kobieta będą się pobierali tylko z miłości i będą mieli dość wolnego czasu, aby go poświęcić wychowaniu dzieci.

Zarzucają dalej socjalistom, że *szerzą pośród ubogich spokojnych ludzi niezadowolenie i podburzają ich przeciw panom i kapitalistom*. Ale na to musimy odpowiedzieć, że taki zarzut robią każdemu człowiekowi, który chce coś nowego i lepszego na świecie stworzyć. Przecież i Jezus Chrystus, który przyniósł nową naukę, był ścigany przez rząd i faryzeuszów jako nowator i buntownik. Kapłani zarzucali mu, że zbiera koło siebie ludzi biednych, rybaków, pogan i że naucza przeciwko zakonowi.

Jeżeli los dla ludzi biednych jest niesprawiedliwy, to w takim razie obowiązkiem uczciwego człowieka powiedzieć to i choćby nawet robotnik w swojej ciemnocie sądził, że ta niesprawiedliwość nie da się zmienić, to jednak trzeba mu oczy otworzyć i pokazać, czy jest jaka droga ratunku — jeżeli nie dla niego, to dla jego dzieci. Gdyby ludzie zawsze byli zadowoleni, nie odkryto by nowych światów, nie porobiono wynalazków, nie polepszono by świata. Chodzi więc tylko o to, czy *niezadowolenie robotnika z jego losu jest słuszne czy nie, a kto mu prawdę mówi, ten go nie buntuje, ale oświeca!*

Najnieuczciwszym zarzutem jednak jest to, co mówią na socjalistów, że *chcą ludowi odebrać religię*. Popatrzmy, czy ten zarzut jest słuszny. Religia jest to związek duszy ludzkiej z Bogiem: Bóg przedstawia się ludziom jako istota sprawiedliwa, kochająca dobro. Związek duszy z Bogiem jest podniesieniem tej duszy z nędzy codziennego życia, z występku i grzechu, jest zasianiem w niej cnoty i wolności. Jeżeli więc socjaliści mówią, że *religia jest rzeczą sumienia każdego człowieka, że do religii nie ma się mieszać ani policjant, ani żaden przymus zewnętrzny, to czyż to nazwać można wydzieraniem religii?! Prawda, że socjaliści występują przeciwko księżom, jeżeli ci biorą wielkie pieniądze za śluby i pogrzeby, albo jeżeli z ambony straszą ludzi piekłem i diabłami, ale na samą religię nie potrzebują socjaliści napadać, bo oni są stronnictwem, które na ziemi chce porządek zrobić, a niebo pozostawiają sądowni boskiemu. Kto rzeczy święte miesza do rzeczy ziemskich, albo kto tych świętych rzeczy używa na to, aby ciężar krzywd na barkach biednych pomnożyć, ten niszczy religię i wobec Boga bluźni, choćby był nie wiedzieć jakim świętoszkiem.*

Zresztą zapytajmy, jakie sposoby podają księża na ludzką biedę?

Przede wszystkim modlitwę i jałmużnę. Modlitwa jednak jest usunięciem się z tego świata i zwróceniem się do Boga, podczas gdy sam Bóg kazał człowiekowi ratować się pracą i nie spuszczać się na miłosierdzie boskie. A właśnie socjaliści chcą tę pracę uporządkować i do znaczenia na świecie przyprowadzić. A kogoż to jałmużna uszczęśliwiła? Dawniej, kiedy jałmużna była piękną cnotą, miała ona znaczenie nie dla tego, kto brał jałmużnę, ale kto dawał, dzisiaj robotnik nie pragnie jałmużny i socjalista mówi mu, że jego praca powinna jego i jego rodzinę wygodnie utrzymać i na starość jeszcze zaopatrzyć.

Zresztą jałmużna biednemu człowiekowi wprost często szkodzi, bo robotnik, który żyje z jałmużny, według ustawy traci prawo głosowania i przestaje być równym i wolnym

obywatelem. Jałmużna zatem upokarza go bardzo boleśnie. Nie chodzi o to, aby wesprzeć kilku biedaków, ale o to, aby usunąć żebractwo i nędzę za pomocą pracy!

Przeszliśmy pokrótce kilka najważniejszych zarzutów, które czynią socjalistom. Jest jeszcze wiele innych, zrodzonych ze złośliwości i głupoty, ale roztropny robotnik sam się pozna na tych farbowanych lisach i dlatego dłużej o nich rozwodzić się nie będziemy.

Jeden tylko na koniec zarzut rozbierzemy jako bardzo ważny.

Czy chłopci mogą być socjalistami?

Przynajmniej jedna trzecia część chłopów nie ma roli wcale; są to tak zwani zagrodnicy, chałupnicy, parobcy itd. Ci są *proletariuszami*, to znaczy utrzymują się całe życie z pracy swoich rąk i nie tylko mogą, ale powinni zostać socjalistami — starać się o lepszą zapłatę, o krótszy dzień pracy, o zabezpieczenie siebie na wypadek choroby, kalectwa i starości. Powinni oni razem z robotnikami miejskimi połączyć się i dobijać się lepszych praw. A cóż ma robić chłop, który siedzi z rodziną na jednym, dwu albo trzech morgach gruntu? Czy ten już jest panem — przecież i on przez pół roku pracuje na pańskim, często z żoną i z dziećmi, a z roli samej by nie wyżył. Dlatego i rolnik na małym kawałku gruntu siedzący, powinien być socjalistą. Ale i każdy, nawet większy kawałek gruntu posiadający — jeżeliby mu kraj zapłacił dobrze za ten grunt, a przez to przyczynił się do wspólnej rozumnej gospodarki, może zgodzić się z socjalistami i razem z nimi pracować dla lepszej wspólnej przyszłości. *Socjalizm bowiem nie jest tylko dążeniem do napelnienia żołądka, ale chce on także wyrównać straszłą niesprawiedliwość, jaka się ludziom biednym działa przez całe stulecia.*

Ale powiadają ludzie, że chłop nie potrafi razem z drugimi wspólnie pracować. A w takim razie cóż znaczą kółka rolnicze, co spółki mleczarskie, co znaczy gminny samorząd? Przecież to także wspólna chłopska praca! A czyż ciężary, które spoczywają na chłopach nie są dla wszystkich równie ciężkie? Czyż 3-letnia służba wojskowa nie zabiera wszystkich synów chłopskich do koszar? Czyż chłopskie grosze podatkowe nie idą na wspólne utrzymanie gminy, powiatu, kraju i państwa? Czyż chłop pracą swoją nie wytwarza środków żywności dla wsi i miasta? A jeżeli te ciężary są wspólne, dlaczego chłop wspólnymi siłami nie może dążyć do swoich praw i korzyści, dlaczego ma zamykać się w obrębie swej zagrody i z nieufnością patrzeć na człowieka obcego? Państwo dzisiejsze, a jeszcze bardziej kapitalizm dzisiejszy zabija wieśniaka: rzuca go w szpony lichwy, obniża ceny produktów rolnych i wciąga chłopą w tę szaloną walkę o byt, o której on dawniej w cichej wiosce nie wiedział. Toteż dzisiaj setki tysięcy polskich chłopów wędrują po świecie całym za chlebem i za zarobkiem. A ich synowie i córki idą na służbę do miast i do fabryk. Czyż nie jest lepiej, że zawczasu porozumieją się z robotnikami w miastach, że nauczą się od nich wielu rozumnych rzeczy i przestaną być niezręcznymi, zahukanymi chłopami. A cóż pocnie chłop, który ma 6 morgów gruntu, i czworo dzieci? Jeżeli dzieci te nie mają zejść na nędzarzy, to najwyżej dwoje może zostać na gruncie, a dwoje drugich za zarobkiem pójść w świat.

Dzisiaj już nie można dzielić narodu na wieś i miasto, bo te same rodziny zaludniają ulice miast i wsi.

Co to jest partia socjalno-demokratyczna?

Cały ogół związanych ze sobą robotników, chłopów, nauczycieli, kupców, czy urzędników, którzy razem nazywają siebie socjalistami i wyznają wspólne zasady socjalistyczne, ci wszyscy ludzie razem nazywają się *partią socjalno-demokratyczną*. Partia ma swoje pisma, dzienniki, wydaje książki, kieruje pracą agitacyjną, zwołuje zgromadzenia, zawiązuje stowarzyszenia, urządza demonstracje, kształci swoich ludzi, pomaga w strajkach, jeżeli te są rozumne, wysyła na wszystkie strony agitatorów, stara się wybrać swoich posłów do gminy, do sejmiku, do parlamentu.

Jednym słowem, ona w sobie skupia tysiące prac jednostek, które inaczej nie mogłyby niczego dopiąć. Ona wybiera wszędzie komitety, a co roku, albo co dwa lata zwołuje ogólne zjazdy i kongresy dla porozumienia się i wskazania wspólnej drogi na przyszłość.

Cała jej siła polega na moralnej łączności jednostek, należących do klasy pracującej i mających wspólne interesy, wspólne ideały, i wspólną niejako historię.

W każdym narodzie walczy partia proletariatu o wyzwolenie pracy ludzkiej z więzów wyzysku i niewoli, wszędzie chce ona cały naród uczynić władcą i właścicielem kapitału, czyli środków do pracy, a pracę tę uczynić podstawą praw społecznego życia. I dlatego socjalizm wyzwala cały naród, a równocześnie łączy go w bratnią rodzinę z innymi narodami. Socjalista rozumie, że tak jak kapitał jest międzynarodowym, tak samo i praca musi się we wszystkich narodach złączyć — do jednego rozumnego celu: do wywalczenia tego szczęścia dla całego narodu, do jakiego już dzisiaj miałby ten naród prawo. Podnosząc miliony ludzi z upokorzenia, dając im godne ludzi życie, znosi i zagładza socjalizm wszędzie klasę bogaczy i nędzarzy; daje ludziom to braterstwo i równość — o jakiej wieki marzono z utęsknieniem. Zgładziwszy w każdym narodzie dzikie instynkty rabunku, zdzierstwa i wyzyskiwania, wznosząc czerwony, męczeński dzisiaj sztandar nad głowami cierpiącego wszędzie ludu, łączy już dzisiaj lud ten wszystkich narodów w jedną armię, dążącą do szczęścia i woła do wszystkich:

„Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”

Powyższy ukazał się pierwotnie w formie broszury opublikowanej w roku 1900 jako pierwszy zeszyt „Latarni” — comiesięcznego wydawnictwa poświęconego popularyzowaniu różnych zagadnień związanych z ideologią i praktyką ruchu socjalistycznego. Wznowienie broszury ukazało się w roku 1907.

GDZIE PRZEWODNIA DROGA (Z REFLEKSJI AMSTERDAMSKICH)

W szóstym dniu obrad Międzynarodowego Zjazdu organizacji socjalistycznych całego świata, zebranych w Amsterdamie, zaczęto dyskusję o taktyce, jakiej ma się trzymać partia proletariatu. Spośród wszystkich przedmiotów obrad taktyka stała się najbardziej interesującym i najwięcej pochłonęła czasu w komisji. Trzy dni z rządu od rana do nocy kipiały debaty komisji, ścierały się opinie sprzeczne najzdolniejszych i najczynniejszych ludzi pracujących dziś w pierwszym szeregu robotniczych zastępów, w przeróżnych organizacjach tej olbrzymiej różnorodnej rodziny ludu pracującego. Dość wymienić nazwiska Bebla, Jauresa, Hyndmana, Adlera, Ferriego, Plechanowa, ażeby zrozumieć wagę i znaczenie, jakie do rozwiązania zadania przywiązywano.

A jednak niepodobna zaprzeczyć, że z wielu stron odzywały się także głosy wprost przeciwnie, bardzo sceptyczne, które z góry wykluczały możliwość określenia taktyki dla całego niemal ucywilizowanego świata na międzynarodowym kongresie... I sceptycy mieli w znacznej mierze słuszość.

Poszczególne narodowe środowiska, w których dążenia emancypacyjne proletariatu wywalczają sobie siłę i potęgę, to podłoża bardzo różne i bardzo swoiste. Najbardziej ogólne cechy walk społecznych i politycznych, wspólne na pozór, grają w rzeczywistości wszystkimi barwami tęczy. Szablon tu nic nie pomoże i staje się po pewnym czasie śmiesznym zabytkiem, pretensją nieuzasadnioną, odrzucaną na bok, jako szmata lub jako relikwia. W rezultacie na jedno prawie wychodzi tam, gdzie sprawę trzeba traktować jako pytanie, co *dzisiaj* należy robić, aby nie zbłądzić.

Ileż to szablonów wyrzucił na śmietnik ten młody olbrzym, ruch robotniczy, dążący do uspołecznienia środków produkcji, ilu złudzeń wyrzec się musiał, szukając środków dość potężnych, aby wyważyć z posad ustrój kapitalistyczny! Ile z nich dzisiaj jeszcze unosi się w powietrzu, w kurzawie nieustającej wojny między pracą a kapitałem!

Jak głębokie zaszyły zmiany np. w poglądach na *państwo*! Od pojęcia „stróża nocnego”, który ma jedynie strzec od złodziei i morderców, aż do „państwowego socjalizmu”, czyli zagarnięcia administracji ekonomicznej narodu przez dzisiejsze państwo, musiano przebyć drogę bardzo odległą. A przecież taktyka takiej partii jak socjalistyczne organizacje zależy zasadniczo od panującego w danej chwili poglądu na istotę i zadania *państwa*.

Od utopijnych eksperymentów, mających na celu utworzenie „wzorowych” jednostek komunistycznej gospodarki w falansterach, gminach i spółkach, a uprawianych przez najdzielniejszych w swoim czasie ludzi — do barykad i rozcinania węzłów gordyjskich zbrojną „czarną” dłonią walczącego robotnika — do „generalnych strajków”, mających właściwie uczynić barykady zbytecznymi, iluż to środków nie próbowano!...

Co kilka lat występują modne hasła, co pewien czas jakieś lotne słowo publicysty lub polityka staje się szyboletem, ku któremu podnoszą oczy wszyscy, swoi i wrogowie. W wielkiej kuźnicy myślowej wyskakują iskry na wszystkie strony, ale i prędko gasną.

Od „rewolucji”, którą straszono filistra, przeszło wielu do bardziej łagodnych terminów jak „ewolucja”, pod którą nie wiedzieć dlaczego rozumie mnóstwo ludzi „spokojny rozwój”. Rzucano hasło „kataklizmów”, przesilen, przełomów nagłych i jaskrawych, aż wynaleziono określenia najmiłsze dla lęklivego ucha, jak np. „wrastanie” kapitalizmu w socjalizm, „wydrażanie” kapitalizmu przez kolektywizm itp. grzeczności.

A parlamentaryzm? I z tym było nie inaczej. Złuda wszechmocy rządów parlamentarnych zamieniała się w sceptycyzm, nieraz rozpaczliwy co do wagi uchwał parlamentów.

Zupełnie podobne koleje przechodziły hasła dotyczące związków zawodowych, kooperatyw wytwórczych i stowarzyszeń spożywczych.

I do dziś dnia proces ten trwa i trwać będzie dalej; partie socjalistyczne szukają *wszystkich* dróg nieznużenie; z dziwną sprężystością myśli tworzy proletariatu coraz to nowe kombinacje taktyczne i odrzuca dawne, skoro tylko okażą się nieodpowiednimi.

Podobnie jak z hasłami taktycznymi, postępowano w tworzeniu pojęć o pewnych *narodach*, przeznaczonych jakoby od losu do tej lub owej taktyki, a nie nadających się rzekomo do odmiennych rodzajów walki klasowej. Barykady miały być dla Francji, konspiracje dla Włochów, a kooperatywy dla Belgii środkiem zdobywania potęgi. Anglia ze swymi niepolitycznymi trade-unionami, Niemcy z milionami politycznie dyscyplinowa-

nych wyborców — stanowiły dla wielu dwa jakieś odrębne drogowskazy. O jednolitej taktyce trudno tu było mówić.

Przy tym jeszcze jeden, najważniejszy czynnik należy uwzględnić. *O taktyce decyduje często wróg*. A tych wrogów ileż odcieni. Jakież finesy taktycznej trzymać się trzeba wobec dzikich barbarzyńców, zorganizowanych w zbójckie watahy opryczników carskich?! Czy tu można choć na chwilę używać tej broni, którą daje np. w Szwajcarii forma ultrademokratyczna państwowych rządów? Tam, gdzie nie wolno właściwie nikomu drgnąć, nie można debatować nad tym, czy parlamentaryzm jest szkodliwą, czy pożyteczną bronią w rękę socjalistów...

Jakże innym wrogiem jest mądra, bogata, niefanatyczna burżuazja angielska w porównaniu do brutalnych i krzykliwych „naganiaczy” niemieckich w rodzaju Stumów i Krupów! Pomyślmy tylko na chwilę o różnicy, jaka zachodzi między amerykańskimi tygrysami trustowymi a niedołącznymi „pracodawcami” w austriackich prowincjach. Jak inaczej musi reagować partia robotnicza w swojej codziennej walce na te wszystkie zapory i przeszkody; jak starannie dobierać środki taktyczne, aby nie zawiodły i nie opóźniły dopięcia choćby częściowych celów politycznych. A przecież reprezentanci 22 narodowości i państw, zebrani w pięknej sali koncertowej w Amsterdamie, próbowali rozwiązać zagadnienie, na pozór nierozwiązalne, i postanowili określić taktykę *wspólną* dla całego prawie świata robotniczego.

Przyczyny tych usiłowań łatwo dadzą się odszukać w historii ruchu socjalistycznego lat ostatnich. We Francji zamać był umysł eksperyment zrobiony z socjalistycznym ministrem Millerandem, znoszącym doskonale sąsiedztwo „oprawcy komuny”, próżnego starca Gallifeta. W Niemczech zdolny publicysta partyjny, poseł Bernstein, w tym samym czasie rozpoczął był kampanię na rzecz tzw. rewizjonizmu, nieuchwytnego co prawda w polityce aktualnej, ale rosnącego coraz bujniej na polu publicystyki i literatury partyjnej. W ostatnich dwóch latach podjął był znów we Włoszech akcję prawie ugodową poseł mediolański Turati, doprowadził do głębokich zaburzeń równowagi w partii. Ostatni kwietniowy kongres wioski w Bolonii z trudem największym uratował jedność partii. Podobne zjawiska dawały się spostrzegać także i w innych partiach, zwłaszcza w krajach wyżej kulturalnie stojących i tam, gdzie konstytucjonalizm głębsze zapuścił korzenie.

Wszędzie wytworzyła się w partii „prawica” i „lewica”, wszędzie czuć było ścieranie się dwóch prądów, z których jeden parł naprzód w imię dalekiej — a dla wielu tak bliskiej — *przyszłości*, drugi zaś usiłował realizować co rychlej *teraźniejszość* w warunkach przyprawionych odpowiednio, więc mocno różowo...

„O tobie przypowieść” — mógł sobie w duszy szepnąć każdy niemal uczestnik komisji, gdy zaczęły się oba główne prądy ścierać, gdy każdy reprezentant danego kraju przedstawiał, jak szkodliwą jest taktyka właśnie *przeciwnego* prądu...

Postawili sprawę formalnie na porządku dziennym „guesdyści” (zwani od niedawna „Partią Socjalistyczną Francji”), żyjący w dość zaciętym sporze taktycznym z „jauresistami” („Socjalistyczną Partią Francuską”).

Leżał im na sercu nie tylko Millerand, ale i cały „blok” parlamentu paryskiego, utworzony właściwie za czasów Waldeck-Rousseau, a odgrywający decydującą rolę pod kierownictwem antyklerykalnego „papy” Combesa. Wraz z „blokiem” rządzą — bezmiennie wprawdzie — Francją i socjaliści skupieni koło potężnej postaci Jana Jauresa, a rządząc, brali na siebie mnóstwo odpowiedzialności, nieraz prawie kompromitujących taktykę klasy robotniczej.

„Guesdyści” byli i są za słabi w kraju, żeby mogli dać sobie radę z nową taktyką swoich towarzyszy, więc postanowili odwołać się do opinii wszystkich partii, zebranych w Amsterdamie. Nie postawili też własnej rezolucji jako podkładu dyskusji, ale wzięli dosłowny tekst rezolucji drezdeńskiej, uchwalonej w roku zeszłym na zjeździe socjalnej demokracji niemieckiej przeciwko „rewizjonistom”.

Wskazówki jej są następujące: Partia zrzuca z siebie wszelką odpowiedzialność za system kapitalistyczny i nie pochwała *żadnego* środka, mogącego utrzymać przy władzy partię rządzącą; partia nie przyjmuje udziału w rządzie burżuazyjnego społeczeństwa; kongres *potępia* każdą próbę zamaskowania wzrastających ciągle sprzeczności klasowych w celu ułatwienia ugody z partiami burżuazyjnymi.

Partia ma dalej propagować *cel ostateczny* socjalizmu, bronić interesów klasy robotniczej, żądać rozszerzenia swobód politycznych i równości prawa dla wszystkich, zwalczać politykę militarną, kolonialną i imperialistyczną, wreszcie starać się energicznie o wydoskonalenie ustawodawstwa społecznego, aby umożliwić klasie robotniczej wypełnienie jej misji politycznej i cywilizacyjnej.

Oto streszczenie rezolucji, rzucającej w początku swym gromy na „rewizjonizm”, co zresztą w Dreźnie zwracało ostrze przeciw grupie Bernsteina, ale w Amsterdamie rozplywało się w powietrzu.

Nie myślimy w tym miejscu dawać sprawozdania z obrad komisji lub kongresu, ale dla charakterystyki samej sprawy warto zaznaczyć, że w miejsce Francuzów jako obrońców rezolucji wstąpili Niemcy, Włosi i Rosjanie, popierani energicznie przez Bułgara, Hiszpana, Japończyka, Węgry, Czecha i pannę Różę Luksemburg, która odgrywała rolę „połowy polskiej delegacji”.

Szwajcarzy postawili wniosek przejścia do porządku dziennego z powodu, że kongres międzynarodowy nie może uchylać taktyki dla wszystkich partii. Odrzucono.

Roli pośredników podjęli się dr Adler z Wiednia i poseł Vandervelde z Brukseli, którzy wedle słów pierwszego chcieli wyrwać rezolucji wszystkie „jadowite zęby”, aby nikogo nie „potępić”, a dla wszystkich dać ogólną wskazówkę taktyczną. W tym celu wykreślili wszystkie słowa potępiające, a zostawili jedynie najważniejsze wskazówki pozytywne.

Antagonizmy rozwijały się na tle różnic *czysto praktycznych*, co należy podkreślić, aby umniejszyć dziecinną radość tych burżuazyjnych pism i polityków, którzy po każdym kongresie mówią o rozbiciu jedności socjalistycznej i cieszą się, że świat kapitalistyczny nie zostanie zjedzony w sosie „na dziko”, lecz zginie w narkozie „bez bólu”...

Ze wszystkich stanowisk zasługują na uwagę dwa: Bebla i Jauresa. Z jednej strony osiwały w walce klasowej wódz Niemców, wsparty o trzy miliony głosów wyborczych, o potężną, wzorową dla całego świata organizację polityczną, z drugiej największy z żyjących mówców świata, Francuz, podtrzymujący „blok” parlamentarny, który dokonał przed oczyma naszymi oczyszczenia Francji z pasożytów mniszych i przygotowuje urzeczywistnienie jednego z punktów programu socjalistycznego: rozdziału kościoła od państwa.

Starcie się tych dwóch ludzi było czymś więcej niż sporem dwóch przeciwników taktycznych; było w nim naprawdę mierzenie się *dwóch prądów*, z których jeden patrzy w przyszłość, nie mogąc realizować teraźniejszości, drugi zaś skwapliwie ją realizuje, nie zawsze pomny dalekich celów...

Chodziło o to, czy możliwym jest „współdziałanie klas” („*collaboration des classes*”) — jak mówił Jaures — w pewnych dzisiejszych warunkach?

Wszak republika francuska to nie pruska monarchia Hohenzollernów z jej plugawstwem junkierskim i biurokratycznym; wszak wszystkie ciała prawodawcze od gminy aż do senatu oparte wyłącznie na głosowaniu powszechnym, wszak jej prezydent to wybraniec ludu, chociaż nie bezpośrednio przezeń wybierany!

A tradycja wiekowa rewolucji wytworzyła we Francji inną energię wśród robotników i drobnomieszczan niż 37 państweczek niemieckich z „serenissimami” na czele i z serwilizmem „poddanych”.

Czuł to Bebel i dlatego podjął się dość nieszczęsnego dowodu, że monarchia wobec klasy robotniczej stara się zachowywać pewne względy, jako rozjemczyni stojąca ponad klasami, a burżuazja wykonuje w republikach najsurowiej i najbezwzględniej swoje panowanie klasowe. Z kilkunastu wystąpień brutalnych siły zbrojnej podczas strajków we Francji, z prowokacji policji paryskiej, będącej pod silnymi wpływami nacjonalistów, z zastarzanych wreszcie form podatkowych Francji starał się Bebel ukuć broń przeciwko pogładowi, jakoby w republice możliwym było owo „współdziałanie klas”. Wyłączono ze strony Niemców tylko jeden wypadek, tj. *obronę narodową* (Kautsky).

Jaures wskazał w odpowiedzi na fakty, których się nie uwzględnia zazwyczaj poza Francją. Oto w parlamencie francuskim istnieje grupa, licząca do 120 posłów radykalnych, którzy nie są socjalistami, a jednak żądają ośmiogodzinnego dnia pracy, progresywnego podatku dochodowego, ochrony robotniczej, ubezpieczenia robotników na starość, na równi ze swobodami politycznymi, z rozdziałem kościoła od państwa itd. Sojusz parlamentarny z taką grupą, rekrutującą się z robotników, drobnych mieszczan, inteligencji,

chłopów nie może być stawiany na równi z sojuszem z „centrum” niemieckim lub z jakąkolwiek partią parlamentu niemieckiego.

Jako rezultaty swojej polityki wskazał Jaurès uratowanie republiki przed zamachami klerykalnych nacjonalistów, propagandę powszechnego pokoju, wypędzenie mnichów i zdobycze częściowe w dziale ustawodawstwa społecznego, jak 10-godzinny dzień pracy w pewnych gałęziach przemysłu, uchwała Izby Posłów o ośmiogodzinnym dniu pracy w górnictwie (czekająca jeszcze zatwierdzenia senatu!) i projekt pensji robotniczych, mający państwo kosztować setki milionów. Republika potrzebuje robotników, a robotnicy potrzebują republiki, stąd konieczność sojuszu tam, gdzie bytowi Rzeczypospolitej grozi niebezpieczeństwo.

Natomiast Niemcom zarzucił Jaurès niemożność prowadzenia wobec militarnej monarchii polityki praktycznej w obronie proletariatu.

Trzy miliony głosów socjalistycznych w republice inny zupełnie wywarłyby wpływ niż w monarchii niemieckiej.

W odpowiedzi na ten argument odpowiedział Bebel rozważnie i spokojnie, że wyborców jest 11 milionów; skoro socjaliści zdobędą np. siedem milionów głosów w Niemczech, „wtedy zobaczą, co się da zrobić”... Zazdrości francuskim towarzyszom republikańskiej formy rządu, ale dla osiągnięcia burżuazyjnej republiki nie mogą sobie Niemcy socjaliści dać głów porozbijać. Uznaje i pochwała wypędzenie mniszych zakonów jako dzieło kultury.

Ciekawą i znamieną rzeczą było głosowanie nad rezolucją drezdeńską, przeciwko której stała inna, złagodzona rezolucją Adlera i Vandervelde’a.

Za wersją drugą, więc nie potępiającą taktyki „nieniemieckiej” głosowały: Anglia, Austria, Belgia, Holandia, Dania, Szwecja i Norwegia, część Francji, Szwajcaria i część Polski. Po przeciwnej stronie stały Niemcy, Włochy, Hiszpania, Serbia, Bułgaria, Rosja, Japonia, Czechy, Węgry. Ponieważ okazała się *równość* głosów, rezolucją ta upaść musiała.

Z samego zestawienia ogólnikowego tych krajów wynika, że wszędzie tam, gdzie tylko partia przejść mogła i przeszła do „praktycznej” polityki, chciano znaleźć inny taktyczny wyraz niż rezolucją drezdeńską, której ogólnikowe określenia niewiele dawały praktycznych wskazań, a potępienie taktyki „rewizjonistów” było dość bezpłodnym i obrażającym inne kierunki.

Szczęśliwymi zwolennikami „czystej” taktyki rewolucyjnej okazali się Niemcy, Rosjanie lub Hiszpanie, tj. walczący w państwach, gdzie nie ma mowy o żadnej praktycznej odpowiedzialności za burżuazyjne społeczeństwo i gdzie o udziale w rządzie żaden socjalista marzyć nie może. W jedynych Niemczech rzecz się ma trochę inaczej i o tym jeszcze parę słów pomówimy.

Najbardziej grzęznącymi w „rewizjonizmie” praktycznym (nad czym niektórzy ortodoksi gotowi ręce załamywać) okazują się Szwajcarzy. Ci mają nie tylko posłów i radców, ale także — o wstydzie! — wielu ministrów członków partii. Najbardziej upośledzoną byłaby wedle tego szablonu Australia, gdzie najsilniejszą w parlamencie jest partia robotnicza, wydająca ze swego łona prezydenta ministrów i większość gabinetu...

Moim zdaniem „radykalizm” taktyczny Rosjan, Węgrów, Hiszpanów lub Bułgarów jest koniecznością narzuconą przez wrogów takich, jakich nie ma i jakich być nie może we Francji lub Szwajcarii. Socjalista wierzący w „dobrą wolę” rządu rosyjskiego byłby głupcem po prostu, podczas kiedy w Szwajcarii nie ma w wielu razach żadnej wątpliwości co do szczerości zamiarów burżuazyjnego rządu, zwłaszcza jeżeli rząd ten naprawdę robotniczego poparcia *potrzebuje*... Burżuazja nigdzie nie jest anielicą i najzawziętym „rewizjonistą” za taką jej nie uważa, ale trudno wmówić w świat, że ta burżuazja jest *tak samo* reakcyjną w Rosji, jak we Francji, i tak samo należy ją wszędzie traktować.

Wprawdzie i Bebel przyznawał możliwość praktycznego współdziałania z partiami burżuazji, tylko kładł nacisk na to, żeby sojusz ten nie był stałym i nie powodował *zależności* od sojuszników. Zdanie to trzeba przyjąć z pewnym zastrzeżeniem, bo najpierw stałość sojuszu zależy od ilości i jakości wspólnych zadań, a następnie swoboda sojuszu jest rzeczą dwustronną.

Kto np. zakreślił sobie reformy daleko sięgające, jak rozdział kościoła od państwa, ten nie może ich dopiąć sojuszami z dnia na dzień zawieranymi. Kto chce swego partnera

związać i zapewnić sobie aż do osiągnięcia pewnych celów, musi być do pewnego stopnia i sam skrepowanym.

Oczywiście, że należy odróżnić zależność zewnętrzną i czasową od zależności *wewnętrznej*, która odbiera ufność w siebie i czyni partię jakimś aneksem polityki burżuazyjnej lub rujnuje wprost warunki bytu organizacji robotniczej.

A już prawdziwym *nieszczęściem* tej organizacji jest rozdział jej reprezentacji na dwie grupy, nawzajem się zwalczające, z których jedna zawiera sojusze z burżuazją w celach praktycznej polityki, podczas kiedy druga, zrażona tymi sojuszami, cofa się do dziedziny wyłącznej propagandy zasad, zaniedbując nieraz z konieczności sprawy bieżące, niezbędne do załatwienia.

Wytwarzają się z tego nieporozumienia, przeradzające się w nienawiści, tym okropniejsze, że w jednym i drugim obozie walczą robotnicy, członkowie jednej i tej samej klasy, mającej front swój rozwijać przeciw wrogom klasowym, a nie przeciw towarzyszom!

Dlatego mądrze zrobił kongres, przyjąwszy jednogłośnie wśród oklasków wskazanie o koniecznej *jedności* partii w danym narodzie jako dodatkową rezolucję do taktyki. Oczywiście, że takie zjednoczenie „zwaśnionych braci” to rzecz trudna i wymagająca wiele zaparcia się i zduszenia osobistych ambicji, rosnących jak chwasty szkodliwe na poprzednich zawiściach i zazdrościach...

Ale te zjednoczenia dokonywały się i dokonują ciągle, a najdzielniejszą pośredniczką jest brutalność i bezwzględność burżuazji, broniącej zbyt chciwie i nieludzko swoich kapitalistycznych świętości.

Chciałbym jeszcze pokrótce dotknąć stanowiska socjalistów niemieckich, jednolitego na zewnątrz, ale w gruncie rzeczy podzielonego.

Parlamentaryzm i konstytucjonalizm niemiecki są bardzo świeżej daty. Po krótkich miesiącach parlamentu rewolucyjnego z r. 1848. junkrzy i dynastie zdołały zrobić zeń karykaturę, przeznaczoną na skompromitowanie się burżuazji niemieckiej. Dopiero w r. 1869 wchodzi powszechne głosowanie w swoje prawa, i to jako instytucja demokratyczna, zaopatrzona przez Bismarcka w cesarystyczną podszewkę.

Zjednoczenie Niemiec po zwycięstwach armii w roku 1870/71 dało silną podstawę nie tylko parlamentowi, ale w pierwszym rządzie — Hohenzollernom. Udział ludu w parlamencie został przyznany jako polityczna konieczność nie ze stanowiska interesów tego ludu, lecz dla wzmocnienia zjednoczonych Niemiec z Prusami na czele. Dlatego też nad parlamentem posłów wybranych w powszechnym głosowaniu postawiono jako „Izbę wyższą” delegację niemieckich dynastii, „Bundesrat”, zastępujący miejsce senatu. Jego sankcje są potrzebne dla prawomocności danej ustawy, skutkiem czego uchwały parlamentu wędrują nieraz tuzinami do kosza, a tworzenie się i upadanie gabinetów ministerialnych nie zależy formalnie od parlamentu.

Głosowania parlamentu są wprawdzie pewnego rodzaju manometrem, wyrażającym stopień napięcia przeróżnych nastrojów narodu, ale w razie konfliktu z Bundesratem parlament ustąpić musi. Przy tym okręgi wyborcze jedne wyludniły się, drugie zaś przepelnily się z biegiem czasu wyborcami, z czego wynikła nierówność znaczenia mandatów, i to zawsze na niekorzyść miast będących siedzibą opozycji. Sam układ sił wobec parlamentu, wobec dynastii — niekorzystny od początku — pogarsza się z każdym rokiem. Toteż w Niemczech co pewien czas powstaje pogłoska znamienna o knujących się na powszechne głosowanie zamachach.

Ale i *zakres* parlamentu Rzeszy jest inny niż w innych krajach. Ma on władzę ustawodawczą i kontrolę nad rządem w sprawach jedynie Rzeszy. Więc wojsko, marynarka, cła, podatki pośrednie, część sprawiedliwości, poczta, polityka zagraniczna itd. należą do jego zakresu. Natomiast szkolnictwo, wyznania, domeny, koleje, podatki bezpośrednie i — co najważniejsza — cała *administracja biurokratyczna i policyjna* nie należą wcale do Reichstagu, nie ulegają jego prawnej kontroli. To rzecz sejmów poszczególnych państw. Stąd akademicki nieraz charakter rozpraw parlamentu niemieckiego i względna łatwość dla partii zachowania taktyki „czystej”, bo na inną nie ma wprost miejsca...

Nie całkiem taką jest ona w sejmach państwowych. W niektórych sejmach południowoniemieckich *muszą* socjaliści głosować za budżetem państwowym, jeżeli od ich głosów zależy obniżenie danego wydatku, *muszą* wchodzić w sojusze z innymi partiami,

aby obalać partie szkodliwsze, muszą nawet nieraz znajdować się na jednej taktycznej linii z książęcyimi ministrami i w ten sposób „przyjmować odpowiedzialność” za burżuazyjne społeczeństwo. I nic tu nie pomogą gromy potępienia w prasie lub nawet na kongresach rzucane, bo siłą rzeczy partia tak potężna nie może wstrzymać się od polityki dnia, tam gdzie zdobyła sobie miejsce o tej polityce choćby częściowo rozstrzygające.

Nie wszędzie też są Hohenzollerny i junkrzy, nie wszędzie burżuazja jest tak zdeprawowaną politycznie jak w północnych Niemczech. Dlatego to poseł Vollmar ze swoimi Bawarczykami niejedno kazanie na temat taktyki wysłuchał od lat czternastu — od upadku stanu wyjątkowego — i dlatego żadne z tych kazań nie wywarło nań dotąd decydującego wpływu... Tak samo oczywiście będzie i po uchwaleniu rezolucji drezdeńskiej, i po namiętnych debatach, które ją poprzedziły, bo inaczej być nie może.

Żadna partia mająca wpływ na życie codzienne i na losy narodu nie wyrzeczy się go dlatego jedynie, że grozić jej przy tym może zaniedbanie celów dalszych. Przeciwnie, będzie ona próbowała ustawicznie szukać pogodzenia tych celów z ruchem teraźniejszości, będzie może błędziła, może chwilowo cofnie się, ale nie odrzuci z siebie tej odpowiedzialności, jaką musi przyjąć w stosunku do swojej liczebności, wpływów moralnych i politycznych, którymi faktycznie rozporządza.

Jeżeli to ma się dziać w burżuazyjnym ustroju i jeżeli partią tą jest socjalna demokracja, to zasadniczo sprawa się nie zmienia w taktyce politycznej. I w Niemczech głosują socjaliści z całym spokojem na burżuazyjnych posłów, aby swoimi głosami dopomóc do zwycięstwa „mniejszemu złemu”. I w Niemczech głosują posłowie socjalistyczni za ustawami mającymi rzekomo poprawić kapitalistyczne społeczeństwo, przyjmując na siebie odpowiedzialność, czasem trudną i skomplikowaną. Tylko że w Niemczech nie mogą oni jeszcze obalać ani tworzyć gabinetów, co już jest możliwym we Francji.

Fatalny wynik ministrowania Milleranda nie obala tych poglądów. Nie było ono tylko błędem taktycznym; słabość *organizacji* wewnętrznej i brak dyscypliny partyjnej we Francji były tu powodem demoralizacji, a nie to, że jakiś socjalista został ministrem. Gdyby partia była zwartą i karną, minister wyleciałby w tej samej chwili z fotelu, w której by przyjął na siebie odpowiedzialność niemożliwą dla partii.

„Niebezpieczeństwo” ministerialne jest wprawdzie rzeczywistym; niejeden minister może przynieść partii więcej szkody niż pożytku: ale „grozić” ono będzie na Zachodzie Europy coraz częściej, równomiernie ze wzrostem organizacji socjalistycznej i z doskonaleniem się parlamentarnej i konstytucyjnej maszyny.

Jeżeli burżuazja nie wytrzyma spokojnie tego zalewu robotniczego, jeżeli porwie się do zamachu stanu i zniszczy podstawę konstytucyjną, na której stoją dziś partie socjalistyczne w swojej taktyce politycznej, w takim razie i robotnicy nie będą wcale tkwić w pojęciach konstytucyjnych, zwłaszcza że mają oni i dzisiaj nieskończoną ilość sposobności zajrzeć za kulisy konstytucjonalizmu i zobaczyć w nim także i maskę zasłaniającą walkę klasową.

Ale dla osiągnięcia pewności taktyki potrzebna jest olbrzymia praca uświadamiania politycznego i społecznego, potrzebna jednolitość i sprężystość organizacji, potrzebne wreszcie obiektywne warunki, jak pewien dobrobyt robotnika, oświata szkolna i obywatelska.

To są podstawy każdego ruchu, do których dopiero musi być dostosowaną taktyka, czyli zbiór reguł, których trzyma się partia w polityce teraźniejszości, w realizowaniu swego wpływu w państwie i społeczeństwie i w zbliżeniu się do celów dalszych i najdalszych.

Określanie samych reguł i wskazań taktycznych bez najtkliwszego uwzględniania warunków politycznych, społecznych i kulturalnych, bez liczenia się z tradycją ludową, charakterem wrogów tego ludu i ich polityką — może doprowadzić co najwyżej do przepisów ogólnych, dobrych jako sztandar, ale nie mogących odegrać roli praktycznego drogowskazu.

Toteż i kongres amsterdamski zadania sobie postawionego nie mógł inaczej na razie rozwiązać, jak tylko dając na drogę partiom i grupom ogólne ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami, które je czeka w tzw. polityce praktycznej w parlamentach i gabinetach ministerialnych.

A ostrzeżenie takie przyda się każdemu...

Tekst pierwotnie opublikowany w miesięczniku „Krytyka”, październik 1904 r. Przekład za portalem Lewicowo.pl.

MOWA ZA POWSZECHNYM, RÓWNYM, BEZPOŚREDNIM PRAWEM WYBORCZYM

Wysoka Izbo! Szanowni panowie! Trzy czynniki, jak wiadomo, wpłynęły decydująco, jako zasadnicze motywy, na stanowisko rządu austriackiego w kwestii reformy wyborczej, a były nimi: zwycięskie postępy rewolucji proletariatu w Rosji, bunt szlachty na Węgrzech i stanowisko korony wobec niej, a w końcu także powód wewnętrzny: zorganizowany ruch robotniczy w Austrii. W jaskrawej łunie pożaru, który niszczy dom niewoli, carat, nie tylko robotnicy spostrzegli jasno i wyraźnie odsunięcie ich od wszelkich praw, swoją polityczną nędzę, lecz na szczęście państwa, na szczęście wielu a wielu instytucji państwowych, przekonał się także rząd, że dłużej już nie śmie zwlekać z decyzją w sprawie powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego.

Równocześnie z chwilą, kiedy rząd miał w tej kwestii powziąć jasne i stanowcze postanowienie, musiał sam, a z nim razem cały świat, przejść do przekonania, że panowanie szlachciców, że republika szlachecka wszędzie jest bezpłodną, że pod względami politycznym, społeczno-politycznym, kulturalnym i gospodarczym jest ona upadłą wielkością i że trzyma się w państwie tylko siłą swego przywileju, i że stała się czynnikiem hamującym dla każdego państwa współczesnego.

Z pewnością nie radykalizm skłonił koronę przeciw szlachcicom na Węgrzech — i chciałbym natychmiast dodać — także przeciw szlachcicom wszelkich narodowości u nas, wysunąć na pierwszy plan reformę wyborczą, prawem ludu odświeżyć stanowisko korony, umocnić je, pojąć dziejową konieczność, wstąpić do szeregu państw nowożytych — bez strat, bez wstrząśnień, bez rewolucji...

Nie przywykliśmy bowiem do radykalizmu korony, a tym mniej do radykalizmu rządu jego ekscelencji pana barona Gautscha. Właśnie w tym leży jego zaleta, że stał on dawniej także na tym samym stanowisku, na którym dziś stoją niektórzy przeciwnicy równego prawa wyborczego. Gdyby był fanatykiem radykalizmu, byłby już od dawna znany jako czerwony radykał i mówiono by, że człowiek ten, przyszedłszy do władzy naturalnie, chce urzeczywistnić swoje utopie.

W rzeczywistości jednak dzieje się coś innego. Pan baron Gautsch dał się przecież popchnąć — nie można nawet powiedzieć, że chętnie, lecz uległ on raczej konieczności niż własnemu popędowi.

A chociaż w danym wypadku nie jest to w naszych oczach komplementem dla jego ekscelencji, to jest to tym większy komplement dla samejże sprawy (bardzo słusznie!), że nawet rząd austriacki nie mógł pozostać obojętnym wobec tego przepotężnego ruchu, który wzbiera naokoło nas, że nie stawiał zapory temu ruchowi, do którego chętnie przyłączyliśmy się. Przyznaję, że po mowie wygłoszonej w tej Izbie przez jego ekscelencję, a tworzącej temat niniejszej debaty, telefonowałem do Krakowa, mojego okręgu wyborczego: lud odniósł wielkie zwycięstwo — przyznaję, że na tym samym rynku, gdzie przed dwoma miesiącami z wysokiej trybuny przeklinałem p. barona Gautscha, urządzili socjali demokraci uroczysty pochód z lampionami i transparentami, maszerowały dziesiątki tysięcy ludu w starym mieście stańczykowskim, wołając: Spełniło się, lud zdobył prawo, rozsądek zwyciężył!

Przedwczesna radość

I jak zrozumiałą była ta radość, tak też przyszliśmy później do przekonania, że jest ona przedwczesną, że nie czas jeszcze zaniechać walki, twardej pracy, w radosnym przeświadczeniu, że przecież cesarz, że przecież p. baron Gautsch stali się najgorliwszymi zwolennikami równego prawa wyborczego. I właśnie ta wątpliwość co do przedwczesnej radości rośnie w nas, kiedy słuchamy mów wrogów reformy wyborczej w Izbie panów i także w tej wysokiej Izbie.

Panowie! Słyszano tutaj wczoraj z ław Koła Polskiego mowę, która pozornie w końcu, w ostatnim zdaniu, wyrażała gotowość zbadania przedłożenia, ale tę gotowość uzależniała od tylu warunków i klauzul, że rzeczywiście nie była to mowa przyjaciela reformy, lecz

raczej mowa wroga, który jedynie ze wstydu i dla nieuniknionych politycznych motywów musiał wyrazić gotowość zbadania przedłożenia.

A spójrzcie panowie tam, do „słomianej stodoły”, ponieważ jest nią Izba Panów, wedle słów najbardziej znanego członka owej Izby. Słuchajcie mów, jakie się tam wygłasza i słuchajcie, z jakim tonem zwracają się ci panowie przeciw rządowi, a ponad głowami rządu przeciwko osobie, która każdorazowy rząd wyposaża pełnomocnictwem w tym państwie. Uderzy Was pewien charakterystyczny rys w tych mowach.

Można zauważyć jakiś zwyrodniały romantyzm tych panów w słomianej stodole, zwyrodniały romantyzm, który po prostu nie jest w stanie wyobrazić sobie gospodarczych i politycznych przekształceń bez rozlewu krwi.

Wrogowie ludu

Ci starzy panowie pytają jak dziewice w byronowskim dziele „Don Juan”: „Kiedyż będą gwałcić, czemu nie gwałcą”, gdzież jest konieczna ilość krwi, aby nam dowiedzieć, że stała się rzecz nieodzowna? Pytają się formalnie: A gdzież są barykady?

Nazywam to zwyrodniałym romantyzmem, ponieważ w istocie jest to zwyrodnienie, jeżeli ci zbankrutowani byli ministrowie i namiestnicy, z których niejeden tak marnie zakończył karierę, napadają na rząd właśnie w tej chwili, kiedy się okazał najrozsądniejszym, najbardziej nowoczesnym, kiedy bez niepotrzebnych ofiar pozwolił na wyraz wielkiej potęgi ludowej, walczącej o prawo wyborcze, co nie tylko najbardziej ludzkim, lecz także najbardziej nieodzownym, najlepszym i najrozsądniejszym było dla państwa i dla rządu; właśnie w takiej chwili pragną oni formalnie krwi, łakną barykad, rewolucji, tych namacalnych dowodów, że sytuacja istotnie jest poważną.

Jeden z tych panów powiedział: „Przecież nas Japończycy nie pobili?”.

A ja powiadam: tak jest, zostaliście przez Japończyków pobici! Tam, gdzie rosyjski absolutyzm w Europie pobity został przez Japończyków i obalony, wraz pobite zostały przez Japończyków także wszystkie inne absolutystyczne żywioły w Europie zachodniej. Japończycy nie potrzebują z armat strzelać do stodoł słomianych. Te ciosy, które w Azji wschodniej w decydujących zapasach mocarstw spadły na carat, ciosy te muszą odczuć i odczują wszystkie małe cary w Europie jeszcze panujące i ciosy te dotknęły także kieszeni francuskich kapitalistów. Przypatrzcie się tylko rosyjskim rentom, a pojmiecie, jak dotkliwie biją Japończycy. Ale pan ten [ks. Schwarzenberg] nie rozumie tego, siedzi sobie w swoim kasynie albo w swoich dobrach, ma swoje przywileje i pyta: „Przecież nas nie pobito”. Czekać panowie tylko, aż Was rzeczywicie pobiją, wtedy inaczej rzecz wyglądać będzie, jeno na zebranie się wysokiej Izby panów będzie już za późno. Ale tam, gdzie panowie krwi nie widzicie, gdzie nie widzicie barykad, tam posługujecie się płaskim kłamstwem — nie chcę powiedzieć: oszczerstwem, bo ci starzy panowie sami nie wiedzą, co mówią!

Nieprawdą jest twierdzenie tych panów, że nasze demonstracje przysły do skutku przy „uroczystym kierownictwie” rządu, nieprawdą jest insynuacja hr. Wojciecha Dzieduszyckiego — przynajmniej sam jej nie zaprzeczył — jakoby rząd to wszystko urządzał. Mam tutaj [pokazując dwie fotografie] najlepsze dowody, nie barykady, lecz fotografie, rzeczy niekrwawe, nie tak łatwo mogą służyć dostojnym panom barykadami i przelewem krwi, ale pokażę panom dwa zdjęcia. z Krakowa i z Grazu — i proszę mi pokazać choćby jeden organ rządowy na tych zgromadzeniach, których uczestników liczyć musicie na dziesiątki tysięcy.

Pokażcie mi, panowie, w tych wielkich pochodach choć jedną czarno-zółtą chorągiew. Jak długo nie dowiedziecie, panowie, swoich insynuacji i kłamstw, jak długo pozostaną bez odpowiedzi publiczne zapytania, które np. pod adresem hr. Dzieduszyckiego pojawiły się w „Arbeiter Zeitung”, jak długo trwać będziecie przy swoich kłamstwach, któreście rozsiali po świecie, tak długo przylegać będzie do was piętno oszczerstwa. Nie jest to naszą sprawą wypierać się obecnie rządu, dać się Wam podjudzić w tym momencie, kiedy chce on rozsądnej reformy wyborczej, a chce jej poważnie — według wszelkiego prawdopodobieństwa, o ile się sądzi wedle męskich, dzielnych słów drugiej mowy jego ekscelencji pana barona Gautscha; my z pewnością nie staniemy w pozie rewolucyjnych

demagogów, którzy mówią: „Na miłość boską! Tylko nie zawierać przyjaźni z rządem!“. Przeciwnie! Wiemy, że w łbie panów knuje się intrygi, że się czyni fantastyczne obliczenia, że działa wprost fantazja rozpaczy i wszystko to otwarcie i energicznie pokrzyżujemy.

Zmusimy panów ewentualnie określić dokładnie swoje stanowisko w imiennym głosowaniu i postawimy panów przed: „albo — albo!“.

Rząd urządzał demonstracje! Trafnym to jest pod pewnym względem. Dnia 2 listopada znajdowałem się przed konną policją, niestety w pierwszym rzędzie, i widziałem to urządzenie. Stał potrójny wał na Burgringu, a za tym wałem oddział konnej policji. I przy tym „uroczystym urządzeniu“ nie mniej jak czterdzieści osób zostało zranionych przez organy rządu. Lub jeszcze więcej.

Podobnie było we Lwowie, Krakowie, Pradze i Bernie, wszędzie „uroczyście“ kierowano naszymi demonstracjami.

W tym kierunku rzeczywiście, mimowolnie i bez zamiaru, dopomógł rząd do jeszcze większego nagromadzenia gniewu i niechęci u ludu, do tym ofiarniejszej walki o powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo wyborcze.

Ale taki minister funduszu gadzinowego, jak Thun, nie jest w ogóle w stanie wyobrazić sobie takiego ruchu.

Przypomnijcie sobie, panowie, policyjnego szpicla prowokatora Mrwę w Pradze! Za czyjego to rządu działał ten łotr na rzecz policji i władz politycznych? Za namiestnictwa hr. Thuna! Taki Thun nie może pojąć, aby można było poruszyć masę bez współdziałania Mrwy.

Ci ludzie wołali o stany wyjątkowe, a p. prezydent ministrów usłuchał ich, sam się przy tym nieco kompromitując. Wygadał się z tajemnicą urzędową, że stan wyjątkowy już był w pogotowiu i że namiestnik w Pradze sam miał oznaczyć czas zawieszenia stanu wyjątkowego! Tak jest, także sądy doraźne.

Oszczędzono jednak Austrii tego zbrodniczego głupstwa, ponieważ zawieszając w obecnej chwili stan wojenny, dolewa się oliwy do ognia! Namiestnictwo hr. Thuna przyczyniło się właśnie do zradkalizowania politycznego gruntu w Pradze, jak w żadnym innym mieście w Austrii. Właśnie półtrzecia roku trwający stan wyjątkowy za namiestnictwa hr. Thuna przyczynił się do tego, że dłuższy czas niemożliwym był w Pradze żaden polityczny ruch bez wezbrania namiętności, których lękają się tak „spokojni“ obywatele tutaj w Wiedniu, których lęka się rząd i przeciw którym zna rząd tylko jeden niezgrabny środek, jak to panowie dobrze wiecie, napiętnowany przez Cavoura — nie tyle środek napiętnowany, ile minister, który nim się posługuje — stan wyjątkowy. Naturalnie zakres pojęć Thuna obraca się między stanem wyjątkowym a szpiclami-prowokatorami, między Mrwą a katem, brutalną przemocą.

Ale dlaczego miałyby krew płynąć? Dlaczego mielibyśmy się rewoltować? Po co? Cesarz oświadcza się przecież za reformą, przecież p. baron Gautsch się nawrócił, wszyscy jego ministrowie są zaciekłymi apostołami równego prawa wyborczego. I słusznie chlubić się mogą, że w tej wielkiej chwili nie okazali się małymi ci, których ta chwila zastała u rządów.

Zaprawdę wielka sława okryje kiedyś i głowy tych ministrów, ponieważ oni to byli, którzy Austrię zmodernizowali. Dlaczego więc miałyby krew płynąć? Czyż dlatego, że Thun i Piniński są przeciwni reformie wyborczej, że opierają się jej Schwarzenberg i Plener?

Czyż bylibyśmy tak zuchwali, aby myśleć, że tam właśnie nawrócić się muszą Schwarzenbergi i Plenery? A może byliby to zrobili, gdyby mieli teki ministerialne, ale rozum bez teki — nie, panowie, to im rzeczywiście całkiem niepotrzebne!

Patrzcie, panowie, Thun był już także raz ministrem przez półtora roku; i cóż zrobił, czego dokonał? Splamił swoje nazwisko przez mordy Grasslitz i wyrzucono go ostatecznie na śmietnik polityczny. Odszedł ze sławą? Nie, przeciwnie: nikt żył za nim nie uronił.

A teraz przychodzi i ubolewa, że Gautsch zyskuje tak łatwo piękny wieniec laurowy; bo spoza tych wszystkich jadowitych mów (w Izbie panów), wygląda przecież zawiść, że to nie oni, nie hrabiowie, nie w pobliżu tronu urodzeni, jak powiadają, nawet nie ministrowie w całym tego słowa znaczeniu, ale tylko „kierownicy“, jak ze smakiem wyraził się pan Dzieduszycki. A właśnie ci „kierownicy“ kierują teraz bardzo dobrze, kiedy chcą zaprowadzić powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo wyborcze.

Czy istotnie jest to prawdą, że rząd żadnych nie poczynił przygotowań, nie przedsięwziął żadnych ostrych środków na wszelkie ewentualności 28 listopada?

Panowie! Mogę tu przetoczyć kilka przykładów. Przede wszystkim w całej Austrii skonsygnowano wszędzie cały garnizon. A jest to chyba najostrożniejszy środek, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Jak poważnie traktowali rzecz komendanci korpusów, przytoczę na to mały, ale wymowny przykład. *Kilku bogatym kupcom żydowskim w Krakowie zachciało się pójść do komendy korpusu i prosić o zbrojną ochronę dla swoich sklepów na 28 listopada.* Na to odpowiedziano im ze strony komendy korpusu: „W pierwszych pięciu minutach nie ręczymy panom za nic, ale już w szóstej minucie panowie możecie być całkiem spokojni, zostaniecie ochronieni”. Oczywiście, nie mogli spokojnie znieść tych pięciu minut, są to przecież współcześni ludzie nerwowi i powiedzieli: „Ale cóż nam przyjdzie z szóstej minuty, kiedy już przeminie pierwszych pięć minut!”. Pozamykali zatem pięknie wszystkie sklepy, większość naturalnie uczyniła to z sympatii, mała część z trwogi, za co my znowu nie ponosimy żadnej odpowiedzialności.

Panowie! W Jarosławiu, gdzie stosunkowo może największy garnizon jest umieszczony — 5000 żołnierzy w mieście liczącym 20 000 mieszkańców — chodzili żandarmi od sklepu do sklepu, zachęcali kupców i wzywali ich do otwarcia sklepów. Pewny jestem, że całe tuziny podobnych przykładów można by przytoczyć wysokiej Izbie na dowód, że organa rządowe nie zachowały się wobec nas zachęcająco, lecz przeciw nam występowały. Że nie pojawiły się dzienniki rządowe, na to, panowie, nic nie można poradzić.

Klasyczną była w swej krótkości rozmowa, jaką miał redaktor „Gazety Lwowskiej” — jest to organ urzędowy — z namiestnikiem. Dnia 28 listopada przybiegł wystraszony redaktor i powiedział:

— Ekscelencjo, „Gazeta Lwowska” nie wyjdzie!

— Dlaczegoż to? — pyta się pan hrabia Potocki.

— Ponieważ zecerzy nie chcą jej składać!

— Ha, jeśli zecerzy nie chcą jej składać, to oczywiście nie wyjdzie!

Oto w krótkości wszystko, co rząd rozsądnie mógł powiedzieć o tym elementarnym zjawisku. Lecz wyprowadzać ze wszystkich tych zjawisk wnioski, że było to pewnego rodzaju *arrangement* rządu itp., może tylko fantazja rozpaczy. Wstydem przejmuję — muszę to otwarcie powiedzieć — gdy się widzi tych tam panów, o władniętych tak policyjnymi instynktami; jest hańbą i poniżeniem dla nauki, gdy właśnie mąż nauki szydzi z ruchu ćwierćmilionowego ludu i pyta, dlaczego właśnie tam nie zastosowano paragrafu ustawy o zgromadzeniach. Jest to coś tak niskiego, coś tak politowania godnego, że doprawdy hańbą jest, że z tego wystąpienia ćwierćmilionowego proletariatu nie zobaczono i nie usłyszano nic innego, jak tylko te niskie zarzuty.

Dla szlachciców za wcześnie!

Oto bezsilność upadającej kliki, która tylko zbrukać i opluwać potrafi, nie zaś zrozumieć. Później rzucili się ci panowie, rzucili się z pożądlivością na inny argument. Sprawa szła dla nich zbyt prędko, tempo nie było tak starczym, jakby oni tego chcieli, temperatura nieco za wysoką, niż mogli to przetrzymać starzy panowie. Dla nich byłoby najlepiej, gdyby nikt w Austrii nie czuł się niezadowolonym — żadnych demonstracji, żadnych zgromadzeń ludowych, żadnych okrzyków, żadnych sporów — tylko niech wszystko czeka, ufając Bogu, cesarzowi i rozsądkowi rządu. Zbyt szybkim jest tempo, ponieważ dzięki niemu czynimy ów sławny „skok w ciemności”. Pan hrabia Dzieduszycki powstydził się tego przestarzałego wyrażenia i nazwał to „skokiem gwałtownym”. Był on zbyt szybkim, zbyt niespodziewanym, byliśmy doń nieprzygotowani, ponieważ, dzięki Bogu, przeżywamy już piątą reformę wyborczą w krótkim czasie. Od roku 1867 przeżyliśmy przecież lata: 1873, 1885, 1895 i nareszcie rok 1905.

Jest to jednak dla panów jeszcze za szybkie tempo: są oni tego zdania, że dla psa najzdrowiej jest, gdy mu się ogon po kawałeczku obcina. Nam się wydaje, że nie jest to zdrowe nawet dla psa, oczywiście nie mówiąc już o przywilejach szlachty. Jeżeli panowie macie instynkt samozachowawczy, to nie pozwolicie sobie obcinać waszych przywilejów

po kawałku, lecz przeciwnie, powiecie: albo — albo. Lecz wobec takiej sprzeczności między przywilejem a prawem wyborczym, między prawem i bezprawiem, będziecie zawsze przedmiotem nienawiści i szyderstwa, wy zawsze wskazujecie kierunek, w którym się poruszają polityczne namiętności. Jest to dla was jako dla klasy bynajmniej niedobrze, jeżeli sprawa wciąż się przeciąga dzięki waszej upartej rewolcie. Szczęśliwie mieliście cztery kurie, potem otrzymaliście piątą, i gdyby szło według waszej woli, to wyczerpałby się szereg arytmetyczny bez końca i doszlibyście nie wiem do której już kurii. To byłoby według was godnym mężów stanu. Oczywiście nie byłby to żaden „skok w ciemność”, lecz od czterech do pięciu, od pięciu do sześciu, od sześciu do siedmiu itd.

Falszerze historii

W tej potrzebie, w tej ciężkiej potrzebie — muszę to dodać — ci panowie powołali się na historię; wymyślili sobie oni historię specjalnie dla Koła Polskiego. Oni mają podręczniki, które co innego mówią niż podręczniki dla zwykłych ludzi. Wiadomo, że nauka np. dla synów jaśnie oświeconych zupełnie inaczej wygląda niż nauka dla synów mieszczanina lub chłopca. Również i historia dla Koła Polskiego jest zupełnie inna niż dla zwykłych śmiertelników.

Bo przecież tylko przy pomocy tej specjalnej historii dla Koła Polskiego można było usłyszeć takie rzeczy, jakie nam wczoraj mówił jego ekscelencja hrabia Dzieduszycki. Zaczął on bardzo mądrze już od francuskiej rewolucji. Nie chciał nic o tym wiedzieć, że dawny system kurialny zakończył się historycznym zjawiskiem, wspaniale harmonijnym, a mianowicie zgilotynowaniem króla i królowej. Odwrócił więc swoje oblicze od tego nieładnego widoku i począł nam wykladać nowszą historię Francji. Naturalnie powiedział on o reakcji: Karol X został wygnany, później przyszedł Ludwik Filip.

Ten Ludwik Filip mógłby być aż do śmierci spokojnie panować, lecz nadeszła rewolucja. Tak, moi panowie, dlaczego? Czyż nie wiecie, dlaczego nadeszła rewolucja, chociaż Ludwik Filip nie był tyranem, lecz tylko królem mieszczańskim? Gdy deszcz padał, spieszył on natychmiast na ulicę, aby jakiemu obywatelowi parasola pożyczyć — było to przecież swego czasu bardzo znane w podręcznikach szkolnych — był on prostym królem mieszczańskim, a orleaniści nie tyle z łaski Boga, ile z łaski rewolucji powstali.

Ale dlaczego nadszedł rok 1848? A byłoby tak pouczającym bliżej tę rzecz rozpatrzyć. Tak, a wiecie dlaczego? Dlatego właśnie, że nie chciano dać reformy wyborczej. Przypominajcie sobie znaną akcję mieszczańskich rewolucjonistów, tak zwane bankiety reformy wyborczej.

My, oczywiście, nie jesteśmy w stanie zaprosić 250.000 ludzi na bankiet i jesteśmy tego zdania, że tak sobie przy jedzeniu mówić o polityce nie jest dobrze. Lecz mieszczaństwo musiało urządzać tzw. bankiety dla reformy wyborczej. Iluż miało wówczas prawo wyborcze do francuskiego parlamentu? 300.000 wyborców. I gdy pewnego razu na czele ministerium stanął taki mądry człowiek jak Thun, i gdy taki bankiet został zabroniony — wtedy wybuchła rewolucja 24 lutego 1848 r., a król i mądry minister obydwaj musieli z Paryża uciekać. Król, ma się rozumieć, zabrał ze sobą lepszą część swej potęgi, dobrze nabitą kiesę, lecz minister uciekł, goniony przekleństwami i hańbą.

Rewolucja wybuchła i, wiecie, ilu zjawilo się wyborców we Francji przy powszechnym, równym i bezpośrednim prawie wyborczym? 9.000.000, a za Ludwika Filipa było ich 300.000! Z tych dwóch liczb zrozumiecie, dlaczego rewolucja przyszła mimo Ludwika Filipa, pomimo podłego tchórzostwa francuskiej burżuazji, pomimo słów Guizota, który wołał: „zbogacajcie się!”. Pomimo tej podłości jednak rewolucja przyszła, ponieważ lud we Francji za Ludwika Filipa nie posiadał prawa wyborczego.

Lecz oto nadeszły dni czerwcowe, mówi pan hrabia. Dlaczego? Wszak prawo wyborcze było ogłoszone na wiosnę 1848 r., a dni czerwcowe przyszły za ledwie w dwa miesiące potem. Kto się ośmielił powiedzieć coś podobnego, że po dwóch miesiącach, zanim się w ogóle działanie powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego objawić mogło, że jako skutek tego prawa przyszło takie zjawisko jak krwawe dni czerwcowe? Nie, moi panowie, tak może jest w podręczniku historii dla Koła Polskiego — wiecie — może na miesiące listopad i grudzień, lecz w historii dla zwykłych ludzi jest o tym

inaczej: było to niezadowolenie robotników, którzy co mieli najlepszego, oddali w walce rewolucyjnej, którzy potrafili umierać na barykadach, a oto widzieli, że burżuazja ich opuszcza i oszukuje.

Była to demagogiczna polityka rządu z tzw. narodowymi warsztatami, a szalę przechylił rząd, gdy chciał pozbyć się nie mieszkających stale — należałoby dla panów socjalno-chrześcijańskich powiedzieć „osiedlonych” w Paryżu robotników. To był, moi panowie, ostatni motyw do tej strasznej rzezi, na której Cavaignakowie oparli na dziesiątki lat swą polityczną egzystencję. Ale oto znów przychodzi nauczyciel historii dla Koła Polskiego i powiada, że powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze stworzyło tyrana Napoleona III. Tak, moi panowie, zanim przejdę do tego tyrana, muszę jeszcze coś przypomnieć. Widzicie w roku 1850, 31 maja było wprowadzone prawo osiedlenia i to według ideałów chrześcijańsko-socjalnych. Było zaprowadzone dla Francji trzyletnie prawo osiadłości. Miano już wtedy tyle rozumu, ile go nabył dopiero teraz dr Lueger.

To trzyletnie prawo osiadłości zniżyło liczbę wyborców z 9 na 6 milionów. Tych 6 milionów stworzyło parlament, który stał się niepewnym w swej podporze, ludzie, dlatego że 3 miliony nie miały praw, stracił wszelką siłę i popularność w ludzi przez ową głupią regulę trzyletniej osiadłości.

Oto był jedyny skutek osiadłości i Napoleon zniósł to prawo, stając się przez to tak popularnym i potężnym przez długie, długie lata.

Czego nas to uczy? Że właśnie fałszowanie prawa wyborczego wydało parlament tyranowi. Lecz cóż to za tyran był ten Napoleon III, którego słowom w latach 1861, 1862 i 1863 wierzyły całe falangi polskich szlachciców?

Był on przecież Egerią, był duchem świętym Czartoryskiego, „hotelu Lambert” w Paryżu, Tarnowskiego, Koźmiana i jak się tam jeszcze ci wszyscy stańczycy nazywają. Nie jest to jeszcze przecież taka stara historia i znamy ją zupełnie dokładnie z dzieł właśnie pana Koźmiana. Nie bądźcie więc niewdzięcznymi, moi panowie; nie nazywajcie Napoleona III tyranem, bo to najmniej pasuje do Waszej historii. Tak samo dziwnie jak historia XIX stulecia w oczach Dzieduszyckiego, wyglądają i jego poglądy na ostatnią fazę we Francji, na republikę. Powiada on, że republika usunęła to, co było specyficznie francuskim, że katolicka Francja została zgnębiona. Tak, a cóż to jest za zjawisko? Czy to rzeczywiście tylko skutek powszechnego prawa wyborczego? A cóż było z Lutrem? Czyż koniecznie potrzeba republiki i powszechnego prawa wyborczego, aby nie oddać kraju jakiegoś na pastwę ultramontanizmu?

Przecież niemieccy książęta i stany były pierwszymi, które pokazały drogę katolickiej republice francuskiej, co należy robić z ultramontanizmem i arogancją kościoła rzymsko-katolickiego.

Powołują się z taką ochotą na Anglię: któż to więc był, co chciał w Anglii po prostu znieść kościół katolicki? Przecież byli to królowie Anglii, największa jej królowa Elżbieta. Te same procesy historyczne, które miały miejsce w Anglii i Niemczech przed stuleciem, musiały się odbyć w każdym nowoczesnym państwie, nawet w katolickim, o ile to państwo, nawet najwięcej katolickie, chciało się organizować, mieć kontrolę nad swymi szkołami i rozporządzać swym najostrzejszym narzędziem — armią. Rozdział kościoła od państwa w katolickiej Francji nic nie ma do czynienia z powszechnym prawem wyborczym jako takim.

Odbywa się ten sam proces i bez równego prawa wyborczego w społeczeństwie stanowym. Mówi się też, że Francja militarna pozostała w tyle. Tak, gdy spokojnie wejrzymy w historię, znajdziemy, że najostrzejszym środkiem przeciw zawodowemu militarystom jest skrócenie czasu służby. I patrzcie, oto monarchiczne Niemcy najpierw wprowadziły dwuletnią służbę, a dopiero za nimi poszła Francja. Dopiero później zaprowadziła Francja dwuletnią służbę, a w państwie nowoczesnym skrócenie czasu służby oznacza głębokie ucywilizowanie armii, ponieważ jest to konieczne, aby państwo kapitalistyczne, które zawsze musi mieć pod ręką armię, nie pozwoliło na zagnieżdzenie się w armii jakiejś obcej potęgi i dlatego przez długi i bolesny proces usunięto z armii klerykalnych intrygantów.

I jeśli w tej arcykatolickiej Austrii nadejdzie taki czas, że klerykali i feudałowie tak się w armii zagnieżdżą, że nie będzie ona powolnym instrumentem w rękach rządu i dynastii, wtedy tak samo będzie trzeba ich wykurzyć, jak we Francji, Niemczech, Anglii i na całym świecie.

Moi panowie! Pomimo to: biada Rzymowi, jeśliby musiał opierać się na takich filarach jak Dzieduszycki i jego koledzy! Klerykalizm, niby tak uciśniony we Francji, jest tam jednak silniejszy niż gdziekolwiek indziej. Wyrwano mu tylko kilka jadawych zębów, tylko formalnie został on usunięty z roli państwowego czynnika, jest on tam jednak jeszcze żywy, bogaty, wierzy i płaci. To ostatnie, zdaje się, jest najważniejsze, dla papieża i dla wszystkich innych czynników. Więc panowie, nie lamentujcie za dużo nad tym, co się stało we Francji. Zupełnie tak samo ma się rzecz i z historią Anglii w ustach hrabiego Dzieduszyckiego.

W Anglii — a jest to modnie powoływać się zawsze na Anglię — w Anglii wszystko było tak „harmonijne”, piękne, spokojne; jedna partia zastępowała drugą i wszystko szło jak po maśle. Wszystko było w Anglii tak spokojne i harmonijne. Nawet wtedy było wszystko w harmonii, gdy król Karol stanął na szafocie? W Anglii nie znano żadnych przewrotów; wszystko szło prawną drogą. I to jest bardzo charakterystyczne dla hr. Dzieduszyckiego i jego rachuby czasu; wczoraj powiedział on, że „dopiero” w roku 1885 było zaprowadzone w Anglii powszechne głosowanie. My powiemy: „już” w roku 1885 przeprowadziła Anglia pod Gladstonem wspaniałą reformę wyborczą.

Tak samo, panowie, rzecz się przedstawia z jego poglądami na Niemcy. Wypowiedział on zdanie nie do uwierzenia, że wyrównanie praw wyborczych musiano osłabić przez wprowadzenie autonomii części. Właśnie wprost przeciwnie było w rzeczywistości.

Musiano tam obejrzeć się za środkiem wstrzymującym siły rozkładowe i zrobić je w większej części nieszkodliwymi, nawet niemożliwymi. I nie ma po prostu środka, aby trzymać te dążące do rozkładu części autonomiczne — a nie były to części autonomiczne w rozumieniu nędznej autonomii Galicji, lecz były to samoistne państwa, całkiem odrębne, oddzielne, we wszystkie prawa zwierzchnicze wyposażone państwa — w kupie, jak tylko powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze, a te prawa zwierzchnicze i te tradycje nie nędznych, świeżo upieczonych szlachciców, lecz tradycje królów i książąt musiały powstrzymać się wobec powszechnego, równego i bezpośredniego prawa głosowania i wszystkie intrygi małych dworów i wszystkie ich knowania przeciw tej jedności w przeszłości i jeszcze obecnie musiały zamilknąć przed potęgą jednoczącego elementu tajnego, równego, bezpośredniego i powszechnego prawa wyborczego.

To było przecież historyczną istotą prawa wyborczego, takim był zamiar, jasny plan Bismarcka, a Bismarck nie był z pewnością tym wielki, że umiał obchodzić się z krwią i żelazem, lecz był dlatego wielkim, że umiał zdobyć utrzymać w czasie pokoju, nie przez echo salw armatnich, jak hr. Dzieduszycki mniemał, albowiem echo trwające 35 lat byłoby przecież nonsensem, lecz przez żywe prawo wyborcze, przez jednoczącą siłę powszechnego prawa wyborczego.

Magnaci a rewolucja polska

Tak my zapatrujemy się na historię. Gdy się jednak słucha tego, co uczony i szanowny hrabia mówił wczoraj, narzuca się każdemu pytanie: w jakim właściwie wieku znajduje się teraz p. hr. Dzieduszycki? Czy doszedł on już z nami do r. 1905, do XX wieku, czy tkwi on jeszcze w XVIII wieku, w wieku korupcji i wszechpotęgi polskich magnatów, polskich konfederatów, polskich spiskowców przeciw królom i reformom polskim, przeciw polskiemu sejmowi reformy? Czy znajduje on się w wieku tych wszystkich pysznych, zuchwałych, egoizmem i niezmierną chciwością i dumą rodową nadętych magnatów, którzy na koniec siebie samych i kraj cały Katarzynie II sprzedali i zdradzili?

Czyż nie mamy poza sobą wieku historii, w którym na naszych sztandarach powstańców wypisaliśmy: za waszą i naszą wolność walczyliśmy? Czyż nie dostarczyliśmy rewolucji tyłu żołnierzy, uczciwych żołnierzy, że na wszystkich pobojuwiskach, na których walczone i krew przelewano o prawa ludzkie, także Polacy walczyli i krew przelewali? Czy zapomniał on o tym wszystkim, czy nie widzi nic ponad przywilej swoich towarzyszków klasowych i kastowych?

Ten wielki myśliciel historyczny, jak on tu wczoraj przed nami stał, podniósł na spółkę z innymi współwrogami jeszcze jeden ciężki zarzut przeciw rządowi, w szczególności przeciw baronowi Gautschowi, mianowicie ten, że rząd nie był bardzo konsekwentny.

Konsekwencja jest u nich największą cnotą polityczną. A dlaczego rząd miałby konsekwentnie odmawiać, dlaczego nie miałby być rozsądnym? A czy panowie z Koła Polskiego byli konsekwentni? Jak prędko zmieniło się ich stanowisko wobec ważnych wydarzeń historycznych w przeciągu jednego tylko roku! Dnia 15 lutego przekleli i znieważyli oni rewolucję w Polsce, 15 lutego uchwalili panowie z Koła Polskiego prawie jednogłośnie, że każdy popierający ruch rewolucyjny — nie w „Polsce”, boją się to słowo wymówić — w „sąsiedniej dzielnicy”, niech będzie pogardzony i przeklęty. 15 lutego mówili ci panowie ciągle, że rewolucja w Polsce pracuje *pour le roi de Prusse*, i że jesteśmy pruskimi agentami prowokacyjnymi, jeżeli nie przez Żydów, Japończyków albo Anglików najętymi złoczyńcami. To było przed 10 miesiącami. A wczoraj nazwał już hr. Dzieduszycki zjawiska tej rewolucji „wejściem na drogę wolności”.

Panowie! Droga wolności! Was na tej drodze nie widziano, a jeżeli się kiedyś na tej drodze pokażecie, to tylko pchani, za uszy ciągnięci przez rewolucyjny ruch ludowy w Polsce.

Ta droga wolności jest przecież usłaną trupami polskich robotników, a słupami miłowymi na tej drodze wolności są szubienice, na których powieszono naszych najlepszych.

Teraz nazywacie to drogą wolności. Widzicie, panowie, i wyście nie pozostali konsekwentnymi. Nie wolno wam zostać konsekwentnymi, gdyż to jest silniejsze od was, silniejsze od rządu, silniejsze od tej Izby, silniejsze od całej tradycji starej Austrii, gdyż to jest prawo nadchodzące!

Panowie! A właśnie reprezentanci Polaków, właśnie reprezentanci Galicji muszą zawrócić z tej drogi upartej odmowy, nierozsądnego oporu. Gdyż coś podobnego, jak panowie myślicie, jest nie do pomyślenia; jest niemożliwym, aby niewola w Warszawie, w Kongresówce padła, a my dalej żyli w stanie bezprawia, dalej jako masy bez praw, żebyśmy tu mieli reprezentantów naszego kraju takich, w których imieniu wczoraj hr. Dzieduszyckiego mówiącego słyszeliśmy. Jest to jeden z najważniejszych okresów nie tylko w historii państwa, lecz także — a chciałbym to szczególnie wobec Koła Polskiego podkreślić — historii narodu polskiego, i nie potrzeba ani nie jest politycznym, ani patriotycznym, abyście wy nasz naród poniżali, abyście wy z tych ław przedstawiali nasz naród jako niedojrzały, i żeby tu o wymiar praw dla narodu polskiego szachrowano w tym celu, aby mu dać tych praw najmniej.

Apeluję do wszystkich przedstawicieli innych narodów w tym państwie i w tej Izbie: nie zwlekajcie, dajcie nam wolną drogę, której potrzebujemy; zaufajcie naszym masom ludowym, strzeżcie się przed wydaniem nas jeszcze raz z zimną krwią intrygantom z Koła Polskiego, a my z pewnością będziemy wspólnie pracowali nad wspólnymi wielkimi dziełami ludzkości; będziemy wspólnie pracowali jako równouprawnieni i pożyteczni członkowie państwa i rodziny ludów.

Właśnie teraz, kiedy Polacy w Rosji wywalczają sobie swoje prawa, byłoby najlepszą i patrzącą w daleką przyszłość polityką wobec Polski austriackiej — nie tylko kilku szlachcom, lecz wszystkim Polakom szczerze dać pełne prawa obywatelskie.

Nie wiem, czy ktoś w Austrii zastanawia się nad tym; wiem natomiast, że Galicja przestała być trupem politycznym i że kilku tych skrachowanych szlachciców nie będzie nas tu dłużej bez opozycji reprezentować — tu nie i w sejmie także nie. Albowiem, panowie, jakąż macie siłę wobec nas, aby stawić opór wielkiemu prądowi za reformą wyborczą? Powołują się na prawa narodowości. Już mój przyjaciel i towarzysz dr Adler wywiódł doskonale, że nie troska i obawa o naród, lecz raczej przed narodem, przemawiały bardzo często przez usta burżuazyjnych polityków. Ale, panowie, nie zapoznawajcie natury żywiołu, który nam teraz przeciwstawiacie. Nie myślcie, że element narodowościowy będzie w Austrii działał konserwatywnie! Właśnie przeciwnie: element narodowościowy jest może najbardziej rewolucyjnym spomiędzy wszystkiego, o czym można teraz w Austrii pomyśleć. Pełne uznanie momentu narodowościowego rozbiłoby w zupełności Austrię i jej kraje koronne.

Czytajcie tylko, panowie, nasz program berneński, czytajcie odnośną literaturę, a zobaczycie, że żaden dynamit nie może działać tak rewolucyjnie i wybuchowo, jak pełne uznanie momentu narodowościowego w polityce austriackiej. Czy chcecie ten wybuch urządzić, czy chcecie już teraz kraje koronne wysadzić w powietrze? Gdyż tylko to, a nic

innego, oznacza użycie momentu narodowościowego jako najpierwotniejszego momentu w polityce.

W porównaniu ze skutkami momentu narodowościowego byłoby działanie powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego prawa wyborczego konserwatywnym. Wmyślcie się tylko w te rzeczy, a znajdziecie, dlaczego ma ono ten konserwatywny skutek szczególnie dla państwa: ponieważ łączy to państwo, ponieważ utrzymuje to państwo jako całość, ponieważ tworzy tysiące a tysiące dróg dla poszczególnych grup, klas, narodowych podgrup, które potem spotykają się na podstawie równego prawa i tylko na podstawie równego prawa są w stanie znaleźć jedynie możliwą podstawę w państwie.

Pod tym względem nie jest więc działanie równego prawa wyborczego wcale rewolucyjnym dla państwa, a najbardziej konserwatywnym polityk austriacki, który chciałby istnienia Austrii, nie zrobiłby innego kroku, nie mógłby znaleźć innego środka, tylko powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo wyborcze.

Panowie, jesteście to tajemnicą? Panowie młodocześni to wypowiedzieli. A i minister zapewne coś podobnego myślał i jestem pewny, że cesarz postąpił tak nie jako radykał, ale jako ten, który jest najbardziej konserwatywnym, który Austrii chce. Pewnym jest, że ten czynnik głównie przyczynił się za powszechnym i równym prawem wyborczym. A wobec Austrii i wobec interesów dynastii jesteście panowie — darujcie panowie, wielcy właściciele i szlachcice wszystkich narodów — rzeczywiście za mali. Znajdzie się już dach, znajdzie się izdebka, ciepła stodoła dla was. Znajdzie się dla was schronienie. Nie umrzecie politycznie z głodu. Niebezpieczeństwo to jest jeszcze bardzo, bardzo dalekie, a strach wasz jest nieuzasadniony.

Dlatego utrzymuję, że prawdziwie konserwatywna, godna męża stanu polityka musi zacząć od powszechnego, równego, bezpośredniego prawa wyborczego. W chwili największego niebezpieczeństwa wstrzymuje się to niebezpieczeństwo właśnie przez zaprowadzenie żywiołu łączącego, jedynego momentu państwowego, który na wszystkie czyniki równomiernie będzie oddziaływał.

Fantazje wsteczników

Jeżeli mi zaś odpowiecie różnymi utopijnymi, nie chciałbym wprost wyrazić się: dziecinnymi projektami, prosto z palca wyssanymi, w biedzie i rozpacz, jeżeli mi odpowiecie: może dałoby się to zrobić tak jak hr. Piniński proponował: połowa przez sejm, a połowa przez powszechne prawo wyborcze, jest to coś tak niemożliwie komicznego w danej chwili, że prawdziwie nie oplaca się wdawać w te za późno urodzone myśli. Nie pożyją one długo.

Odpowiadacie tylko frazesem! Wyciągnięto w ogóle najstarsze towary na światło dzienne, a wczoraj usłyszeliśmy jeszcze jako jeden warunek: może stowarzyszenia zawodowe jako podstawa doskonałości praw wyborczego. Jeżeli tak chcecie, dlaczego nie chcecie wprowadzić w Galicji zawodowych stowarzyszeń rolniczych, dlaczego opieracie się tej jedynej organizacji biednych chłopów galicyjskich, żeby nie mogli choć raz urzędnie naradzić się jako chłopska organizacja zawodowa nad oraniem, długami itd.

Tak dziwnie uderza mnie, gdy widzę tu reprezentantów chłopskich, którzy jakby ślepotą porażeni, myślą, że my jesteście ich wrogami. Przeciwnie — chcemy przecież, abyście otrzymali najszerszą demokratyczną podstawę dla waszej organizacji jako stan, klasa, zawód. Tego tylko wielcy panowie nie chcą!

Tych rolniczych organizacji zawodowych nie chcecie za żadną cenę w Galicji w życie wprowadzić, a teraz występujecie nagle i powiadacie: Może przecież organizacje zawodowe! Nie zdajecie sobie sprawy, co pod tym rozumiecie. Gdyż pytam was dzisiaj: Gdybyśmy przez 10 lat pracowali nad wprowadzeniem i ustaleniem organizacji zawodowych, co z tego wyjdzie? Czy parlament? Przenigdy; wyjdzie zjazd zawodowy, a nie parlament.

Co poczną organizacje małych krajów koronnych, np. Krainy? Te będą przecież musiały zostać połączone z innymi organizacjami, o ile to w ogóle będzie możliwe. Całe narodowe odgraniczenie jest niemożliwe przy organizacjach zawodowych jako podstawie prawa wyborczego.

Zresztą igracie panowie z ogniem! Do jakiej organizacji zawodowej należą np. panowie z Koła Polskiego? Czy jockey-klub także zostanie uznany jako organizacja zawodowa? Ma to i swoje dobre strony! Czyż te fluktuacyjne żywioły z Koła Polskiego, te włóczęgi, które raz w Paryżu, raz w Monte Carlo, a raz znowu w wiedeńskim jockey-klubie siedzą, aż z pustymi kieszeniami i zepsutym żołądkiem powrócą do swych dworów, czyż te ruchome, fluktuacyjne żywioły są w ogóle uzdolnione dla zorganizowania się zawodowo? Prawda, że w miejsce p. Abrahamowicza np. wolałbym jakiegoś uczciwego majstra kominiarskiego w polityce! Czy państwo jest jednak rzeczywiście wielkim stowarzyszeniem zawodowym? Czyż nie jest ono organizacją ludową, która ma nie tylko zawodowe, lecz tysiąc razy wyższe i szersze cele reprezentować i urzeczywistniać? Kto tu w poważnej debacie występuje z planami organizacji zawodowej, nie zdaje sobie w ogóle sprawy z tego, co mówi. Ma on na celu powiedzieć tylko coś na wiatr, aby nikt nie mógł nad tym się zastanowić, tylko aby nabawił się jakiegoś strachu.

Kto dojrzały, a kto nie?

Powiada się dalej, że wyborcy nie są jeszcze dojrzały. Jest to także dziwny temat. Wczoraj podobało mi się jedno zdanie z mowy hr. Dzieduszyckiego, w którym mówi o kulturze.

Powiedział on, że kultury nie można tak sobie mierzyć, jest ona zanadto różnorodną, żeby znaleźć dla niej wspólną miarę. W tym zgadzam się z nim zupełnie, zapytuję go tylko: Jak mierzy się dojrzałość wyborcy? Niech mi raz powie, kiedy można uznać wyborcę za dojrzałego, nie mówiąc już o tym, że liczy już 24 lat i spełnił wszystkie inne mechaniczne i przedmiotowe warunki? Łamałem sobie głowę i szukałem różnych wyrazów dojrzałości wyborcy.

Powiedziałem sobie: wyborca dojrzały musi przede wszystkim być w stanie oddać ważny głos, ten głos napisać albo kazać sobie napisać. Jeżeli więc na jakimś wielkim obszarze skonstatuje się bardzo wiele nieważnych głosów, w takim razie wyborcy ci może jeszcze niedojrzali. Ma to pewien sens. Mam tu bardzo ciekawe dane, które sens ten potwierdzają. Według autentycznych cyfr statystycznych, które leżą przede mną, było w Galicji — biorę dlatego Galicję, jako kraj, który hr. Dzieduszycki najlepiej zna — w V kurii, w której słynni „analfabeci” wybierają, w r. 1897 nieważnych głosów 20 na tysiąc.

W r. 1900 okazała się V kuria już dojrzałą, gdyż było nieważnych głosów już tylko 7 na tysiąc. A wiecie panowie, ile nieważnych głosów było w kurii wielkiej własności? 27 na tysiąc! Więc nawet do wypełnienia kartki wyborczej nie byli panowie dojrzały! Dojrzałość wyborcza leży, wedle mego zdania, w tym także, że przychodzi się głosować. Wyborca musi przecież przynajmniej czuć, że jest potrzebny przy urnie.

Posłuchajcie, panowie, jak dojrzałymi byli w roku 1901 szlachcice galicyjscy, wyposażeni w największe przywileje wyborcze. Nie będę was, panowie, nużył, cyfry są autentyczne, nie będę ich objaśniał, przytoczę je tylko: W roku 1901 było w Galicji w I kurii 2203 szlachciców uprawnionych do głosowania. Z tych głosowało 44 procent, a z tych 44 procent nie wszyscy jednakowoż osobiście, po prostu nie chciało im się przyjść, lecz w 48% głosowali przez pełnomocnictwa. W całej Austrii wynosi udział głosujących 56,9%, a tylko z tych najzacieklejszych żywiołów junkierstwa austriackiego było *zaledwie 44% reprezentowanych przy urnie*. Głosowało zatem w całym kraju *971 szlachciców, ale przy wyborach obecnych było ich tylko 456*. Piąta część szlachty raczyła łaskawie głosować osobiście. Natomiast ja mam w V kurii w Krakowie, gdzie masy ludności musiały naprawdę dzień stracić na wybory, 41 000, a pan Breiter we Lwowie 50 000 wyborców. Tu głosowało osobiście w V kurii w Krakowie 58%, a we Lwowie 46%.

A dla wyborów bezpośrednich i pośrednich klasycznym jest, że np. tam, gdzie były wybory bezpośrednie, jak w Austrii Dolnej i w Krainie, głosowało przy urnie 51%. Tam zaś, gdzie wybierano pośrednio, równie leniwie głosowano, jak szlachcice, mianowicie tylko 30%.

Nie szukajcie zresztą, panowie, w tych cyfrach oczywiście pełnego egzaminu dojrzałości, ale znamion zainteresowania politycznego, ujawniającego się w wyborach w wielkiej

własności galicyjskiej, dość jest w tych cyfrach, aby powiedzieć, że najmniej prawa macie wy, panowie, egzaminować lud co do jego dojrzałości. *Egzaminuj pan wprzód swoje najbliższe otoczenie, kochany panie hrabio Dzieduszycki!*

Chłopska krzywda!

Przyszedł on do nas także z taką nowoczesną, psychologiczną radą: „*Nie według szablonu!*”. I podoba się to hasło „nie według szablonu” wszystkim wrogom i fałszywym przyjaciółom reformy wyborczej. Panowie! Co znaczy to „nie według szablonu”? Czyż istotnie potrzebuje państwo wymierzać nierówność prawa? Czyż państwo potrzebuje już od pierwszej chwili stwarzać sobie mniej dobrych przyjaciół w każdym narodzie, bez konieczności, bez jakiegokolwiek widocznego głębokiego powodu?

Panowie! Powiadacie, że są jeszcze sejmy, kraje autonomiczne, autonomia narodów itd. To wszystko prawda. Prawda, że *autonomia* musi się wzmocnić, musi się rozszerzyć, że musi otrzymać zdrową podstawę; to wszystko potwierdzę p. hr. Dzieduszyckiemu. Jeżeli jednak on sobie to myśli bez *reformy sejmowej ordynacji wyborczej*, jeżeli jest rzeczywiście tak naiwnym i wierzy, że ta wielka fala ludowa, która tu bije o bramy i te bramy kiedyś rozbije, zatrzyma się przed sejmami i cofnie się lekko, to myli się on grubo.

Posel dr Kolischer: On tego wcale myśli.

Skąd pan wiesz, co on myśli? Czyś pan jego faktorem? Czyż zawsze jest tak, że fabrykanci w Galicji, którzy dostarczają papieru, dostarczają także i myśli? Wszak pan jesteście najzacieklejszym wrogiem reformy, pan szcuziesz na wszystkie boki, panie dostawco dla instytucji państwowych! Nie ośmielaj mi się pan przerywać! Mam tego dość!

Panowie! Ale jest jeszcze jeden ratunek: wypowiedział się tak nawiasem hr. Dzieduszycki, mówiąc, że *prawo wyborcze powinno być pośrednie*. Oto jest jedyne postępowanie „nie według szablonu”, jakie hr. Dzieduszycki rozumie pod swą mądrą psychologią polityczną! Pośrednie mają być wybory, przynajmniej w Galicji! Panowie! Wczoraj, przedwczoraj i dzisiaj słyszeliśmy przedstawicieli innych stronnictw galicyjskich spoza Koła Polskiego. Czy sądzicie, że to będzie mądrze, jeżeli 5 milionów chłopów wydacie na łup z tysięcy obszarników? Czy sądzicie, że przysłużycie się tym w jakikolwiek sposób kulturze, postępowi, dobru państwa i parlamentu? Czy sądzicie, że to będzie możliwe, że ci chłopcy galicyjscy tak się poddadzą na wasz rozkaz, gdy zechcecie jaskrawej niesprawiedliwości?

Cóż to jest, to pośrednie prawo wyborcze w Galicji? Wiecie, panowie, że to znaczy 6240 prawyborów? A każde prawyborstwo w usługach szlachty są nową sposobnością do szwindlu i oszustwa, do krwi rozlewu i pogwałcenia bezbronnej ludności!

Zdarzało się, że rząd przy wyborach nie był w stanie obsłużyć gmin, tak, że jako komisarzy rządowych wysyłał weterynarzy, urzędników pocztowych itp., byle tylko odnośni panowie mieli na głowie czapkę z orzełkiem, i ci funkcjonowali jako komisarze rządowi przy prawyborach!

Handlarze chłopskich dusz

Wpływem pośrednich wyborów jest przecież najohydniejsza *korupcja*, kupowanie sumień tych biednych chłopów, nie tylko zatruwanie i korumpowanie jednostki, lecz zatruwanie i korumpowanie całej klasy, całych stronnictw przez *te pieniądze judaszowe*, które się rozrzuca przy wyborach, które się tak gorliwie zbiera od obszarników jako *obowiązkowy dodatek do podatku gruntowego*, które się zbiera od takich ludzi, jak ci, co się tu sprzeciwiają i *dziesiątki tysięcy płacą za swe mandaty*, za swą zdradę ludu, za swą bezczelność, za swój tytuł „posła do rady państwa” — a które centralny komitet wyborczy otrzymuje krociami, aby lud korumpować, aby lud kupować i zatruwać, i utrzymywać nadal w niewoli!

Panowie! Pośrednie wybory to brak wszelkiej orientacji w okręgu; idzie przecież nie o wybór posła, lecz wprzód o wybór mężów zaufania, a ci mężowie zaufania są po prostu zmuszeni iść na niebezpieczną drogę korupcji; są albo sterroryzowani, albo kupieni; w każdym razie to, co najcenniejsze — bezpośredni stosunek między wyborcami a wybie-

rany — jest po prostu zdmuchnięte. Ale o ten stosunek idzie przecież, o dojrzałość nie tylko wyborców, lecz także i wybieranego; o moralną dojrzałość tu idzie, a tej moralnej dojrzałości nie chcecie dopuścić. Dlaczego? Bo tych paru szlachciców wzdryga się zstąpić do ludu, pójść na zgromadzenia ludowe, w takim bowiem razie mielibyście z pewnością tyle mandatów, co dziś.

Lud w Galicji jest dobroduszny, lud w Galicji jeszcze długo, jeżeli będzie widział przed sobą choć na pół szczerego człowieka, z pewnością będzie raczej wybierał właściciela ziemskiego niż socjalistę gdzieś tam na wsi. Strach przed przyszłymi wyborami jest możliwy tylko u tych zwapniałych ludzi, którzy w ogóle nigdy na oczy nie widzieli zgromadzenia ludowego, którzy nie chcą się popularyzować wśród ludu, nie chcą się spoufalać z ludem, którzy nie chcą zstąpić do ludu jako bracia, jako równi. Ale z powodu tego strachu nie wydacie im przecież na łup milionów niewinnych chłopów! Nie możecie absolutnie, panowie, głosować za pośrednimi wyborami w Galicji!

Panowie! Mówiłem o kupowaniu sumień i przy tym przychodzi mi do głowy pewna myśl: czy by w ostatniej potrzebie nie było możliwym — wykupić szlachciców? Myśl to nie tak nowa i nie tak oryginalna: Wolność chłopów, emancypacja chłopów w r. 1848 została przecież zidemnizowana, została wykupiona i chłopci zapłacili za nią szlachcie przeszło 200 milionów koron. Za prawo wyszynku, za prawo propinacji kazała sobie szlachta w r. 1889 zapłacić 134 miliony koron. Teraz fundusz propinacyjny już się kończy; właśnie w r. 1910 szlachcice będą znowu czegoś potrzebowali. Czy by to nie było praktyczne od każdego z nich po prostu odkupić jego prawo i puścić go w trąbę — naturalnie politycznie puścić go w trąbę? Robię tę propozycję oczywiście nie jako warunek, pod którym bym oświadczył gotowość wzięcia pod rozwagę przedłożenia rządowego.

Liczba mandatów

Wróć jeszcze do jednej rzeczy. Hr. Dzieduszycki oświadczył wczoraj z wielkim naciskiem, że liczba okręgów wyborczych w Galicji musi być powiększona. Zgadza się z nim w zupełności. Nie mogę się tylko zadowolić frazesem, który może przybrać wszelkie możliwe rozmiary, który może wyglądać jakby groźba. Socjalna demokracja nie jest za cenzurą, jest ona za pełnym, szczerym, równym prawem wyborczym całej ludności. Jeżeli zważymy, że Austria ma przeszło 8 narodów, to sama liczba mandatów dla poszczególnych narodów Austrii z pewnością nie posiada znaczenia zasadniczego, ratującego przyszłość, bo w tym parlamencie każdy naród będzie w mniejszości, nawet Niemcy, zatem największy naród, muszą pozostać w mniejszości. Oto jest prawo liczby. Skoro zatem każdy naród z osobna jest w mniejszości, to wiadomo bardzo dobrze, że Izba otrzyma zdolną do rządów większość jedynie przez kompromisy, przez jakieś polityczne programy i cele, przez jakieś koalicje polityczne. Musimy sobie już z góry powiedzieć, że nie wszystkie 100 czy 90, czy 95 mandatów — nie wiem, jak serio traktuje hr. Dzieduszycki swoje żądanie — które wypadną na Galicję, przypadną Kołu polskiemu, i że z pewnością nie wszyscy będą w równej mierze podatnymi do kompromisów i zdolnymi do sojuszków na zewnątrz. Sprawa będzie, przeciwnie, wedle partii, wedle programów regulowana. Nie jest zatem dla nas wcale tak zasadniczo ważnym, czy mieć będziemy dwa lub trzy mandaty ponad sto, czy poniżej setki, dla nas jest zasadniczo ważniejszym, żeby te mandaty przedstawiały realny wyraz sił ludowych w danej całości narodowej. Jeżeli zatem liczby mandatów nie spuszczamy z oka, to jednak nie uczepimy się liczby jak gdyby jedynie decydującego czynnika. Aby ująć tę sprawę tak, by raczej pomogła reformie wyborczej, a nie stała jej w drodze jako hamulec i przeszkoda, musieliby panowie z Koła Polskiego zdeklarować się wprzód jako gorący zwolennicy powszechnego, równego prawa wyborczego. Albowiem robi to na nas wrażenie nieszczerości, gdy widzimy wprzód usiłowania, jakie czyni p. hr. Dzieduszycki, by okrzyknąć nasz lud jako niedojrzały, by przedstawić nasze masy chłopskie jako niezdolne do bezpośredniego głosowania, a na końcu swej mowy powiada, że ten niedojrzały lud, ten lud niezdolny do wybierania ma dostać największą liczbę mandatów.

Czy nie widzicie w tym, panowie, sprzeczności, czy nie widzicie, że w tym po prostu wyraża się nieszczerłość w całej tej sprawie? Kto sobie chce ustanowić prawo do największej

liczby mandatów, ten musi wprzód chcieć reformy wyborczej, ten musi wprzód potępić obecny stan rzeczy, ten musi wprzód usunąć panującą obecnie krzywdę.

A bezprzykładną krzywdą jest to, co teraz istnieje w Galicji. Mamy 78 mandatów na 7 315 000 mieszkańców. I mandat jest w Galicji czymś takim, na co się rzeczywiście dopiero setki tysięcy ludności złożyć mogą. Bo właściwie nie jest to prawdą, jakobyśmy mieli 78 mandatów. Nie, panowie! 23 z nich ma 400 szlachciców i 90 wyborców w Izbach handlowych. My mamy właściwie tylko 55 mandatów.

I z tego powodu powinniśmy się liczyć z tym, że reforma wyborcza, że równe prawo wyborcze w każdym razie będzie dla ludu lepsze, pożyteczniejsze, korzystniejsze pod względem uposażenia w mandaty, zupełnie tak samo, jak oddziała i pod każdym innym względem.

Naprawcie stare grzechy!

I dlatego chciałbym tych kilka uwag skierować pod adresem Koła polskiego.

Panowie! Zaprzestańcie tej gry w ślepią babkę, zaprzestańcie tej nieszczerości! Jeżeli pragniecie powiększenia potęgi naszego narodu w tym państwie, to stańcie na stanowisku całego ludu, to chwytajcie każdą sposobność, by naprawić przeszłość, by zatrzymać pamięć grzechów popełnionych względem tego narodu.

Dlatego, panowie, *apeluję szczególnie do przedstawicieli miast w Kole Polskim*. Ludność miejska w Galicji wynosi nie mniej jak 1 600 000 dusz. Jest to dość szeroka podstawa, aby na niej zbudować potęgę polityczną, aby oparłszy się o nią, prowadzić pozostałe masy ludności. Jeżeli wy, panowie, w danym momencie pozwalacie, by w waszym imieniu przemawiał tylko Dzieduszycki, to pamiętajcie o swojej przyszłości! Albowiem lud miejski w Galicji już dowiódł, że politycznie o wiele prześcignął wasze stanowisko. Ta ludność miejska jest już dosyć dojrzała, dosyć emancypowana, aby dłużej nie ścierpieć panowania Dzieduszyckich i kliki szlacheckiej.

Nasze demonstracje w ostatnich miesiącach, nie tylko za prawem wyborczym do parlamentu, lecz także za sejmową reformą wyborczą, dowiodły, że miasta galicyjskie maszerują po tej wielkiej linii, na której się znajduje proletariats całego państwa, że i w miastach galicyjskich pragnie się powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego. I nie zapominajcie, że walka w Rosji jeszcze nie rozstrzygnięta, że nam każdy dzień, każda godzina donosi o nowych ofiarach, które nasi rodacy, walcząca rewolucja w zaborze rosyjskim, składają na ołtarzu wolności. Nie zapominajcie, że Polacy w Galicji także muszą to zrobić, co są w stanie zrobić po drugiej stronie kordonu rosyjskiego. Dziś albo nigdy możemy wywalczyć nasze prawo, i wywalczymy je!

Powyższy tekst to zapis przemówienia w Izbie Posłów dnia 5 grudnia 1905 r. Opublikowano ją w piśmie/broszurce „Latarnia” tom XLIX, bez daty wydania. Tekst przedrukujemy za portalem Lewicowo.pl.

POLITYKA PROLETARIATU. KILKA UWAG O TAKTYCE REWOLUCJI W POLSCE

Bojownikom Polskiej Partii Socjalistycznej w dowód głębokiej czci poświęcone

Przyszły dla ludu polskiego czasy ważne, czasy krwawe. Chadzał ten lud dotąd w nizinie nędzy, w jarzmie niewoli u swoich i obcych. Modlił się i czołem bił o ziemię rodzicielkę, co nie miała dla chłopca jasnej doli, bo wszystko było dla pana, dla szlachcica. A kiedy część jego z ziemi wyzuto, wydzielczono i wpędzono do fabryk i warsztatów i tam doli nie zaznał syn chłopski, co się stał robotnikiem, proletariuszem. Ten syn chłopski pracować musiał całe życie na fabrykantów, na właścicieli kopalń, na bogatych akcjonariuszów — kapitalistów. W drobnym zaś przemyśle i handlu, w tysiącu zawodach pracy ludzkiej, tak samo nękał się robotnik wśród trosk wiecznych o wyżywienie siebie i rodziny, o zaspokojenie głodu i najważniejszych potrzeb.

Zdawało się wielu, jakoby ta masa ludzka, ten chłop i robotnik, ta ogromna większość narodu na to tylko istniała, aby żywić, ochraniać, pielęgnować kilkadziesiąt tysięcy ludzi zamożnych w Polsce, aby dawać rekruta, płacić podatki rządowe i słuchać bezlitosnych, niesprawiedliwych ustaw i rozkazów z góry. Nikogo nie razila nędza, ciemnota i niewola ludu. Wszak tak było od wieków i gorzej jeszcze było... Jedni ogłaszali to za prawo natury, za konieczność historyczną, drudzy z nędzy i niewoli zrobili cnotę religijną, miłą Panu Bogu i wszystkim świętym. I był nie tylko chleb inny dla biednych, a inny dla bogatych, ale powstała nauka dla biednych, religia dla biednych, zabawy dla biednych, odmienne niż dla bogatych, oświeconych, szczęśliwych...

A i ta masa roboczego ludu poczęła sama o sobie myśleć, oderwała myśl biednej swej głowy od wiecznych nędz swoich i zwróciła ją na warunki swej pracy, swego życia. „Materiał ludzki”, przydatny tylko dla wyzysku i ucisku, stawał się istotą myślącą, przeciwstawił światu swoje pragnienia, swoje dążenia, swoje interesy, zaczął być człowiekiem. Z chwilą zaś, kiedy robotnik, *jako* członek swej klasy, staje się człowiekiem, zaczyna być socjalistą. Jednostka myśląca tylko o sobie i swoich najbliższych, może wyzwać się z biedy lub ciemnoty w przeróżny sposób; robotnik może stać się tu i owdzie małym przedsiębiorcą, może wygrać na loterii, może z syna swego, wśród nieopisanych trudów, zrobić adwokata lub lekarza; to wszystko ma znaczenie tylko dla jednostek. Jeżeli klasa robotnicza na wsi i w mieście chce się wyzwolić, jeżeli miliony zapragną otrząśnięcia się z biedy i niewoli, muszą stawać się socjalistami, muszą znieść przywileje posiadania prywatnego, muszą usunąć ustawy, dające mniejszości całą władzę, muszą całą gospodarkę zmienić w narodzie.

Przeciwstawienie się klasy pracującej warunkom, w jakich ona żyje, ogarnięcie całości kształtu tych warunków, poznanie ich praw rozwoju i chęć wykorzystania tych praw dla dobra całości społecznej, to powstawanie socjalizmu. Wszystko to jest zjawiskiem historycznym, wyrosłem na tle długich wieków, w których niemożliwością była jasna myśl proletariatu o całości warunków życia społecznego, w których nie było nawet jeszcze proletariatu w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Zjawisko to mogło powstać dopiero w pewnym okresie, mozolnie i wśród wstrząśnień głębokich zrodzonym. Potrzeba było najpierw przeorać wszczepić i wzdłuż dawne formy społeczne, ażeby powstał proletariatus, żywiący pracą swoją klasy posiadające, aby ten proletariatus w masie uzyskał pewną swobodę ruchu, umożliwiającą jego organizację społeczną i polityczną, aby wreszcie mogło; w masach łatwo powstać inne pojmowanie całości spraw społecznych, odmienne od pojmowania klas posiadających. Wreszcie musiała wzrosnąć ogromnie wydajność pracy ludzkiej, powstać używanie potężnych sił przyrody, wody, pary i elektryczności, aby praca ludzka mogła stworzyć byt wygodny już nie dla kilkudziesięciu tysięcy zamożnych, ale dla wszystkich.

Wszystkie te zmiany dojrzały lub dojrzewają w naszym społeczeństwie, a w ślad za nimi dojrzewa poczucie potęgi i znaczenia proletariatus, dojrzewa jego świadomość klasowa.

Lud-olbrzym zaczął się liczyć, zaczął tworzyć nowe idee, myśli „przewrotne” tj. całkiem inne od tych, które mu klasa posiadająca wpajała w umysł dotychczas. Zaczął się wspaniały proces tworzenia innej moralności, innych pojęć o religii, narodzie, państwie, nauce i sztuce. Początek tych zmian w duszy ludu sięga daleko w przeszłość i należy do historii; w pewnym okresie jednak zmiany te zaczynają być dość głębokie i silne, aby stworzyć w ludzie siłę, która nie zadowolony się marzeniami i „zakazanymi” myślami, a zechce je w czyn przemienić. Powstaje specjalna organizacja w celu walki o ideały klasy robotniczej: powstaje partia socjalistyczna.

Partia socjalistyczna staje się z biegiem czasu wyrazicielką dążeń całej ludności pracującej i obrończynią jej interesów. Nie działa ona jednak na pustyni; przeciwko niej zwracają się natychmiast wszystkie siły klasy posiadającej; cały aparat ucisku i prześladowań otacza partię, gotów do jej rozbicia i zgniecenia. Moralisci i filozofowie kapitalizmu spotwarzają i zbezczeszczają partię proletariatu; z tysiąca ambon księży, żyjący z grosza wierzących biedaków, grożą jej piekłem, wyklinają, szarpią religijne uczucia ludu i sypią najgłupszymi oszczerstwami; policja i sądy więżą jej przywódców wbrew prawom, nawet przez klasę posiadającą uchwalonym. Wybuchła walka zjadła, w której klasa pracująca dąży do zawiadnięcia wszystkimi placówkami w społeczeństwie, a przede wszystkim wyzyskuje prawa, wytworzone już przez klasę posiadającą i konieczne dla rozwoju tej klasy. Więc gdzie klasa kapitalistyczna — zawsze za pomocą sił ludowych — zdobyła wolność słowa, druku, zgromadzeń, stowarzyszeń, tam partia socjalistyczna stara się swobód tych użyć dla klasy pracującej. Gdzie zarząd gminą, krajem i państwem tworzy się przez wybory, w których robotnicy mają prawo głosowania, tam partia wysyła reprezentantów ludu, aby tworzyli prawa ochronne, dopomagające ludowi do wszechstronnego spotężnienia, aby kontrolowali klasę posiadającą i nie pozwalali jej krzywdzić ludu dalej bez sprzeciwu ze strony tego ludu. Ogarniając coraz to większe masy ludowe, partia tworzy prasę, sztukę, literaturę dla klasy pracującej, daje tej klasie, o ile to możebne, coraz to więcej punktów oparcia i instytucji, w których dorosły robotnik, mężczyzna, kobieta i dziecko bronić się mogą przeciwko nędzy i ciemnocie, zajmuje się losem chorego robotnika, starca-inwalida, wdowy i sieroty po proletariuszu. Tysiącem wpływów paraliżuje partia wszelkie zamachy na ludność pracującą, hartując tę klasę w walce z wyzyskiwaczami i ciemiężycielami.

Najważniejsze punkty dążeń partii ujęte są w krótkim, jasnym zarysie, zwanym programem. Program wykreśla jak najdalszą metę dla walk partii, dla prac jej wszystkich członków. Stosowanie zaś programu partii w danej chwili, wśród warunków zmiennych i coraz to innych, zowie się taktyką partii. O ile program jest wyrazem wszystkich najważniejszych potrzeb klasy pracującej w społeczeństwie, drogowskazem w przyszłość dalszą, przykazaniem opartym na poważnych wynikach nauki, całokształtem pojęć o roli i stanowisku klasy pracującej wśród społeczeństwa, o tyle taktyka zmieniać się musi bardzo często. Inaczej będzie ona wyglądała tam, gdzie np. jest jakaś konstytucja, gdzie burżuazja ufna w swoją potęgę finansową, nie ucieka się co chwila do przemocy policyjnej lub wojskowej, — inaczej zaś tam, gdzie nie ma żadnych swobód politycznych, gdzie trzeba kryć się z każdym słowem.

Dobór mądrej i stosownej taktyki jest dla każdej partii świadectwem jej dojrzałości. Sił ludu marnować nie można złą taktyką, bo ten lud nie płaci swoich klęsk pieniędzmi, jak kapitaliści, ale głodem i śmiercią swoją, jedynym skarbem, jaki lud posiada: swoją egzystencją. I nic dziwnego, że dzisiaj, wśród walk rewolucyjnych, wśród męczeńskiego poświęcania się jednostek socjalistycznych, a często i całości ludu roboczego, wśród zmieniających się co chwila warunków walki rewolucyjnej, pilnować się nam wszystkim należy, czy polityka partii dobra, wiodąca do celów partii: do urzeczywistnienia jej programu. Nie ma świętszego obowiązku dla myślącego socjalisty, jak ciągle badać, czy walka, której wynik może dać zwycięstwo ludowi, prowadzi do tego zwycięstwa rzeczywiście, czy te skończy się — skutek złej taktyki — osłabieniem obozu ludowego.

Walki dzisiejsze są bardzo zło one i trudne; wrogowie ludu jeszcze potężni, jeszcze posiadają ogromny zasób środków morderczych przeciwko socjalistom, lud zaś jeszcze w znacznej części obojętny, ciemny, często własnemu swemu wyzwoleniu wrogi. Maszyna rządowa, gniotąca lud, coraz to większa, burżuazja czujna i strzegąca bezwzględnie swoich interesów; stopień rozwoju społeczeństwa na wiele środków walki ludowi jeszcze

nie pozwala. Minęły czasy Jozuego, kiedy od dźwięku trąb runęły mury Jerycho... Samo ogłoszenie rewolucji i podjęcie jednej lub drugiej masowej akcji rewolucyjnej, wrogów jeszcze nie pokona.

Kto lud kocha, kto jego krew przelaną za wolność, chce zrobić prawdziwym tej wolności cementem, ten nie zawaha się przed wytknięciem błędu, ten przed manowcami przestrzegać będzie, choćby to komu było przykrym i nie na rękę. Oto powody, dla których odzywam się dzisiaj z tymi kilkoma uwagami o taktyce rewolucji w Polsce.

I. JAK DŁUGO POTRWA REWOLUCJA W ROSJI?

Pytanie to nie ujmuje sprawy dokładnie. Cóż bowiem znaczy „rewolucja” dla robotnika socjalisty, a co dla fabrykanta, lub czynownika? Dla narodowych demokratów rewolucja skończyła się była już w listopadzie 1905 r., kiedy car obiecał „konstytucję” i kiedy ogłoszono wybory do Dumy petersburskiej. Dla czynownika rewolucja w ogóle nie istnieje; są tylko bunty i rozruchy. Dla niektórych socjalistów zwołanie sejmu autonomicznego w Warszawie oznaczałoby koniec rewolucyjnego ruchu i możliwość przejścia do rozwoju powolnego „pokojowego”.

Dla nas pierwszą fazą zwycięskiej rewolucji jest obalenie caratu i utworzenie takich warunków prawnych, w których by naród cały stanął o swoim losie w gminie i sejmie, do których obowiązywałoby powszechne, równe, bezpośrednie, tajne i proporcjonalne prawo głosowania. Obalenie caratu i wprowadzenie Konstytuanty w Warszawie, to jest mniej więcej kres właściwej rewolucji, tak jak ją dotąd głosiły urzędowe odezwy Polskiej Partii Socjalistycznej.

Zadanie to samo przez się tak ogromne, w stosunku, do dzisiejszych sił PPS tak trudne, wobec historii Polski i Rosji tak złożone, że samo nakreślenie tych granic dla rewolucji dzisiejszej zwalnia nas od stawiania pytań: „a co może być potem?”

Wprawdzie wielu bardzo gorliwych towarzyszy sądzi, że celem tej rewolucji będzie wprowadzenie socjalistycznej produkcji i socjalistycznego ustroju w ogólności, lecz i oni zgodzą się chyba, że najpierw trzeba obalić rządy cara i mieć losy swoje w własnym ręku. Nie przesądzamy zatem dalszych faz rozwoju, już choćby dlatego, że mówienie o nich dzisiaj musi być pełne dowolności i daje powód do zupełnie pustych sporów, których należy unikać tam, gdzie robota pali się w ręku...

Nie chcemy przez to zatrzeć ani jednego momentu socjalistycznego, lub proletariackiego w dzisiejszej akcji rewolucyjnego proletariatu; wiemy dobrze, że samo postawienie bliższego celu niczego jeszcze nie mówi. Gdyby nawet polscy ugodowcy, czy żydowscy fabrykanci w Polsce ten sam cel sobie postawili, co i socjaliści, to jeszcze innymi drogami do niego zdążać by musieli.

Proletariat ma swoje drogi, swoje odrębne środki walki, i swoje pojęcia odrębne o jej celu, bliższym, czy dalszym. Czy zatem kto zechce nazwać tę rewolucję „polityczną”, czy „społeczną”, dla nas to jest tylko nic nie mówiącą nazwą. Ważnym natomiast, że najdzielniejszym, często jedynym stałym czynnikiem w tej rewolucji: proletariat polski pod wodzą swojej świadomej organizacji klasowej PPS. Przy powyżej nakreślonym celu rewolucji, to zadecydować musi o jej przebiegu. Rewolucją bowiem „robi się wprawdzie sama”, ale przez ludzi, a raczej przez klasy społeczne.

Otóż postawmy teraz pytanie: jak długo potrwa rewolucja? Zbadajmy najpierw jej warunki stałe, lub mało zmienne. Są to: obszar kraju i rodzaj ludności kraj zamieszkującej. Obszar Rosji, o ile będziemy całe państwo rosyjskie uważać za teren rewolucji, jest tak ogromny, że sama odległość poszczególnych osiedli ludzkich już by stanowiła o powolnym tempie celowych ruchów rewolucyjnych. Rosyjskie imperium ma przeszło 20 milionów kwadratowych kilometrów, z czego na Rosję europejską przypada około czwarta część. Cała ta ziemia ogromna, dwadzieścia razy większa od wielkiego państwa europejskiego, jest bardzo słabo zaludniona, a sieć kolejowa, telegraficzna i telefoniczna jest najrzadszą w Europie. Blisko 5% części kolei rosyjskich biegnie w Rosji europejskiej, a tylko 1/6 w Syberii i Mandżurii. Na 100 kilometrów kwadratowych ziemi wypada w Rosji europejskiej tylko 900 metrów kolei, tj. niecały kilometr¹, podczas kiedy w Niemczech

¹1 kilometr — 1000 metrów, jest nieco mniejszy od wiorsty. Wiorsta = 1,07 kilometra. [przypis autorski]

wypada przeszło 10 km kolei. Na Sybirze zaś na 100 km², ziemi wypada tylko 0,07 km, czyli 70 metrów kolei!

Ludność zaś zamieszkująca Rosję, to w ogromnej większości chłopi. Ludność miast to zaledwie mała część całości, nie większa nad szóstą część. Przy tym ludność wsi i miast tonie w analfabetyzmie i śmiało można przyjąć, że wśród mężczyzn zaledwie 15 na sto umie czytać; wśród kobiet jest jeszcze gorzej. Rolnictwo i analfabetyzm nigdzie nie sprzyjają nowoczesnym ruchom rewolucyjnym, prowadzonym przez proletariata. Oczywiście mamy na myśli rolnictwo pierwotne, półdzikie, nie wspierane organizacjami handlowymi i przemysłowymi społeczeństwa. A pod analfabetyzmem masy, żyjącej w takim pierwotnym rolnictwie, trzeba rozumieć także straszłą ciemnotę tej masy wobec zjawisk przyrodniczych lub społecznych. W ruchu rewolucyjnym tej ogromnej masy wynoszącej około 100 milionów ludzi, mogą wprawdzie zajść pewne skrócenia przez celową agitację, ale każdy wie, że obok agitatorów rewolucyjnych są agitatorzy rządowi lub w ogóle kontrrewolucyjni. A do takich w pierwszym rzędzie należy zaliczyć ogromną, rozległą organizację kościoła prawosławnego, który w samym wewnętrznym układzie swoim jest właściwie „carosławnym”.

Pomimo ogromnej demoralizacji czynownictwa, czyli właściwej organizacji rządowej, nie trzeba zapominać, że to czynownictwo istnieje, że swój byt prawie wszędzie związało z caratem, że w tłumieniu rewolucji będzie ono najdzikszy, najbardziej zbydlęconym i okrutnym. Z natury ono już dzikie i spodłone, a coś dopiero w krwawej atmosferze walk rewolucyjnych! Drabina biurokratyczna dzisiejszej Rosji kończy się wśród zgrai wielkich książąt, z których tacy Siergieusze, Włodzimierze i Aleksieje dowiedli świata, że są po prostu zwierzętami drapieżnymi.

Masa chłopska w Rosji do ostatniej chwili pozostała wierna tronowi i w ogóle nigdy w wieku minionym nie okazywała chęci przemiany ustroju politycznego państwa. W wielu guberniach masa ta znosiła nawet chroniczny głód przez dziesiątki lat bez zachwiania w sobie wiary w cara i jego rządy. Głody rosyjskie trwają z krótkimi przerwami od r. 1891 i zdołały zrujnować nie tylko zdrowotność znacznej części masy chłopskiej, ale i samo gospodarstwo chłopa, pozbawionego bydła mlecznego i pociągowego, a w ślad za tym i nawozu, potrzebnego nieodzownie w gospodarstwie. Znędnienie tej masy jest tylko pozornie czynnikiem rewolucyjnym. Trwa ono zbyt już długo, żeby tę nędzę można po prostu uważać za główny motyw do wybuchu rewolucyjnego.

To też ciągle się słyszy, gdy mowa o chłopach, jako o czynniku rewolucyjnym, słowa: „ruch żywiołowy”, „ferment”, „wybuch rozpaczny”, ale nic się nie umie powiedzieć pewnego o rozmiarach spodziewanych rozruchów, ani nawet o ich umiejscowieniu. „Żywiołowość” ta polega przede wszystkim na fackie, że chłop rosyjski ma za mało ziemi i że pożąda tej ziemi więcej. Oczywiście, że mała ilość ziemi w ręku rosyjskiego chłopa jest pojęciem względnym. Na gospodarstwo chłopskie przypada od 7 do 60 hektarów². Gdyby np. francuski chłop miał tyle ziemi, czułby się szczęśliwym i zamożnym. Ale przy najnędzniejszej gospodarce rosyjskiego chłopa, zaziera mu często głód w oczy. Około 70% chłopów nie może wyżyć ze swojej roli. W latach 1892, 1898, 1899, 1900 i 1905 nawiedzały też chłopa rosyjskiego straszne głody, od których wsie całe marły, a stan bydła został zdziesiątkowany. Przy tym chłop rosyjski uprawia rolę gminną, która ulega co dwanaście, a nawet co trzy lata nowemu podziałowi. Prawie 12 milionów gospodarstw chłopskich znajduje się w tym położeniu. Więcej niż drugie tyle ziemi znajduje się w posiadaniu państwa i korony carskiej. Jest więc z czego nadzielić chłopów, pragnących powiększenia swej ziemi. Ale „żywiołowość” tego ruchu chłopa rosyjskiego może być dla rewolucji obosieczną. Skoro chłop na razie niczego nie pragnie tak namiętnie, jak powiększenia swojej ziemi, to będzie on przyjacielem każdego, kto mu tę ziemię da. Da mu ją rewolucja, tym lepiej dla niej i dla niego, ale jeżeli da mu ziemię car, wówczas nie poprze on rewolucji w danej fazie, lecz może nawet przeciw niej się zwrócić..

A car w strasznym niebezpieczeństwie, które mu grozi, może się zdecydować na tę rolę zbawcy chłopskiego; w biedzie i diabeł nauczy się modlić... Wówczas rachuba na żywiołowy ruch chłopów przeciwko rządowi, doznać gotowa pewnej, bolesnej pomyłki. Wprawdzie i wtedy chłop będzie coraz to niepewniejszą podstawą tronu, bo dzisiejsze

²1 hektar = 100 arów, wynosi ¼ polskiej morgi. [przypis autorski]

państwo kapitalistyczno-militarne potrzebuje przemysłu i w każdym razie innego chłopą, niż obecny rosyjski. Danie mu większej ilości morgów ziemi także sprawy chłopskiej nie rozstrzygnie, ani nie uleczy niedomagań chłopskich. Oprócz bowiem ziemi potrzebuje chłop bydła pociągowego i innego, potrzebuje ogromnej ilości linii kolejowych i dróg, a przede wszystkim potrzeba mu szkół, zwyczajnych i fachowych. Tęgo zaś carat mu nie da rychło i dać nie może. Centralizm biurokratyczny, skoncentrowany w dworze carskim, zabija i będzie zabijał wszystkie bardziej złożone funkcje gospodarcze, nie mówiąc już o szkolnictwie. Chłop nie przyjdzie do siebie, nawet gdyby mu darowano więcej ziemi, dopóki nie zmieni się cały ustrój polityczny Rosji.

Rozważając zatem z ogólnego stanowiska sprawę chłopską w Rosji, trzeba być przygotowanym w każdym razie na długie lata wrzenia wśród chłopstwa, trzeba brać w rachubę ciągłą możliwość buntów chłopskich, ale nie można absolutnie ocenić z góry ani ich natężenia, ani nawet ich kierunku wobec rewolucji. Nie należy się ludzić żadnymi zdarzeniami parlamentarnymi z krótkiego okresu nieboszczki Dumy. Kadeci zmuszeni do postawienia sprawy chłopskiej na porządku dziennym, próbowali ją tak rozwiązać, że po pewnym czasie kompromis ich z rządem byłby zupełnie możliwym, gdyby ten rząd nie był tak zacieklwym i nie wierzył tak bardzo jeszcze w swoją siłę. Carat za ściśle z chłopem rosyjskim związany, aby dał go sobie wyrwać komukolwiek bądź bez zajadłej i długiej walki. Okrutne egzekucje, wykonywane na wsi na chłopach rozżarzają wprawdzie nienawiść chłopą do czynownika, ale jeżeli ten czynownik zjawi się z ukazem carskim, nadającym więcej ziemi, wówczas żywiołowy ruch antyczynowniczy będzie wdzięcznością otaczał nowych dobrodziejów, a kto wie jeszcze, jak odniesie się do agitatorów socjalistycznych.

To, co w Rosji ponad chłopem, jako klasą, reprezentuje dziś rewolucyjne zapędy, miało czas w krótkim okresie dwu lat ostatnich przedstawić się naszym oczom i z tych dwu lat możemy już pewne wnioski wyciągnąć. O więc „kadeci” zdążyli rozwiązać niejedną nadzieję, którą rewolucjoniści w nich pokładali. Jeżeli chodzi o carat, to wszyscy dziś czują, że przemiana caratu w monarchię konstytucyjną, z pewnym podziałem władzy między dworem a kadetami, „uspokoiłaby” na dłuższy okres czasu całą ich „rewolucyjność”.

O stronnictwach szlacheckich, czynowniczych lub popskich nie można w ogóle mówić jako o czynnikach przyspieszających rewolucję. A spodziewać się po Romanowych, że ustąpią rychło wobec wymownych profesorów, adwokatów, uczonych lub literatów, byłoby zupełną nieznajomością historii dynastii w ogóle, a takich drapieźców, jak Romanowy — w szczególności...

Pozostaje proletariat, a w nim jako czynna siła rewolucyjna: Kilka partii socjalistycznych, wiecznie ze sobą w rozterce, partii stosunkowo młodych, które w tworzeniu samych programów swoich różnią się już ze sobą, nie mówiąc o taktyce, tak, że przy każdym koniecznym zwrocie w toku walki rewolucyjnej, poszczególne partie nie są zgodne w sobie i ulegają tarciom wewnętrznym, czyli tragicznej nieraz utracie sił. Pomimo tego musimy proletariat w Rosji, a zwłaszcza tak zwany „proletariat inteligencji” uważać za potężny ferment rewolucyjny, który rozsądzić może carat, jeżeli ten będzie w walce z ludem tak nad wyraz wszelki niedołężnym, i po prostu głupim. Nie można również sądzić, że partie socjalistyczne rosyjskie nie zleją się ze sobą i nie wytworzą potęgi, która godząc w centra carskiej władzy, paraliżując komunikacyjne linie, demoralizując armię, podcinając ruch handlowy i przemysłowy, wykonując szereg zamachów terrorystycznych i rabując kasy rządowe, da hasło do obalenia caratu, a w każdym razie zdeorganizuje go do szczętu i uczyni nieszkodliwym na czas jakiś.

Z dotychczasowego działania socjalistów rosyjskich można mieć wielkie nadzieje na najbliższą przyszłość. Ale w tych nadziejach trzeba zawsze jedną cechę tych ruchów uwzględnić: ich nieobliczalność. Petersburg się krwawi, Moskwa i Odessa spokojne; później Moskwa buntuje się i walczy, Petersburg ani drgnie. Najpierw Sewastopol, „Potiomkin”, bunt marynarki pod wodzą Schmidta; w rok potem Sweaborg, Kronsztadt, Rewal; jedno bez związku z drugim, jedno osobno, a drugie osobno, a jedno i drugie bez oczekiwanych rezultatów. Dziesiątki buntów wojskowych wybuchało w Rosji, ale żaden z nich właściwie nie osiągnął zamierzonego celu, każdy był srodze stłumiony. To samo z strajkami politycznymi, to samo z demonstracjami, to samo z udziałem w wyborach do Dumy. Wypada prawie zawsze inaczej, niż zapowiedziano oficjalnie.

W końcu nie trzeba zapominać o różnicach narodowych, rasowych i religijnych w obrębie caratu. Na tym stopniu rozwoju, na jakim ogromna masa ludności w caracie się znajduje, muszą te różnice odgrywać wielką rolę, kto wie, czy nie decydującą pod pewnym względem i przy pewnej polityce ze strony rządu. Wystarczy rzucić okiem na kartę etnograficzną caratu, ażeby dostrzec mnóstwa antagonizmów głębokich. Polacy z Litwinami i Rusinami, Szwedzi z Finami, Tatarzy z Ormianami, Kirgizy z Rosjanami, wszyscy z „panującym” narodem: Rosjanami i wszyscy niemal z najbardziej uciśnionymi Żydami stoją w stosunku nieufności, rozżalenia, czysto otwartej wojny. Na próżno zamykać oczy na fakty codzienne, na siłę tych różnic i nienawiści, na próżno by wołać o przebaczenie uraz w imię wspólnego ruchu rewolucyjnego. W pewnej, pierwszej fazie można było z tym wszystkim się nie liczyć; nierozumnym byłoby w przyszłości to samo czynić. Skorzystają zaś z tego wrogowie ruchu rewolucyjnego i carat i kontrrewolucja w każdym narodzie. Sojusz caratu z kontrrewolucją narodową jest możliwy, a jeżeli tylko jest możliwym, zostanie w pewnej fazie walki zawarty. Carat się będzie bronił i będzie szukał przyjaciół wszędzie. A tych przyjaciół dostanie w klasach posiadających w każdym narodzie, na razie za miskę soczewicy, za podłą kość fałszywej „autonomii”, za pewne ustępstwa ekonomicznej natury, za tytuły i za szmatki „narodowe”.

Przyspieszającymi czynnikami są: zupełny upadek administracji w Rosji, rozkład armii, bankructwo finansowe i obca interwencja. Jednym z najważniejszych czynników przyspieszających upadek caratu i utworzenie Konstytuanta w danych narodach, byłyby narodowe powstania wszystkich narodów podbitych, a dążących albo do całkowitego oderwania się od Rosji, albo do zupełnie luźnego stosunku z nią, określonego najdalej posuniętą federacją. Carat bowiem, jako historyczne zjawisko, żył podbojami i ujarzmianiem coraz to nowych ziem i narodów. Powstania narodów podbitych wymagałyby tak wielkiego naprężenia sił caratu, że przy dzisiejszych jego finansach, dzisiejszej armii, dzisiejszej administracji i podminowaniu wszystkich podstaw jego istnienia, nie wytrzymałby nacisku. Ale te powstania, to rzecz niemożliwa, albo wymagająca dłuższych przygotowań.

Wiara w samo bankructwo finansowe państwa, bunty wojskowe i kradzieże czy roboje czynowniczych band, jako momenty, które by wystarczyły do pokonania caratu zamiast świadomego, rewolucyjnego wysiłku, jest wiarą wygodną, nawet bardzo wygodną, ale zwodniczą i fałszywą. Bankructwo finansowe Rosji to sprawa nie jej samej, ale i Europy kapitalistycznej, antyrewolucyjnej. W interesie tej Europy leży zwlekanie z nim jak najdłużej... Bunty wojskowe mogą się jeszcze wzmóc po wstąpieniu nowych rekrutów, ale armia nie może dziś być czynnikiem politycznie decydującym poza wolą ludu. A kradzieże i grabieże czynownictwa, rzecz w Rosji nie tak znów nowa i nieznaną...

Nie będziemy przedłużali rozumowań o czynnikach, które powodują długość trwania okresu rewolucji dziś poczętego; może te, któreśmy przytoczyli, wystarczą. Wynika zaś z nich, że jeżeli rewolucja wielka we Francji trwała lat dziesięć, mając do zrewoltowania 24 miliony ludzi, to co najmniej taki sam okres czasu trzeba przyjąć dla rewolucji w caracie, liczącym 140 milionów. Uproszczone przejawy walki dzisiejszej rewolucji z caratem, gdzie z jednej strony strajk i kula browninga, a z drugiej szubienica, więzienie i salwy karabinowe najgłówniejszą rolę odgrywają, po pewnym czasie ustąpią formom bardziej złożonym, chyba by trzeba przypuszczać, że carat pozostanie głupim aż do niemożliwości. Tego zaś nie wolno nigdy czynić, mając przed sobą tak strasznego i jeszcze potężnego przeciwnika!

Ustalenie przypuszczenia na przyszłość, że rewolucja potrwać musi najmniej lat dziesięć, będzie tłem dla dalszych naszych rozumowań. Komu by się wydawało, że rozciąganie okresu rewolucji na długie lata, jest osłabieniem zapału rewolucyjnego u mas, żadnych zobaczenia przeciw jakich takich rezultatów swoich walk, poświęceń i ofiar, ten sądzi chyba, że okłamywanie ludu jest najlepszą polityką. Cóż bowiem za reakcja mogłaby nastąpić wówczas, gdyby tymże masom obiecywano rychłe zwycięstwo, a w rzeczywistości obietnice te okazały się fałszywymi i zamiast zwycięstwa ogłaszać, zażądano by nowych ofiar, nowych cierpień?... Od zdania sobie sprawy z tego, jak długi czas mamy przed sobą w naszej walce, zależy także przygotowanie się do pewnych akcji poważnych, przygotowania takiego wymagających. Kto zna wewnętrzne troski i niepokoje w łonie partii, kto odczuwał drżenia niecierpliwości wśród towarzyszy, kto czytał odezwy PPS wzywające na decydujący bój już w grudniu 1905 r., kto słuchać musiał namiętnych rozpraw na temat,

że „za późno” już na to lub owo, że zwycięstwo rewolucji u progu, ten pojmie konieczność rozwiązania pytania, ile jeszcze czasu mamy przed sobą?

II. ZADANIA REWOLUCJI W POLSCE

Głównym zadaniem rewolucji w Polsce jest osiągnięcie tych samych celów, co i wśród innych narodów pod caratem. PPS oficjalnie się oświadczyła za obaleniem caratu i zwołaniem Konstytuanty w Warszawie, na Litwie zaś za zwołaniem takiejże Konstytuanty w Wilnie. Dla reszty Rosji nie postawiła innego podobnego celu, jak tylko: Konstytuantę w Petersburgu. Czy Łotwa, Kaukaz, Ukraina zadowolą się jedną Konstytuantą w Petersburgu, tego pytania nie stawiano jasno i nie rozwiązywano... W niektórych odezwach uczucie braterstwa broni żąda jeszcze równoczesnego zwołania Konstytuant w Warszawie i w Petersburgu, co już wygląda na bardzo szczegółowe określanie przyszłości i przez tę przyszłość niekoniecznie musi być gwarantowane.

Upadek caratu w Polsce i wybranie konstytuującego Sejmu w Warszawie przez powszechne, równe, bezpośrednie, tajne i proporcjonalne (dla umożliwienia sprawiedliwego zastępstwa mniejszości) prawo głosowania, to cele zdaje się dość jasne i proste, aby się do ich osiągnięcia gotować można było bez wewnętrznej szarpaniny w obozie rewolucyjnym i w przewodniej jego organizacji PPS. A jednak w ciągu dwu lat rewolucyjnego ruchu, z trudem największym dawano sobie rady z samem prawidłowym postawieniem tego zadania, a co do taktyki mającej być zastosowaną dla jego osiągnięcia, wre i kipi taka różnica zdań, tyle natworzono sprzecznych haseł, rozbijających najbliższe sobie nieraz koła towarzyszy, że doszliśmy byli w wielu momentach do najzacieklejszej nienawiści między trzema organizacjami rewolucyjnymi: PPS, „Bundu” i Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego (SDKP), nienawiści hamowanej tylko słabo najprostszymi względami na konieczność jednolitej akcji przeciwko wspólnemu wrogowi. W łonie zaś tych wszystkich organizacji kotłuje ciągle walka o pojęcia i słowa, walka ostra i, jak dotąd, wielce bezpłodna. Noże i rewolwery były już w rękę socjalistów przeciwko socjalistom! A ile akcji zaniechać musiano, ilu ludziom usta zamykano, ilu pióro z rąk wytrącano!... Straty z niejasnej taktyki wynikłe wołają o pomstę; wygląda to tak nieraz, jakby wspaniałą armię rewolucyjną źle prowadzono, lub wprawiano niemal w obliczu wroga nieudolną komendą w zamieszanie.

Czy nie czas najwyższy zastanowić się nad tym wszystkim, czy nie pora zbadać nagromadzone w ciągu walki hasła, rozeznaczyć ich znaczenie i wartość dla rewolucji, skontrolować treść ich, jaka pod słowami się kryje?! Czy jak szkolary będziemy się żarli o słowa, nieraz nie zadając sobie trudu poznania, czy te słowa w ogóle cośkolwiek dla nas mówią?

Przebóg! Wszak prawdą wielką i świętą jest walka robotników i części chłopów polskich o zdobycie wolności; wszak to nie frazes te głodowania strajkowe setek tysięcy, ta wspaniała hardość wobec fabrykanta i żandarma, to znoszenie więzień i katuszy, te szubienice!... Jakże partie socjalistyczne, mające w ludzie taką siłę, taką wielkość, zdadzą sprawę przed sobą samymi ze swego kierownictwa tym ludem? Wprawdzie nie ma zajadlejszych różnic, jak wśród najbliższych, ale ta względna prawda chyba nie przetrwa pierwszego potężniejszego rozkołysania ludu, do którego wszyscy sposobici się muszą.

Partie zaś niech się sposobią przede wszystkim ustalając swoją taktykę, opartą o cele ruchu i o środowisko ludzkie, przez które przecież ten ruch się przejawia i przejawiać musi.

Precz więc z papuzim powtarzaniem taktycznych haseł, zaczerpniętych z innych warunków, z innych czasów! Precz z katechizmami dobrymi może w czasie pokoju, a nie wśród pasowania się krwawego z wrogiem! Precz z tym wszystkim, co nas osłabia, co nam przeszkadza w ruchu rewolucyjnym, a co przyplątuje się do nas przez trzecie nieraz ręce komentatorów i epigonów!... Rewolucję w Polsce musi zrobić polski lud tj. żywe miliony ludzi, znajdujących się w takich, a nie innych warunkach, mających mózgi, serca, ustrój nerwowy, pojęcia, sympatie, antypatie, historię, język odmienne od innych ludów. Ruch rewolucyjny musi wychodzić z tej masy ludzkiej z najmniejszą stratą sił tej masy, z wydobyciem największej energii, z najmniejszą stratą czasu. Cała mądrość taktyki partii rewolucyjnych na tym polega, żeby tych sił nie zmarnować ale przeciwnie,

o ile możliwości spotęgować, aby zrobić proletariat zdolnym do walki klasowej, do obrony swoich najważniejszych interesów.

III. INTERESY KLASOWE, MIĘDZYNARODOWOŚĆ

Zaraz u wstępu napotykamy przy wymawianiu słów „interesy klasowe”, termin o który zaczyna się gorący spór. „Interes klasowy proletariatu jest wszędzie jeden i ten sam”. Tak mówią nam ludzie, którzy z tej prostej prawdy natychmiast krzywe wnioski wyciągają, mówiąc np., że proletariat polski powinien w imię tożsamości swoich interesów złąć się w jedną całość partyjną z rosyjskim i zupełnie taką samą walkę prowadzić, jak rosyjski. Interes klasowy uświadomionego proletariatu jest wszędzie ten sam, tj. zniesienie wyzysku ekonomicznego i ucisku politycznego we wszelkiej jego formie. To prawda. Ale obrona tego interesu w każdym kraju z konieczności inaczej wyglądać musi. W Anglii np. bronią partie socjalistyczne swoich interesów klasowych, wybierając posłów do parlamentu, popierając interesy olbrzymich związków zawodowych, zupełnie inaczej wyglądających niż np. w Austrii. W Warszawie zaś obroną interesów klasowych proletariatu może być w danej chwili, między innymi tępienie prowokatorów i szpiclów. We Francji socjaliści bronili swojego interesu klasowego przez popieranie polityki radykalnej burżuazji, przeprowadzającej rozdział kościoła od państwa; w Niemczech zaś tej taktyki nie miano powodu się trzymać. Olbrzymia, kilkumilionowa partia socjalno-demokratyczna w Niemczech, mająca przed sobą groźny aparat militaryzmu i biurokracji, wysiła nieraz swoją całą taktykę, aby unikać najdrobniejszego starcia z siłą zbrojną, u nas dzieje się i dzieć się musi przeciwnie. Niemiecki socjalista, który by rozdawał bomby i rewolwery wśród towarzyszy, byłby ogłoszony przez partię za wariata lub prowokatora; któżby jednak u nas chciał iść w ślady partii niemieckiej!...

Tysiące podobnych przykładów mógłbym przytoczyć na dowód, że taktyka w każdym narodzie musi być inną, zależną nie tylko od odległego celu, nakreślonego przez program socjalistyczny jako pełne urzeczywistnienie się interesów klasowych proletariatu, ale od warunków w jakich proletariat danego narodu się wychował i w jakich żyje, a zwłaszcza od wrogów tego proletariatu. Nadto wchodzić muszą w rachubę cele bliższe, których trzeba dopiąć koniecznie, bo ustroj socjalistyczny z nieba nam przecież nie spadnie. Dawniej, kiedy wierzono w pewnych częściach obozu socjalistycznego w bliskość tego ustroju, kiedy nie stawiano tych celów bliższych, jak dzisiaj (przy czym powinny one być zgodne z celem najdalszym), a formułowano wytrwale cele dalsze i najdalsze, można było — przy słabej organizacji partyjnej — niewiele dbać o te bliższe cele i cieszyć się „czystością” swoich poglądów socjalistycznych. Dzisiaj sprawa taktyki stała się może mniej wzniosłą, ale za to trudniejszą i wymagającą ciągłego kontrolowania sił swoich i wroga, ciągłego liczenia się z warunkami walki, z pojęciami ludzkimi.

Odpowiedzą nam: „Wszędzie warunki ekonomiczne bytu proletariatu są te same: praca najemna, brak własności kapitalistycznej i ucisk klasowy”; wszędzie więc główne warunki jednakowe, no i wszędzie wrogowie proletariatu jednako nienawidzą usiłowań wyzwolenia się ludu i wszędzie na wszystko gotowi, aby te usiłowania zniweczyć”. Pewien młody anarchista publicznie polemizując ze mną, zaryzykował twierdzenie, że warunki proletariatu w Szwajcarii i w Rosji są jednakowe, nie czując wcale, że przez to wypowiedział dla caratu największy, choć niczym niezасłużony komplement. I znów trafiamy na względną prawdę, z której wyciąga się fałszywe wnioski. Wszak np. praca najemna jedna drugiej nie równa. Jeżeli kwalifikowany robotnik angielski zarabia za 10 godzin dziennej pracy 6 do 8 rubli, jeżeli wolno mu należeć do swej „unii”, wolno strajkować, wolno bojkotować, wolno tworzyć przeróżne ekonomiczne i polityczne organizacje, to jest to wprawdzie „najmita”, ale jakże różniący się od rosyjskiego np. robotnika, bitego za co bądź po twarzy, zarabiającego rubel za 12-godzinną pracę i poza tym zupełnego niewolnika! Robotnik dobrze zarabiający, zabezpieczony w razie choroby, kalectwa czy starości, robotnik mający równe prawo wyborcze do gminy i parlamentu, a robotnik, którego można kozakami wywlec z domu i zmusić do pracy w fabryce, to chyba dwa różne środowiska, które muszą inaczej reagować na krzywdy ustroju dzisiejszego. To samo da się powiedzieć i o wrogach ludu. Że pod względem chęci zduszenia ruchu robotniczego wrogowie ci są dość do siebie na całym świecie podobni, to, z pewnym zastrzeżeniem,

można przyznać. Ale czy burżuazja angielska lub francuska może chwycić się podobnych środków walki, jak np. rząd rosyjski, to już stanowczo wątpliwe. Wszak życie i rozwój samej burżuazji wymagają np. w Europie zachodniej tysięcy instytucji i ustaw, o których carat ani słyszeć nie chce.

Nikomiu się też w Europie nie śni związać np. francuską, włoską, niemiecką partię, a tworzyć jedną jakąś międzynarodową organizację partyjną. Przeciwnie: rozwój poszedł od jednej, jednolitej „Międzynarodówki” w kierunku partii państwowych, a tam, gdzie państwo składa się z kilku narodów, w kierunku partii narodowych, zwłaszcza tam gdzie proletariatus tworzył partie wśród narodów odrębnych, rozwiniętych na punkcie różnic kulturalnych i językowych.

I jeżeli się uważnie przyjrzymy samemu tworzeniu się organizacji socjalistycznej w łonie jakiejś klasy robotniczej, zobaczymy, że nie może być inaczej. — I to z dwóch głównych przyczyn: psychologicznej i historycznej.

Tworzenie się „ideałów” w poszczególnych ludziach, czy zbiorowiskach ludzkich nie jest tak prostym, jakby to wynikało z powierzchownego rozumowania, które mówiąc o „jednakowych” warunkach bytu proletariatus, szablonowo już potem traktuje sprawę organizacji partyjnych, wynikłych z tych warunków. W rzeczywistości rzecz się ma inaczej: ani warunki nie są „jednakowe”, lecz różne, ani tworzenie i wzrost partii nie może się mierzyć miarą innych już istniejących. Robotnik nie dla tego staje się socjalistą, że jest głodny, lub że mu „źle” na świecie, lecz dlatego, że wytwarza w swojej głowie pewne szczególne pojęcia o głodzie, niekoniecznie swoim i o złym ładzie na świecie. Te szczególne pojęcia są zawisłymi od jego wychowania poprzedniego, od jego stanowiska w narodzie, od jego roli w procesie produkcji. Najbardziej głodni ludzie nie stają się najłatwiej socjalistami; najbardziej ciemniejsi nie są najlepszymi bojownikami wolności.

Siłą zaś polityczną, czy społeczną działającą w partiach socjalistycznych, pchającą te partie do walk olbrzymich, jest właśnie owa „ideologia” socjalistyczna, owo odbicie się warunków zewnętrznych w świadomości proletariatus, odbicie zależne nie tylko od warunków zewnętrznych, ale i od samego proletariatus. Jak światło puszczone na dwa pryzmaty, stosownie do ich kształtu inaczej się załamuje, tak i warunki zewnętrzne, choćby podobne w dzisiejszej dobie do siebie, różne wytworzą „ideologie” w partiach klasowych różnych narodów. Ideologie te będą wszystkie socjalistyczne, ale różnice ich wystarczą właśnie na wytworzenie różnic między poszczególnymi partiami. Pryzmatem zaś dla masy proletariatus danego narodu jest suma dotychczasowych wpływów ekonomicznych, politycznych, kulturalnych, religijnych, wpływów działających na ludzi pewnej rasy, temperamentu itd. Wyrazem tej sumy jest tak samo narodowość i język danego proletariatus, jak jego dotychczasowa historia i jego rozwój. Jeżeli zaś powstała już raz w danym narodzie partia socjalistyczna, sam jej rozwój potem decyduje o mnóstwie różnicach między nią, a między bratnimi partiami socjalistycznymi. Zorganizowawszy robotników np. zawodowo, napotka ona pewne przeszkody w dotychczasowych zwyczajach i ustawach. To zmusi ją do zaczęcia walki o zmianę tych ustaw. W walce tej, zazwyczaj politycznej, wystąpią przeciwko niej wrogowie np. narodowi szowiniści i klerykali. Chcąc tych wrogów pokonać, musi partia uzbroić przeciwko nim robotników, zabezpieczyć ich od demagogii szowinizmu i klerykalizmu. Musi wytworzyć dostatecznie silną ideologię partyjną, ażeby wszystkie interesy ogólne, pod które chowa się np. szowinizm lub klerykalizm, przedstawić robotnikowi zgodnie z jego interesami klasowymi. W miarę wzrostu dalszego i potężnienia partii, musi ona stopniowo wziąć się do wszystkich poszczególnych zagadnień bytu społeczeństwa, czy państwa, i rozwiązywać je w myśl interesów klasowych proletariatus.

Wynika stąd całe ogromne mnóstwo zadań, których nie podobna rozwiązać ani szablonem z przeszłości, ani tym mniej szablonem, wziętym z innych stosunków narodowych, czy państwowych. Dawno minął już czas, kiedy komenda polityczna szła na cały obóz socjalistyczny z Londynu, lub z Berlina; dziś partie socjalistyczne wszędzie wzrosły, wszędzie głęboko poszły w lud i wszędzie muszą żyć życiem samodzielnym, wcielając program socjalistyczny wedle swoich konieczności politycznych i społecznych, a nie cudzych.

Rozdział ten poszedł może nawet za daleko, bo jedyną wspólną instytucją całego socjalizmu międzynarodowego są dzisiaj: kongres międzynarodowy, co kilka lat obradu-

jący przez tydzień zaledwie i wybrane na nim biuro międzynarodowe, obecnie istniejące w Brukseli. Ani kongres, ani biuro nie może z natury rzeczy zająć się żadną rzeczywistą, szczegółową kwestią polityki, czy taktyki partyjnej, bo okazało się to niemożliwością, od razu, gdy tylko podobną próbę przedsięwzięto. Całą odpowiedzialność za swoją politykę muszą więc ponosić poszczególne partie, co je czyni zupełnie samodzielnymi.

A cóż w takim razie z „międzynarodowym braterstwem i solidarnością”, spyta niejeden z towarzyszy. Międzynarodowemu braterstwu służy najlepiej ta partia, która zwalcza najenergiczniej wyzysk i niewolę u siebie w domu, u siebie tworzy potęgę socjalistyczną, u siebie organizuje podstawy socjalistycznego ustroju. Poeta rewolucyjny jeszcze w r. 1848 wołał: „Chcesz pobić mego Jellacicza, pobij swojego u siebie”³ i z biegiem czasu hasło międzynarodowej solidarności stało się wśród nas obowiązkiem walki z międzynarodowym wrogiem proletariatu, tam gdzie go najskuteczniej zwalczać można, tj. w swoim narodzie. Międzynarodowość zatem, to nie uniform, zszyty na jedną miarę, to nie powtarzanie pacierza za tą lub ową panią matką, a po prostu stwierdzenie, że ustrój socjalistyczny musi ogarnąć całokształt gospodarki społecznej wszędzie, stwierdzenie, że dążenia socjalistów wszędzie do tego samego celu zmierzają i że walka z międzynarodowo organizującym się wrogiem wytworzyć musi w proletariacie wszystkich krajów uczucia braterstwa. Ale żeby ktoś w imię międzynarodowości kazał polskiemu proletariatowi trzymać się taktyki np. niemieckiej lub rosyjskiej, żeby o każdej fazie walki klasowej decydował nie sam proletariatus w danym narodzie, a jakaś ogólna reguła, nie wiadomo gdzie i kiedy ustanowiona, — takie żądanie byłoby śmiesznym i dzikim. Kto mówi, że się trzyma „międzynarodowej taktyki”, ten nie ma właściwie żadnej, ten jest pustym frazesowiczem, dobrym może na owe czasy, kiedy socjalizm polski krył się jeszcze w pieluchach tajnych kółek studenckich, czy robotniczych i kiedy słowo partii nie pociągało za sobą tak potężnego, masowego czynu, jak to jest dzisiaj. Stańmy tylko przed wielką rodziną socjalistyczną silni, wolni, potężni wpływem w naszym narodzie, a zobaczymy, że przyjmą tam nas w imię międzynarodowego braterstwa, jako tych, którzy mu najdzielniej służą⁴. Bądźmy dość silnymi, aby i drugim pomóc, a takimi stać się możemy tylko przez najlepiej dostosowaną taktykę partyjną w naszych warunkach, w naszym narodzie. Pojmowanie międzynarodowej solidarności, jako zapewniania całego świata proletariackiego o naszej miłości, jest pustym sentymentalizmem, zrodzonym z „motylkowatego” pojęcia obowiązków partii. Jeżeli np. socjaliści Europy Zachodniej potrafią zmusić swoją burżuazję do tego, aby nie pożyczala caratowi ani kopiejki, wówczas czyn ten będzie dla rewolucji ważniejszym, niż wszystkie serdeczne odezwy, zapewniające nas o sympatii socjalistycznego świata. Jeżeli zaś nam uda się przepędzić armię cara z kraju, powita to socjalistyczna Europa z większym zachwytem, niż najpiękniejsze nasze zapewnienia, żeśmy „prawdziwymi” międzynarodowcami. Socjalizm międzynarodowy nie jest doktryną, gniotącą narody, a wyzwoleniem tych narodów. Jeżeli zaś kto z naszych szkolarzy wskaże na nasz byt związany z państwem rosyjskim, jeżeli powie, że przecież dzisiaj narody muszą liczyć się przede wszystkim z organizacją przymusową państwa i w imię tego zażąda „organicznego wcielenia” nas do Rosji, zjednoczenia zupełnego naszej partii z rosyjską partią (ale którą?) wówczas odpowiemy wyjaśnieniem nieporozumienia, w którym, jak w błędnym kole u nas się krąży.

³Jellacicz, ban kroacki pospieszył w r. 1848/9 na czele swoich żołdaków, na pomoc staremu porządkowi, a przeciwko rewolucyjnym legionom. [przypis autorski]

⁴„Tendencje produkcji kapitalistycznej działają wszędzie, są międzynarodowe. Ale formy, w których one wyraz swój znajdują i w których oddziałują na życie narodów, są nader różnorodne. Dopóki partie socjalistyczne były tylko towarzystwami propagandy i zajmowały się tylko propagowaniem teorii, póty międzynarodowa literatura socjalistyczna mogła być dość jednostajną. Ustaje to coraz bardziej, w miarę jak socjalizm się rozwija i pozyskuje coraz większy wpływ na życie praktyczne. Wobec tego socjaliści coraz bardziej uwzględniać muszą właściwości narodowe nie tylko w dziedzinie czynu, ale i w dziedzinie myśli, i coraz bardziej zmuszeni są w każdym kraju stwarzać sobie literaturę narodową. Nie osłabia to bynajmniej solidarności międzynarodowej. Przeciwnie, w miarę jak rozwój ten postępuje, solidarność międzynarodowa przestaje być czysto teoretyczną tylko, a staje się coraz bardziej praktyczną”. (K. Kautsky „Zasady socjalizmu”, Kraków 1906, str. 7). [przypis autorski]

IV. PAŃSTWO, NARÓD, NIEPODLEGŁOŚĆ NARODOWA

Słowa „naród”, „narodowa niepodległość” lub „państwo” stały się w ostatnich czasach czymś tak w rewolucyjnym obozie polskim zdyskredytowanym, czymś tak dla socjalisty nieprzyzwoitym, nieprzyzwoitym niemal, że samych tych dźwięków niektórzy bardzo radykalni towarzysze znosić spokojnie nie mogli!... Jeden z wybitnych towarzyszy, wyczytawszy w moim przygodnym artykule słowo „naród” splunął zaraz w nawiasie („znowu naród!”), jak gdyby socjalista nie śmiał tego „brzydkiego” słowa nawet wymówić i to w czasie rewolucji!...

Jest to pewnego rodzaju zdziwienie, płynące oczywiście z dobrej woli, ze szczerzej nawet rewolucyjności, ale nie zdające sobie sprawy z polityki socjalistycznej. Rozumiemy doskonale z czego to pochodzi. Narodowi demokraci, klerykali i ugodowcy tak zozydźli słowo „naród”, tak zeń potrafili zrobić jakiś środek uniwersalny przeciwko socjalizmowi, podszyci to pojęcie tak bardzo obłudą i żandarmskimi apetytami, że niejeden towarzysz spluwa po prostu na tę całą ohydę szowinizmu i nie chce słyszeć nic o „narodzie”. Przed laty było coś podobnego ze słowem „etyka”... W filozoficznym sporze o motywach powstawania ruchu socjalistycznego, podsuwali jedni uczucia etyczne, inni je negowali. W pewnych kołach wystarczyło wówczas zaryzykować zdanie, że socjalizm ma coś wspólnego z „etyką”, aby uchodzić za reakcjonistę. Później ta moda wstrętu minęła i ustąpiła innej miejsca...

Tak samo i biedny, batożony przez szlachcica chłop nieraz nie chce ani słyszeć o Polsce, i to jeszcze o Polsce wolnej, niepodległej, bo wyobraża sobie pod tym pojęciem nowy jakiś rodzaj pańszczyzny. Są ludzie u nas, którzy na serio mówią jako o największym nieszczęściu, gdyby np. w Polsce panowała polska klasa kapitalistyczna, tak jak to jest we Francji, Anglii lub w Niemczech... Rosyjskiego żandarma trudno znieść, a cóż dopiero polskiego?... Gdyby kto z nas był podejrzany o to, że chciałby „państwa polskiego”, ogłoszono by go za kacerza, za antysocjalistę. Ale jeżeli tow. Bebel w parlamencie niemieckim wstanie i uroczyście oświadczy, że w razie niebezpieczeństwa dla dzisiejszych Niemiec ze strony wrogów, wszyscy socjaliści pójdą do szeregów wojska (oczywiście cesarskiego) i bić się będą dzielnie za całość Niemiec, to to jakoś doskonale zgadza się z socjalizmem niemieckim. A każdy wie, że dzisiejsze Niemcy to nie żaden ustrój socjalistyczny, ale kraj wyzysku i ucisku, kraj żandarmów i wojska, kraj klerykałów katolickich i protestanckich, tak samo jednak, jak i kraj o trzech milionach wyborców socjalistycznych, o ogromnym przemyśle, o potężnej organizacji partii socjalnodemokratycznej. A owym „wrogiem” dzisiejszych Niemiec to przecież republika francuska, prawowite dziecko Wielkiej Rewolucji, gdzie na budynkach rządowych wszędzie widnieje napis: „Wolność, Równość, Braterstwo”, gdzie kościół oddzielony od państwa. I socjaliści niemieccy wołają swoją niepodległość narodową, choćby pod taką militarną monarchią, niż najazd republikańskich „czerwonych portek” francuskich na Niemcy! Jak to nasi szkolarze wytłumaczą? Bardzo łatwo. Rzucą kłatwę na tow. Bebla, jako nie na „czystego” socjalistę, który zanieczyszcza socjalizm „narodowością”. Będzie to i „rewolucyjne” i nietrudne.

Konsekwentnymi są w tym razie tylko anarchiści. Ci powiadają: precz z wszelkim państwem! Z niemieckim, tak samo jak z polskim, czy rosyjskim. Ale ci, którzy najspokojniej patrzą np. na istnienie państwa niemieckiego, ci co rozumieją towarzyszy niemieckich, chcących bronić swej narodowej niepodległości nawet w dzisiejszym państwie Hohenzollernów, a równocześnie odsądzają od czci i wiary każdego kto mówi, że polski robotnik ma takie same prawo do niepodległości i jedności narodowej, choćby w Rzeczypospolitej polskiej, uważają chyba proletariat polski za ludzi gorszego gatunku, skazanych na to, żeby zawsze jakiś inny naród nimi rządził i dawał im ustrój polityczny.

Skąd się to szaleństwo wzięło u nas właśnie? Płynie ono w pierwszym rzędzie z długiej niewoli polskiego narodu. W niewoli tej klasy wyższe tak spodły, że po ostatnim powstaniu r. 1863 jako naczelne przykazanie postawiły sobie: zgodę z losem, zgodę na obcy rząd, na obcą państwowość, na najazd. O tej polityce klas posiadających w Polsce jeszcze pomówimy osobno. Drugim powodem, to, że lud roboczy na wsi i w mieście nie miał dotąd nigdy najmniejszej sposobności wywarcia swego wpływu na ustrój polityczny Polski. Do końca XVIII wieku była pańszczyzna i niewola robotnika, a potem już najazd obcy aż do dzisiaj. Oduczono lud po prostu nawet myśleć o politycznym ustroju własnym,

o rządzie własnym, lub silnie zależnym od klasy pracującej i dziś robotnik, socjalista, który zamiast rzeczywistej demokratycznej polskiej raczej woli federację, czy autonomię pod rządem rzeczywistej ogólnorosyjskiej robi na mnie wrażenie niewolnika, który natrzęsa się z wolności, bo... i wolność ma swoje niedostatki!

Najnowsza faza tego zamięłowania niewoli u obcych, nosi na sobie nawet szatkę „czystego” socjalizmu i rozumuje tak: Aby przejść w ustrój socjalistyczny, potrzebujemy dużo, dużo fabryk, a w nich dużo proletariatu. Aby mieć dużo fabryk, potrzebujemy ścisłego zjednoczenia z Rosją, bo Rosja sama, a zwłaszcza kraje przez nią podbite i zgrabione, są dobrym rynkiem zbytu dla naszych butów, płócienek, kamgarnów i metalowych wyrobów.

Rozumując tak doszlibyśmy do tego, że powinni byśmy byli życzyć Rosji zwycięstwa w Mandżurii, w Chinach, Japonii, Indiach, bo im więcej by zgrażyła Rosja narodów, tym większy byłby dla naszych fabryk rynek zbytu. Rozumując tak, musielibyśmy pragnąć, aby w ogromnej Rosji nigdy nie powstał przemysł, konkurujący z naszym, bo Rosja to nasz rynek zbytu, bo ten rynek zbytu tworzy liczne u nas fabryki, w których pracuje coraz to liczniejszy proletariatus, a przez to zbliżamy się do — ustroju socjalistycznego? Nie — do tym większego rozpanoszenia się caratu u nas, do tym większego spodlenia burżuazji i do tym większego ucisku socjalizmu w Polsce. Gdyby socjaliści w innych krajach tak dziko rozumowali, jak nasi szkolarze i doktrynerzy, musieliby głosować za każdą grabieżą kolonii obcych, obcych krajów i narodów, bo to przecie nowe „rynki zbytu”, to nowa sposobność dla powstania fabryk i zwiększenia proletariatus!...

A jednak nigdzie na świecie socjaliści nie mają tej rozpaczliwej odwagi głupstwa, jak tylko u nas, właśnie u nas, w narodzie, który potrzebuje wolności, kocha wolność, a wolności tej nie posiada. Jak stańczycy galicyjscy, dworacy poznańscy i ugodowcy w Królestwie wyrzekli się wszelkiej myśli o niepodległości, tak i nasi niektórzy socjaliści w imię niemal tych samych argumentów, co tamci wrogowie ludu polskiego, wyrzekają się niepodległej Polski, jak diabeł się boi święconej wody. Ugodowcy kłamali ludowi o bogaceniu się pod obcym rządem, kłamali o przemyśle, kłamali o „pracy organicznej”; stańczycy kłamali mówiąc, że wystarczy uratować język polski a można się wyrzec bytu niepodległego, dworacy okłamywali cały świat, zaklinając się w sejmie pruskim, że Polacy są najlepszymi poddanymi królów pruskich. Takim samym kłamstwem są „rynki zbytu” przeróżnych socjalistów naszych. Dzisiejsze „rynki zbytu” to nie nasza przyszłość, to nie przygotowanie do ustroju socjalistycznego, lecz to dzikość caratu, to brak przemysłu w Rosji, to grabież państwowa rosyjska w całej Azji, dokąd żołdat carski dotrze i agent łódzkich fabrykantów za nim, bezczelny, oszukańczy, tak jak każdy agent w koloniach zdobytych.

Ugodowcy i stańczycy zaślaniali się zawsze małą liczbą narodu polskiego wobec rosyjskiego, czy niemieckiego i udowadniali z ołówkiem w rękę, że Polski niepodobna sobie wyobrazić jako niepodległego państwa, bo albo ją Rosja pochłonie, albo Niemcy. Zupełnie te same rozumowania słyszeliśmy i w obozie socjalistycznym z ust wielu bardzo „rewolucyjnych” socjalistów. Polska jest utopią u tych samych ludzi, którzy w myśli swojej bardzo łatwo budują republikę — rosyjską i to jeszcze za życia cara i wielkich książąt... Słusznie odpowiedział na to jeden z wybitnych socjalistów niemieckich, że jeżeli wolna Polska jest utopią, to i socjalizm jest, wedle dzisiejszego ustosunkowania sił społecznych, jeszcze większą utopią, a jednak socjaliści tym się wcale nie zrażają.

Ale jakimże jest stosunek tego państwa narodowego do socjalizmu? Stosunek ten jest historycznie ustalonym i politycznie zupełnie jasnym. I proletariatus i burżuazja potrzebują zarówno państwa niepodległego, narodowo zjednoczonego, jako pola nowoczesnej walki klasowej⁵. Nowoczesny mechanizm państwowy zbyt jest potężnym, ażeby go się wyrzekała burżuazja, dążąca do bogactw, urzędów, władzy, rozkwitu. Jeżeli burżuazja jakaś nie pragnie swego niepodległego państwa, znak to nieomylny jej znikczemnienia i słabości ekonomicznej. Państwowość wydziera burżuazja albo własnym królom, jak było w Anglii i Francji, albo feudalom i książętom (Niemcy), albo wreszcie królom swoim i obcym najezdnikom jak było we Włoszech. Jedna burżuazja wydziera państwowość z rąk drugiej,

⁵„Jak każda inna klasa, tak i klasa robotnicza musi dążyć do wpływu politycznego i władzy politycznej, musi dążyć do tego, aby miała na swe usługi władzę państwową”, „Zasady socjalizmu” Kautsky’ego, Kraków 1906 Str. 137 [przypis autorski]

czego przykładem bunt kupców amerykańskich przeciwko angielskim w XVIII wieku i powstanie Stanów Zjednoczonych, albo i dzisiejsza Australia, która stanowi niemal zupełnie niepodległe państwo, powstałe przeciwko burżuazji angielskiej. O ile burżuazja tworzyła niepodległe narodowe państwa przed powstaniem socjalizmu, o tyle socjalizm przyjmował wszędzie tę niepodległość narodową i własną państwowość jako zdobycz dziejów i żadnemu socjaliście do głowy nie przyszło wołać np. w Anglii „precz z Anglią!” lub w Niemczech „precz z Niemcami!” Ale naszemu nie jednemu wydaje się okrzyk „precz z Polską!” bardzo radykalnym i rewolucyjnym. W wolnych państwach socjalistę zwalczającego niepodległość narodową, zamknięto by do szpitala, u nas nieraz tacy właśnie mają się za „najczystszych”...

Tam zaś, gdzie tworzyło się niepodległe narodowe państwo przy istnieniu już socjalistów i socjalizmu, stawał socjalizm zdobycie tego niepodległego narodowego państwa jako stałe swoje dążenie polityczne. Dowodem pisma Marksa i Engelsa, najznakomitszych polityków i teoretyków socjalizmu. Oczywiście, że np. Niemcy całkiem inaczej sobie wyobrażali zjednoczone państwo niemieckie, niż ono po roku 1870 faktycznie wyglądało i wygląda. Socjaliści niemieccy dążyli zupełnie tak, jak dzisiejsza PPS do rzeczypospolitej niemieckiej, a tymczasem dzieje przyniosły ze sobą Bismarcka i militarne cesarstwo pruskiego nabożeństwa... Ale i to cesarstwo jeszcze jest dla proletariatu korzystniejszym, niż dawniejszych trzydzieści kilka ksiąstewek w Niemczech.

Cesarstwo dało proletariatu pole do walki z potężną burżuazją, zjednoczyło klasę robotniczą, musiało tej klasie dać powszechne i równe głosowanie i tyle praw, aby na nich mogła urósć taka siła, jak socjalna demokracja niemiecka. I dlatego wielu z towarzyszy niemieckich nie wzdycha dziś nawet do republiki, o jakiej marzyli ich ojcowie, rewolucjoniści jak Marks i Engels...

Tam gdzie w państwie burżuazyjnym jest kilka narodów, są te narody albo tak władzą formalną i wolnościami politycznymi, oraz swobodą narodową (język) nasycone, że czują się panami u siebie w domu (Szwajcaria), albo wszystkie gwałtownie jeszcze walczą o zagarnięcie pełnej władzy państwowej bodaj na swoim terytorium i uważają dopóty państwo za wroga i obce, dopóki tej władzy nie osiągną (Austria).

Liczebność danego narodu nie jest wcale czynnikiem decydującym. Szwajcaria strzegąca swej niepodległości zazdrośnie, liczy trzy miliony; Belgia, Holandia, Szwecja, Norwegia, Rumunia, Bułgaria, Serbia nie ma żadna ani dziesięciu milionów ludności, a tymczasem np. Rusini liczą około 25 milionów i nie znać wśród nich silnego ruchu w kierunku niezawisłości państwowej, Finlandia natomiast, nie mając trzech milionów ludzi, jest niemal oddzielnym państwem i to wobec caratu! W narodzie polskim, liczącym około 18 milionów dusz, upadek idei niepodległego państwa wśród burżuazji jest dowodem, że ta burżuazja jest politycznie i ekonomicznie podupadła. Nie wzmocniły jej „rynki zbytu”, a zmarnowały. Ale ta burżuazja i szlachta, przy całym swoim niedołęstwie próbowała w legionach napoleońskich, powstaniach r. 1831, 1846 i 1863 cztery razy walki o swoją państwowość. Próbowwała nieudolnie, bo nie umiała w ludzie rozpalić nadziei, że państwo polskie będzie korzystniejszym dla ludu polskiego, niż obcy najazd. Z jednej strony hasło powstańcze, a z drugiej pańszczyzna szlachecka lub demagogia drobnomieszczańska, nie mogły razem wzbudzić ani w chłopie, ani w robotniku silnego przekonania, że mu będzie jako klasie lepiej w owej wolnej Polsce, o którą walczyli i dla której ginęli bohatersko powstańcy. Szlachetczyzna polska do dziś dnia nie ma w sobie żadnego zrozumienia dla społecznych ruchów i nigdy go nie miała. Powstania musiały runąć. O burżuazji polskiej nie chciałbym jednak wypowiedzieć — jak to mówią — „ostatniego słowa”. Dzisiejsza jej partia, nazywająca się „narodową demokracją”, to takie cudackie pokurcze, że wierzyć się wprost nie chce, aby to monstrum było naprawdę reprezentacją jakiegokolwiek klasy.

W parzyste dni chcą niepodległości Polski, w nieparzyste zadowolą się i polskim językiem w ludowej szkółce. Raz biją na szlachtę, drugi raz łaszą się do niej w obrzydliwy sposób. Raz komin fabryczny wielbią, drugi raz białego orła. Zatruci błędami szlachetczyzny i obłudą klerykalizmu, ci „narodowi demokraci” nie mieli nawet swojej własnej „ideologii”, na którą każda inna partia się zdobyła. — Wodzowie ich, to niegdyś zajadli socjaliści, inni znów chadzali w swej młodości w płaszczach ideologicznych, kradzionych u „narodników” rosyjskich, a w końcu na starość wzięli politykę i etykę od Bismarcka i pruskich „mężów stanu”. Ostatnie ich „zwycięstwo” przy wyborach do Dumy robi na

mnie wrażenie podobne, jak gdyby nie przebijający w niczym dorobkiewicz rzucił się na kość porzuconą przez innych, a zachowanie się ich w Dumie i po jej rozwiązaniu przypomina najgorsze czasy stańczyków w „reichsracie” wiedeńskim. Dziennikarze ich to rozwydrzone błazny bez sumienia, a całą ich podstawą operacyjną: kontrrewolucja. Kontrrewolucja wciskająca chłopu kosę na robotnika, uzbrajająca i oplacająca szpiega-donosiciela fabrycznego przeciwko robotnikom rewolucjonistom, wydająca się przez to na pastwę caratu bez żadnej możliwości targowania się z tym caratem o ochłap nawet dla siebie!... I to ma być partia? Niech nas nie łudzi ich dzisiejsza liczebność; taka partia rozpaść się musi w kawały i pomimo ich tryumfalnych wrzasków, możemy być o rychły koniec tej dzisiejszej narodowej demokracji spokojnymi. Już sam ich skład osobisty, już ciskanie się na wszystkie strony, już kokietowanie z każdym, kto im może jakiegokolwiek korzyści przysporzyć, robi ich podobnymi raczej do jakiegoś zakonu jezuitów, do mafii kalabryjskiej, niż do partii nowoczesnej burżuazji.

Sztuczkami i oszustwami, godnymi kłownów i „spryciarzy”, nie można rządzić, i chociaż narodowa demokracja do niczego tak bardzo nie wzdycha, jak do tego, aby losy czy cary dały jej w Polsce władzę policyjną dla „utrzymania porządku” wobec rewolucji, to jednak proletariats polski nie miałby łatwiejszego wroga do pokonania, jak tę partię, odartą z wszelkiej ideologii, z wszelkiego rozmachu narodowego, politycznego, czy społecznego, nie mającą żadnej etyki i zaczynającą tam, gdzie zwykle zgrzybiała burżuazja kończy: zaczynającą od marzeń o — policji. Wobec proletariatu, wielkiego liczbą, silnego świadomością, pięknego ofiarami dla ideałów ponoszonymi, partia taka w niepodległej Polsce runęłaby przy pierwszym wielkim konflikcie politycznym. Myli się bowiem, kto sądzi, że burżuazja gdziekolwiek tylko policją i wojskiem rządzi. Do rządów burżuazji potrzebna była jeszcze jej ideologia, jej misja usunięcia feudalizmu i absolutyzmu, a głównie jej zadanie: utworzenie niepodległego państwa narodowego. Tam, gdzie burżuazja z powodu swego znikczemnienia nie wykonała swego zadania, musi je proletariats wykonać. Widzimy to wszędzie. W Niemczech np. burżuazja szuka zgniętego spokoju i zgody z feudalizmem i militarystką; proletariats jednak zwalcza obie te wrogie siły zajadle. W Austrii burżuazja nie zdobyła się na reformę wyborczą i na wywalczenie pełnych swobód obywatelskich; proletariats spełnia tę pracę za nią, oczywiście dla swoich interesów klasowych. — W Rosji burżuazja nie potrafiła zdobyć „praw człowieka”, to te obecna proletariatska rewolucja o te „prawa człowieka” walczyć musi! Nasza burżuazja np. skomli tylko o „autonomię”, a robotnicy polscy domagają się „Konstytuanty”. A jeżeli kto się zawaha i zapyta, a „nuż owa „Konstytuanta” odda władzę w ręce burżuazji?” — odpowiemy, że klasa robotnicza potrzebuje właśnie tej pełni praw politycznych i jeżeli burżuazja skorzysta np. z równego prawa wyborczego, robotnik musi podjąć w społeczeństwie dalszą walkę klasową, aby zwyciężyć burżuazję i na tym wyższym stopniu rozwoju form politycznych. Rozwój form państwowych nie jest czymś dowolnym, lecz odpowiadać musi rozwojowi społeczeństwa i każdorazowemu stosunkowi sił między poszczególnymi tego społeczeństwa klasami.

W naszym dzisiejszym położeniu idea niepodległości Polski jest ideą najbardziej rewolucyjną, najmniej zawodną i najlepiej obejmującą oba cele dzisiejszej rewolucji: obalenie caratu i utworzenie sejmu konstytucyjnego w Warszawie.

Polska Rzeczpospolita demokratyczna, dźwignięta dłońmi proletariats rewolucyjnego, to najwyższy możliwy stopień rozwoju w warunkach dzisiejszych. To stworzenie własnej maszyny państwowej pod bezpośrednią władzą, lub bodaj pod bezpośrednim wpływem i kontrolą proletariats. Nie przeceniamy wszechpotęgi państwa nowoczesnego, ale sejm i rząd polski w Warszawie musiałby zwłaszcza wobec abdykacji politycznej polskiej burżuazji, stać pod tak przewalającym wpływem organizacji socjalistycznych, świeżo uwieńczonych zwycięstwem rewolucji, że cała maszyna państwowa musiałaby od razu liczyć się z najgłówniejszymi interesami ludu. Co to znaczy w kraju tak okropnie, tak barbarzyńsko, złodziejsko „administrowanym” jak Królestwo Polskie, ten tylko oceni, kto zna tajniki czynowniczych rządów rosyjskich. Od szkoły począwszy, a na ustawach ochronnych robotniczych skończywszy, są dzisiejsze rządy rosyjskie jedną zbrodnią, jednym gwałtem i dzikim nierozumem, godnym rządu szpiegów, złodziejów zawodowych i morderców. Centralizm biurokratyczny, oddający wszelkie decyzje o naszym losie łapownikom w biurach petersburskich, niezliczone szykany władz miejscowych czynio-

ne zawsze pod kątem widzenia rusefikatorskiej polityki ucisku i wiecznego podejrzenia o „bunt” polski, wreszcie wybuchy dzikiej zgrai urzędniczej, sprowadzonej ze wschodu i uważającej nas za jakieś zdobyte kolonie, gdzie „krajowiec” to człowiek bez praw, to wszystko musiałyby ustąpić innej maszynie rządowej, zależnej od demokratycznych instytucji ludowego prawa dawstwa i ludowej kontroli. Proletariat walczyłby z własną burżuazją, nie mając na karku w dodatku obcego jarzma. Każdy krok, jego zwycięski w tej walce utrwałby się w formie instytucji i ustaw w kraju tworzonych, w kraju kontrolowanych. Najważniejszą funkcją polityczną proletariatu jest właśnie bezpośredniość jego udziału w prawodawstwie, kontroli i administracji. Bezpośredniość ta prowadzi w republikach takich jak np. szwajcarska aż do zatwierdzania lub odrzucania ustaw przez głosowanie ludowe (referendum) i do wyboru wszystkich najważniejszych urzędników przez całą ludność. Wśród układu burżuazyjnego, opartego na wyzysku, może jednak ta najwyższa dzisiaj forma polityczna ogromne usługi oddać ludowi w jego walce klasowej i to pod każdym względem.

Postawienie niepodległości Polski na czele żądań rewolucyjnych zmusi proletariat polski do policzenia się przede wszystkim z własnymi siłami, co w naszym obozie rewolucyjnym uważałbym za jedną z najważniejszych i najkorzystniejszych zmian. Dotąd bowiem zbyt wielu z pośród nas liczyło zawsze na „coś”, co gdzieś stać się może lub musi i ciągle nadsluchiwało, co te na świecie się dzieje i gdzie jaka — choćby bardzo daleko — pada komenda... Nazywano to „żywiolowością”, „koordynacją” itp., ale na dnię tych wszystkich kombinacji zawsze tkwiło poczucie nieodpowiedzialności za całą politykę rewolucyjną, a tylko za jakąś jej część, za wykonanie sumienne komendy bez zdawania sobie nieraz sprawy, czy ta komenda u nas konieczna była i korzystna dla rewolucji u nas. Jasne i wyraźne sformułowanie żądania niepodległej Polski zmusiłoby nas do ponoszenia większej odpowiedzialności w najbliższym już czasie.

Ale czy nie odjęłoby nam ono sympatii w obozie rewolucyjnym w reszcie Rosji i w Europie? Sympatie te wiele warte i daleki jestem od tego, aby je lekceważyć. Zdajmy jednak sobie sprawę z tego pytania a wnet dojdziemy do bardzo wyraźnych rezultatów. Pytamy: dlaczego by socjalizm europejski miał niechętnie patrzeć na niepodległość jakiegoś narodu?

Wszak we wszystkich programach partyjnych żądają socjaliści zniesienia ucisku narodowego, ale nigdzie nie słyszeliśmy, żeby socjalizm gwarantował całość granic zaborczych państw... Wprawdzie szlachetczyzna przykryła imię Polski tak grubą warstwą pyłu zapomnienia, wprawdzie szlachta prowadziła w imię Polski tak służalczą, nikczemną politykę, że niejeden Europejczyk nauczył się być z przekąsem mówić o Polsce, rozumiejąc pod tym wyrazem coś reakcyjnego, arystokratycznego, katolicko-papieskiego, ale już ostatnie dwa lata bohaterskich walk proletariuszy polskich w Królestwie zdołały wiele zdziałać, aby imię Polski oczyścić, zrehabilitować niejako, aby Polskę można było już sobie wyobrazić bez szlachcica i bez klerykałnego księdza. Prawda, że zagraniczne gazety ciągle jeszcze naszych towarzyszy w Warszawie i Łodzi nazywają „Rosjanami”, a ilustratorzy rysując na obstalunek widoki walk ulicznych Warszawy, dają naszemu robotnikowi zawsze długie brody „mużyków” rosyjskich i fałdziste wutowane opończe „izwoszczyków” moskiewskich, prawda, że Polska to u nich zawsze „Russland”, „Russie”, „Russian people”, a wielu np. Francuzów przejechawszy granicę polską wdziewa futra, oczekując zaraz sybirskich mrozów i śniegów, ale ta sama prasa potrafi się w lot zorientować, skoro bój rewolucyjny wystawi na czoło swoje niepodległość Polski. Prasa bowiem europejska, udaje dziś ślepią z dwóch przyczyn, albo jest zapłacona za to przez rząd rosyjski, albo po prostu nie ma pojęcia o naszych stosunkach. Zapłaconej prasy „sympatii” nigdy nie zdobędziemy, a źle poinformowaną najlepiej objaśnimy przez wyraźne nasze własne stanowisko. Są jednak u nas i tacy, co boją się niezadowolonia np. niemieckich, czy wiedeńskich towarzyszy, którzy — z natury rzeczy — obcy naszym żądaniom, nie rozumiejący ich, doznają pewnych niewygód ze strony rządów za to np., że popieraliby nas jako „zdrajców stanu”, bo niepodległość Polski, to zaniepokojenie rządu pruskiego, mającego 3½ miliona zagrabionych Polaków i austriackiego, który ich ma u siebie 4,2 miliona. Te delikatne względy chcielibyśmy rozumieć, ale wydają się nam one podobne do przestrogi, danej człowiekowi napadniętemu przez rabusiów, aby nie krzyczał, bo przerwie komuś miły sen. Rewolucja w Rosji np. powinna by mieć w myśl podobnych zapatrywań wzgląd na liberalną repu-

blikę francuską, żeby upadek caratu nie sprawił kłopotu demokracji radykalnej w Paryżu, dumnej z tego, że tyran petersburski odkrył głowę przed Marsylianką i stał się republiki „aliantem”.

Bankructwo caratu zmiecie natychmiast radykalny rząd w Paryżu, bo rozszalały rentier francuski wyszuka sobie w nim ofiary. A jednak socjaliści i radykali w Rosji dążą usilnie do bankructwa caratu. Podsuwanie rewolucji naszej czy rosyjskiej podobnych „względów” na trudną jakoby sytuację towarzyszy niemieckich, lub francuskich, jest poniżaniem tych towarzyszy, jest wmawianiem sobie trudności większych, niż są w rzeczywistości. Socjalista, który nie rozumie konieczności zniesienia ucisku narodowego, byłby w każdym razie dziwnym stworzeniem i zarabianie na sympatii takiego właśnie socjalisty przez wyrzekanie się własnej niepodległości byłoby polityką człowieka, który z grzeczności dla drugich zakłada sobie stryczek na szyję. Tak źle jeszcze w Europie nie jest, żeby brak informacji o naszych stosunkach, obojętność wobec nas, jako narodu, lub robota agentów rządowych miała decydować o przewodnim żądaniu naszego programu i naszej polityki klasowej.

Czy osiągnięcie niepodległości Polski w obecnej rewolucji jest możliwym? Oto pytanie, które w końcu wróg i zwolennik musi sobie postawić. Tym, którzy nam ciągle niemożliwość niepodległości przedstawiają, możemy odpowiedzieć podobnym zupełnie pytaniem: czy obalenie caratu i wprowadzenie Konstytuanty w Warszawie jest możliwe? i spytać naszych wątpiących w Polskę towarzyszy, dlaczego też chętniej wierzą w możliwość obalenia caratu, niż w niepodległość Polski? Prawdopodobnie dlatego, że obalenie caratu gwarantują im rewolucjoniści rosyjscy, że wierzy w to Europa socjalistyczna i że wierzy się chętniej w coś przyjemnego, czego się nie kontroluje niejako codziennie a co inni twierdzą z silną wiarą i przekonaniem.

Bawienie się w proroka poszczególnych wypadków, mogących nastąpić za lat dziesiątek, jest zajęciem mało mnie obecnie pociągającym. Dlatego nie napiszę interesującej przepowiedni o starciach się wojsk rewolucyjnych z wojskami cara, o pobiciu tych ostatnich i zwycięskim proklamowaniu wolnej Polski w Warszawie. Historia bowiem zawsze inaczej się urządza, niż jej prorocy przepisują. Wiem tylko tyle, że tymi samymi argumentami, jakimi uzasadnia się wiarę w obalenie caratu, należy dziś ugruntować wiarę w niepodległość Polski. Carat przebywa najcięższy od setek lat kryzys, carat swoją głupią polityką rozżarza dzisiaj rewolucję z fatalistyczną niemal ślepotą. Carat bankrutuje militarnie, finansowo, administracyjnie i politycznie. Rewolucja socjalistyczna stawia za cel swój obalenie go doszczętne, nie mając wcale niezłomnej gwarancji, że celu swego dopnie, ale po prostu czerpiąc siły z ciągłego jego upadku. I rewolucja ma rację. Dotychczasowy jej tok usprawiedliwia jej dążenie coraz to dokładniej i lepiej. Rewolucjonista, który by uważał swoją walkę za skończoną po tym lub owym manifeście carskim, po takiej lub owakiej Dumie, byłby głupcem i zdrajcą sztandaru, zdrajcą swych braci. Carat to wróg, którego trzeba zgładzić gruntownie, wróg z którym rewolucja nie może paktować.

Konsekwencją obalenia caratu w Polsce, będzie wypędzenie wszystkich nasłanych rabusiów, obrusicieli, łapowników, wieszatielej, krótko mówiąc czynowników carskich; przedtem jednak musi być wycofana, czy wyrzucona armia carska, te tłumy obce pod komendą pijanic, karciarzy i złodziei okradających żołnierzy, krótko się wyrażając: pod komendą korpusu oficerskiego rosyjskiego. Ta carska dzicz musi opuścić Polskę z chwilą upadku caratu. Za nimi pójdą szpiedzy, denuncjanci i judasze, dziś na żołdzie ohydnych żandarmów żyjący.

Ba — ale granice państwa pozostaną nietknięte, powiedzą nasi szkolarze. Pytamy: dlaczego?! Świętymi przecież same w sobie nie są te granice dzisiejszego państwa rosyjskiego. Kreśliła je przemoc, gwałt, krew niewinnie mordowanych, znaczyła je zaborcza polityka wiedzmy na carskim tronie, Katarzyny II. Dzielą one żywy jednolity naród, jak rany wiecznie krwawiące, dzielą proletariats polski, który złączony, byłby jeszcze większą potęgą, braci murem przegradzają od braci. I po co te granice potrzebne państwu rosyjskiemu po obaleniu caratu? Czy lepiej ich upilnuje żołdat „nowej” Rosji, czy te żołnierze polskiej rewolucji u siebie w domu? Czy „nowej” Rosji będzie potrzebna bezpośrednia granica z państwem niemieckim lub austriackim?

A jednak są tu niedopowiedzenia pewne, pewne niejasności, które pozostawia się w cieniu, ażeby w Polsce z nich sobie sprawy nie zdano. „Nowa” Rosja może mieć pewne swoje cele i rachunki państwowe, z których wynika, że Rosja potrzebuje zabezpieczenia np. od Niemiec za pomocą „prowincji” polskich, jako „granicznych”; ta „nowa” Rosja w umysłach liberalnych polityków rosyjskich, marzących o władzy państwowej potrzebuje terytorium w Europie środkowej, ta „nowa” Rosja nie chce się pozbywać kraju gęsto zaludnionego, liczącego przeszło 11 milionów mieszkańców z wielkimi miastami, z rzeką splawną, z fortcami i liniami strategicznymi... Krótko mówiąc „nowa” Rosja cieszy się z góry możliwością dysponowania Polską i na hasło niepodległości Polski odpowiada drugim: nietykalności granic państwa! Niektórzy mało krytyczni socjaliści rosyjscy powtarzają to hasło liberalnej burżuazji, jako coś, co samo przez się jest zrozumiałe i konieczne, a Polakom rzucają o byle co tytuł „szowinistów”. Ale żeby polscy socjaliści za swoją gwiazdę przewodnią mieli uważać hasła liberalistów, marzących o obcej państwowości, to by było możebnym tylko wśród szalonego pomieszania i niewyrobinienia pojęć u nas. Słyszałem nawet wśród Polaków idiotyzmy o „równowadze europejskiej”, której nam jakoby naruszać nie było wolno, idiotyzmy powtarzane z całą powagą, tak jak gdyby sam fakt ewentualnego zwycięstwa rewolucji w obrębie najbardziej nawet nietkniętych granic Rosji dzisiejszej, nie był już sam w sobie największym naruszeniem owej „równowagi”, która nie jest niczym innym, jak czajeniem się poszczególnych państw kapitalistyczno-militarnych, uzbrojonych na siebie wzajemnie od stóp do głów i z namaszczeniem prawiących o swej miłości pokoju. „Równowaga” dzisiejsza w Europie w znacznej części polegała na absolutyzmie carskim; po jego zniszczeniu cała oficjalna Europa przewróci się niemal automatycznie do góry nogami... Co było na dole, posunie się ku górze, a z góry spadnie w przepaść wiele, bardzo wiele osób i rzeczy...

W ogóle patrzeć na świat oczyma oficjalnych biurokratów europejskich i liberalistów rosyjskich, a równocześnie robić największą rewolucję, obalać najstraszniejszy tron świata wyzwalać 140 milionów niewolników, to jedno z drugim nie da się utrzymać w równowadze!...

Jeżeli się nie patrzy własnymi oczyma, a zawsze przez cudze okulary, wówczas widzi się obalony carat, ale równocześnie konieczne nietknięte granice państwa rosyjskiego, te granice, które carowie kreślili...

Carat żył i rozwijał się rabunkiem i grabieżą krajów i narodów. Wszystkie główne władza państwa do tego rabunku i grabieży przystosowane. Czy z upadkiem jego władza te pozostać muszą nietknięte?

Ale przypuśćmy, że carat nie upadnie, że rewolucja się wyczerpie, że ją car konstytucją i reformami ułagodzi, że Rosja absolutna zamieni się na Rosję konstytucyjną z carem na czele, że czynownictwo nie co dzień, a raz w tygodniu będzie chłopa biło „po mordzie”, że jednym słowem: trochę zwycięży rewolucja, trochę zaś uratuje car. Od czego wtedy będzie zależała miarka naszych swobód politycznych, społecznych, narodowych, ludzkich? Czy od tego, że sami w głębi serc naszych prawa naszego się wyrzekamy i jesteśmy jak grzeczne dzieci, które nie chcą rzeczy „niemożliwych?”... Czy liberali, którzy będą u steru rządów (w najlepszym razie) dadzą nam te prawa i usuną swoich rodzonych braci, czynowników z Polski? Kto u początku rewolucji, jeszcze wtedy, gdy mu bliżej do więzienia, niż do władzy, z takim pietyzmem strzeże „nietykalnych granic” zewnętrznych caratu, ten nie usunie — przyszedłszy do władzy — daleko jego granic wewnętrznych, tj. porządku carskiego. A jeżeli strzeżenie granic zaborów ma być „patriotyzmem” rosyjskim, to zburzenie tego gmachu niewoli niechaj będzie patriotyzmem rewolucji w Polsce! Czy by nam się kajdany państwowości carskiej tak już wżarły w mózgi i serca, że tych prostych prawd nie możemy zrozumieć? Czy nie moglibyśmy zrozumieć, że w czasie rewolucji nie okraja się swego prawa, o które przecież ludzie giną prawdziwą, realną giną śmiercią? Dla tchórzostwa burżuazji, dla lenistwa serc i myśli naszych, dla frazesu nieprzetrawionego, dla wygody cudzej czy pozwolimy sobie samym wymazać nasze prawo do niepodległego bytu narodowego, wyższą formę bytu politycznego dla naszego ludu — narodu, możliwość walki nowoczesnej, prowadzonej przez socjalistyczny proletariat polski z klasą kapitalistów, prowadzonej na pobojuwisku nowoczesnym: w narodowo jednolitym, niepodległym państwie demokratycznym?!

Od roku blisko łączą się jeszcze wśród PPS dwa argumenty, złożone w uchwałach lub projektach uchwał ciał partyjnych. Oba mają usunąć na bok proste i jasne hasło niepodległości narodu polskiego, oba mają w programie partii i w żądaniach rewolucji schować ją gdzieś w cień, jak monstrencję się chowa w ołtarzu... Pierwszy argument nazywa się „niemożliwością wojny polsko-rosyjskiej”, drugi powiada, że Polskę niepodległą mogą zbudować tylko trzy zabory naraz, a ponieważ to niemożliwe, więc lepiej o niepodległości nie mówić dzisiaj a zadowolić się z góry czymś „skromniejszym”. Oba argumenty mają pozory roztropności politycznej, liczenia się z ciężkimi, ach! warunkami i oba są taktycznie fałszywe i szkodliwe.

„Niemożliwość wojny polsko-rosyjskiej” jest nic nie mówiącym frazesem, obliczonym na to, żeby robotnikowi socjaliście powiedzieć, że rewolucja dzisiejsza, to nie „powstanie” szlacheckie i dlatego nie powinien on domagać się niepodległości Polski, ponieważ szkaradna szlachta w swoich „powstaniach” o to walczyła. Że ta szlachta walczyła o inną Polskę, niż robotnik rewolucjonista, tego się nie mówi, że ta szlachta często szukała raczej zgody z carem, niż zgody z ludem, to się przemilcza. Zostaje rozumowanie: szlachta chciała Polski i o nią toczyła wojnę „polsko-rosyjską”, my zaś szlachtą nie jesteśmy, lecz socjalistami i jako tacy żądań „szlacheckich” nie podniesiemy i wojny „polsko-rosyjskiej” prowadzić nie będziemy.

Postawienie niepodległości Polski jako żądania na dziś, w dzisiejszym ruchu rewolucyjnym, ma wywołać powszechne oburzenie wśród „narodu” rosyjskiego, oburzenie tak głębokie, że „naród” rosyjski rzuci się do wojny z „narodem” polskim. Przypuśćmy, że tak będzie. Ale z tego przypuszczenia wynika, że carat każdej chwili może zmobilizować swój „naród” do wojny z „Palakami”. Wynika podcięcie wiary w siłę rewolucyjności narodu rosyjskiego i konsekwentnie wiary w możliwość obalenia caratu, czyli wiary w możliwość udania się rewolucji, do której się jednak oficjalnie wzywa polskiego robotnika! Powołują się chętnie na r. 1863 w Polsce i Rosji. Reformy — powiadają — poszłyby były wówczas w Rosji znacznie dalej, gdyby nie nieszczęsny ruch powstańczy w Polsce, który wywołał szowinizm rosyjski, a ten znów zdusił reformy. Analogię taką wolno snuć liberałom rosyjskim, którzy spodziewają się przekraść się koło owego szowinizmu rosyjskiego i którzy się go boją, bo w nim sami tkwią po uszy. Ale nie wypada socjalistom, mającym obalić tron Romanowych, lękać się argumentów „czarnej sotni” czy „prawdziwych russkich ludzi”.

W ciągu zapasów rewolucyjnych carat nieraz jeszcze rzuci „prawdziwych russkich ludzi” na rewolucjonistów, nieraz poszczuje jeden naród na drugi, jedno wyznanie na drugie, ba jedną klasę na drugą. Rosjan może rzucić na wszystkich Nie-Rosjan, Tatarów na Ormian, Finów na Szwedów, Niemców na Łotyszów, chrześcijan na żydów, a chłopów na rewolucyjną inteligencję. I nie ma na tę szatańską demagogię carską innego środka rewolucja, jak głosić śmiało i wyraźnie prawa człowieka, prawa narodowej czy religijnej wolności. Gdyby dzisiejszy carat mógł, już by dziesięć „świętych” wojen patriotycznych ogłosił. Cała bieda w tym, że w jednej już dostał takie baty, i nie prędko mu się drugiej zechce. Rewolucja nie może tutaj się bawić w dyplomację fałszywą liberałów, bo sama siebie przez to wyda związaną na łup tychże liberałów, sama siebie niejako zneguje. W tym oświeceniu dopiero się widzi, że hasło niepodległości narodowej jest ukoronowaniem ruchu rewolucyjnego przeciwko caratowi, że rewoltuje ono jego podstawy, jeżeli się uda zrobić je żywym i silnym. To probierz rewolucyjności i zarazem siły rewolucyjnej zarówno Rosjan jak i Polaków. Szowinizm bowiem to najsilniejsza podpora caratu; kto go obali, wydziera caratowi ostatni atut z ręki, wydziera możliwość polityki zaborczej, możliwość rzucania jednych na drugich, jak się psów rzuca na siebie.

Rewolucja rosyjska chyba nie obrazi się na nas, jeżeli pobijemy i wyrzucimy wojsko rosyjskie? Obrazi się na nas za to car i „prawdziwi russcy ludzie”⁶. Rewolucja rosyjska nie weźmie nam chyba za złe, że nasi towarzysze tłuką czynowników rosyjskich, jak pluskwy obrzydłe, że rabują kasy rządowe, że strzelają generałom w łeb, jak psom wściekłym

⁶Po sławnym, krwawym 15 sierpnia, kiedy w biały dzień zabito do 40 policjantów i żandarmów, jakiś oficer napisał w „Nowoj Wremja” artykuł, żądający jeszcze większego ucisku całego społeczeństwa polskiego, za to, że nie pomaga ono na ulicach chwytac umykających po zamachu rewolucjonistów. W imię argumentów jego powinniśmy chyba zaprzestać tłuczenia żandarmów. Tego zresztą żąda „Czas” i „Słowo polskie”. [przypis autorski]

na ludnych ulicach? Żadnej my innej „wojny polsko-rosyjskiej” nie chcemy, jak tylko przepędzenia najeźdźców z naszego kraju. Jeżeli to ma wzbudzić „szowinizm” u Rosjan, to lepiej nie zaczynamy rewolucyjnej walki, a uczmy się wszyscy zawczasu po rosyjsku, aby móc bodaj czytać broszurki socjalistyczne rosyjskie, o ile ich żandarmeria nie zdoła skonfiskować. Wtedy będziemy „czystymi” socjalistami wedle recepty tych, którzy nie wiedzą co z nami w Europie począc, dla których jesteśmy prawdziwym ambarasem, bośmy socjalizm przyjęli w serca nasze z całą jego ewangelią wolności, równości i braterstwa prawdziwego.

Inaczej się przedstawia sprawa z trzema zaborami. Gdyby one wszystkie były dziś ogarnięte ruchem rewolucyjnym, wówczas hasło niepodległości byłoby z natury rzeczy główną platformą łączącą wszystkie trzy zabory. Ale Galicja, oba Śląski i Poznańskie znajdują się w obrębie państw konstytucyjnych i to państw, których organizacja państwowa całkiem inaczej organizuje miliony ludności polskiej, niż carat. Skoro jednakże rewolucja w Królestwie nie ma przeminąć bez potężnego wpływu na oba zabory, pytamy: jaką ideę ma ona między swoimi żądaniami wysunąć? Obalenie caratu i Konstytuanta w Warszawie to żądania, które urzeczywistnione, wstrząsną całą Europą. Ale same w sobie wstrząsną one Galicją nie silniej, niż innym krajem sąsiednim, obcym narodowo. Reformy polityczne, czy społeczne — z wyjątkiem reform agrarnych — które stawiać może ruch rewolucyjny w Królestwie, są dzisiaj już w znacznej części urzeczywistnione w obu ościennych państwach; tylko niepodległość narodowo zjednoczonego państwa demokratycznego, tylko hasło niepodległości Polski zdoła oba inne zabory zmusić do jakiegoś żywszego, niż w reszcie Europy udziału w pracach rewolucji. Obecnie w chwili wahania się między nadzieją, a niewiarą w możliwość powodzenia rewolucji, nie widać wpływu jej nadzwyczajnego na oba zabory. A jednak już dzisiaj wpływ ten idzie dość głęboko i widoczny dla tych, co znają poprzednie nastroje ludności. W pewnej fazie dalszej jednak, kto wie czy nie decydującej o losie Polski, niepodległość Polski, jako żądanie wyraźne rewolucji może nam wszystkim oddać nieocenione usługi. Przy największej ostrożności naszych hipotez, nie możemy na długo liczyć się tylko z dzisiejszymi stosunkami i nastrojami obu zaborów. Stosunki te mogą się zmienić, a w interesie całego proletariatu polskiego leży, aby te zmiany odbywały się pod silnym wpływem świadomego dążenia proletariatu do republiki demokratycznej polskiej.

Wychodząc z dzisiejszego układu sił w samym Królestwie, nie moglibyśmy właściwie stawiać i obalenie caratu jako cel rewolucji. A jednak stawiamy je otwarcie, licząc się z przyszłością nie bardzo odległą. Zupełnie z tym samym uprawnieniem politycznym, z dodatkiem motywów wewnętrznej naszej polityki w kraju i to we wszystkich trzech zaborach, powinniśmy postawić hasło programowe niepodległości narodowej. Jak ono może być zrealizowanym, to kwestia związana z mnóstwem szczegółowych stosunków w trzech zaborach, które omówimy w innym miejscu.

V. FEDERACJA Z ROSJĄ, „WCIELENIENIE ORGANICZNE”

Kto uważa obalenie caratu i Konstytuanta w Warszawie jako zwrot oratorski, jako coś tak odległego, że dopiero „nasze dzieci” (szczęśliwie!) zobaczą je na własne oczy, ten musi czymś wypełnić lukę, jaka nas dzieli od czasu dzisiejszego stanu wojennego, szubienic w cytadeli i salw na ulicach Warszawy — do czasu, gdy będzie jakaś niepodległa Polska. Wypełniają tę przepaść ludziska wedle swego temperamentu, wedle wiary w siłę rewolucji, wedle nadziei na grzeczność i łaskę liberałów rosyjskich, czy nawet — jak nasi ugodywcy — wedle otuchy w dobroć cara... W ten sposób słyszymy u nas całą litanię życzeń pobożnych; jak dadzą polską szkołkę ludową i polski język w gminie, będziemy spokojni, nazwiemy to zdobyczą „narodową” i pomożemy za to dusić rewolucjonistów. Tak niejeden działacz „narodowy” do serca swego szepcze... Śmielsi mówią o „autonomii”, przy czym przyświeca im np. autonomia ziemstw rosyjskich i miast samorządnych. Jeszcze odważniejsi marzą o autonomii na manier galicyjski i cieszą się już własnym „marszałkiem”, który obok generał-gubernatora będzie „reprezentantem kraju”. W zamian za to już dzisiaj należy popierać „umiarkowanych” w Rosji, występować przeciwko „szaleństwom i zbrodniom” rewolucjonistów, nazywać socjalistów „agentami” pruskimi, czy angielskimi, no i — gdyby nie strach przed browningami — denuncjować ich przed

żandarmami rosyjskimi. Trzeba jednym słowem, stać się urzędowej Rosji użytecznymi, a ona za to da nam coś z łaski, z wdzięczności za „Wandeę” polską. Polityka taka godna „tego stworzenia, co pełza”, jest w gruncie rzeczy nierozumną dla żadnej klasy nie przynoszącą korzyści i wobec caratu nigdy nie osiągnie swoich celów. Przeciwnie, carat będzie w przyszłości jeszcze bardziej Polskę musiał łupić finansowo i ekonomicznie, burżuazja zaś rosyjska, pozbywszy się obaw ze strony polskiej, tym śmieiej będzie żądała dla siebie ułatwień w konkurencji z przemysłem w Polsce. Carat potrzebuje pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, a burżuazja rosyjska zechce przecież ze swej władzy skorzystać. W stosunku dzisiejszym Królestwa do caratu łatwiej nawet tej burżuazji dobić się upośledzenia naszego przemysłu, niż by to możliwym było np. za pomocą cel retorsyjnych wobec niepodległego państwa polskiego, związanego traktatem handlowo-cłowym z Rosją. Nie mówiąc już o dziesiątkach milionów, jakie idą na utrzymanie rosyjskich czynowników i oficerów u nas, oraz na wyhodowanie sporej części armii za nasze pieniądze!

Pod względem zaś typu ustawodawstwa i swobód politycznych dla mas naszej ludności, monarchiczno-konstytucyjna Rosja mogłaby na długie lata być poważnym niebezpieczeństwem dla Królestwa. Podczas bowiem, gdy zabór pruski i austriacki jest przyłączony do państw europejskich, rozwiniętych i tworzących ustawy dla wysoko już posuniętego ustroju kapitalistycznego, w Rosji sprawa przedstawia się inaczej. Prawda, że biurokratyczno-militarne Prusy stosują do Polaków dziki system komisji kolonizacyjnych, osobnych premii dla germanizatorskich oprawców urzędniczych, ustaw o wywłaszczaniu i dręczeniu dzieci w szkole pruskiej, ale ten sam system, jeszcze dzikszy stosuje i Rosja do Królestwa i na tym punkcie z pewnością Rosja tak samo na miano kata zasługuje jak i Prusy. Dlaczego by zaś na przyszłość lepszą gwarancją naszego rozwoju miała być masa analfabetów rosyjskich, niż miliony socjalnych demokratów w Prusach, tego nie możemy zrozumieć. Dzisiejszy brak wpływu socjalnej demokracji niemieckiej na sprawy pruskie i na całą dzikość germanizacyjno-hakatystycznej polityki rządu, długo potrwać nie może. Najlepszym zaś początkiem do walki z hakatą będzie silna polska partia socjalistyczna i zachwianie klerykalizmem polskim w Poznańskim i na Śląsku.

Sto kilkadziesiąt lat przynależenia Polski do caratu wytworzyły taki stosunek między obu narodami, że o dobrowolnej federacji nie można serio mówić. Wszelki rodzaj łączności Polski z Rosją był i będzie przymusowy, tj. zależny od słabości Polski i siły Rosji. Osłabienie obecne Rosji powinno te konsekwentnie obudzić w Polsce większe naprężenie w kierunku wyzwolenia się tej ostatniej. Dalsze zaś stadium osłabienia Rosji: rozprzężenie i upadek caratu, musi w Polsce odezwać się hasłem niepodległości. Kto tego w dzisiejszym stadium rewolucji, jeszcze nie widzi, zobaczy to później, w miarę upadku caryzmu, tj. tej organizacji przymusowej, która Polskę podbiła i w niewoli utrzymuje.

Lecz w polskim obozie rewolucyjnym podnoszą się i inne głosy, tworzą się kombinacje nie historyczne, a racjonalistyczne, które przedstawiają przyszłość mniej więcej tak: Po obaleniu caratu wspólnymi siłami całej rewolucji na jego dzisiejszej przestrzeni, powstanie olbrzymia republika, sięgająca od Łodzi i Sosnowca aż po Władywostok i Tyflis. Republika 140 milionów, „stu narodów”, stu języków, stu wiar religijnych, republika łącząca w jeden organizm państwowy Polaków, Rosjan, Kirgizów, Baszkirów, Tatarów, Ormian i plemiona pogan sybirskich... Jak na krzaku jałowca obok kwiatów i zielonych jagód są już i zupełnie dojrzałe, tak w tej olbrzymiej republice będą obok przemysłowych okolic „polskiego Manchesteru”, pokolenia prowadzące jeszcze życie koczownicze w stepowych kibitkach... Ale to nic nie przeszkadza. Jedna idea złączy tych 140 milionów: idea spójnoty ruchu rewolucyjnego i wspólnych praw człowieka. Zamilkną różnice kultury, religii, języka, historii, znikną wnet różnice rozwoju ekonomicznego — jak w mitycznym rajku będzie jedność, spokój, zgoda. O ile zaś różnice pozostaną, uwzględni je forma nowa, podyktowana przez rewolucję: wolna federacja, czy związek dobrowolny wolnych i równych organizacji na rodowych, lub może jakich „okręgowych”, tak aby i „przywiślanski kraj” znalazł w niej wygodne pomieszczenie.

Potrzeba prawdziwie „rewolucyjnej” czyli raczej „rewoltującej” nieznamości historii państw na świecie, aby tworzyć podobne kombinacje. Nigdy bowiem i nigdzie takiej federacji 140 milionów tak różnorodnych narodów, ras, klimatów i stopni ekonomicznego rozwoju nie było na świecie, ani też być nie mogło. Tylko dziki przymus, tylko gwałt za-

dany narodom, tylko brak rozwoju przemysłowego mógł te masy olbrzymie, rozrzucone na takich ogromnych obszarach utrzymać pozornie przy kupie: tylko carat, ta straszliwa organizacja gwałtu i ucisku, mogła z największą szkodą dla ogromnej ilości ludzi stworzyć granice dzisiejszego państwa rosyjskiego i doprowadzić tych 140 milionów do takiego upadku, do takiej dezorganizacji, że 40 milionów Japończyków po kilkudziesięciu zaledwie latach konstytucyjnych rządów mogły temu caratowi wydać wojnę i wygrać ją znakomicie. To wszystko, co się w Rosji dzieje od kilku lat, jest nawet dla najpłytszego umysłu dowodem upadku caratu, ale i dowodem bezsilności 140 milionów ludzi, tworzących państwo cara. Na nic ta ruchoma ogromna liczba ludzi, roli, lasów itd., skoro nie może to wszystko wydać ze siebie potęgę cywilizacyjnej.

Następnie federacja państwowa jest może najbardziej kruchą formą istnienia państw. Możliwa ona na małej przestrzeni, jak np. kantony szwajcarskie, albo tam, gdzie jednolitość języka, wspólność historii dotychczasowej, najwyższa demokratyzacja społeczeństwa i brak silnych sąsiadów same ją z małymi stosunkowo przeszkodami wytworzyły, jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. I w Szwajcarii jednak i w Stanach Zjednoczonych musiano „dopomagać” idei federacyjnej bardzo zaciętymi wojnami jak wojna z „Osobnym Związkiem” („Sonderbund”) w Szwajcarii i wojna przeciwko stanom południowym w Ameryce.

I w tej przyszłej federacji 140 milionów dzisiejszego caratu nic nie zdoła ukryć interesów poszczególnych narodów, czy narodowych burżuazji, i w tej federacji będzie obok walk klasowych jeszcze walka narodowa, językowa, religijna itd. Jeżeli by taka walka okazała się z tych lub owych powodów niemożliwą, jeżeli federacja miałaby być naprawdę wolną i dobrowolną, wówczas rozpadnie się ona, tak jak w naszych oczach rozpadła się unia Szwecji z Norwegią.

Że Rosjanie wystawiają na czoło swoich państwowych rewolucyjnych żądań ową republikę federacyjną, to jest zrozumiałe i logiczne. Federacja ma im zastąpić po prostu olbrzymie armie, które carat musi dziś utrzymywać, aby trzymać w ryzach podbite narody, federacja broni Rosjan rewolucyjnych od zarzutu „zdrady stanu” przeciwko dzisiejszemu „posiadaniu” rosyjskiemu, federacja jest odpowiedzią szowinistom rosyjskim, którzy przeklinają rewolucję, bo ona zmniejszy gotową Rosję! Rewolucja Rosji nie zmniejszy, granic jej „świętych” nie tknie, bo na to właśnie jest federacja 140 milionów. Nie wmawiamy przez to towarzyszom rosyjskim żadnego machiawelizmu; broń boże! Kto jednak zna ich bezkrytyczność, z jaką te właśnie sprawy państwa traktują, kto zna ich zdolność do zachwycania się utopiami, byle te miały „naukową” postać i dały się jako tako pogodzić z żargonem doktrynerskim, kto zna wreszcie wpływ nieświadomy tysiąca stosunków dzisiejszego państwa na wszystkich, ten zrozumie, że idea federacji może oddać wcale dobre usługi towarzyszom rosyjskim.

Dla nas jednak nie ma federacja, sama w sobie, żadnej siły przyciągającej. Nie pójdzie dla niej na śmierć ani jeden człowiek w Polsce! Pójdą Polacy na śmierć za obalenie caratu, za wolność Polski, ale za zjednoczenie się z Rosjanami lub z Tatarami, nie! — My patrzeć możemy na przyszłą ową federację tylko jako na przymus jakiejś potęgi silniejszej od nas, tylko jako na fazę przejściową, w której dobrowolność żaden człowiek w Polsce nie wierzy i wierzyć nie może.

Gdyby więc nawet federacja była możliwą, jeszcze potrzeba by dla niej stworzenia z naszej strony ciągle wysoko trzymać sztandar niepodległości, bo tylko niepodległość może być dla nas miarą pewną i niezawodną tego, o ile federacja ma być dla nas korzystną. — Form bowiem federacji może być bardzo wiele. O którą z nich walczyć należy? Dzisiaj, gdzie wszystko oficjalne i półoficjalne w caracie musi być rosyjskie, mają i najpostępowi Rosjanie bardzo łatwą pozycję w stosunkach z innym narodem: są tak łaskawi, że zgadzają się na to lub na owo, mniejsze lub większe „ustępstwo”, językowe lub administracyjne. Jedni więc dają tylko polską szkołę, drudzy i „polski rząd” przyznać nam gotowi, byle pewne bardzo ważne funkcje państwowe pozostały w ręku Rosjan. Więc parlament będzie miał większość rosyjską, armia pozostanie rosyjską, zagraniczna polityka rosyjską itd. Na tyn dla nich polegać przecież będzie federacja; dla Nie-Rosjan będzie to oczywiście jej błędem piękności... I to będą wieczne spory, które zamiast dodać olbrzymiemu państwu noworosyjskiemu siły, splączą tylko jego politykę wewnętrzną i zewnętrzną w jakiś tragiczny kłębek sprzeczności i w rezultacie uczynią takie państwo

niemożliwym. Najszkodliwymi są także dla proletariatu. Na nich to burżuazja grać może w takich stosunkach, jak na klawiszach; każda sprawa staje się wówczas „narodowo” zabarwioną i sfalszowaną w duchu interesów burżuazji, wszystko jest sparaliżowane codziennym sporem o narodowe prawa, o drobiazgi zarówno jak i o rzeczy ważne, przy czym sztuką burżuazyjnej „patriotycznej” prasy jest: rozdmuchiwać drobiazgi do rzędu spraw najważniejszych i odwrotnie. W interesie polskiego i rosyjskiego proletariatu, w interesie jego jasnej przyszłości nie leży wcale federacja, o jakiej dzisiaj mówić można, lecz niepodległość narodowa w Polsce i w Rosji w granicach narodowo jednolitych demokratycznych republik. Te niepodległe republiki mogą potem zawierać z sobą setki traktatów, o ile one będą potrzebne; byle miały one same twardą i pewną podstawę własnej państwowości demokratycznej. I „rynki zbytu” i „pokrewieństwo rasowe” i „misja na wschodzie” i braterstwo międzynarodowe inaczej będą wyglądały na tle życia niepodległych narodowych państw demokratycznych, niż w federacji, w której ktoś drugich za gardło będzie dusił co dzień i przy każdej okoliczności. A bez duszenia za gardło, taka federacja 140 milionów dzisiejszej Rosji nie da się historycznie ani politycznie pomyśleć.

Dlatego szersi i brutalniejsi ludzie nie bawią się zbyt wiele w ideę federacji z Rosją, a od razu żądają od nas „organicznego wcielenia” do Rosji. Prawda, że zamiast bagnetów carskich stawiają nam w tym celu, pogardę samych siebie jako środek do podjęcia tego celu, prawda, że najpierw trzeba pluć na wszystko co polskie, a z zachwytem patrzeć na wszystko co niepolskie, prawda, że nie gorzej od żandarmów odmawiają nam prawa do bytu, jako Polakom, zostawiając nam — tak jak i żandarmi — jeszcze język „rodzicielski”, (dopóki nie nauczymy się na koniec wszyscy po rosyjsku), ale to wszystko dzisiaj już nie na wiele się przyda. Niewola narodowa nie ostanie się tam, gdzie lud walczy o swoje prawa, gdzie lud za nie nauczył się umierać. „Kulturtragerzy” niemieccy, czy rosyjscy w Polsce przegrali sprawę z chwilą powstania polskich partii socjalistycznych.

W praktyce rewolucyjnej to „organiczne” wcielenie do Rosji wygląda czasem na smutną komedię. Jak to bowiem wygląda np. jeżeli główny obóz rewolucyjny w Rosji nie świętuje 1 Maja, a zależni odeń „organicznie wcieleni” urządzają wszędzie uroczystości majowe w Polsce. Albo jak wygląda udział rosyjskich socjalistów w wyborach do Dumy, a równocześnie ogłaszanie przez naszych „organicznie wcielonych” tak surowego bojkotu przy wyborach, że się go popiera aż browningami? Jak tu zresztą wmówić w polskie masy robotnicze, żeby walczyły o Dumę tylko w Petersburgu, żeby dawały się rąbać i strzelać za to, że nie mają prawa do narodowej wolności? Więc trzeba te masy chyba okłamać, więc trzeba je zagłuszyć gromką komendą, więc trzeba środków szukać u tych, którzy nie rozumieją spraw naszych, więc trzeba listów polecających od wybitnych, znanych w świecie socjalistów, którym się Polskę przedstawia jako cudacką reakcję, więc trzeba tej całej ohydnej komedii międzynarodowej, na którą uczciwi ludzie wszystkich narodów patrzą już dzisiaj ze wstrętem. A ponieważ w zamęcie rewolucyjnym można ten teatr odegrać, więc się go gra. Tylko od czasu do czasu musi się mówić do robotniczej klasy w Polsce jako do pełnoprawnej; wtedy powtarza się nawet „patriotyczne” zwroty, wtedy się mówi inaczej, niż na kongresach, gdzie zapisuje się swoją samodzielność innym partiom.

Wszystkie te sztuczki na nic się oczywiście nie przydadzą. O losach swoich musi rozstrzygać sam proletariat polski i to nie w dzisiejszych słabych i młodych organizacjach partyjnych, a w partiach obejmujących większość ludu roboczego, w partiach będących wyrazem nie chwili tylko, a wyrazem stałym wszystkich najważniejszych dążeń klasy pracującej. Manewry kłamliwej prasy, czy kłamliwych agitatorów nie zakrzyczą i nie zaplują w klasie pracującej jej najwyraźniejszego interesu klasowego: potrzeby utworzenia narodowo jednolitego państwa demokratycznego jako najwyższego politycznie stopnia rozwoju, jako wreszcie pola do decydujących walk z klasą kapitalistyczną, celem osiągnięcia dyktatury proletariatu w państwie dzisiejszym.

VI. PROLETARIAT I JEGO PARTIA

Oblędne i fałszywe kroki taktyczne doradzane w ostatnich czasach przez jednostki czy grupy w naszej rewolucji, powoływały się zawsze na ostatni argument, ich zdaniem zupełnie wystarczający: tak chce proletariat, tego lub owego żądamy w imieniu proletariatu rewolucyjnego. I przemycano pod tą pokrywką wiele błędów, wiele taktycznych fałszów.

Nadużywano np. jednego z wielu środków walki rewolucyjnej: powszechnego strajku, w imię jakoby niezłomnej woli proletariatu. Tymczasem pokazało się, że wobec zmienionych warunków bytu proletariatu, wobec przystosowania się do nich także i wroga, strajki nie tylko w pewnym czasie nie były pożyteczne, lecz owszem szkodliwe i mimo wszelkich uroczystych zapewnień, że strajk jest jedyną bronią „klasową”, godną proletariatu, musiano poniechać myśli tylko o tym jedynym środku, a zacząć stosować także i inne, bardziej w danej chwili stosowne.

Skąd pochodzą fałszywe argumenty podobnej natury? Płyną one przeważnie z mylnych pojęć o proletariacie, o jego rozwoju i jego woli w społeczeństwie. Przede wszystkim proletariatu u nas jest klasą najmłodszą, powstającą jeszcze ciągle z rozwoju kapitalizmu i z rozkładu dawnych form produkcji: drobnego przemysłu i drobnego rolnictwa. Nie odbiegł on też jeszcze zbyt daleko od obu tych źródeł swoich i ma w sobie jeszcze dużo pojęć stamtąd pochodzących. Poza kilkunastoma wielkimi centrami fabrycznymi jest proletariatu polski zajęty jeszcze na roli i w rękodziele. Przepaść między proletariatem a drobnym właścicielem w mieście, czy na wsi nie jest tu jeszcze tak wielką, ażeby nie mogła jej przemościć jakaś wspólna potrzeba, silnie odczuta. Tak jest w spokojnych czasach, a cóż dopiero w czasie rewolucji, i to rewolucji, gniecionej, katowanej, mordowanej równie srogo na wsi jak w mieście, rewolucji skierowanej przeciwko obcemu rządowi, obcym urzędnikom, obcej armii, ba, obcej idei państwowej, opierającej się na zabórze kraju. W normalnych nawet społeczeństwach kapitalistycznych partia proletariatu przemysłowego, partia socjalistyczna pilnie baczy na resztę ludu, na chłopów i drobną przemysł, ażeby ułatwić tej reszcie przejście pod czerwony sztandar. Jakkolwiek strzeże się ona złudzeń drobnomieszczańskich, to jednak liczy się z istnieniem drobnomieszczaństwa i chłopów i stara się je pozyskać całym szeregiem ustaw i reform, zwłaszcza wolnościowych i kulturalnych.

U nas ani drobnomieszczenie, ani chłopci nie wytworzyli w Królestwie silnych partii swoich. Poza klerykalizmem nadużywającym religii do swoich celów antynarodowych i antywolnościowych, splugawili wszystko narodowi demokraci, tak, że o ruchu chłopskim z osobnymi programami i osobną organizacją partyjną nie ma mowy. Słabe organizacje „ludowców” idą z prądem socjalistycznym, a tzw. „postępowa demokracja” jest wyrazicielką nikłego dość podłoża społecznego: części klasy średniej, przetkanej już bardzo „proletariatem inteligencji” a więc grupą społeczną bardzo niesamodzielną i wrażliwą na socjalistyczną filozofię, etykę, historiozofię, choć nie na socjalistyczną politykę...

Wynika stąd względna łatwość dla rewolucyjnego socjalizmu zagarnięcia części owych klas chłopów, drobnomieszczań i proletariatu inteligencji w sferę swoich wpływów politycznych. Wszystkie trzy bowiem nie są zadowolone ze swego położenia społecznego, wszystkim daje się we znaki rozwój kapitalizmu i wszystkim ciąży bardzo jarzmo niewoli przez carat nałożonej. Naturalnie, że proletariatu ani programów, ani taktyki swojej nie będzie szukał u chłopów lub proletariusza inteligencji, który nie stał się jeszcze socjalistą, ale proces odwrotny może łatwo się rozegrać. Nawet musi, jeżeli proletariatu ma swoje cele osiągnąć. Jakkolwiek bowiem nie sama liczebność odgrywa najważniejszą rolę przy wyznaczaniu potęgi politycznej danej klasy, a w grę wchodzi ruchliwość tej klasy, jej stanowisko w procesie produkcji, jej umiejętność polityczna itd. to jednak proletariatu właśnie jest klasą najniższą w układzie społecznym, u nas klasą bardzo ubogą, nie mogącą dysponować środkami pieniężnymi dość znacznymi, a nadto liczba jego — o ile chodzi o sam proletariatu przemysłowy — jest jeszcze taką, że przy uwzględnianiu celów takich jak obalenie caratu i powołanie Konstytuanty w Warszawie, głównym pytaniem jego taktyki będzie, jak porwać za sobą resztę ludu?

Porwać nie znaczy jednak oszukać. Nie kłamliwą demagogię doradzam towarzyszom, a szereg środków politycznych, albo zgodnych z programem socjalistycznym, albo niebędących z nim w żadnej rzeczywistej sprzeczności. O ile dla drobnego przemysłu i dla proletariatu inteligencji mają największe znaczenie ustawy wolnościowe, o tyle dla chłopów ważną w pierwszym rządzie jest radykalna reforma agrarna, uprzątająca przeżytek średniowieczny: szlachecką własność, a oddająca ziemię dóbr koronnych, duchownych (biskupich i w ogóle mających cechę latyfundiów) i pańskich w dzierżawę chłopom na korzystnych warunkach dzierżawnych.

Cały system ochrony społecznej w formach nie tylko ustaw, otaczających opieką swoją chorego, inwalidę, wdowę czy sierotę, lecz także ustaw protegujących organizacje spółdzielcze i spółki spożywcze, spółki kredytowe, eksportowe itd., wszystko to, co dziki proces dzisiejszego wywłaszczania i miażdżenia drobnych właścicieli może zrobić łagodnym, ludzkim procesem powolnego przechodzenia do ustroju socjalistycznego, ma ogromne znaczenie dla reszty ludu, o ile nie jest on proletariatem. Jeżeli prawdą jest, że rewolucyjny proletariat ma być wodzem innych klas ludowych w walce rewolucyjnej, to koniecznością nieodzowną jest dać tym klasom odpowiedź jasną i rozumną na ich troski, na ich cierpienia i pytania rzucane przez nie przyszłości... Na to wszystko jest jeszcze dość czasu przed nami. Możemy tę pracę polityczną spełnić tymi siłami, jakie dzisiaj już partia posiada. Nie ucierpi na tym ani „czystość zasad” naszych, ani nie skrzywi się walka rewolucyjna. Przestanie być ona sprawą tylko jednej klasy, proletariatu przemysłowego i zyska sojuszników w całym ludzie.

Równoległe z tą robotą należałoby z większą niż dotąd energią uchwycić w kadry organizacyjne tę większość proletariatu przemysłowego, która nie jest socjalistyczną jeszcze. Agitacja dzisiejsza jest wprawdzie ogromna, ale jeszcze niewystarczająca, a w wielu rzeczach ma one cechy szablonowe, nie przystosowane do warunków naszych. Zdumiewająco ubogą np. jest nasza literatura agitacyjna lat ostatnich, o ile nie jest tłumaczoną z innych języków. Należy wytworzyć organ wydawniczy, staranniejszy niż dotąd funkcjonujący. Partia taka jak PPS, dokazująca na polu techniki dziennikarskiej cudów energii i zręczności, mogłaby stworzyć literaturę własną agitacyjną, byle wyrzec się owego ciągłego wyklinania rabinackiego, jeżeli który z towarzyszy odważy się na pogląd, nie będący akurat w modzie partyjnej. Rewolucja nie zginie od tej lub owej „herezji”, byle tylko nie okazywano takiej nerwowości na pierwsze lepsze zdanie, które ma dotknąć jakoby nieskazitelnej doktrynersko białej szaty proletariatu uświadomionego!...

Czas już skończyć z taktyką dotychczasową, będącą szeregiem nieudomówień i wiecznego wahania się, czy to lub owo zasłuży na wdzięczne uznanie „Europy”, czy też towarzyszy rosyjskich, choćby było w naszych warunkach wskazanym i koniecznym.

— Jeżeli się wysuwa hasła dla całego narodu ważne, jak obalenie caratu i powołanie Konstytuanty w Warszawie, to trzeba coś zrobić, aby bodaj lud cały do hasła tych zagrzeć i hasłami tymi zainteresować.

— Jeżeli się głosi prawa człowieka i walczy faktycznie z najazdem, to dlaczego milczeć o narodowej wolności i niepodległości.

— Jeżeli się ma przed sobą wroga zdecydowanego na wszystko, nie wolno taktyki swojej zwięzać do jednego tylko środka jak np. było ze strajkiem generalnym.

— Jeżeli wróg ufa w siłę swej zbrojnej armii, wówczas trzeba obmyślać środki, aby mu tę broń z rąk wytrącić i uczynić tę armię nieszkodliwą.

— Trzeba jednym słowem wroga ubezwładnić tymi środkami, jakimi tylko Rewolucja będzie rozporządzała. To są zadania taktyczne, które przede wszystkim należy rozwiązać.

W drugim dopiero rządzie stoi liczenie się z tym, co drudzy, poza naszym krajem mogą dla zwycięstwa rewolucji zrobić. Musimy do tych drugich przyjść z naszymi własnymi zasobami czynów i możliwości czynów.

Siła i rozmach rewolucyjnej partii w Polsce są już dziś bardzo wielkie i mogą być w przyszłości jeszcze większe; nie ma więc mowy o tym, żeby ktoś z daleka, z obcej partii mógł nami kierować i tylko naturalna konieczność ciągłego porozumiewania się z wszystkimi wrogami caratu, a zwłaszcza z socjalistyczną rewolucją powinna nas ciągle do tego porozumienia się popychać. Nie żadne jednak państwowe motywy, nie żadne uzależnianie nas z góry od tych, czy owych poglądów, panujących w danym czasie w Petersburgu, mają decydować o naszej taktyce u siebie w domu. Niechaj się inni z nami liczą, jako z całością, mającą inne warunki bytu i walki rewolucyjnej, niechaj nauczą się uważać nas nie jako dodatek jakiś do swoich planów, lub jako coś, co się toleruje tylko z powodu wielkiej energii rewolucyjnej, lecz przeciwnie: niech zrozumieją raz wreszcie, że PPS jest równorzędnym czynnikiem rewolucji, że rewoltując lud polski nie czyni tego dla jakiejś szczęśliwej kombinacji przyszłościowej, w rodzaju republiki panrosyjskiej, a czyni to z zamiarem uzyskania niepodległej polskiej republiki demokratycznej!

W ten sposób osiągnie PPS na wewnątrz i zewnątrz wyraźną podstawę dla całej swojej polityki. Jako partia proletariatu polskiego wytwarza ona ustawicznie ideologię tego

proletariatu, broni jego interesów klasowych, prowadzi go do walki o nie. W szczególnym, rewolucyjnym położeniu, w jakim się wskutek osłabienia swego wroga znalazła, tworzy w całym ludzie potęgę bojową, wysuwa na czoło swych żądań: obalenie caratu i niepodległość narodową, bo niczego innego w Konstytuancie Warszawskiej nie będzie żądał proletariatu polski, i wznosi przez to sztandar, koło którego masa polskiej ludności musi się zgrupować, jeżeli cele PPS mają być osiągnięte.

Oto taktyka zrozumiała dla wszystkich, dla swoich i dla wrogów!

Nie uwłacza ona ani jednym czynem, ani jednym słowem zasadom socjalizmu, ani interesom klasowym świadomego proletariatu, ani międzynarodowemu braterstwu, ani historii ludu w Polsce. Nie osłabia nas, lecz wzmacnia, nie zaciemnia żadnej sytuacji, lecz każdą jasno rozwiązuje. Taktyka ta nie jest ani burżuazyjną, ani drobnomieszczańską, bo ani burżuazja nasza, ani drobnomieszczaństwo poza lękliwą „autonomię” Kraju przywiślańskiego nie wyszły. Nie jest ona też wyrazem żadnych „possybilistów”, ani „rewizjonistów” lecz jedynym czystym wyrazem międzynarodowego, rewolucyjnego socjalizmu w Polsce i jako taka powinna stać się taktyką PPS.

VII. SZANSE WALKI

Czy w ogóle możliwe jest obalenie caratu i ogłoszenie niepodległego polskiego państwa demokratycznego wśród Konstytuanty Warszawskiej? Przy nastroju obecnym ludności w Polsce śmiało można odpowiedzieć, że w ogromnej większości mózgów od razu formuluje się krótka odpowiedź: Nie! Jedenaście milionów Polaków bez dostatecznej broni nie może oderwać się od państwa 140-milionowego. Wszak na naszym grzbiecie siedzi 200.000 żołnierzy rosyjskich! A wśród naszej legalnej prasy większość gazet jest konserwatywna, klerykalna, narodowo-demokratyczna, a więc kontrrewolucyjna! „Naród” więc nie chce walki, a gdyby jej nawet chciał, przegra, przegrać musi, czego zresztą dowodem upadek powstań szlacheckich i burżuazyjnych.

Gdyby tak kto za nas, bez nas pomyśleć raczył o nas, ha! to co innego. Gdyby tak jacyś drudzy Japończycy pojawili się na horyzoncie i pobiwszy Rosję, zażądali w traktacie pokojowym niepodległej Polski, wówczas — chociaż wierni Jego Cesarskiej Mości poddani — zgodzilibyśmy się na własną wolność... Albo gdyby rewolucyjna Konstytuanta w Petersburgu „darowała” wspaniałomyślnie Polakom ich prawa narodowe, przyjęlibyśmy je z wdzięcznością. Gdyby wreszcie cywilizowana Europa wkroczyła do Rosji i proklamowała jakąś nową Polskę, podobnie jak Szwajcarię czy Holandię, jako rodzaj państwa neutralnego, może byśmy chyba nie szemrali niewdzięczni... Ale wszystko to bez naszego udziału odbyć się by miało, bo — my: wierni Jego Cesarskiej Mości poddani, niczego nie chcemy sami i o nic walczyć sami nie będziemy.

Nie karykaturę zawierają słowa powyższe, a rzeczywisty nastrój swojskiej naszej kontrrewolucji. Tak ona mówi i myśli. Rewolucja jest dla niej „nieporządkiem”, szaleństwem, zbrodnią, niemożliwością, władza carska świętą, z niebios płynącą, a w każdym razie tak potężną, że nie wolno nawet myśleć o możliwości jej upadku.

W rzeczywistości jednak i Japończycy i rewolucja w Rosji i nawet cywilizowana Europa stworzyli i stwarzają coraz to korzystniejsze szanse dla naszych walk o wolność. Japończycy pobili Rosję gruntownie, wykazali całemu światu jej zgniliznę i słabość, osłabili zatem naszego wroga bardzo radykalnie. Rewolucja szarpie go i niepokoi, wprowadza zamęt i dezorganizację w carat od góry do dołu, osłabia więc naszego wroga. Opinia Europy także coraz to bardziej nieufnie i wrogo odnosi się do każdego kroku caratu, co go nie wzmacnia.

Tylko my sami, my Polacy, my potrzęsający na bankietach międzynarodowych naszymi kajdanami, my „rycerze chrześcijaństwa”, my naród dumny z swoich niegdyś „złoty” wolności, nie zdążyliśmy jeszcze nawet tyle dla swojej ojczyzny zrobić, co dla niej zrobili rewolucjoniści rosyjscy, co żołnierze japońscy, lub postępowi ludzie w Europie! Tylko my spokojnie w polskich gazetach „demokratycznych” czytamy wezwanie do gości kąpielowych polskich zagranicą, aby jeszcze posiedzieli w kąpielach, bo — w Warszawie strzelają rewolucjoniści do żandarmów rosyjskich i jeszcze wracać „niebezpiecznie”. Później, kiedy tych przeklętych rewolucjonistów wyłapią żandarmi rosyjscy i zaskrzypią szubienice w cytadeli, będzie „bezpiecznie” w Polsce i warto będzie wrócić do koryta sto-

jącego pod pilnym nadzorem żandarmów. Skutki niewoli robią z pewnych ludzi zupełne bydła. Ale i to nasze bydło stanie się pod wpływem wielkiej i świętej rewolucji kiedyś ludźmi. Na razie oczywiście zbydlęcenie niewolą pozostanie faktem smutnym, ohydny. Z faktem tym liczy się rewolucja, ale nie bierze nastroju żywych trupów za punkt wyjścia dla siebie.

Szanse rewolucji przedstawiają się w bardzo różnych postaciach. Rozkład tak wielkiej państwowej maszyny, jak rosyjska, nie musi iść torami, które mu naznacza jakiś program rewolucyjny. Nikt z nas nie wie, jaki skutek na położenie caratu w Europie wywrze np. bankructwo finansowe Rosji. Czy ta Europa nie zacznie Rosji traktować, jak Turcję lub Chiny? Zabicie cara i ewentualnego jego następcy na tronie, także może stworzyć sytuację dla naszej rewolucji bardzo korzystną. Rewolta większa armii, wprowadzająca zupełny już paraliż militarny w caracie, może być nadzwyczajną szansą rewolucji. Nawet żywiołowy ruch chłopski, za którym pójdzie bezład administracyjny, będzie bardzo korzystnym warunkiem i naszej walki. Częściowy rozbiór Rosji, jedna jeszcze przegrana jej wojna z „wrogiem zewnętrznym”, należą także do tych form przyszłości, z którymi liczyć się będzie trzeba. Kombinacji historii nikt nie wyczerpie. Dla nas ważna nie ich poszczególne, jedna forma, a wszystkie możliwe formy razem, o ile one zawierać muszą szanse dla nas korzystne. Ważne zaś one wszystkie dla nas, nie dlatego, aby z założonymi rękoma oczekiwać od nich zbawienia, ale dlatego, aby wśród naszej własnej pracy, wśród własnych przygotowań, jako kowale własnych losów, móc wyzyskać to wszystko życzliwe, co się tylko wyzyskać da, czego nie należy uronić w danej chwili.

Aby te główniejsze bodaj kombinacje przyszłości wyzyskać, potrzebny szereg studiów, do których zawsze zabrać się opłaci...

Rzeczywiste dane przeszkody do obalenia caratu są właściwie dwie: armia rosyjska i kontrrewolucja polska.

Nie jestem żołnierzem, ale jako zwykły śmiertelnik odważę się na bliższe przyjrzenie się armii rosyjskiej w Polsce, powołując się tylko na to, co fachowcy już dzisiaj stwierdzili. Armia rosyjska po przegranej wojnie utraciła nie tylko ład wewnętrzny, polegający na dyscyplinie i ufności w dowództwo, ale jeszcze dotąd nawet mechanicznie nie została uporządkowana. Armia ta ma w sobie truciznę buntu, a nabędzie tej trucizny więcej, gdy, w takich jak dzisiejsze warunkach, pochłonie w siebie nowych rekrutów, wychodzących już z atmosfery rewolucyjnej. Najdzielniejsze jej części, saperzy, artyleria i marynarka wrą buntem, którego szczegóły są powszechnie znane. Wprawdzie armia rosyjska w Polsce najmniej tym buntem dotknięta, ale za to samo jej kierownictwo stara się ją militarnie zdemoralizować, używając ciągle do posług policyjnych. Armia ta rabuje, kradnie, zaniedbuje właściwą służbę wojskową, a staje się rodzajem zbrojnych band, towarzyszących różnym osobom urzędowym, band strzegących szynków, mostów, poczt, policjantów itd. Jej sprawność bojowa na tym traci, bo dzikie bandy nigdzie nie będą mogły od razu stać się karnym nowoczesnym wojskiem.

Już dzisiaj ogromna część tej armii uwięziona przy posługach niewojskowych, a z większym natężeniem walki rewolucyjnej, można śmiało powiedzieć, że z 200.000 żołnierzy połowa będzie pilnowała swoich magazynów, kolei, mostów, poczty, będzie pełnić musiała służbę policyjną i zostanie przez to unieruchomiona. Zależy to oczywiście od tego, w jakim stopniu rewolucja potrafi tę armię otoczyć nastrojem wrogim całej ludności. Jeżeli rewolucja ma nadzieję wdrzeć się do środka tej armii, stojącej załogą w Polsce, to oczywiście, że powstaje stąd komplikacja, której rozwiązanie musi się zostawić pewnej, określonej przyszłości. Liczyć zbyt wiele na możliwość buntu armii w Polsce, moim zdaniem — niezbyt pewna rzecz, ale usiłowania w tym kierunku należy robić, zwłaszcza obecnie. Przy podupadających finansach Rosji, złodziejstwie intendenty i dowództwa, możliwości wielkich buntów wewnątrz Rosji, na Łotwie, na Kaukazie i w innych krajach może ta armia, gdyby ewentualnie pozostała carowi wierna, być ostatnią deską ratunku dla caratu. W pewnych zatem warunkach rewolucja będzie musiała rzucić całą swoją siłę na tę ostatnią podporę carskiej władzy, będzie musiała, powtarzam, jeżeli na serio zechce cele swoje osiągnąć. Nic nie pomoże sceptycyzm agitatorów, którzy umieli dotąd tylko strajki urządzać i demonstracje na ulicach, nic nie pomoże powoływanie się, że to przecież „powstanie”, a socjaliści powstania nigdy nie urządzali, nic nie pomoże powoływanie się na mityczną, nadludzką jakby przewagę armii nad ludem i płynącą stąd niechęć do

mierzenia się z armią. Już dzisiaj musimy być na to przygotowani, że może nastać czas, w którym carat będzie się bez reszty mieścił w armii, i że wtedy chcąc obalić carat, trzeba ubezwładnić tę armię. Co do zbrojności zaś naszego społeczeństwa, to jest to sprawa techniki, o której pisać jawnie nie należy. Ale tyle tylko wolno chyba powiedzieć, że skoro Hotentoci i Murzyni potrafią znaleźć wcale niezłą broń, to chyba i Polacy ją na świecie znajdą, jeżeli tylko w wielkiej masie tego bardzo zapragną...

W ogóle niepodobna dzisiejszych warunków w Rosji i Polsce porównywać z normalnymi warunkami w innych państwach europejskich. To co się uważa za niemożliwe w Europie, staje się w oczach naszych w caracie rzeczywistością. A to dopiero początek akcji rewolucyjnej, dopiero pierwsze starcia się ludów z caratem, który jeszcze od czasu do czasu próbuje udawać normalny „rząd”, który jeszcze nie ogłosił oficjalnie bankructwa finansowego i korzysta z „równowagi” europejskiej. Jeżeliby jednak w tym tempie, jak dotychczas miał pójść rozwój wypadków, wówczas przedziwne rzeczy uderzą w oczy naszych zaspalych polityków, co umieją się dziś tylko dziwować i głupio moralizując, łamać ręce na temat: „Jakie czasy! ach, jakie ciężkie nastają dla spokojnych ludzi czasy!”

Wracając do naszego rozważania, chcemy jedynie jeszcze zaznaczyć, że armia rosyjska w Polsce to nie jest coś, przed czym od razu, bez rozwagi plackiem mają Polacy padać, lecz to część konającego ustroju, część caratu, walącego się w gruzy, to ilość dana, którą trzeba wprawdzie z wielkim rozmysłem traktować, ale to nie jakiś absolut, nie dający się zniszczyć lub ubezwładnić.

Podobnie też rzecz się ma i z polską kontrrewolucją, z tą „cywilną” armią cara, która w imię porządku, geszeftu natychmiastowego, w imię papieża i jego biskupów w Polsce, w imię panowania zgnilej szlachetczyzny, czy feudalów fabryczno-kopalnianych, ze chce stanąć w obronie caratu, jako „prawowitej władzy” w Polsce.

Kontrrewolucja ta nie może stać się partią klasową burżuazji pełnej siły i wiary w swoją ideologię, bo burżuazja narodowo silna musi właściwie sama dążyć do niepodległego państwa burżuazyjnego, w każdym razie nie carskiego. Tylko upadek polityczny burżuazji, tylko jej abdykacja ze swoich klasowych programów może wywołać wśród niej jakieś posługi żandarmskie przeciwko rewolucji socjalistycznej obecnej. I tylko klerykalizmem podtrzymywana, kłamstwem i oszczerstwem żywiona ciemnota pewnych warstw ludowych może naszej kontrrewolucji dostarczyć ochotników. Prawda, że burżuazja nasza zmarniała i podupadła, prawda, że klerykalizm u nas święci nieraz jeszcze orgie na wsi i w mieście, ale to da się zrównoważyć w znacznej części obcością wroga, z którym obecnie walka się toczy, da się zrównoważyć nienawiścią tego wroga do wszystkiego, co polskie i katolickie, tak, że nawet niesocjalista i nierewolucjonista z radością by patrzył na tego wroga upadek lub wypędzenie z kraju.

Nie sądzmy dalej narodu polskiego wedle jego dzisiejszej legalnej prasy, bo możemy się omylić na niekorzyść rewolucji. W Królestwie została dziś tylko ta część prasy przy życiu, na którą pozwala policja carska. Cóż więc dziwnego, że czuć ją nieraz oficjalnym „russkim duchem”, że skomli tam nieraz najgorsza psiarnia z bractwa piszącego... W Galicji zaś i w zaborze pruskim prasa nigdy właściwie nie była zależną od publiczności, lecz była i jest jeszcze w znacznej części utrzymaną spółek arystokratycznych, klerykalnych, rządowych, lub geszefciarskich. Prasa burżuazyjna w Polsce, z nielicznymi wyjątkami gazet ugodowo-stańczykowskich, kuleje zawsze z tyłu za wypadkami i za nastrojami ludności, sama zaś nie przedstawia żadnej inicjatywy, ani nie wpływa decydująco na opinię. Nie ma tam wielu ludzi, piszących z przekonania, a najwięcej takich, co piszą, bo im za to płacą, lub inaczej pisać zakazują.

Jest to najmarniejsza może prasa na całym świecie, bo po największej części nawet talentów pozbawiona. Dopóki żandarmi górą, będzie ta prasa pisała o rewolucjonistach, jako o „rabusiach” i „napastnikach”, jeżeli jednak żandarmi będą na spodzie, „rabusie” staną się na szpaltach prasy „bojownikami”...

Pomimo wszystkich błazeństw „działaczy” narodowo-demokratycznych, pomimo starannej kultury zdziczenia i oglupienia, hodowanej przez rzekomo sprytnych wodzów narodowej demokracji, najpoważniejszą siłą kontrrewolucji pozostanie w Polsce jednak klerykalizm. Ten ma organizację wzorową, ma komendę kontrrewolucyjną konsekwentną, ma wpływ na chłopów, a w razie potrzeby schroni się pod jego skrzydła wszystko, co będzie niesamodzielne, a rewolucji wrogie. Ale i klerykalizm może dojść z biegiem wy-

padków do trudnego pytania: co lepsze? Czy państwo polskie z przeważającą ludnością katolicką, czy zależność pokorna od rządu rosyjskiego? Wprawdzie to państwo przyszłości porewolucyjnej ma być demokratyczne, z ogromnym wpływem ludu i klasy pracującej na funkcje państwowe, ale kler umiał się godzić i z „córami rewolucji”, jak np. pogodził się z trzecią republiką francuską... że biskupi pozostaną wiernymi carowi aż do końca, to nie ulega wątpliwości, ale czy niższy, a zwłaszcza najniższy kler tej wierności dochowa, to jest więcej ni wątpliwym. Tolerancja religijna ogłoszona rzekomo przez carat w ostatnich chwilach, jest zbyt chudą przynętą dla katolicyzmu polskiego.

Kontrrewolucja w każdym razie popularną nie może stać się łatwo, a wysiłki narodowej demokracji w tym kierunku czynione, owe pogrzeby „ofiar” narodowo-demokratycznych, krzykliwe „demonstracje” narodowo-demokratycznych najmitów i denuncjantów fabrycznych, noszą na sobie zbyt wyraźne znamiona sztuczek agitatorskich, aby w przyszłości uważać je trzeba było za poważny czynnik polityczny. Przez dłuższy czas, w razie wzrostu ruchu rewolucyjnego, kontrrewolucja musi się przyczajać i dać się nieść w przyszłość i tam dopiero należy oczekiwać pierwszej wielkiej próby jej zorganizowania się. Dzisiaj nie ma dla niej pola w ciasnej przestrzeni zażartej walki między proletariatem a najazdem. Nie ma pola chyba już wyraźnie pod skrzydłami żandarmów... To zaś nie jest dzisiaj żadna ochrona, ani moralna, ani nawet fizyczna!

VIII. INTERWENCJA EUROPY

Jest jeszcze jedna forma, pod którą prasa europejska — a w ślad za nią bezmyślnie i nasza — wyobraża sobie kontrrewolucyjną akcję. Jest to tzw. „interwencja Europy”, czyli sąsiadów, a więc Niemiec i Austrii. Wedle zwykłych poglądów, które miałem sposobność w dziennikach wyczytać, sprawa ma się niby tak przedstawiać: Ma powstać nowe „Święte Przymierze” trzech cesarzy, na wzór tego, które utworzono niegdyś po pogromie Napoleona, tego egzekutora rewolucji w Europie. Armie niemiecka i austriacka wkroczą do Rosji, zajmą zachodnią jej część, uspokoją zbuntowany kraj i — oddadzą go na powrót pod knut łaskawego cara-imperatora. Ma to być niby sąsiedzka grzeczność za dawne usługi podobnego rodzaju, świadczone przez carów Niemcom i Austrii. Kitem, łączącym owo „Święte Przymierze” ma być oczywiście sprawa polska, która jest groźną dla Austrii i Niemiec w równej mierze jak i dla Rosji. Ponieważ zaś jako ducha twórczego konszachtów z „Świętym Przymierzem” przedstawiają Wilhelma II, który już to na zjeździe z carem, już to podczas ostatniego zjazdu w Wiedniu miał jakoby interwencję przygotowywać, więc nic dziwnego, że francuska i angielska prasa, a za nią i nasza „szczerze patriotyczna”, uważają już interwencję — na wypadek wszelki — za umówioną, a charakter jej za ustalony.

Nie siedzę w sercu ani w myślach Wilhelma II i jego dyplomatów i na równi z innymi nie wiem nic o treści rozmów jego na zatokach fińskich lub w Schönbrunnie, ale to wiem, że wbrew wszystkim gadaninom prasy, interwencja dzisiejsza Niemiec i Austrii przyspieszyłaby upadek caratu prędzej, niż sto bomb i tysiące browningów!

Byłaby ona faktycznym upadkiem granic Rosji, zburzeniem ich prawdziwym, namacalnym, świadczącym o niemożliwości utrzymania państwa takiego jak Rosja o własnych jego siłach. Nie rozwiązałyby żadnego zagadnienia rewolucji, tylko podkopałyby w zupełności wiarę w potęgę cara. Równocześnie z nią cały naród rosyjski musiałby zwrócić się przeciwko carowi i napędzić go jako zdrajcę państwa, albo też z tych powodów, z jakich go chcą napędzić rewolucjoniści, jako nędznego tyrana i przeszkodę do życia 140 milionów. Toteż nic dziwnego, że właśnie sfery urzędowe rosyjskie w piśmie „Rosssya” straszły rewolucjonistów interwencją, jako wymierzoną przeciw caratowi, a nie jako jakimś „Świętym Przymierzem” trzech cesarów!...

Interwencja nie uspokoiłaby nawet rewolucji w Polsce czy na Litwie. I owszem dołaby jej właśnie otuchy, bo nie można nawet wyobrazić sobie, żeby Niemcy i Austria gorzej rządziły krajem, niż Rosja. Jak przedstawiają sobie ustanie tej interwencji? Czy tak ot po prostu, jako zwrócenie rozhukanego przedtem konia właścicielowi? Trzeba być już bardzo naiwnym, aby tak sobie los milionów ludzi wyobrażać w XX wieku.

Interwencja na korzyść caratu byłaby hasłem do nieobliczalnych dzisiaj przewrotów wewnątrz państw interweniujących i nie tylko nie uratowałyby caratu, lecz naruszyłyby silnie monarchizm w Niemczech i Austrii. Interwencja możebną jest dzisiaj tylko przeciwko caratowi, a ponieważ ani Francja ani Anglia nie pozwolą na rozszerzenie się Niemiec ku Wschodowi, więc na razie nie ma co o niej mówić, jako o akcji bliskiej. Chyba, żeby zaczęto do Rosji stosować słynne praktyki „koncertu europejskiego” jak wobec Turcji lub Chin i żeby nas zechciano traktować na wzór Macedonii lub Krety. Ale na takie żarty „koncertowe” stara, cywilizowana dzielnica Europy, jak Królestwo Polskie, nie jest dobrym polem doświadczalnym.

Interwencja Niemiec czy Austrii złączyłaby po raz pierwszy od wieku dzielnice Polski dotąd rozdzielone. Co z tego złączenia by wypadło, nie można z góry powiedzieć. Że jednak pierwszym tego rezultatem byłoby bardzo silne podniesienie uczuć narodowych, nie ulega wątpliwości. Cóż jednak z tego za korzyść dla caratu?

Im dłużej będzie trwała rewolucja, im groźniejszą będzie skutek rozkładu państwowej maszyny rosyjskiej, tym trudniejszą do pomyślenia będzie interwencja Europy na korzyść caratu i tym pewniej caratu nie uratuje. Straszanie więc interwencją to dobry środek dla szowinistycznej, antyniemieckiej prasy w Paryżu i Londynie, aby podbiczować żądę sensacji w kołach swoich czytelników, ale rewolucja jej się lękać nie ma czego.

Tylko gdybyśmy sobie wyobraźli społeczeństwo polskie w Królestwie, jako martwy przedmiot, lub trzodę bydła, gdybyśmy Polaków w ogólności postawili na stopie kulturalno-politycznej pastuchów macedońskich, gdybyśmy równocześnie odmówili wszelkiego wpływu warstwom ludowym na politykę rządów europejskich, gdy byśmy stanęli na tym stanowisku, że Wilhelm II ma taką samą możliwość dysponowania swoją armią jak Mikołaj I w r. 1849, gdybyśmy jednym słowem cofnęli się o kilka pokoleń wstecz i nie mieli wojny japońskiej, oraz dwu lat rozmachu rewolucji za sobą, tylko wówczas moglibyśmy wierzyć paryskiej, londyńskiej i polskiej szowinistycznej prasie, że „interwencja Europy” jest możebną na korzyść caratu.

Ale i wtedy jeszcze lekarstwo byłoby gorszym od choroby.

Jakiegokolwiek będą jednak losy stosunków Austrii i Niemiec do caratu, z góry już powinniśmy i na tę ewentualność żądać niepodległości Polski i tę niepodległość czynić jedynym punktem programu w sprawach państwowych. Wszelkie próby zaborcze Niemiec czy Austrii powinny nas zastać świadomymi, że należy nam się wolność państwowa w najwyższym rozmiarze, że nie damy się nikomu traktować jako naród podbity, że będziemy o nasze prawa walczyli. Ani Niemcy ani Austria nie wytrzymają w dzisiejszym swym układzie prawnopaństwowym dalszego powiększenia ludności polskiej w państwie, skoro nie mogą sobie dać rady z tak mało politycznie rozbudzoną jeszcze ludnością polską jak w Księstwie, na Śląsku lub w Galicji. O utrzymaniu Polaków na stopniu narodu podbitego nie można dzisiaj już marzyć. Tylko hakatyści pruscy i ugodowcy polscy w to jeszcze wierzą, ale i ta wiara dozna rychło zupełnej porażki, zwłaszcza w miarę postępu walki rewolucyjnej w caracie i w Polsce.

IX. NIEZGODA W OBOZIE REWOLUCYJNYM CO DO PROGRAMOWEGO PUNKTU NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

Obok Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) czynnymi są jeszcze w Królestwie dwie odrębne organizacje partyjne: Socjaldemokracja Królestwa Polskiego (SDKP) i druga organizacja bardziej jeszcze na tle różnicy wyznaniowej oparta — „Bund”, obejmujący część proletariatu żydowskiego, którego inne części należą także do obu poprzednich partii. Nie mam zamiaru przeprowadzać polemiki z prasą obu ostatnich partii co do konieczności programowej niepodległego narodowo-zjednoczonego państwa demokratycznego, jako postulatu politycznego każdego rozwiniętego proletariatu, zorganizowanego do wszystkich zadań walki klasowej. Zaciętrzewienie międzypartyjne jest jeszcze zbyt wielkie, osoby wiodące zbyt silnie ambicjami swoimi zaangażowane, żeby można obiecywać sobie bodaj rzeczową dyskusję. Ale jeden moment wymagałby nawet dzisiaj obustronnego ustalenia: O ile zgodne są dzisiaj już nakreślone we wszystkich trzech organizacjach *cele walki rewolucyjnej*?

Obalenie caratu to zadanie nie ulegające już obecnie dyskusji w żadnej z nich; wszystkie do tego dążą wedle swoich urzędowych zapewnień. Co do Konstytuanty w Warszawie, nie słyszeliśmy żadnych bardziej wyraźnych potępień ani w SDKP ani w Bundzie, z wyjątkiem uchwały zjazdu bundowskiego z r. 1905, powziętej bez zastępstwa towarzyszy z Królestwa. Chociaż oczywiście i SDKP i Bund nie chcą słyszeć o niepodległej Polsce i zwalczają tę ideę bardzo namiętnie, to jednak sam proces rozwoju rewolucji postawił już w obu żądania *prawnopaństwowej natury*, bo zmiany formy rządu w całym caracie i dążenia do tak wybitnie *demokratycznej* instytucji, mającej o przyszłym ustroju państwa zdecydować, jaką jest bezsprzecznie Konstytuanta, oparta o powszechne głosowanie.

Różnica programowa ma więc tutaj naturę nie zasadniczą nawet, a opiera się na różnym pojmowaniu możliwości urzeczywistnienia już dzisiaj niepodległej republiki demokratycznej (SDKP) lub na pewnym szczególnego rodzaju patriotyzmie żydowskim, który rzekomo nie potrzebuje wolnego państwa polskiego, bo nie może wytworzyć dla Żydów osobnego, swojego z powodu geograficznego rozszedlenia ludności żydowskiej (Bund).

Czy po obaleniu caratu, Rosja dzisiejsza rozpadnie się na kilka państw, czy nie, to pytanie przecież dzisiaj nie może wytwarzać chyba wśród Polaków szalonej nienawiści międzypartyjnej!

Wprawdzie w wiekach średnich, w walkach sekt między sobą, najgłupsze różnice odgrywały niekiedy nadzwyczajną rolę i wywoływały zjadłość straszną i krwawą u obu stron, ale tutaj w naszym wypadku mamy 1. ludność mówiącą tym samym językiem, 2. klasę robotniczą należącą do obu partii tę samą, 3. wroga tego samego i 4. ten sam program socjalistyczny. Jak można więc było doprowadzić do takiej niezgody i nienawiści, jaka dziś od czasu do czasu wybucha, zwłaszcza ze strony menderów SDKP? Jak długo jeszcze robotnik polski, pracujący z kolegą w tej samej fabryce, lub o parę ulic dalej, będzie go uważał za wroga dlatego jedynie, że ten kolega po obaleniu caratu chciałby mieć w kraju własne demokratyczne, niepodległe państwo?! Wszak *demokracja* socjalistyczna koronuje swoje dążenia polityczne właśnie demokratycznym państwem, w którym proletariat ma ująć dyktaturę w ręce! Gdzież program socjalno-demokratyczny na świecie, któryby żądał, żeby to państwo nie było narodowo jednolitym, a właśnie narodowo mieszanym? A jeżeli już u nas szczęśliwie taki dziwoląg wyrósł i zgrupował koło siebie ludzi, dlaczego ci ludzie mają czuć niechęć do socjalistów, którzy chcą także *republiki demokratycznej*, tylko narodowo jednolitej, czyli niepodległej Polski, bo są przecież Polakami a nie Rosjanami lub Francuzami!?

Ze stanowiska programowego niepodobna wprost zrozumieć SDKP i jej polityki, chyba że przypuścimy możliwość istnienia pewnego rodzaju sekty socjalistycznej, która wytworzywszy raz w nieszczęsnej chwili swoją organizację, później przez pewnego rodzaju mistycyzm sekciarski i przez osobiste wpływy utrzymuje się przy kupie i wytwarza dalej ducha sekciarskiego, ciesząc się, że istnieje i układając w swej umysłowości tok wypadków zawsze z szczęśliwym optymizmem sekciarskim, który tłumaczy wszystko jak każe sekta.

Inaczej jest w tej sprawie z Bundem. Ten, oparty o część ludności żydowskiej, nie zasymilowanej, nie znającej polskiego języka, wbitej przez historię w głąb „ghetta”, może odpowiedzieć, że jego członkowie nie rozumieją i nie odczuwają potrzeby niepodległej Polski. Dla nich republika wszechrosyjska ma być tyleż warta, co i republika polska. Republika wszechrosyjska łączy w sobie 5 milionów Żydów, a polska tylko 1,5 i te odziera od reszty. Na pozór więc dość argumentów, aby wytłumaczyć stanowisko Bundu. Ale i Bund nie ma powodu wrogo stawać wobec robotnika *polskiego*, który chce wolnej republiki polskiej. Wobec tego, co dzisiaj proletariat żydowski znosić musi w Rosji, wiara Bundu w demokratyczną wszechrosyjską rzeczpospolitą, zasługuje na rzetelny podziw. Takiego zaparcia się, takiej pokory i miłości wobec Rosjan, jakiej dowody składa Bund, niełatwo znaleźć na świecie. Być posłannikiem koniecznie republiki wszechrosyjskiej, chcieć Konstytuanty tylko w Petersburgu, zwalczać wszelki zamiar oderwania się jakiegos narodu od Rosji i czynić to wszystko w czasach najokrutniejszych, najkrwawszych „pogromów” żydowskich w Rosji, to polityka świętych, albo... nie dająca się tutaj bliżej określić.

W każdym razie nikomu z socjalistów polskich nie przychodzi ani na myśl żądać od Bundu *uczuć*, których nie ma lub języka, którego nie zna i poznać nie może; ale czego w imię rewolucyjnego socjalizmu od nich żądać musimy, to: *żeby nie popierali najdrob-*

niejszego nawet ucisku narodowego i zechcieli zrozumieć, że proletariats polski ma zasadnicze prawo do swojego państwa demokratycznego, akurat takie same, jak inne narody w Europie, które już takie państwa zdobyły.

Czy mądrze jest, żeby partia socjalistyczna działająca w Królestwie, szukała łączności i jedności organizacyjnej z partią socjalistyczną w Petersburgu, a równocześnie zwalczała na noże takąż samą partię socjalistyczną w Królestwie, to pytanie pozostawiam czasowi do rozstrzygnięcia. Praktyka rewolucyjna zrobi swoje w tym względzie i prędzej czy później bodaj najdziksze niedorzeczności na tym polu uczyni niemożliwymi. Tyle wiary trzeba mieć w wykształcenie polityczne klasy robotniczej w Polsce, żeby mieć nadzieję na zniknięcie bodaj owego ducha sekciarskiego, który umożliwiał SDKP jej dotychczasową politykę. Bund zaś osłabnie w Polsce równoległe z silniejszym ruchem rewolucyjnym i z zrozumieniem wśród bundowskiego proletariatu konieczności współdziałania z ludem wśród którego Żydzi żyją, konieczności, od której nie ma dyspensy dla żadnej części rewolucyjnego, socjalistycznego proletariatu. Nie załatwiamy tu żadnej „kwesii żydowskiej”, nie stawiamy żadnych horoskopów co do stanowiska Żydów w przyszłej republice polskiej. Chcieliśmy tylko kilkoma zdaniem dotknąć *taktycznej* strony rewolucyjnych walk w Polsce.

Jeżeli ze stanowiska zrozumiałego zresztą oportunistów partyjnego, ze stanowiska liczenia się z *ofiarami* i prześladowaniami, na jakie partia narażać się może, wystawiając w walce z rządem hasło niepodległej republiki polskiej, sądzi kto, że carat może mniej srogo karać będzie za takie np. żądanie jak „obalenie caratu” i „republika federacyjna wszechrosyjska”, wówczas rozpocznie się pewnego rodzaju „licytacja w dół” w kierunku najmniej srogich kar, aż ockniemy się w samym bagnie narodowo-demokratycznej pustej frazeologii, nieszkodliwej dla caratu, ale i nie mającej żadnego znaczenia dla nikogo, z wyjątkiem „działaczy” narodowo-demokratycznych, oszukujących ludność chcącą się wyzwolić i tworzących partię dogodną dla caratu.

W rewolucjach nie idzie o ofiary, a o ich owocność i rezultaty. Nie ten jest zbrodniarzem, kto prowadzi towarzyszy na bój śmiertelny, a ten, kto ich źle prowadzi. Śmierć robotnika za wyzwolenie swej klasy z niewoli ekonomicznej i politycznej nie jest śmiercią ani marną, ani straconą dla klasy robotniczej. Historia ludu jest zawsze krwawa, ale ileż to Polaków padło w wojsku rosyjskim na polach Mandżurii bez żadnego pożytku dla Polski, dla wolności, dla przyszłości! Dziesiątki tysięcy ich wymordowano i pokaleczono w służbie cara, i żaden dziennik „patriotyczny” nie wołał za to o pomstę na cara — mordów tych sprawcę. A przecież te hekatombę trupów chłopów i robotników polskich, to strata podwójna: moralna i materialna.

Rewolucja w Polsce nie pociągnęła za sobą ani setnej części tych ofiar, a przecież jej ofiary to pobudka do walki, do zmagania się o wolność, to grzmot budzący sennych niewolników, to wzór bohaterstwa dla ludzi małych, łatwo na duchu upadających.

Kto na carat podnosi rękę, niechaj się nie spodziewa odeń łagodności. Przez dziesiątki lat szarpała nas sfera psów carskich za każdy ruch nasz, więziła za broszurkę, za gazetę znalezione, znęcała się w czasie pokoju bez litości, wysysała nam z żył krew wolnych ludzi, a robiła nas podłymi tchórzami i niewolnikami. Odmawiała najprostszych praw człowieka, wydawała na łup bezprawia, zakazywała oświaty ludowi jak zbrodni, i dzisiaj, dzisiaj, gdy wreszcie doczekaliśmy się buntu ludowego przeciwko tej szatańskiej bandzie najezdniczej, znajdują się nas ludzie bolejący srodze nad zemstą ludową na różnych żandarmach i ich wodzach i liczący ofiary dzisiejsze tak skrupulatnie, jakby ich nigdy przedtem w Polsce nie było! Jak gdyby nie było więzień i Sybiru, jak gdyby niewoli u nas nie było!

A przecież jest środek niezawodny uczynienia ofiar rewolucji nie straconymi na marne. Niech każdy, kto sądzi, że rewolucja za mało jeszcze działała, pójdzie w ślady tych, co już ofiary złożyli, niech *pracuje* dla tej samej idei, za którą inni już *zginęli*. Wtedy nikt nie zginął marnie!

Prasa polska kontrrewolucyjna albo obojętna, jest tak niemądra, że nie rozumie już nawet, co się w polskim społeczeństwie dzieje. Nie rozumiała np. ostatniej znakomitej taktyki PPS, która stosunkowo małymi siłami szachuje ogromne masy wojska carskiego, zmuszając w kilkuset ludzi, zdecydowanych i dzielnych rząd do strzeżenia wszystkiego za pomocą armii, tej ostatniej kotwicy caratu. Armia musi pilnować całości wszystkich

urzędowych figur carskich w Polsce, od Skąllona począwszy, a skończywszy na ostatnim policjancie czy strażniku ziemskim. Armia pilnuje poczty, kolei, szynków, urzędów. Na wszystko, co jest poza nią, padł strach wielkooki, wszystkim oładnęło zamieszanie, niepewność... I armia źle tego wszystkiego pilnuje i demoralizuje się militarnie do reszty.

Tego przecież chyba ślepy tylko nie widzi, a jednak prasa burżuazyjna i tego nie rozumie. Ale nie o to nam tu idzie, a o to, że *tego rodzaju „bojowa” taktyka PPS jeżeli tylko zdoła dłużej potrwać, musi być naturalnym przygotowaniem do zbrojnego ruchu na większą skalę*. Już teraz musimy sobie z koniecznych rezultatów tej taktyki zdawać sprawę. I godzi się chyba zapytać obie „sąsiednie” w kraju partie — SDKP i Bund, co one na to wszystko powiedzą. Czy staną już dziś w obronie policjantów, czy też ograniczą się na dawnych środkach: strajkach i demonstracjach niezbrojnych? Co zrobią obie to partie rewolucyjne, skoro rząd carski zechce się w Królestwie ratować za pomocą środków wypróbowanych w r. 1863 przez Murawiewa-Wieszatiela na Litwie? Czy i wtedy będą oddziaływały swoich towarzyszy od walki zbrojnej, oczekując komendy z Petersburga? Czy będą ich straszły tym, że to „powstanie”, a powstania nie wolno rzekomo robić polskiemu czy żydowskiemu socjaliście?... Każdy czuje, że w miarę pogłębiania się i zaostrzania walki, konieczne będzie szukać przecież jakiegoś porozumienia się *wszystkich* rewolucjonistów w Polsce, bo unikanie stałe wspólności walk może stać się wprost zbrodnią wobec interesów ludu.

Zwłaszcza ostatnie fazy utarczek z caratem, prowadzonych niekiedy mistrzowsko przez PPS, powinny oprócz podziwu wywołać także inne uczucie, pożyteczniejsze dla rewolucji: chęć gorącą u każdego socjalisty w Polsce przyłączenia się do tych zapasów, bo stać z boku w Królestwie wprost wstyd.

Przecież tych talmudycznych dyskusji, tych posunięć taktycznych, zawsze tylko używanych nie tyle dla zaszachowania caratu, a raczej dla wprawienia w ambaras innej *partii* i to socjalistycznej, nikt na długo nie zniesie, nikt nie zrozumie. Przecież chyba dość było przez dwa lata ostatnie dyskusji i pomieszania pojęć, od którego włosy na głowie wstają z przerażenia, że to w ogóle było w Polsce możebne!

Już sam instynkt rewolucyjny powinien był bodaj część socjalistów pouczyć, że np. kontrrewolucyjna narodowa demokracja zadowoli się najmarniejszą zmianą stosunku naszego narodu do Rosji, bo wie dobrze, że im stopień zależności od caratu będzie większy, tym łatwiej narodowi demokraci dostaną się do żłobu, albo do „rządzenia krajem”. Wszak ci ludzie byli podobno u Wittego, ofiarując się kraj „uspokoić”, żeby tylko im carat dał jakie takie środki po temu... To znaczy, narodowi demokraci gotowi są do wszelkich posług policyjno-żandarmskich, żeby tylko mignięto im „autonomią”. Im szersze będą zakresy tej autonomii, samorządu, im demokratyczniejsze będą jej formy, tym oczywiście gorzej będzie kontrrewolucyjnym żywiołom. Najgorzej by im było, gdyby lud dobił się *niepodległości*, gdyby powstała demokratyczna, niepodległa republika polska. Dlatego kontrrewolucja rzuca co rychlej wszelkie „marzenia” o niepodległości, jak by to było rozżarzone żelazo, dlatego spieszy do Dumy, dlatego skomli u stop tronu i jest tylko smutna, że car tego skomlenia jeszcze nie słyszy. Ale liczy ona, że kiedyś w biedzie je usłyszysz, a jeżeli nie on, to kadeci czy jakakolwiek siła stojąca u steru państwa i mogąca odstąpić część władzy kontrrewolucji polskiej: narodowym demokratom. Część, nie całą. O tym nie śmiają i *nie chcą* myśleć kontrrewolucjoniści, bo wiedzą, że rewolucji nie „uspokoją” w rzeczywistości, że przeciwko niej będą zawsze potrzebowali carskiej czy cesarskiej armii. Na to, ażeby się kontrrewolucja mogła naprawdę rozwinąć, potrzebuje ona „autonomii” kraju, ale nie prawdziwego, pełnego samorządu, możliwego w niepodległym, demokratycznym państwie, lecz autonomii związanej, autonomii, która by tej nędznej partii pozwalała nasycać się spokojnie nadwartością, wpływem, bogactwami i tą władzą, do której ona dorosła, tj. władzą tchórzliwą, opartą o obce rządy, o obce armie, władzą bez właściwej politycznej odpowiedzialności, tak jak ją mieli przez lat trzydzieści stańczycy w Galicji.

Czyż tego nie mogą zrozumieć w partii SDKP lub nawet w „Bundzie”? Czy nie rozumieją, że ich obowiązkiem jest zwłaszcza *w czasie rewolucji* wyjaśnić stosunek partii nie tylko do wroga, tj. caratu, ale i do wszystkiego, co jest poza ich partią, a jest proletariatem, chłopstwem, drobnomieszczaństwem, proletariatem inteligencji, jednym słowem: *co jest ludem* w Polsce. Czy mądra, czy możebna taktyka, która każdy żywioł poza partią uważa po prostu za część „reakcyjnej masy”? Wszak to ślepotą, która musi się zemścić na

partii przede wszystkim. Troska o sekciarską „czystość” już nie zasad, ale odezwy lub mów zgromadzeniowych, powtarzanie ogólników rzekomo rewolucyjnych, jest czymś czysto umówionym, czymś, co się robi wszędzie, ale nigdy po to, aby zasad taktycznych, czy programowych nie kontrolować ustawicznie i to wśród warunków miejscowych, bo przecież te zasady taktyczne nie dla księżycy, a dla nas, dla żywego ludu, dla danego proletariatu, wśród danego narodu!

X. GROŹBY PRZEŚLADOWAŃ

Jedynym zarzutem podnoszonym przez ludzi rozważnych przeciwko wysunięciu punktu programowego: niepodległej, narodowo jednolitej republiki demokratycznej polskiej, jest niemożliwość odpowiedniego przygotowania zbrojnego ruchu rewolucyjnego i stąd wieczna obawa o „przedwczesny” wybuch i straszne skutki przegranej. W Polsce te obawy mają już historyczne uzasadnienie w dziejach popowstaniowych represji, znanych powszechnie.

Zarzut ten jednak, jakkolwiek poważnie by się go traktowało, nie może iść tak daleko, żeby żadnych przygotowań nie czynić. Wówczas bowiem trzeba by w wielu wypadkach przejść do obozu carskiego, bo coraz więcej zdarza się sytuacji, w których człowiek żyjący w Polsce musi się zdecydować: komu służyć, carowi czy rewolucji? Oscylować zaś między carem a rewolucją nie zawsze będzie można i nie na długo przydadzą się przeróżne półśrodki, doradzane przez tzw. „ludzi dobrej woli”. Tak samo nie należy się łudzić, jakoby udało się komu carat oszukać przez podwójną grę: przez poddańczość wobec Rosji i równoczesny patriotyzm polski.

W takich razach łatwiej jeszcze — i to do czasu tylko — oszukać swoich. Wrogów prawie nigdy oszukać nie można. Wallenrodyzm milionów jest nonsensem i niemożliwością. I to wallenrodyzm, który nie wiadomo nawet, co ma „uratować” w Polsce. Tak bowiem odartego z praw narodu cywilizowanego, jak Polacy w Królestwie, nie ma na całym świecie. I właśnie dlatego taktyka podniesienia żądania niepodległości, jako rezultat całej tej okropnej polityki carskiej w Polsce jest dla klas wyższych, ale „patriotycznych” może najbardziej „użyteczną” ze wszystkich. Zwłaszcza dzisiaj, wobec rozpadania się caratu, wszelka inna taktyka dodaje mu jeszcze otuchy, że przynajmniej Polacy względnie cicho siedzą... Ich „patrioci” włóczą się po różnych carskich kancelariach, a w Dumie stanowią nauczycieli dla parlamentarnych reakcjonistów, co utwierdza carat w nadziejach na kontrrewolucję w Polsce i daje mu odwagę do bezczelnych żądań, aby „społeczeństwo” samo tłumilo rewolucyjne ruchy.

Obojętność tzw. „społeczeństwa” polskiego nie jest też wcale obroną tego społeczeństwa w czasie rewolucji. Przeciwnie, to główny warunek pomyślnej walki dla caratu od chwili, gdy za każdy czyn rewolucjonistów mają pokutować np. zupełnie obojętni przechodnie na ulicach Warszawy, kładzeni trupem przez „zbląkane” niby kule sądatów. Jeżeli jeszcze metoda „łotewska” zostanie w Polsce zastosowana przez generałów-pacyfikatorów, jeżeli zaczną burzyć i palić domy niewinnych, z ziemią równać całe wioski, kontrybucje nakładać na gminy, rozstrzeliwać „sądem polowym” kogo się spodoba, wówczas obojętność nie tylko nie będzie obroną, ale przeciwnie, będzie jedynym celem prześladowań. „Zakładnicy”, o jakich marzą różne katy petersburskie, będą z pewnością brani ze „spokojnych” obywateli... Wówczas niejeden pożałuje, że nie przyłożył zawczasu ręki do uzbrojenia narodu, że spał spokojnie, lub udawał sen spokojny wtedy, kiedy trzeba było wyzyskać każdą chwilę czasu... Przyczajanie się, jako taktyka, jest możliwe dla małych grup, mogących liczyć na względy caratu. Tej taktyki trzymają się narodowo-demokratyczni spekulanci, ale nie może jej uprawiać cały lud polski, a tym mniej proletariatu zorganizowany.

Wszystkie te uwagi nie mają oczywiście nic wspólnego z określeniem chwili ruchu zbrojnego lub z rozstrzygnięciem, w jakiej formie ten ruch kiedyś wybuchnie. Chodzi mi o taktykę polityczną, a nie militarną. Ta druga jest w gruncie rzeczy sprawą pochodną, następczą, szczególnym tylko przystosowaniem potęgi politycznej, i posiada właściwości zupełnie swoiste, właściwości, które omawiać dzisiaj szczegółowo, jest albo niemożliwością, albo szkodliwe dla rewolucji.

Nie potrzeba się również ludzi, jakoby hasło niepodległości musiało najpierw objąć wszystkich Polaków, ażeby dopiero wtedy stanowiło ową siłę, z jakiej może narodzić się wolne państwo. Sto z górą lat niewoli wytworzyło u nas tylu obojętnych, lub — co gorzej — tylu carochwalców wśród klasy rządzącej, że możemy niestety zawsze liczyć się ze zdradą, czyhającą w sercach ludzi o polskich nazwiskach. Ale ta zdrada wydaje nas na łup wrogów i dzisiaj, a rozsiada się tym szerzej, im więcej rozpacz i rezygnacja bezpłodna wżera się w umysły ludu polskiego. Renegatów mamy więcej, niż potrzeba: od policjantów, a do jenerałów, im wężiej zakreślimy nasze żądania, im skromniej brzmieć będą nasze hasła, tym szerzej rozsiądzie się ugoda z carem. Przepłoszyć ją może — jak świadczy historia ostatnich lat dziesiątka — tylko bardzo energiczna walka z caratem.

I raczej lękać by się rewolucja powinna zbyt masowego przyływu „białych” czy „czarnych secin”, niż tego pragnąć. W razie bowiem pierwszego jej powodzenia, zgłosiłoby się w jej obozie takie mnóstwo fałszywych przyjaciół, tak dużo żądnych zaszczytów, wpływów, posad, że trzeba by robić staranny wśród nich wybór... Wówczas zjawia się wszyscy wyznawcy „harmonii” i solidarności narodowej, ci sami nawet może, co dzisiaj nazywają socjalistów „pruskimi ajentami”...

Jeżeli prawdą jest, że idei bagnetem nie zabije, kulą nie zastrzeli, to odnosi się to tylko do idei, obejmujących masy ludzi, idei wyrażających stałą jakąś potrzebę życiową społeczeństwa, czy jego ludu, idei będących „nieprzedawnionym prawem”, prawem koniecznym dla dalszego rozwoju życia społecznego, kulturalnego i politycznego. A taką właśnie ideą jest dla rozwijającego się narodu niepodległe, demokratyczne jego państwo. Kto by sądził, że programy autonomii w przeróżnych jej stopniowaniach, lub federacji w przeróżnych jej postaciach, są dlatego rozumniejsze i wygodniejsze, że opierają się one tylko na pewnych różnicach, a inne zostawiają nieuwzględnione, ten niech się zastanowi, że Polacy w Królestwie są ju wysoko „różniczkowanymi”, że to nie analfabeci galicyjscy, ani nie klerykali poznańscy, że w Królestwie mamy do czynienia nie tylko z tradycją powstań, tj. wojen o niepodległość, ale i z powszechnie odczuwaną wyższością kulturalną nad najeźdźnikami. Wyższość ta jest w rzeczywistości nie tylko kulturalną, ale społeczną, ekonomiczną i polityczną. Mówienie takiemu środowisku o autonomicznej czy federacyjnej zależności od Rosji jest zawsze niedomówieniem, jest maskowaniem jednego milczącego założenia: że nie można na razie mówić o niepodległości, bo za dużo rosyjskich bagnetów i armat w Królestwie...

Oczywiście, że dla klas posiadających i wyzyskujących jest taka polityka z tysiąca motywów bardzo wygodną. Nie jest ona nią jednak wcale dla rewolucjonistów, jak to już kilkakrotnie wykazałem.

Przy tym należy wziąć pod uwagę pewne możliwości polityczne, bardzo prawdopodobne, obchodzące najbardziej taktyków rewolucji.

XI. EKONOMIZM

Mam tu na myśli chaotyczność przeróżnych ruchów rewolucyjnych, buntowniczych, czy tylko opozycyjnych, o ile zbraknie hasła rewolucyjnego, obejmującego główne potrzeby życiowe warstw i klas ludowych. Najwykleszą podstawą takiego chaosu jest oparcie się ruchu danej klasy na jej najbliższych, bezpośrednich ekonomicznych potrzebach. Nazywam to krótko „ekonomizmem”, tj. wyłączeniem wszelkich politycznych dążeń, a zadowoleniem się, nasyceniem, jakby na jeden dzień...

Abdykacja z „polityki”, jako z czegoś, co do ludu nie należy, a jest zajęciem tylko dla „panów”, jest zjawiskiem spotykanym w całym świecie wśród ludu, tak samo wśród amerykańskich lub angielskich unionistów, których głównym hasłem jest „no politic!” („precz z polityką!”), jak i u chłopów, którzy pragną tylko ziemi, a „wolność” na drugim miejscu postawić gotowi. Ulubiona to zresztą podstawa dla przeróżnych odcieni anarchistów. „Ekonomizm” ten, to w gruncie rzeczy polityczna ograniczoność, to krótkowidztwo i niezrozumienie szerszej walki klasowej, toczonej w państwie i przez państwo także, ale dopóki się go nie złamie, jest on względnie silnym, bo przemawia do bezpośrednich potrzeb i wytwarza ideologię, zrozumiałą właśnie wśród najmniej rozwiniętych.

Otóż dopóki ciąży nad nami straszne jarzmo caratu, dopóty nie ma u nas wielkiej obawy, aby takie krótkowzroczne hasła „ekonomizmu” bardzo się rozpanoszyły, a tzw.

„demokracja carska” u nas, czyli komedia z ochroną chłopów przeciw szlachcie przez „komisarzy włościańskich”, a więc czynowników rosyjskich, nie wydała poważnych owoców dla caratu pomimo kilkudziesięciu lat trwania. Lud pozostał jeszcze obojętnym lub wrogiem caratu we wszystkich swoich warstwach, a tylko ugodowcy przejęli się naprawdę teoriami tzw. „pracy organicznej”, jako jedyne hasła przewodnie, które z biegiem czasu straciły wszelką świeżość i spadły do rzędu obrzydliwych kommatów, dobrych jeszcze dla idiotów lub obłudników.

Ale gdyby ucisk zelżał, lub gdyby represja caratu była i nadal tak głupią jak dzisiaj, gdyby zatem po pewnym czasie stworzyło się trochę miejsca (mniejsza o to, czy „legalnego” czy nie) dla wysuwania różnych programów i programików poszczególnych grup, wówczas z pewnością wyleżą różne klasowe „ekonomizmy” w tysiącnych postaciach, jak gromady czółen bez steru.

Żadna klasa w Polsce nie będzie od owego „ekonomizmu” wolną, do każdej zechcą carat lub grupy polityczne ugodowe umizgnąć się za pomocą obietnicy pełnego żłobu, byle tylko za ten pełny żłób wyrzeczono się „mrzonek” i pozostawiono fundamenty caratu na długie lata nietkniętymi.

Fabrykantów można ująć wysoką dywidendą, robotników reformami ekonomicznymi, chłopów darowizną ziemi, „inteligencję” czym bądź, byle pięknie brzmiącym... Nadto mamy jeszcze kler, który za przywileje dla swojej hierarchii gotów wszędzie pogodzić się choćby z Belzebubem, mamy szowinistów, zazwyczaj najłatwiejszych do oszukania, bo rekrutują się z pośród dziennikarzy, lichych poetów, drobnomieszczan i wykolejonych ludzi wszelkiego rodzaju. No i mamy różnych „szambelanów” i „kawalerów” szlacheckich, usychających z pragnienia, aby móc zająć takie stanowisko przy dworze, jak np. galicyjska magnateria w Austrii.

Wszystko to w pewnym momencie rzuci się da szczególnego rodzaju „likwidacji” caratu, tj. tych marnych ochłapów, które carat zechce lub będzie musiał poświęcić, aby resztę władzy swej uratować. Rewolucjoniści muszą być z góry na to przygotowani, że na tych czółnach bez steru będą bardzo pięknie ubarwione flagi, będą hasła wzruszające do łez, żeby już „dać raz spokój rewolucji”, bo dana grupa, a więc zawsze „naród” ma już wszystko, czego dusza zapagnie. Jeżeli dzisiaj — wśród stanu wojennego i sądów polowych narodziła się demokracja pisze o ulgach i zdobyczach, dla których ona stała się kontrrewolucyjną, jeżeli dzisiaj już denuncjanci i łamistrajkci są grzebani jako „męczennicy narodowi”, a nad ich grobemomalże pomników nie stawiają, na jakie czekać będą jeszcze długo bohaterowie rewolucji, to cóż dopiero będzie, skoro rewolucja naprawdę wywalczy w pewnym stadium swobodę ruchów dla wszystkich i w tej swobodzie, w tym ogólnym odzyciu tysięcznych potrzeb klasowych i warstwowych, nie zatkniesz sztandaru ogólnie uznanego, daleko w przyszłość rewolucyjną wiodącego, zdolnego do skupienia wokoło siebie wszystkich sił, mogących jeszcze walczyć o tę przyszłość. Tysiąc razy wołać będą do wodzów rewolucji, że lud „zmęczony”, i tysiąc razy muszą ci wodzowie odpowiedzieć hasłem prostym, jasnym, zrozumiałym dla ludu. Jak Mojżesz kazał nieść przed Żydami węża miedzianego i utrzymywał w nich wiarę w dościsie do ziemi obiecanej, tak rewolucja będzie musiała nieść przed sobą sztandar niepodległej Rzeczypospolitej, aby nie ulec „zmęczeniu” przeróżnych „ekonomizmów”, które zechcą ją zatrzymać przy najlichszej stacyjce, zwanej „autonomią”, zabraniając krytykować lub nawet bliżej w zęby zajrzeć temu darowanemu koniowi!... Czy rewolucja w Polsce ma oprócz niepodległości demokratycznej republiki jakie inne równie potężne, równie daleko, a jednak nie za daleko sięgające hasło? Czy u nas w Polsce jest już dzisiaj grunt np. dla „maksymalistów”, którzy chcieliby wkrótce republiki socjalnej? Nie wiem i na przyszłość nie chcę się żadnym zdaniem wiązać, ale kto chce republiki socjalnej, ten nie zadowolony się chyba autonomią lub federacją w dzisiejszym ich pojęciu, a republiki socjalnej w Polsce nie przywiąże do możliwości rozwoju chłopu rosyjskiego lub koczownika stepowego w Rosji. Zresztą niczego podobnego dotąd w Polsce nie spostrzeżliśmy i dlatego nad podobną kombinacją nie mamy na razie obowiązku się zastanawiać.

Rzucanie zaś haseł w rodzaju „swobody i ziemi” jest tylko skróceniem popularnym pewnych określonych programów, których sprecyzowanie to obowiązek polityków rewolucyjnych. Na to oni są, ażeby z haseł agitacyjnych rewolucji nie pozwolić zrobić czegoś,

co może być wprost sprzecznym z interesami proletariatu zorganizowanego, na to oni potrzebni, ażeby nie dać tych hasel fałszować, zabarwiać, wykrzywiać...

Jednym słowem: rewolucja musi dać — i to dać w określonym czasie — nie tylko w znaczeniu czysto materialnym stokroć więcej, niż może dać carat, ale musi wytworzyć ideologię niezawodzącą, wyrosłą z życia ludu polskiego, ideologię dość obszerną, aby objęła wszystkie klasy i nie była dla żadnej negacją warunków ich życia, a raczej życia tego spotęgowaniem i ułatwieniem. Prowadzona przez proletariatus uświadomiony, przez partie socjalistyczne, nie może jednak ani na chwilę stracić z oczu innych warstw ludowych i wszystko uczynić musi, ażeby te warstwy pozyskać.

Nie uczyni zaś tego kłamiąc i oszukując, lub pogardzając tym wszystkim, co jeszcze z ludu nie stanęło do walki i nie zgłosiło się do obozu rewolucyjnego. Z kłamstwa lub z pogardy wyrośnie bowiem później posiew dla owych przeróżnych szarpań w stadiach pośrednich, szarpań decydujących nieraz o całym wyniku określonej walki rewolucyjnej, decydujących o zgubie lub zwycięstwie całego pokolenia.

Nie ma tu miejsca na wschodni fatalizm, który mówi, że rewolucja musi zwyciężyć, choćby była najbardziej nieudolnie prowadzoną, bo z takim fatalizmem w piersi jednostki jest ona sama dla tej jednostki nonsensem i nie skłoni nikogo do żadnej, najmniejszej ofiary.

Jedyną dziś ideą dość wielką, aby naznaczyć cel dla walk rewolucyjnych, jest idea niepodległej republiki demokratycznej narodowo jednolitej. W celu tym spotkać się i przeciąć jak w punkcie węzłowym mogą wszystkie klasy ludowe, może się spotkać i historia i „teraźniejszość”, na to, aby zacząć inną przyszłość, wyższą typem swoim od wszystkiego, co dotąd w Polsce było za czasów dawnych czy mniej dawnych.

Omijanie tego koniecznego stadium rozwoju za pomocą wyglądania, czy z głębin ludowych, jak z legendarnych jaskini tatrzańskich, nie wyjdą jakieś nowe hasła, niby śpiący dotąd rycerze, szukanie ludzi „wielkich”, którzy instynktem rewolucyjnym wiedzeni, nowe sztandary podniosą, nowe wskażą drogi, — nie przyda się politycznie na nic. Nowe tchnienie czasu zrodzi się w walce i tylko w walce. Na próżno by „wytężyć słuch” na tentent rumaków rycerzy, wiozących tajemniczy uniwersał dla Polski z Wawelu, czy z Częstochowy, na próżno pogardzać tym ruchem, który jest, a szukać takiego, którego dzisiaj być w Polsce nie może, na próżno zaklinać przeszłość lub szukać gwiazd przyszłości na dalekim nieboskłoniu!... Nie pomoże sceptycyzm, który wymaluje w czarnych barwach jakąś republikę „burżuazyjną” i zapyta: i za to mamy dać się wieszać, rozstrzeliwać i gwałcić?

Za „marne” niby prawo zgromadzania się, już dotąd setki ludzi poginęły od kul; za prawo wolnej prasy, więzienia przepelnione, za wolność stowarzyszeń tyle samo więźniów i męczenników da lud... A przecież na tych zgromadzeniach będą mowy, na które poeci i „piękne duchy” będą kręcili nosami, a w „wolnej prasie” rozsiądzie się kurierkowy blagier lub sprzedajny pismak, a w wielu stowarzyszeniach będą głupcy nudzili się z głupcami!... Czyżby lud się omylił? O nie! i tysiącokrotnie! Lud się nie omylił wołając o prawa człowieka, nie omylił się znosząc pańszczyznę i burząc Bastyllę, nie omylił się nawet, wołając o konstytuanty i parlamenty burżuazyjne. To było konieczne i to musiało przyjść. I nie mylił się zrzucając z siebie obce najezdnicze jarzmo, ustanawiając własnych urzędników, biorąc w posiadanie pozór bodaj swojej zwierzchniczej władzy w państwach konstytucyjnych. I nie omylił się również i polski lud, walcząc o polską republikę demokratyczną.

Czasem dziwić się należy, że w narodzie rozwiniętym a przez najezdnicę ujarzmionym, trzeba ludziom inteligentnym udowodniać, że naród ten powinien dążyć do niepodległego, swojego państwa demokratycznego. A jednak tak jest dzisiaj zdaje się w Polsce...

Nietrudno nawet przedstawić sobie, jak do tego przyszło. Górne warstwy, nie mające żyć samym wyzyskiem i wyciskaniem grosza z chłopca i robotnika, a nie mające już żadnych sił do zbudowania niepodległego państwa, zaczęły uprawiać po prostu pewnego rodzaju szantaż polityczny. Naturalnie, że nie mam zamiaru każdego członka warstw górnych w Polsce osobiście piętnować i znieważać tym słowem. Ale niczym innym nie były praktyki, które zalecały i propagowały na wszystkie boki „patriotyzm”, a równocześnie każdego, kto by chciał lud przygotować do walki o niepodległość, ogłaszały za zbrodniarza lub wariata. Skoro tylko gdziekolwiek lub kogokolwiek „patriotyzm” za-

czyniał zobowiązywać do działalności, do wiary w niepodległość, w tej chwili starano się zastąpić go jakimś innym, nie obowiązującym do niczego. „Orzelki i konfederatki” nawet niemile widziano, skoro się zaborczym rządóm nie podobały. Na wsi zalano „patriotyzm” za pomocą klerykalizmu i to bardzo gruntownie. W mieście zrobiono zeń pustą obłudną zabawkę „nieszkodliwą” dla nikogo i pozwalano młodzieży donaszać niejako stare suknie dawnych patriotów, aby tę młodzież zapędzić potem do urzędów, czy biur i kantorów.

Powinajdowano mnóstwo teorii, że można i w niewoli żyć doskonale, sprawiono sobie politykę specjalnie dla „biednych niewolników”, jednym słowem urządono się, ale nie wyrzucano „patriotyzmu”, ażeby mieć przecież coś, co miało być ideologią klasy wyzyskiwaczy.

I nic dziwnego, że wyzyskiwany i oszukiwany robotnik zaciskał pięści na ten nędzny, oszukańczy, tchórzliwy „patriotyzm” panów, a komedianką młodzieżą, bawiącą się nieszkodliwie dla najazdu w „patriotów”, nauczył się gardzić... Nic dziwnego nawet, że i podczas rewolucji, kiedy w procesji niesiono białego orła, herb państwa polskiego, ten lub ów robotnik syknął: „Biała gęś!” Po r. 1863 patentowani patrioci stali się ugodowcami i sto razy ohydniej tego samego białego orła znieważyli, sto razy więcej bluźnierstw wobec tego symbolu dawnego państwa swojego się dopuścili, a dzisiaj mają jeszcze odwagę oburzać się i gorszyć!

W czasach przygotowywania się ugody klas wyzyskujących polskich z caratem, któż to postawił w swoim programie na pierwszym miejscu żądanie niepodległej republiki demokratycznej polskiej? Może to była jaka partia „patriotów” czy „inteligentów”, czy innych? Nie — to była PPS, partia powstała z różnych grup socjalistycznego proletariatu. I jeżeli dzisiaj ten lub ów wyszydza ją słowami „socjalpatrioci”, to może to robić tylko dlatego, że „patriotyzm” został przez polskie klasy wyzyskujące po prostu zozydony, bo każdy geszefciarz, każdy błagier, każdy wróg ludu przywdziewał na siebie sukienkę patriotyczną i zawracając obłudnie oczyma kłął lud polski jako niepatriotyczny. Znamy to wszyscy, wszyscyśmy tego do dnia dzisiejszego świadkami, a kto załamuje ręce nad bandytyzmem, browningami, samosądami itp., ten niech czyta tylko pisma „patriotyczne”, a zobaczy tam sto razy gorszych bandytów, niż pobytowi złodzieje, sto razy gorszych żandarmów, niż rosyjskie „fioly”, rzucających się co dzień na polskie masy ludowe, które zaczęły walkę przeciw o wolność dla wszystkich i giną w tej walce często jak bohaterowie. Cytat mógłbym przytoczyć tomami; nie chcę jednak rąk brukać śmietnikiem „patriotycznym”. Jeszcze nie przebrzmiały słowa tchórzliwej burżuazji, której reprezentanci „dziękowali” robotnikom za to, że wywalczyli wolność w listopadzie r. 1905, a już utworzono „patriotyczną” organizację łamistrąjków i zabijaków narodowo — demokratycznych, a ze szpalt gazet „narodowych” zaczęto co dzień rzygać na lud kartaczami oszczerstw i obelg!⁷

⁷Do jakiego stopnia zezwierzczenia politycznego doprowadziła kontrewolucja w swoich pismach, niechaj zaświadczy „Słowo polskie” z dnia 22 września 1906. nr. 430 (artykuł pt. „Groźne objawy”). Czytamy tam następującą, w danych warunkach wprost dziką denuncjację: „W stosunku do ruchu rewolucyjnego w państwie rosyjskim biurokracja austriacka odegrała bardzo dwuznaczną rolę. Transportowanie broni do Królestwa i Rosji w ogromnych ilościach odbywało się przez Galicję. Przez Podwołoczyska przeszedł nawet transport karabinów maszynowych. Fabryki rządowe sprzedawały broń i dostarczały naboju w ilościach wskazujących, że to nie mogą być zamówienia prywatne. W ostatnich dopiero czasach władze galicyjskie przeciw temu zareagowały i wydały rozmaite zarządzenia spóźnione. Bo dzisiaj rewolucjoniści rewolwerów i karabinów już nie sprowadzają, raczej sprowadzają je ci, którzy chcą z anarchią walczyć (!) Nie oskarżamy (?) władz naczelnych w kraju o szkodliwe dla interesów narodowych pobłażanie robocie rewolucyjnej socjalistów w Galicji. Bezczyność władzy wyższej znajduje usprawiedliwienie w nieudolności i demoralizacji organów niższych. We Lwowie odbywa się zjazd rewolucjonistów polskich i rosyjskich, przy współudziale stu kilkudziesięciu osób. Obrady trwają cały tydzień, bodaj nawet dłużej, i odbywają się w lokalu publicznym. O zjeździe rozprawiają głośno plotkarze polityczni po kawiarniach, bodaj nawet wróble na dachach świegocą, tylko policja nic o tym nie wie i dowiaduje się podobno dopiero w kilka tygodni później. Gdy się ten brak ciekawości zestawia z faktem asygnowania na owym kongresie 10.000 koron na „zjednanie” (!) urzędników i agentów policyjnych, budzą się mimo woli różne podejrzenia. Stwierdzają zaś je notorycznie znane nam fakty, że przy transportowaniu broni pomagali czynnie rewolucjonistom nawet żandarmi i zwłaszcza strażnicy skarbowi, ci ostatni, należący formalnie do organizacji socjalistycznej. Przytaczamy te fakty dla wykazania, że władze galicyjskie okazałyby się zapewne równie jak rosyjskie w Królestwie nieudolnymi do obrony porządku i bezpieczeństwa publicznego przeciw zamachom anarchii i bandytyzmu”. W Austrii usiłowaniami wszystkich uczciwych ludzi udało się skłonić rząd i władze do lojalnego przestrzegania prawa gościnności wobec dziesiątek tysięcy ludzi, prześladowanych nieludzko przez carat. To prawo gościnności jest solą w oku wieszateliom petersburskim i naszym narodowym demokratom. Ale to, czego nie śmieli zrobić najgorsi oprawcy moskiewscy, zrobili w zacytowanym artykule — narodowi demokraci. Zbrodniarz, który pisał te niegodziwe kłamstwa w „Słowie polskim”, chce zmusić rząd austriacki

Cóż dziwnego, że lud powoli i z trudem się orientuje w tym, czy ma walczyć o „republikę polską”, a klasy wyższe wymawiają te słowa, nie zdając sobie nawet sprawy, co one znaczą, nie myśląc nic przy tym. Wszak je tak uczono przez czterdzieści lat... Ale czasu jest dość, aby lud przygotować do zrozumienia konieczności niepodległego demokratycznego państwa, przygotować drogą czynów, drogą walki, w której na pewien czas o konsekwencję będzie dbał równie okrutny jak głupi rząd carski, a potem już się ona i w ludzie rozwinie, dopóki będzie twardo stał przy swoich dwóch żądaniach: obalenie caratu i Konstytuanta w Warszawie.

UWAGI KOŃCOWE

W ciągu pisania tych taktycznych rozważań, zaszyły na ziemi polskiej dwa doniosłe, bardzo znamienne zdarzenia: Wystrzelanie wielkiej ilości policjantów i żandarmów w Królestwie przez bojowców PPS i straszliwa w swej grozie rzeź niewinnych ludzi w Siedlcach. Jedno i drugie wskazuje wyraźnie, że walka z organami rządu jest możliwa i że obojętność nie jest i nie może być dla nikogo „ratunkiem”.

Dwie potęgi, które ze sobą toczą krwawy bój w Polsce: rewolucja i carat, muszą w tym boju iść coraz dalej. Rewolucja musi dążyć do wywołania masowego ruchu zbrojnego, carat musi myśleć o represji. Ale podczas kiedy rewolucja może zyskać w ludzie nastroje coraz bardziej caratowi wrogie, rząd rosyjski swoją ohydną robotą katowską i żołnierską jeszcze nowych ochotników rewolucji przysparza.

W tym stadium nie ma jeszcze mowy o tym, żeby rząd oddał dobrowolnym policjantom i żandarmom narodowej demokracji, która się ze swoimi usługami caratowi bez żadnej już przyzwoitości narzuca, władzę w ręce. To znaczy: narodowi demokraci mogą stawać się oczywiście policjantami i żandarmami, ale rosyjskimi, a to nie otoczy ich nawet sympatiami ugodowców i wzbudzi niechęć wśród żandarmów dotychczasowych z powodu „brudnej konkurencji”.

Reakcja nasza w ogóle za wcześnie zaczęła odsłaniać swoje karty, co przypisać należy temu, że na czele kontrrewolucji stoją zdenerwowani gazeciarze i chępliwi agitatorowie. To przedwczesne srożenie się kontrrewolucji odsłania jej apetyty i plany i jest dla niej stanowczo szkodliwe. O ile zatem technika ubojowienia ludu polskiego będzie się rozwijała prawidłowo, o tyle przechwałki narodowych demokratów, że chłopci „wyrzną” rewolucjonistów, pozostaną przechwałkami i przestrzegą jedynie rewolucjonistów, co mają robić.

Ażeby jednak ubojowienie ludu polskiego nie nosiło jakiejś cechy militarnej tylko, co w danych warunkach jest i niemożliwym i o ile możliwym, byłoby krokiem politycznie mylnym, aby jednym słowem, rozumna polityka przygotowała większą i głębiej w lud sięgającą potęgę zbrojną, zdolną do walki z caratem, potrzeba dziś już, bez straty czasu rzucić się do zagarnięcia organizacyjnego całego proletariatu przemysłowego i rolnego, potrzeba gotować się do wstrząśnięcia drobnomieszczaństwem i „proletariatem inteligencji”, aby bodaj tęższe żywioły tych klas zbliżyć do roboty rewolucyjnej.

Ale aby to zrobić, należy przede wszystkim zakończyć okres fermentowania i bezpłodnych dyskusji wewnątrz organizacji partyjnej przez jasne i wyraźne wysunięcie naprzód programowego punktu: niepodległej, demokratycznej republiki polskiej.

Połowicznością bowiem wroga nie prześlągamy, swoich nie oszukamy.

Kraków — sierpień — wrzesień 1906.

Powyższy tekst ukazał się w formie książki „Polityka proletariatu. Kilka uwag o taktyce rewolucji w Polsce”, wydanej w roku 1907.

do więzienia i prześladowania Polaków, którzy się schronili do Galicji. Notuję tę okropną podłość nie celem rozjątrzenia robotników polskich przeciw narodowej demokracji, lecz dla wiadomości samych narodowych demokratów w Królestwie. Może się zarumienią ze wstydu. [przypis autorski]

CZTERY LATA WOJNY. SZKICE Z DZIEJÓW POLITYKI POLSKIEJ PARTII SOCJALNO-DEMOKRATYCZNEJ

I. POLSKA PARTIA SOCJALNO-DEMOKRATYCZNA PRZED WYBUCEM WOJNY ŚWIATOWEJ

Wojna światowa nie zastała socjalistów polskich nieprzygotowanymi. Niewiele partii socjalistycznych w Międzynarodówce zajmowało się tak myślą o wojnie, jak socjaliści polscy, a raczej dwie partie polskie: „Polska Partia Socjalistyczna” (PPS) i „Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska” (PPSD). Wy pływało to z położenia narodu polskiego, który od stu lat znajdował się pod silnym naciskiem caratu rosyjskiego i w walce z caratem. PPS prowadziła tę walkę bezpośrednio, PPSD pomagała jej na wszystkich dostępnych polach, czując, że w razie zwycięstwa Rosji grożą jej ciężkie klęski. Tradycje wojny o niepodległość nie są też obce żadnemu Polakowi. W całej Europie nie ma wielkiego narodu, który by tak jak polski, porywał się w ostatnim stuleciu tyle razy do broni o swoją wolność. Warszawa i Kraków też nie po raz pierwszy stawały obok siebie do przygotowania ruchów wyzwoleniczych. Ruchy te były nieraz głęboko ideowe, przejęte społecznym duchem reformatorskim i polityczną demokracją. Dość wspomnieć powstanie kościuszkowskie i rewolucyjny rok 1846 w Krakowie. Właśnie zaś na rok przed wybuchem wojny światowej przypadała w Polsce półwiekowa rocznica powstania r. 1863. Świącili ją najgoręcej i najszczerzej robotnicy polscy w Galicji w wielkich obchodach, wspominając przy tym wszędzie nie tak dawną rewolucję z r. 1905/6 w Królestwie. W ustach robotników słowa przypominające walki z r. 1863 i z czasów ostatniej rewolucji nie były pustymi, szumnymi dźwiękami, bo właśnie w tym czasie PPSD należała do „Komisji Tymczasowej” stronnictw niepodległościowych i sama decydowała się na wstępowanie swojej młodzieży do „Związku Strzeleckiego. Tu mógł za słowem w ślad pójść czyn epokowy, pełen ofiar.

Klasa robotnicza znajdująca się w takich warunkach historycznych, mająca przed sobą wroga takiego, jak carat rosyjski, musiała być strasznie wrogo przeciw rządowi cara nastroszoną, toteż każdy socjalista polski rozwijał się w tradycji walki z caratem. To, że bomba Polaka Ignacego Hryniewieckiego zglądziła cara w r. 1880, było dumą Polaków. Odtąd wyobraźnia całego pokolenia rozpalala się czynami terrorystycznymi walki z caratem. W walce tej socjaliści polscy byli sojusznikami socjalistów i rewolucjonistów rosyjskich i w ten sposób walka z caratem nigdy nie łączyła się w umysłach socjalistów polskich z pojęciem walki z narodem rosyjskim. Przeciwnie: jedna wykluczała drugą. Toteż cele walki rysowały się tutaj zawsze jako wyzwolenie obu narodów. Polacy spodziewać się w niej mogli nadto połączenia się dzielnic polskich, dotąd rozdzielonych, co stanowiło zwłaszcza w ostatnich latach przed wojną światową jedyny środek rozumny i celowy dla osiągnięcia nowoczesnego, *gospodarczego* rozwoju narodu polskiego i przez to spotęźnienia ruchu proletariackiego w narodzie. Położenie *ekonomiczne* Galicji było bowiem przed wojną ponure. Zaniechana przez rząd i rodzimych agrariuszy, spadła ona do rządu kolonii dla przemysłu, handlu i bankowości austriackiej i pruskiej. Olbrzymie skarby przyrody, dotąd nietknięte, miały z góry przejść w obce kapitalistyczne ręce, które z Galicji zamierzały uczynić jakąś rezerwę na przyszłość, a tymczasem otrzymywały z kraju pół miliona robotników i robotnic polskich, będących zaiste nie „czwartym”, a jakimś „piątym” stanem pół niewolników, pół robotników! Galicja oddzielona od Królestwa i Królestwo od niej odcięte, nie mogły się rozwijać normalnie, nie mogły stworzyć warsztatu narodowej produkcji, lecz zawisłe były od dwu gospodarstw, które nieraz wysilały się, aby ich rozwój uczynić chorobliwym. Chwalono np. wielki rozwój przemysłu w Królestwie. Ale cóż to za rozwój przemysłowy *bez odrobiny wolności politycznej* i bez żadnej absolutnie *opieki społecznej* w najszerszym tego słowa znaczeniu! Co to za klasa robotnicza, mająca 60% analfabetów i wywożona dziesiątkami tysięcy do więzień, na wygnanie, na Sybir za to, że czyta i uczy się! Na pięć milionów zaś Polaków w Austrii, socjalistyczna partia po ćwierć wieku pracy organizacyjnej, zdobywa 80.000 głosów wyborców i 10 zaledwie mandatów. Podczas gdy 500.000 robotników galicyjskich pracowało rozrzuconych od Pensylwanii aż do cegielni budapeszteńskich!

Wojna przeciw caratowi była zatem w oczach rewolucjonisty polskiego wielką szansą, że albo w niej carat runie, albo Polska się odeń oderwie. W tym sensie rozumiano tu

modlitwę Mickiewicza: „Wojnę powszechną racz nam zesłać Panie!” Podczas, kiedy na Zachodzie Europy po długim okresie spokoju i szalonego rozwoju ekonomicznego po wojnie francusko-niemieckiej 1870 r., ludzie jakby przestali wierzyć w samą możliwość wojny i traktowali ją z punktu widzenia filozoficznego, a jeżeli zajmowali się nią, to widzieli w niej tylko ścieranie się *imperialistycznych* interesów; podczas gdy tam wygasła od dawna *zbrojna* walka o wolność, a zastąpiła ją walka *pokojowa* w parlamencie, gminie, fabryce: wschód Europy oczekiwał swego rozwoju, swojej wiosny narodowej właśnie od wielkiego wstrząśnienia, które miało rozbić carat, to wielkie więzienie narodów. Jedni sądzili, że to wstrząśnienie przyjdzie *od wewnątrz*, inni liczyć musieli *na wojnę*. Socjaliści Zachodniej Europy nie rozumieli Wschodu. Zdawało się, że jedni i drudzy innym mówią językiem, nawet wtedy, kiedy uchwalano wspólne rezolucje na kongresach międzynarodowych. Alians republiki francuskiej z caratem, stanowiący fundament „równowagi” państw europejskich, rozbijał wszelkie dawne, silne niegdyś w Polsce wspomnienia roli wyzwolającej Francji. Za Francją stała Anglia, zbliżały się do niej Włochy. Stanowisko tych potęg odbierać musiało Polakom wszelkie nadzieje na pomoc, zwłaszcza, że i Prusy były największym przyjacielem Rosji, jej tarczą i jej współnikiem w walce *przeciw* Polsce! Pozostawała na wpół słowiańska, z Rosją konkurująca Austria. Tak się zatem pojęcia w głowach układać musiały w Galicji, że należy trzymać z Austrią, jako również zagrożoną przez carat rosyjski.

Jeszcze jeden rys różnił socjalistów zachodnich od polskich, o ile chodzi o rozpatrywanie stosunku ich do wojny. Zachodnioeuropejscy socjaliści sądzili, że wojna w żadnym razie nie unicestwi ich państw narodowych, a będzie tylko szeregiem krwawych ran na ciele ludzkości i straszliwą klęską i ruiną ekonomiczną. Rozpatrywano tu raczej samą kwestię wojny, jako zjawiska społecznego, oderwanego od innych.

Dyskutowano na temat, czy wojna jest w ogóle w „dwudziestym wieku” możliwą, czy jest dla socjalnej demokracji w jakiegokolwiek formie drogą do rozwiązywania jakichkolwiek konfliktów narodowych i państwowych. Podczas kiedy jedni potępiali stanowczo wojnę zaczepną, a uznawali wojnę obronną, inni lubowali się frazesem: „wojna wojnie!” Ale cóż z tym wszystkim mieli począć socjaliści na Wschodzie? A zwłaszcza polscy? Czy wobec caratu wojna „zaczepna”, czy „obronna” miała mieć uzasadnienie lub być potępioną w imię zasad? Poglądy PPSD na wojnę dobrze charakteryzuje *rezolucja* przedłożona wielkiemu zgromadzeniu ludowemu w Krakowie w dniu 21 października 1912, a więc w kilka tygodni po rozplamieniu się wojny bałkańskiej. Wówczas Komitet Wykonawczy przedłożył Zgromadzeniu do uchwały rezolucję, której charakterystyczną część drugą przytaczamy:

„Wojna między Rosją a Austro-Węgrami musiałaby toczyć się na naszej ziemi; nasi synowie musieliby w austriackim wojsku krew swoją przelewać i nasze podatkowe pieniądze opłacałyby także koszta wojny.

Mord i pożoga, zastój w pracy, wyrzucający na bruk setki tysięcy pracującego ludu, głód i choroby nawiedziłyby wówczas naszą ojczyznę.

W razie takiej wojny, w Polsce toczonej, nie mógłby zorganizowany proletariats polski pozostać biernym widzem strasznych wypadków, decydujących może o losach całego narodu polskiego.

Kraj polski nie śmie być niczym łupem bezwolnym, a proletariats nie może być i nie będzie nieświadomym narzędziem w rękach jakiegokolwiek dyplomacji.

Wojna, która by się toczyła na polskiej ziemi, wywoła w polskim proletariacie zorganizowanym ruch rewolucyjny, a celem tego ruchu może być tylko walka przeciw zaborczemu caratowi.

Krew polskiego chłopca i robotnika może być przelaną tylko za wyzwolenie go z jarzma obcej przemocy i spod ucisku wyzysku kapitalistycznego”.

Rezolucja ta przyjmuje wojnę jako fakt, wobec którego partia ma zająć *własne* stanowisko. Stanowisko to ma mieć na celu *wyzwolenie* ludu polskiego spod obcej przemocy i spod wyzysku kapitalistycznego. Środkiem ma być „walka przeciw zaborczemu caratowi”.

Niemal równocześnie wydaje PPS w Warszawie odezwę (12 października 1912), w której czytamy:

„Dotąd nie wiadomo, kto stanie się ofiarą najazdu rosyjskiego. Ale dziś już głośno powinniśmy stwierdzić, że ktokolwiek nim będzie, sympatie nasze po jego znajdy się stronie, gdyż każdy wróg Rosji naszym, choćby mimowolnym jest sprzymierzeńcem, a klęska państwa rosyjskiego i nam i wszystkim niewolnikom carskim tylko na dobre wyjść może. Przy tym, zamiary dyplomatów rosyjskich nietrudne są do odgadnięcia. Przedmiotem ich pożądlivosti będzie albo Turcja, albo Austria. Turcja dlatego, że zaprowadziła u siebie konstytucję i panuje nad krainami, które potrzebne są carowi dla zwiększenia jego potęgi. Austria — ponieważ tam narodowość polska choć do pewnego stopnia może się rozwijać. I jeżeli w wojnie z Turcją obowiązkiem każdego żołnierza polskiego powinno być złożenie broni lub przejście do szeregów armii, walczącej przeciw Rosji, to cóż mówić o wojnie, gdzie Polak z Królestwa przeciwko Polakowi z Galicji postawiony zostanie, gdzie dzieci jednej ojczyzny wzajemnie mordować się mają, by jeszcze jeden szmat ziemi polskiej wydać na pastwę rusyfikacji, mongolskiego despotyzmu i najdzikszego bezprawia. Wtedy, choćby ludzie milczeli, karabiny same mówić zaczną.

Wojna, w którą carat się uwikła, musi zakończyć się wolnością dla całego państwa, a niezależnością dla ziem polskich spod zaboru!

Kto w chwili wojny za caratem się wypowie lub kto nie zechce przyłożyć swych starań do wybawienia ojczyzny, ten zdrajcą i wrogiem narodu będzie i za takiego będzie uważany.

Niech więc nikt nie zaniedba obowiązków, które nałożą na niego potrzeby Rewolucji Polskiej i niech z chwilą wybuchu wojny, jednym wspólnym hasłem wszystkich obywateli kraju stanie się: Precz z rządami rosyjskimi!”

W tych odezwach, które ukazały się bez żadnego porozumienia się ze sobą obu organizacji partyjnych, niemal w tym samym czasie stanowisko jest to samo. Tylko, że PPSD nie wypowiada się tak wyraźnie po stronie Austrii, jak PPS..

W ogóle ostatnie trzy miesiące 1912 roku brzemienne są groźbą bezpośredniego wybuchu wojny między Rosją a Austrią. Mobilizacja austro-węgierska i rosyjska gromadziły w jesieni 1912 roku ogromne masy wojsk po obu stronach kordonu. Zaostrzało to jeszcze dwa ciężkie lata nieurodzaju i zastoju w Galicji, potęgowało drożyznę i wprowadzało całą ludność w niepokój powszechny. W tym czasie istniał już założony przez tow. Józefa Piłsudskiego „Związek Strzelecki”, a w grudniu 1912 powstała „Komisja Tymczasowa”, obejmująca wojskowe, skarbowe i polityczne kierownictwo „Związku Strzeleckiego”, później również „Drużyn Strzeleckich” z nim złączonych. Społeczeństwo polskie w Galicji rozbiło się w tym gorącym czasie na trzy grupy. Pierwszą była „Komisja Tymczasowa”, w której zasiadali z Galicji reprezentanci PPSD, część chłopów ze Stapińskim i „Polskie Stronnictwo Postępowe” (posłowie A. Lisiewicz i Hipolit Sliwiński). Drugą grupę stanowili konserwatyści krakowscy (stańczycy) i wierni odtąd ich sojusznicy, demokraci polscy. Trzecim obozem byli narodowi demokraci i podolacy.

”KT była niepodległościowa i opierając się o Austrię, gotowała się do walki zbrojnej przeciwko Rosji. Stańczycy byli partią austriacką. Narodowi demokraci byli stronnictwem ugody z Rosją. Pomimo późniejszych zespożeń organizacyjnych, klasyfikacja ta przetrwała aż do zimy 1917 roku, tj. do wybuchu rewolucji w Rosji. Niepodległościowcy mieli przeciwko sobie dwie ugody... Jeżeli atakowali jedną z nich, zyskiwali chwilowy, choć nieszczerzy poklask drugiej. Było to niemiłe i w wielu razach „kompromitujące”, a dawało powód do wiecznych narzekania tego lub owego towarzysza partyjnego, zależnie od tego, jakim okiem patrzył na jedną z tych ugód. Nie chwiejność jednak naszej taktyki partyjnej była tu najczęściej winna, lecz względna słabość ludowego ruchu niepodległościowego w Polsce, przemiany kolei losu wojennego i konieczność decydowania się na czyn nawet w bardzo niekorzystnych warunkach. Wystarczy zastanowić się głębiej nad tymi trzema miesiącami gorączkowego życia PPSD, aby zobaczyć, że politycy jej w gruncie rzeczy pozostali wiernymi swoim założeniom przedwojennym.

Szereg dokumentów właśnie z jesieni 1912 świadczy o tym. Na kilka z nich chcemy tu wskazać.

W parlamencie wiedeńskim przemawiało w kwestii zbliżającej się wojny dwu posłów PPSD, Daszyński i dr Lieberman. Pierwszy przemawiał w dyskusji budżetowej 30 października 1912 na temat wojny z Rosją i zakończył swoją mowę następującym ustępem:

„Z pewnością nie chcemy podkładać ognia pod pokój europejski, gdyby jednak furia wojenna miała zniszczyć naszą ojczyznę, gdyby miało przyjść do rzeczy najstraszniejszej, tj. gdyby Polaków odkomenderowano przeciw Polakom, nie możecie panowie oczekiwać, aby naród polski pozostał zimnym widzem wojny na terenie polskim. Nie chcemy być bezwładnym łupem któregoś z mocarstw, prowadzących wojnę, nie chcemy być nieświadomym instrumentem jakiejś dyplomacji. Jeżeli losy Polski będą się rozstrzygały na terenie polskim, wpłyniemy na rozstrzygnięcie ze świadomością i siłą. U granic Rosji nie zatrzyma się i nie śmie się zatrzymać proces historyczny kapitalizmu, który w Europie zachodniej wytworzył zjednoczone narodowo państwa, stworzył wielki targ wewnętrzny dla produkcji narodowej i wyrównał teren, gdzie zorganizowany pod czerwonym sztandarem i w walce społecznej zaprawiony proletariatus może zmierzyć swe siły ze swoim przeciwnikiem klasowym. A jeżeliby wyższe warstwy narodu polskiego, grzęznące w tchórzostwie, nadwątłone niewiarą, a historycznie pozbawione bronii, stawiały opór temu ruchowi, byle tylko pozyskać słaby pozór łaski carskiej, to polski pracujący lud sam tę wielką walkę stoczy, aż zjednoczony i niepodległy odżyje w rodzinie narodów! (Oklaski)”.

W grudniu zaś 1912 przemawiał dr Liebermann, którego zasadnicza część wywodów brzmiała:

„Trzeźwe i chłodne rozważanie interesów narodowych rozkazuje polskim socjalistom w wojnie zaczepnej rosyjskiej całą swoją siłę oddać do dyspozycji Austrii, jako swego naturalnego sojusznika. (Oklaski u polskich socjalistów). Nikt w Austrii nie myśli o wojnie zaczepnej przeciw Rosji, podczas gdy do Galicji przybywają chmary szpiegów rosyjskich i tysiące rubli rozrzuca się w kraju, zaś w dziennikach panslawistycznych opowiada się najstraszniejsze bajki o ucisku „Rosjan” w Austrii, których w ogóle nie ma. Mówi się wprawdzie, że oficjalna polityka rosyjska nie jest identyczna z panslawizmem, ale carat i panslawizm są bardzo dobrymi braćmi. Naród polski stoi jako straż i jest mocno zdecydowanym jak ongiś przeciw Turkom, tak teraz przeciw barbarzyństwu caratu wystąpić dla swej własnej obrony i w obronie wolności Europy. (Żywe oklaski u polskich socjalistów). Jak długo istnieć będą polscy socjaliści, nie zamilknie głos domagający się wolnej zjednoczonej Polski.

Będzie on coraz potężniejszym, a świadomość słuszności sprawy daje im gwarancję, że gorące życzenie całego narodu będzie spełnionym. (Potakiwania u polskich socjalistów). Polscy socjaliści jako Polacy i socjaliści wstępują w ten ruch. Nierozzerwalne węzły łączą ich z socjalno-demokratyczną międzynarodówką, której pozostaną wiernymi. Jeżeli polscy socjaliści każą swej partii nieść sztandar niezawisłości Polski, to czynią to także w świadomości, że przez to służą ideałom ludzkości.

Mówca oświadcza, że polscy socjaliści nie chcą wojny. Pokój tylko wtedy może wrócić do Polski, jeżeli carat będzie złamany. Kwestia polska jako klin wbija się w politykę europejską, a im silniej carat o klin ten uderzać będą, tym głębiej wciśnie się on w politykę. (Oklaski u socjalistów polskich)”.

Ciekawe, że obaj mówcy mówią już w r. 1912 o „niepodległej i zjednoczonej” Polsce, co niektórym kołom polskim wydało się dopiero 28 maja 1917 Bóg wie jakim odkryciem, nowym zwrotem w polityce polskiej... Co prawda żadnemu z nich nie śniło się o wojnie z Prusami. Cała uwaga i cała energia skierowaną była przeciw Rosji. A tym, którzy

wskazywali na smutny los Poznańskiego, odpowiadali socjaliści, że przecież w Niemczech istnieje powszechne głosowanie i zapytywali, dlaczego to posłowie polscy z Poznańskiego milczą, albo nawet często popierają rząd przeciw opozycji?... Bo też tajniki i sposoby prowadzenia polityki narodowej przez reprezentację parlamentarną polską w Niemczech pozostają do dnia dzisiejszego pełne znaków zapytania. Jestem przekonany, że sprawa ta prędzej czy później w Polsce powinna być wysświetloną, boć losów czterech milionów Polaków pod zaborem niemieckim trudno odosobnić od reszty dwudziestu milionów i trudno ich pokrywać jakimiś niedomówieniami, względami, czy obliczeniami chwilowej korzyści, czy choćby wygody...

Tymczasem w środku gorączkowego nastroju przedwojennego zabrało głos w parlamencie i Koło Polskie.

Głównym celem rezolucji Koła było ostrzeżenie przed „agitacją kół obcych narodowi polskiemu”. Nikt nie wiedział, jak to sobie tłumaczyć, a Koło, ani jego ówczesny prezes dr Leo, nie chcieli, czy nie mogli powiedzieć, kto to jest ów agitator „obcy narodowi”.

Dlatego klub posłów PPSD uchwalił dnia 25 października 1912 następującą charakterystyczną rezolucję:

„Jako legalni zastępcy narodu polskiego wyrażamy przekonanie, że w możliwym konflikcie Austro-Węgier z Rosją — którego wybuch usuwa się w zupełności spod naszych wpływów — wszystkie siły narodu polskiego powinny zwrócić się przeciw caratowi rosyjskiemu, który jest nieprzejednanym i okrutnym gnębicielem ogromnej większości naszego narodu.

Potępiając wrogi narodowi polskiemu ustawy wyjątkowe, stosowane przeciw Polakom również w państwie pruskim, uważamy jednak, że źródłem tych ustaw jest nieszczęsna przewaga reakcyjnego żywiołu junkierskiego w polityce pruskiej. Naród polski nie traci wszakże wraz z narodem niemieckim nadziei, że uda się nowoczesnym żywiołom Niemiec usunąć tę wrogą cywilizacji europejskiej politykę praw wyjątkowych w Prusiech.

Nie przesądzając stanowiska, jakie zajmie społeczeństwo nasze w Królestwie Polskim, uznajemy za swój obowiązek uświadomienie jak najszerszym warstw całego narodu polskiego o konieczności zajęcia stanowiska przeciwko głównemu Polski wrogowi, caratowi.

Nie uchylamy się od odpowiedzialności, którą jako legalni zastępcy narodu w ruchu o wyzwolenie ojczyzny na siebie bierzemy i jesteśmy przeświadczeni, że dzielność i rozum polityczny naszego narodu uchronią Go od wszelkich nieopatrznych lub dorywczych kroków, które by osłabiły siłę i zwartość Polski wobec wielkich zadań przyszłości”.

Z dotychczas przytoczonych dokumentów publicznej natury, widocznym jest nastrój i kierunek PPSD, która gotowała się do wojny przeciw caratowi w swoim zakresie sił i wpływów. Ani ogólne zastrzeżenia zachodnioeuropejskich stronnictw socjalistycznych, ani trwożliwość, czy ugodość stronnictw w społeczeństwie polskim, nie odwiodły jej od myśli zbrojnej walki przeciwko caratowi.

Celem była niepodległa Polska, jednym ze środków zbrojenie się robotników. Dlatego partia przystąpiła w grudniu do „Komisji Tymczasowej”, a wkrótce wydała cyrkularz, wzywający robotników do wstępowania w szeregi „Związku Strzeleckiego”, kierowanego przez Józefa Piłsudskiego. Czyniła to po głębokim rozmyśle, wśród ciągłych prób porozumienia się z całością partii socjalistycznych w Polsce, a więc nie tylko z PPS, lecz także z tzw. „Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy” (SDKPL) oraz z „Lewicą” PPS Konferencję zaproponowaną przez PPSD w kraju odrzuciły obie partie „esdeckie”. Wobec tego Komitet Wykonawczy upoważnił delegatów swoich na Kongres międzynarodowy w Bazylei (24 listopad 1912), aby tam spróbowali jeszcze raz porozumieć się z tymi partiami. Po usilnych staraniach ze strony PPSD obie partie zasiadły w Bazylei do wspólnych narad pod warunkiem jednak, że nie zapadną żadne absolutnie uchwały!... Długie debaty wykazały, że nie uzyskano zgody ani w jednym punkcie co do celu,

czy co do środków walki z caratem. *Republika wszechrosyjska miała wykluczać niepodległą Polskę*. O jakimkolwiek *zjednoczeniu* narodu nie można było mówić. Wojskowy ruch zbrojny jako środek wydawał się obu „esdeckim” partiom czymś tak horrendalnym, że traktowały go z pewnego rodzaju humorem jako szaleństwo, lub śmieszny powrót do „szabelki” szlacheckiej. Przy tym „Lewica” i „SDKPL” były reprezentowane przez emigrantów berlińskich, paryskich, czy szwajcarskich, a PPSD przez polityków robotniczych w kraju zamieszkałych. Przywódczyni „SDKPL” pani Róża Luksemburg była nadto tak pewną, że w razie wojny europejskiej żaden niemiecki socjalista nie będzie strzelał do francuskiego towarzysza, iż ściągnęła na siebie karę rocznego więzienia za podobne właśnie przemówienie publiczne. Kto takie miał pojęcia o rzeczywistości przedwojennej, nie mógł patrzeć na zbrojny ruch robotniczy polski inaczej, jak na jakieś dzikie szaleństwo...

PPSD rozpoczęła więc ruch swój sama. Ani niemieccy ani czescy towarzysze nie uczynili żadnych kroków w podobnym kierunku. Niemieccy towarzysze zachowywali się z rezerwą i nie wypowiadali się przeciwko PPSD. W samej PPSD różnic nie było. Mała grupa, na której czele stał pewien towarzysz krakowski — nie tak dawno członek grupy „Proletariat” — i krytyczne stanowisko jednego z posłów, który był w Biurze Międzynarodowym reprezentantem „Lewicy” PPS, oto były jedyne oznaki słabych zresztą różnic w poglądach partii na to, do czego dążyć należy i jakie wybrać drogi do celu. Na 161 członków XIII. Zjazdu PPSD w grudniu 1913 w Krakowie odbytego, oświadczyło się przeciwko zasadniczej polityce partyjnej w sprawie należenia do KT tylko 8 głosów.

Zgiełk przedwojenny jesieni 1912 r. około grudnia dość nagle ucichł. Wojna trwała jednak dalej na Bałkanie i przemieniła się w 1913 r. na wojnę Serbii, Grecji i Rumunii przeciwko Bułgarom. Zarzewie ogólnego pożaru tliło w Europie pomimo wysiłków Anglii, aby pożar zagasić ostatecznie. Partia pracuje w KT, a młodzi robotnicy ćwiczą się w zbrojnym ruchu strzeleckim, którego $\frac{3}{8}$ części liczbowo reprezentują. Lwów, Stryj, Borysław, Stanisławów, Przemyśl, Jarosław, Rzeszów, N. Sącz, Tarnów, Bochnia, Wieliczka, Kraków, Zagłębie górnicze chrzanowskie, Biała i wiele bardzo gniazd robotniczych na Śląsku zaroily się od ćwiczących się w robieniu bronią socjalistów polskich. Później to wszystko poszło z Piłsudskim w pole.

Rozcięto splot pytań, czy wolno socjaliście polskiemu gotować się do wojny z caratem, czy wojna jest drogą wyzwolenia się ludu — narodu, czy jest to ruch „militarny”, czy „rewolucyjny”, rozcięto go czynem, silną decyzją. „Kielich niewoli spełnić trzeba kielichem krwi!” pisał w dniach wybuchu wojny światowej jeden z towarzyszy w „Naprzodzie” (I.K.) i to było symboliczne hasło zasadnicze. „Militaryzm” jednak różnił się od „rewolucji” tym, że ta ostatnia szła torami *klasowymi* a pierwszy dążył do wydobycia *ze wszystkich* klas sumy zgodnej energii do jednego zdążającego celu. I chociaż ten „militaryzm” polski, te „Związki Strzeleckie” nie służyły na razie żadnemu rządowi, żadnemu państwu, a już z pewnością żadnemu „imperializmowi” polskiemu (jak w naiwnym żargonie przedtem i potem próbowano to przedstawiać), to jednak o celach społecznych nie mogło tu być mowy; robotnicy, jako klasa, składali w ofierze największe poświęcenia, musieli wykazać największą dyscyplinę, karność i rozwagę. W niepodległej, zjednoczonej Polsce otwierały się przed nimi tak ogromne horyzonty rozwoju i siły proletariackiej, że w porównaniu ze stanem podziału Polski i jej dotychczasowej niewoli narodowej warto było ponieść choćby największe ofiary. Nie byli wprawdzie jedynym czynnikiem walki z caratem, ale oni jedni mieli i mogli mieć zrozumienie dla tej wielkiej przyszłości, oni jedni mogli niejako wejść z rozwiniętymi partyjnymi sztandarami do nowo wywalczonej, wyzwolonej ich także krwi Polski. Linia politycznego rozwoju PPSD bowiem od lat dziesięciu, od pierwszych strzałów rewolucjonistów warszawskich na Grzybowie (1904), szła ciągle i konsekwentnie w duchu niepodległej, zjednoczonej Polski. Każdy ruch Warszawy odbijał się w Krakowie echem, będącym albo dalszym ciągiem czynu Królestwa, albo jego przygotowaniem... Nikt w świecie poza granicami imperium rosyjskiego nie przeżywał tak bezpośrednio rewolucji w Królestwie, jak PPSD. To dziesięciolecie skupiło się i skryształizowało w chwili wybuchu wojny światowej z siłą żywiołową. Nie rozumiano tego na emigracji, ale było to czymś naturalnym w Galicji.

Toteż nie ma w tym przesady żadnej, że KT, zwana później „Komisją Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych” („KSSN”), opierała się głównie na socjalistach,

a na PPSD w szczególności. Bo Stapińszczycy niemal się o nią nie troszczyli, a „Polskie Stronnictwo Postępowe” było tak małym i tak lokalnie lwowskim, że pozostawała właściwie PPSD. Jak zaś niezłomnie stała ona przy tej pracy, tego dowodem zachowanie się jej podczas wiosennej kampanii polskiej ugody, zainscenizowanej od Chicago aż po Lwów przeciwko KSSN. Wszystko wówczas odpadło od KSSN. I p. Studnicki i p. Feldman i p. Tetmajer, którzy nie tak dawno pisali i mówili w jej duchu. Słynna jazda dwóch amerykańskich „patriotów” pp. Karabasa i Rakoczego, którzy w swej młodości otarli się rękawem o kryminala europejski, teraz zaś jechali w imieniu Ameryki uroczysto badać, czy KSSN i Związki Strzeleckie aby zasługują na pomoc pieniężną Polonii amerykańskiej, słynna ta podróż, rzemiennym dyszlem po Europie odbywana, stała się sposobnością dla niebywałej nagonki na KSSN. Emigranci łączyli swe głosy w zgodnym chórze z politykami w kraju przeciw ruchowi zbrojnemu polskiemu, chciano mu broń z ręki wydrzeć, albo przynajmniej wygłodzić go i zmniejszyć do granic nieszkodliwych. Było to na dwa miesiące zaledwie przed wybuchem wojny światowej! Czyniono tu ostatnią próbę rozpaczliwą, aby Polska nie mogła wystąpić samodzielnie przeciw Rosji! Niechby to czyniła Austria, czy ktokolwiek, byle nie Polska! Byli w tej „hecy” po amerykańsku urządzonej, ludzie różni; jedni wiedzieli o co idzie, drudzy szli za nimi z nieświadomości, z powodu pychy obrażonej, dla prostej sensacji lub naśladowania drugich, ale faktem pozostanie, że niezłomność i stałość PPSD uratowała KSSN, a przez to umożliwiła jej dalszy wpływ na pierwsze lata wojny, o ile chodziło o hasła niepodległościowe polskie w późniejszym ruchu Legionów Polskich.

Po zamordowaniu pary arcyksiężęcej w Sarajewie, atmosfera polityczna Europy stała pod straszliwym ciśnieniem grozy wojennej. W drugiej połowie lipca 1914 ciśnienie to zbliżało się do rozpętania się burzy światowej. Niemcy i Austria z jednej, a Francja, Rosja i Anglia z drugiej strony gotowały się gorączkowo do walki, może na śmierć i życie!... Straszliwe ryzyko wojenne zaciążyło na przyszłości największych potęg militarnych i ekonomicznych świata. Ryzyko Polski — względnie małe — przedstawiało się tylko w formie zamiany dotychczasowej niewoli i podziału, na nową niewolę, na inny podział, ale po drugiej stronie świeciła *możliwość obalenia caratu, złączenia rozdzielonych dotąd dzielnic i uzyskania niepodległego bytu państwowego...* Tylko że Polska, odwykła od wieków od brania na siebie ryzyka wojennego, nie miała żadnych sił do podjęcia inicjatywy, do wystąpienia pod własnym sztandarem, za własną sprawę... 20 milionów Polaków miało wedle najskromniejszych obliczeń dać *dwa miliony żołnierzy*. Oprócz tego: miliardy koron, marek i rubli na prowadzenie wojny. Ale to jeszcze nie wszystkie ofiary Polski. Ziemia polska miała być przez niewiadomy czas terenem bezpośrednim wojny Niemiec i Austrii z Rosją, miał ją krwawy plóg wojny przeorać od Krakowa aż po puszcze Białowieży, i bagien pińskich.

To wszystko czekało Polskę, choćby ani jeden Polak nie podniósł sztandaru walki o niepodległość. PPSD wyciągnęła z tej niedoli tę konsekwencję, że skoro nas to wszystko bez żadnej inicjatywy naszej ma oczekiwać, więc należy rozpocząć walkę za własne cele, należało wziąć inicjatywę, aby uzyskać w umysłach milionów Polaków podniętę do żądania praw swoich w zamian za swoje ofiary i swoją krew. A ponieważ krew ta lać się miała pod trzema niepolskimi sztandarami, więc trzeba było szukać wyrazu osobnego dla niej, trzeba ją było niejako ochrzcić na polską, trzeba było powiedzieć światu i Polsce, że gdyby były warunki sprzyjające ku temu, krew polską przelewałyby wojska Polski za Polskę. To było symboliczne znaczenie czynu Piłsudskiego, to był wyraz własny Polski, która w owych dniach lipcowych 1914 r. musiała się zdecydować na jakiś jeden front wojenny, skoro polscy żołnierze w niepolskich armiach mieli ich aż dwa: antyrosyjski i antyniemiecki. Wówczas zaś dla walczących Polaków nie było i nie mogło być innego frontu, jak *front antycarski*. Cokolwiek by u nas nie mówiono o tym przed rewolucją i po rewolucji w Rosji, w latach 1912 aż do 1915 włącznie carat był głównym Polskim wrogiem i to tego rodzaju wrogiem, że o sojuszu z nim nie mogła masa polska marzyć, jeżeli chciała w tym sojuszu wystąpić jako Polska. Próbowano tworzyć wojsko ochotnicze polskie pod caratem i poza granicami caratu, próbowano naśladować inicjatywę Piłsudskiego

w odwrotnym kierunku, nie oszczędzono zaiste ani niemieckiej, ani austriackiej polityki w Polsce, przeklinając ją, próbowano latami oczerniać Piłsudskiego i socjalistów z PPS i PPSD jako „agentów”, ale nie zdołano Polaków skłonić do braterstwa broni z caratem.

Polityka caratu wobec Polski wykopała między nim a Polakami tak głęboką przepaść, że nie zdołano jej niczym zapełnić. Żadne pojęcie o potędze i niezniszczalności caratu nie potrafiło niczego więcej z Polski wykrzesać, jak normalną służbę w armii, podobnie jak to było w Austrii i w Niemczech. *Związki Strzeleckie, a później Legiony Polskie mogły się utworzyć w owym czasie tylko na ziemi polskiej w Austrii...* Ani w obrębie Niemiec, ani pod caratem nie mogły powstać, a jedynym dla nich gruntem mogła być Galicja i Śląsk austriacki. Jest to fakt historyczny, przeciwko któremu można było agitować, politykować, pisać, ale który wypływał z historycznego stanowiska Galicji i był wyrazem dość wiernym tego stanowiska. Związki a potem Legiony były w całości wpływem *polskiej inicjatywy*, ale musiały się liczyć z *tolerancją*, względnie nawet z pomocą *państwa austriackiego*.

Ktokolwiek zna Piłsudskiego i historię PPSD, ten z całym spokojem może traktować te plotki, jako wybryki fantazji. Przez Związek Strzelecki przeszło 30.000 ludzi ćwiczących do wybuchu wojny. Takiej organizacji nikt nie mógł traktować jako tajnej organizacji, jako spisku. Związek ćwiczył na wojskowych strzelnicach, dostawał po cenie kosztu naboje ćwiczebne, otrzymywał minimalną ilość karabinów. Służbę wojenną poznawali „strzelcy” w polu, odbywając ćwiczenia nieraz po kilkuset ludzi, przez szereg dni itd.

Najważniejszą rzeczą był w Galicji brak pojęć o niesłychanej, nadludzkiej potędze caratu. Traktowano tu carat jako potęgę, której Austria i Niemcy mogą dać radę i zwyciężyć. Oparcie o Austrię było wysoko cenione, a nadzieja na wzniecenie ruchu zbrojnego w Królestwie po pierwszym zaraz zajęciu polskich terytoriów i wycofaniu się Rosjan, była tak wielką, że graniczyła w wielu głowach z matematyczną pewnością. *Nie zdawano sobie sprawy z niechęci do Niemiec*, nie rozumiano skutków chłopskiej polityki rządu rosyjskiego po r. 1863. O wojsku rosyjskim miano pojęcia dokładniejsze, bo chociaż początkowo armia rosyjska wywołać mogła grozę i zdumienie u wielu niefachowców, a zachwyty nawet w Królestwie, to jednak dalszy pochód wojny zrehabilitował tych, którzy nie mieli wysokiego wyobrażenia o wartości bojowej carskich milionów żołnierzy, tej zaiste *najliczniejszej armii*, jaką widziały dzieje świata.

Ogromne znaczenie dla polskiej inicjatywy wojennej miał Piłsudski. W większych stosunkach odegrałby był tego rodzaju człowiek w wojnie rolę epokową. Talent i charakter wielkiego wodza, wola żelazna i zdolność kierowania ludźmi, połączona z szerokim horyzontem i przenikliwością umysłu właśnie tam, gdzie trzeba było szybko i wiernie oceniać tok zdarzeń wojennych, przy głębokim poczuciu patriotyzmu polskiego i tradycji rewolucyjnej, czyniły z Piłsudskiego główną wartość wojenną polską. Że wartość tę Polacy sami próbowali rozdrobnić, poniżyć, unicestwić, że się to częściowo powiodło, to będzie na długie czasy dowodem, jak bardzo nie byliśmy przygotowani do podjęcia ryzyka wojny, jak daleko odeszliśmy od instynktu najprostszego, mającego na celu tworzenie niepodległości narodu. *Dla PPSD Piłsudski był najtęższą gwarancją, że ruch strzelecki wytrzyma chrzest ogniowy z honorem, że nie ugnie się i nie będzie ani chwili teatralną pozą. A także gwarancją, że nie przeleje się nieudatnie i niepotrzebnie krew towarzyszy, których PPSD w ogień posyła.* Historia tej wojny w Polsce wydzwignie postać Piłsudskiego na spiżowy piedestał, przy czym nie kult osoby mam na myśli, a wojenną wartość realną tego polskiego wodza ludowego.

Polska szła do wojny rozbita i rozdzielona w sobie. Sto lat wspólnego życia, a choćby wspólnych męczarni z trzema państwami zaborczymi, wywarło głębokie wpływy: były trzy polityki polskie, cztery wojska z polskich żołnierzy, kilka „Narodowych Skarbów” i całe mnóstwo stronnictw o najrozbieżniejszych poglądach na najważniejsze, najbardziej podstawowe sprawy wojny. Partia zorganizowanych robotników polskich w Galicji i na Śląsku na próżno szukała wśród społeczeństwa czegoś, co byłoby podobnym do jej ruchu zbrojnego o niepodległość; spotykała ugodę, a raczej aż dwie i to przeciwne ugody polskie... Poszła więc do boju sama, dając na froncie i na tyłach to co miała, tj. siebie. Dnia 2 sierpnia 1914 pojawił się na cztery dni przed wypowiedzeniem wojny Rosji przez Austrię manifest Komitetu Wykonawczego PPSD, który przytaczamy jako dokument historyczny. Manifest brzmiał:

„Towarzysze! Towarzyszki! Robotnicy Polacy!

Zbliża się chwila epokowa dla naszego kraju i narodu — chwila zaczęcia walki z odwiecznym wrogiem Polski, wolności i cywilizacji europejskiej — walki z caratem! Groza wojny, którą mordujący narody carat narzucić każdej chwili może Austrii, zawisła nad naszą ziemią, nad milionami naszych braci.

Wojny tej nie prowokowaliśmy i wiemy dobrze, że najcięższym brzemieniem spadnie ona na barki ludu pracującego. Nie przedstawiamy też sobie wojny z caratem, jako coś łatwego, coś co bez najkrwawszych ofiar można by przeprowadzić. Nie chcemy lekkomyślnie utracić ani jednego zdobytego prawa, ani jednej placówki robotniczej.

Ale wojna z caratem rosyjskim to walka z najokrutniejszym gnębicielem ludów, walka z tyranem Polski, wrogiem. wolności i rozwoju naszego. Walka ta jest naszym świętym obowiązkiem, jeżeli chcemy jasnej przyszłości klasy pracującej polskiej, jeżeli chcemy być narodem wolnym, godnym członem wielkiej rodziny narodów.

Gotując się do wojny z caratem spełniamy obowiązek nie tylko wobec siebie, lecz wobec całej klasy pracującej Europy, a w pierwszym rzędzie wobec tych milionów ludu roboczego w Rosji, które w ostatnich dniach wstrząsały tak wymownie swoimi kajdanami na ulicach miast rosyjskich!...

Nikt w świecie nie może i nie zechce potępić tej naszej gotowości do walki z caratem, kto tylko chce ludzkiego prawa, godnych ludzi stosunków na Wschodzie Europy.

Raczej hańba i przekleństwo tym Polakom, którzy w chwili ważenia się losów naszego narodu, stanęli po stronie jego gnębicielei, po stronie wojsk carskich!

Wojna z Rosją to w historii Wschodu Europy zwrotny punkt dziejowy, a Polska w tej wojnie musi złożyć świadectwo, że Polska żyje, że chce się rozwijać, że Polska nie chce być dłużej podnóżkiem cara!

Agenci carscy po polsku niestety mówiący, chcą stłumić ten poryw życiowy Polski, chcą zdławić podłym oszczerstwem ruch wolnościowy Polaków; obiecują „słowiańską” wzajemność Polaków z Rosjanami i maskują knut carski jakimiś mętnymi przyrzeczeniami, że carat zwolni obrozę na naszej szyi.

Z pogardą patrząc na te zabiegi zdrajców i lokajów dobrowolnych cara, gotujemy się do czynów, które trzeba zrobić, aby zadać jak najwięcej klęsk caratowi.

Zachowajmy jedność i solidarność w szeregach Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej; słuchajmy wskazówek jej ciał wybranych i jej mężów zaufania.

Puste alarmy i pogłoski niechaj nas zastaną ludźmi zimnej rozwagi; skarbem naszym niechaj pozostanie zaufanie jasne i niezmaćcone, którym otaczamy organizację partyjną.

Solidarnością silni, zagrzani do boju wielkością i świętością naszej sprawy czekamy przyszłości! Komitet Wykonawczy Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska”.

W cztery dni później wymaszerowała z Krakowa pod wodzą Piłsudskiego „*pierwsza kadrowa kompania*”, a za nią poszły dalsze oddziały „Strzelców” i „Drużyniaków” — przekraczając kordon graniczny, dzielący Galicję od Królestwa Polskiego. Wojna z Rosją się zaczęła! PPSD wzięła w niej czynny, świadomą wolą podyktowany udział.

II. NACZELNY KOMITET NARODOWY. LEGIONY

Ustęp ten, poświęcony powinien być właściwie omówieniu stosunku polityki polskiej do państwa austriackiego. Podczas trwającej wojny nie mogę jednak ani jednej dziesiątej części faktów tutaj przedstawiać i ograniczę się z konieczności na kilku fazach znamienych, w których polityka PPSD zasługuje na rozbiór, czy krytykę.

Połączenie się KSSN z „Naczelny Komitetem Narodowy” (NKN) nie było wyłącznie polityczno-narodowej natury. Kiedy wiadano, że za kilka dni wybuchnie wojna między Austrią a Rosją, udał się poseł Daszyński do dra Lea z żądaniem zwołania „notablów” partii poszczególnych, celem narady nad wyruszeniem Strzelców w pole. Na konferencji Piłsudski i Daszyński zaproponowali partii demokratycznej i konserwatywnej wzięcie na siebie współodpowiedzialności *politycznej* za ruch zbrojny. Wszyscy reprezentanci demokratów i konserwatystów odmówili, a dr Jaworski, późniejszy prezes NKN, kryjący się z taką dumą za Legionów czyn zbrojny, oświadczył, że on i jego stronnicy nawet *zrozumieć nie mogą czynu zbrojnego Piłsudskiego!*... Jediną partią, która udziałem swoim kryła w całości swojej zbrojną walkę Strzelców, była w Galicji PPSD i Polskie Stronnictwo Postępowe. Posłowie PPSD Bobrowski, Klemensiewicz, Lieberman i Moraczewski wstąpili do szeregów, a poseł Daszyński został komisarzem wojskowym w Miechowie, gdzie wkrótce potem nastąpił po nim były poseł dr Ryszard Kunicki ze Śląska. Partia poszła z Piłsudskim i pod jego komendą oczywiście w całej masie młodzieży robotniczej. Środki robotnicze płynęły także dość obficie.

NKN powstał z dwóch czynników: ze zgody Wiednia na utworzenie takiej organizacji, która miała wytworzyć Legiony Polskie i z *trudności równoczesnych*, które spotkały Piłsudskiego oddział w jego rozwoju. Ten drugi czynnik skłonił reprezentantów PPSD do ochraniań wojska przez kompromis. Kompromis ten polegał na tym, że KSSN złączyć się miała z narodowo-demokratycznym „Centralnym Komitetem Narodowym” (CKN) istniejącym we Lwowie, aby pod patronatem Koła Polskiego, a więc większości partii polskich utworzyć „Naczelny Komitet Narodowy”.

PPSD wysłała do NKN członków swoich Daszyńskiego, Hausnera, Hudeca i Marka. Później weszli do NKN posłowie Bobrowski, Diamand, Moraczewski. Kompromis w NKN polegał na kilku warunkach nietrwałej w ogóle natury. Aby trzy dotąd rozbieżne kierunki i metody: socjalistów, ugodowców austriackich i rosyjskich utrzymać razem, trzeba było najpierw wielkiego napięcia *entuzjazmu* narodowego. Następnie trwalszego powodzenia, niż ono było w jesieni r. 1914. Wreszcie możliwość pracy polegała w NKN tylko na zasadzie, żeby nikt nie czuł się *zmajoryzowany!* Entuzjazm tak wysokiego nastroju był możliwym tylko przez kilka tygodni; powodzenie zamieniło się w szereg klęsk już po sześciu tygodniach, a każdy z trzech kierunków wkrótce poczuł, że jest — w mniejszości... Socjaliści sarkali, że „Daszyński połączył się z Jaworskim”, stańczycy, że „Jaworski połączył się z Daszyńskim”, a narodowi-demokraci, że Głębiński poszedł pod komendę jednego i drugiego... Dla PPSD decydującą była możliwość wzrostu *wojska Piłsudskiego*, dla innych całkiem odwrotne cele. Najjaskrawszą okazała się sprzeczność między socjalistami a tymi, którzy zamiast *mnożyć* Legiony, *rozwiązali* już w drugiej połowie września 1914 „Legion Wschodni” w Mszanie Dolnej. Byli to endecy pod wodzą pp. Cieńskiego i Skarbka. Nie mam zamiaru omawiać całego steku kręctw i niegodnych manewrów, których rezultatem było rozpuszczenie tysięcy młodych Polaków spod legionowych sztandarów i zagarnięcie do swej dyspozycji stukilkudziesięciu tysięcy koron funduszu publicznego. Czyn ten naruszał w jaskrawy sposób dążenia socjalistów do mnożenia polskich sił zbrojnych i dlatego socjalistyczni członkowie NKN odbywszy wraz z innymi pod przewodnictwem Daszyńskiego w pierwszej połowie października szereg poufnych narad, usunęli najpierw p. dra Strońskiego z przewodnictwa Departamentu Organizacyjnego NKN, potem zaś w dniu 20 października postawili wniosek na pełnym NKN, aby „*wyrazić tym osobom, które spowodowały rozwiązanie tak zwanego „Legionu Wschodniego” votum nieufności*”. Wniosek przeszedł, a narodowi demokraci i podolacy ustąpili z NKN. Na miejsce p. Strońskiego wybrano w Dep. Organizacyjnym posła dra Marka przewodniczącym, który w osobnej odezwie wezwał społeczeństwo do „dalszych wysiłków i dalszych ofiar”.

W NKN pozostały zatem już tylko dwie grupy: *konserwatystów i socjalistów*. O demokracjach nie wspominam osobno, bo prowadzili oni politykę konserwatystów.

Konserwatyści wzmacniali swoje szeregi przez dobieranie sobie nowych, najbardziej zaufanych ludzi, jak redaktor „Czasu” Starzewski, Hupka itd. Socjaliści dobrali swoich: Andrzeja Moraczewskiego, Diamanda, Aleksandra Dębskiego z Ameryki. Musieli pamiętać również o Polskim Stronnictwie Postępowym i zgodzili się na dobranie p. Stan.

Downarowicza i dra Tokarza. P. dr M. Sokolnicki reprezentował w dość niedokładny sposób jedno stronnictwo Królestwa. W tym miejscu warto nadmienić, że socjaliści byli już od owego czasu w znikającej mniejszości w NKN. Na razie jednak nie dawało się to odczuwać, bo byli oni najpracowitszym czynnikiem NKN, któremu w danej chwili (jesień 1914) chodziło o możliwość rozwinięcia *pracy agitacyjnej i organizacyjnej w Królestwie Polskim*. Konserwatyści bali się Królestwa, tykać z przeróżnych powodów ogólnych i osobistych i do czasu musieli godzić się tam na energiczną pracę socjalistów. Za to czynili już obecnie zabiegi, aby pozyskać dla siebie dwóch przedstawicieli Polskiego Stronnictwa Postępowego pp. Sikorskiego i St. Downarowicza, co im się w zupełności po kilku miesiącach udało i wywołało zupełny rozłam w tym małym stronnictwie (pp. Sliwiński i Lisiewicz nie poszli w ślady pp. Sikorskiego i Downarowicza, lecz trzymali się stale z socjalistami).

Dwie sprawy, jedna *wojskowej*, druga *politycznej* natury, wypełniały pierwszy rok istnienia NKN: sprawa „*brygady karpackiej*” i jej powrotu z Węgier do Polski, oraz sprawa stosunku NKN do *Królestwa*.

Dwaj wysłannicy NKN do Naczelnej Komendy Armii pp. Stanisław Stroński i Tadeusz Cieński umówili się 21 września 1914 z Nacz. Kom. Armii o wysłanie dwóch pułków Legionów (8000 ludzi) do północnych Węgier w Karpaty dla obrony wąwozów karpaccyckich od Moskali. Przy tej sposobności ustalono, że Legiony nie mają być „użyte razem” ponieważ oddział Piłsudskiego pozostawał w Polsce i że w przyszłości również nie mają być razem użyte. Krok ten, uczyniony zresztą w porozumieniu z p. drem Jaworskim i za jego aprobatą, trzymano miesiąc cały w tajemnicy przed pełnym NKN. Miał on stać się potem punktem wyjścia niesłychanego rozbicia i rozdwojenia w życiu Legionów, które przetrwało aż do czasu, kiedy ostatecznie Legiony, późniejszy „Polski Korpus Posiłkowy” dnia 19 lutego 1918 r. rozwiązano. Rozdział Legionów dokonany w czasie ich *formowania*, stał się nigdy nie gojącą się raną, na którą chorzeć musiała cała ta formacja wojskowa.

Na nic się nie przydały protesty Daszyńskiego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (2 października 1914), na nic wnioski socjalistyczne, uchwalane potem przez NKN i przedkładane rządowi, czy Naczelnej Komendzie Armii. Rozdział utrzymał się w całej pełni przez pierwszy rok, a potem utrzymywano go już i z pewnej polskiej strony tak systematycznie, że można powiedzieć, iż powstały były przez to dwa *polskie wojska ochotnicze!* Nie wiedziano co prawda, że wojsk tych będzie później cztery, albo pięć!... Inicjatywa Piłsudskiego spotkała się przez to ze zwichnięciem tak gruntownym, że w samym wojsku utworzyły się specjalne koła, które miały tylko na celu obalenie twórcy polskiego czynu zbrojnego! Te koła, które pracowały najusilniej nad zniszczeniem wartości olbrzymiej, jaką dla utworzenia armii polskiej był geniusz wojenny Piłsudskiego, później narzekały nad tym, że armia polska powstać nie może. Zasypywano źródło, aby potem ginać z pragnienia... 40.000 legionistów, rozbitych na dwa sprzeczne obozy, pod dwiema komendami, nie mogło odegrać tej roli, którą im naznaczano. Była to polska tragedia, wynikająca jednak nie tylko z różnic partyjnych, czy osobistych, lecz będąca wyrazem braku państwa polskiego na polskiej ziemi. Historia oceni głębsze przyczyny tego stanu rzeczy w Legionach. Historia jednak zajmie się z pewnością tym *niebywałym w XX. wieku zjawiskiem wojskowym, jakim były Legiony*. Na tym punkcie Piłsudski zyska z pewnością nazwisko poważne u najteższych fachowców wojennych. Jestem przekonany, że podobnej formacji nie stworzono nigdzie w świecie, a liczne głosy zawodowców utralają mnie w tym przekonaniu.

Pytanie: „*Co począć z Królestwem Polskim?*” stanowiło również węzeł tragiczny dla NKN od pierwszej chwili jego istnienia. Bo i jakże mogło być inaczej! Wszak w Warszawie utworzył się nie mały równocześnie z NKN „Centralny Komitet Obywatelski”, który oparł się o Petersburg i o słynną odezwę Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza — obiecującą „*zjednoczenie wszystkich ziem polskich*”. W oczach warszawskich polityków „*zjednoczenie ziem polskich*”: Królestwa, Galicji, obu Śląsków, Poznańskiego i Prus Zachodnich było czymś tak olbrzymim, było cofnięciem dziejów o kilka wieków na korzyść Polski, że wobec tych obietnic NKN musiał się wydawać czymś nieskończenie małym, zależnym i — niepolskim!... Wprawdzie armia rosyjska nie broniła długo *lewego* brzegu Wisły, wprawdzie odezwa nie obiecywała niepodległości, a rząd rosyjski obiecywał co-

raz to skromniejszą „autonomię”, wprawdzie Litwa ginęła na wieki dla Polski, ale wiara w potęgę militarną i — w niższość Rosji była ta żywą w Warszawie, że ludzie z Centr. Komitetu byli absolutnie pewni swojej drogi.

Ale były w Warszawie i na prowincji także inne organizacje, — tajne, wrogie caratowi, w walce z nim od dawna zostające, jak PPS, Narodowy Związek Robotniczy (NZR) i inne grupy, które opuściły obóz endecki. Te były jednak tajne i — jak się okazało — bardzo słabe. Stosunek zaś Galicji do Królestwa komplikował się z dwóch powodów. Endecy i podolacy nie chcieli zawlekać „zarazy” NKN do Królestwa, gdzie ich „orientacja” rosyjska była górą; Stańcyzy zaś lękali się znaleźć tam za dużo „rewolucyjnych i przewrotowych” czynników, jako jedynych stronnictw gotowych do walki z caratem. Umówiono się więc na formułkę zgodną, że Królestwo zostanie współczynnikiem politycznym i wojskowym NKN wtedy, kiedy i tam utworzy się *porozumienie wszystkich stronnictw*, rodzaj drugiego NKN. Ale życie i walka, reprezentowana przez Piłsudskiego i przez socjalistów, złączonych z radykalnymi patriotami wszelkiego rodzaju, przekroczyły granice Królestwa już dnia 6 sierpnia 1914 r. i niosły z sobą konieczne konsekwencje i dla Królestwa! Rzucili się na to życie z dwóch stron Endecy i stańcyzy, jedni w obronie Rosji, drudzy w obronie konserwatyzmu. Ta równoległość ataków konserwatywnych i endeckich mąciła w niezwykły sposób ludziom sądy i możliwość rozeznania, o co chodzi... W Królestwie powstała we wrześniu 1914 „Polska Organizacja Narodowa” (PON) jako wyraz socjalistycznego i radykalnego Królestwa. Ale wielkie jej niedołęstwo, a także odwrót Hindenburga spod Warszawy i oddanie Królestwa z powrotem armii rosyjskiej, rozbiły PON doszczętnie tak, że w listopadzie już nie istniała. Na jej miejsce utworzyli socjaliści „Delegację NKN”, która prowadziła pracę systematyczniej, aż Departament Wojskowy NKN, zawiadywany przez pp. Sikorskiego i Downarowicza, wszedł w zimie 1915 r. do Królestwa i pod kierownictwem stańcyzków dokonał znacznego osłabienia robót „Delegacji”. Niemniej roboty te stały się punktem wyjścia dla ożywienia PPS i powstania później grup takich, jak Polskie Stronnictwo Ludowe, partia Niepodległości itp. Socjaliści nie mogli osiągnąć skutków militarnych, ale osiągnęli w każdym razie rezultaty polityczno-organizacyjne, przygotowując stanowisko późniejszej organizacji „Centralnego Komitetu Narodowego” (CKN), a następnie całej opozycyjnej „Lewicy Królestwa Polskiego”. W „Delegacji” najgorliwiej pracował poseł Andrzej Moraczewski, którego działalność znalazła szeroki odgłos w Królestwie. Oczywiście konserwatyści próbowali potajemnie rozbijać tę robotę przez swoich dwóch pomocników pp. Sikorskiego i Downarowicza i przez Judowca p. Jana Dębskiego. Ale skutek swój wywarła.

Wkrótce miały konflikty między socjalistami a konserwatystami wybuchnąć jasnym płomieniem. Warszawa została 5 sierpnia 1915 zdobytą, a wnet potem całe niemal Królestwo oczyszczone z Moskali. Narodowa Demokracja uciekła z Rosjanami lub umilkła w życiu publicznym. Zostały dwa kierunki NKN: socjaliści i konserwatyści. Socjaliści uważali, że nadszedł czas szerszej realizacji zamiarów polskich na polu wojskowym i politycznym; konserwatyści widzieli w akcie wyzwolenia Królestwa tylko widomy znak potęgi *moocarstw centralnych* i wedle tego chcieli postępować. Socjaliści zaczęli (1 września 1915) stawiać żądania co do polskiego charakteru Legionów i co do komendy naczelnej w Legionach dla Piłsudskiego, konserwatyści chcieli złożyć dowód rządowi Austro-Węgier, że Warszawa, a za nią prowincja, dadzą liczne rekruta do Legionów bez komendy Piłsudskiego, bez gwarancji stawianych przez socjalistów. Rozpoczęła się więc *walka o werbunek do Legionów*, która trwała od września 1915 do lata 1917 roku. Walka, która koncentrowała w sobie z biegiem czasu wszystkie inne pytania polityki polskiej w Królestwie. „Werbunkowiec” lub „antywerbunkowiec” stali się hasłami, tak roznamiętniającymi ludzi w NKN i w Królestwie, że wypełniły dusze i uczyniły je sobie wrogimi. Pomimo bogatych środków pieniężnych i poparcia wszystkich oficjalnych czynników, jakie pp. Sikorski i Downarowicz mieli do rozporządzenia, *praca ich nad rozwinięciem werbunku nie powiodła się*. Potajemnie poszło w tym okresie tyle samo młodzieży do Piłsudskiego co ich dostarczył ogromny aparat werbunkowy, Departamentu Wojskowego NKN. Jakość zaś jednego i drugiego rekruta różniła się zasadniczo, co zresztą łatwo zrozumieć. Nie chcemy tej walce poświęcać tu więcej miejsca, zaznaczyć jednak należy, że Departament Wojskowy umiał pozyskać dla siebie *i jednostki* z obozu PPSD Panowie dr Wyrostek, Marian Hudec (syn), Hartleb i kilku innych oświadczyli się przeciw taktyce partii i od-

dali się w całości na usługi Departamentu. Nie wywołało to jednak i wywołać nie mogło żadnego rozłamu w PPSD, bo za Departamentem stały wpływy, które nie mogły liczyć na jakąkolwiek sympatię w szeregach robotników polskich. Jednostki te oddaliły się od partii i dały się pozyskać innym czynnikom. Oto wszystko.

Inna natomiast kwestia nadawałaby się tutaj do omówienia, chociaż z góry wiedzieć można, że szczegółowo się podczas wojny omówić nie da. Jest to zarzut niekonsekwencji, czyniony socjalistom: „*Chcecie armii, a nie chcecie werbunku!*” Jeżeliby zarzut ten rozwinąć odpowiednio do rzeczywistych, wówczas zachodzących sprzeczności, pytanie musiałyby brzmieć: „*Jak stworzyć polską armię, nie pytając się polskiego społeczeństwa?*” Departament Wojskowy miał na to pytanie odpowiedź od początku aż do końca kampanii, że tworzyć polską armię można nawet bez pozwolenia polskiego społeczeństwa w Królestwie i nazywał to „państwowotwórczą polityką NKN”. Socjaliści byli całkiem odmiennego zdania i zdaje się, że społeczeństwo po ich stronie stanęło. Dla nich armia polska miała być pierwszą gwarantką niepodległości Polski. Ale w negacji Departamentu Wojskowego pomagali socjalistom po cichu, lecz zajadle, także wszyscy zwolennicy orientacji rosyjskiej, co dawało powód do najdziwniejszych sprzeczności i pomieszania pojęć w głowach polskich... A żaden czynnik zewnętrzny nie przyczynił się do wyklarowania sytuacji. Każdy miesiąc ją jeszcze bardziej komplikował i sprzeczności zaostrzał. O tych sprawach historia kiedyś rozsądzi.

Umowa ostateczna między Kołem a NKN zostawiała całokształt spraw legionowych NKN. Jednak od czerwca 1916 roku socjaliści rozpoczęli tak energiczną walkę w łonie NKN, że nie zajmował się on już niczym innym, jak tylko wyrównywaniem sprzeczności wewnętrznych i robotę rozbieżną obu stron na zewnątrz. Konserwatyści, wsparci przez podolaków i demokratów, przygotowywali na zewnątrz organizację antysocjalistyczną, która wypłynęła w r. 1917 jako „Praca narodowa”, socjaliści tworzyli „Ligę Niezawisłości”, a ludowcy absentowali się najczęściej, gotując sojusz z endekami w formie „Zjednoczenia Narodowego”. To wszystko zatem, co istniało przed wojną, wyłaniać się zaczęło już w trzecim roku wojny na powrót...

Akt 5 listopada 1916, jako następstwo wydarzeń wojennych poprzednich, uczynił istnienie NKN bezprzedmiotowym. Miało wedle tego aktu powstać państwo polskie. Niepodobieniem nadal było, żeby na terenie państwa polskiego rządził i opiekował się wojskiem polskim (Legionami) jakiś galicyjski związek poszczególnych stronnictw choćby się nazywał NKN. Przy tym akt 5 listopada nie odpowiadał absolutnie zamiarom politycznym ani NKN, ani Koła Polskiego, ani Galicji. Socjaliści stawiali więc już w jesieni 1916 r. kilkakrotnie wniosek rozwiązania NKN, co jednak większość odrzucała. Dopiero z końcem stycznia 1917 uchwalono jednogłośnie NKN rozwiązać. Ale zakulisowa gra polityczna niechętnie wyzbywała się takiego narzędzia, jakim był w ostatnich miesiącach swego istnienia NKN i dlatego p. Jaworski zwlekał z wykonaniem uchwały z miesiąca na miesiąc, aż ostatecznie w dniu 2 września 1917 doszło z powodu tego zwlekania do burzliwego rozbiecia posiedzenia „Koła Sejmowego” na ratuszu krakowskim i do wystąpienia oficjalnego socjalistów z NKN w pierwszych dniach września. Zostali więc już tylko konserwatyści wraz ze swoimi klientami demokratycznymi i oczywiście z pp. Sikorskim i St. Downarowiczem. Ale takiej instytucji narodowej to jedno stronnictwo utrzymać nie miało siły i dlatego wśród bolesnych zawodzeń p. Jaworskiego w Kole Polskim ogłoszono w jesieni 1917 likwidację NKN z jakąś Komisją likwidacyjną, na której czele stanął p. Hofrat Laszkowski, niegdyś osławiony starosta krakowski, którego, po wyborze Daszyńskiego na posła w r. 1897, z urzędu usunięto i umieszczono na jakiejś synekurze, autonomicznej...

Koniec NKN nie odpowiadał wspaniałym dniom jego początku. Wielki poryw masy polskiej Galicji z powodu inicjatywy wojennej Piłsudskiego, historyczna rola Galicji jako „polskiego Piemontu”, wytworzyły instytucję narodową w wielkim stylu, która mogła wziąć na siebie zadanie wielkiej miary w polityce narodu polskiego. Były środki materialne; setki ludzi niosło w ofierze pracę bezinteresowną wysokiej nieraz wartości. Archaiczne jednak metody pracy, fałszywy narodowo i psychologicznie punkt patrzenia na przyszłość narodu polskiego, odpychające nieraz służalstwo prezesa NKN i jego partyjnie najbliż-

szych ludzi, ich nieprzeparłe dążenie do snucia zakulisowych intryg i słabość polityczna wobec każdego, kto przeciw nim wystąpił, te wady doprowadziły — na tle zmiennych losów wojennych i wahań dyplomatycznych, — do niechlubnego końca Naczelnego Komitetu Narodowego, którego pamięć jest dziś w masach polskich znacznie gorszą, niż był on wtedy, kiedy w całym kraju stał się jedyną wielką, polską instytucją polityczną i wojskową, kiedy najubożsi spieszyli, aby do jego kasy oddać na Legiony ostatni grosz, srebro familijne, lub ślubną złotą obrączkę...

III. POSŁOWIE SOCJALISTYCZNI W KOLE POLSKIM

Wstąpienie posłów socjalno-demokratycznych do Koła Polskiego było następstwem należenia ich do NKN. A do NKN należeli, aby kryć wojsko i zabezpieczyć jego rozrost.. Od 16 sierpnia 1914 r. decyduje się PPSD na coraz to dalsze konsekwencje odkąd w r. 1912 uchwaliła przystąpienie do Związków Strzeleckich. Wielu tzw. „czystych” socjalistów prowadziło przeciwko polityce PPSD już od r. 1912 zaciętą walkę. Nie będę jednak poszczególnych argumentów w tej walce tutaj rozpatrywał. Trzymam z Chrystusem przeciw „Zakonowi”, nie uznaję „czystych” i „nieczystych” stworzeń w socjalizmie. W warunkach, w jakich znalazł się proletariats polski od pół wieku, nie miał on innej drogi do wyboru, jak zwalczać swego śmiertelnego wroga: carat rosyjski. Walkę tę podjął robotnik polski; że w niej otrzymywał rany, że szeregi jego nieraz zostały zachwiane, lub nawet rozbite, to charakteru historycznego położenia jego w niczym nie zmienia. Czy w walce tej głosił hasła „rewolucji”, czy „powstania”, to również są różnice tylko w słowach, nie w istocie rzeczy.

Kto się zbroił, choćby tylko moralnie, ten musiał pójść na wojnę; kto podjął wojnę narodową, ten musiał być zwolennikiem skupienia sił narodu w tej wojnie. Wszak oto przed nami leży przykład najjaskrawszy tej prawdy: *stanowisko socjalistów niemieckich*, a jeszcze bardziej rażący przykład *opozycji francuskiej* („zimmerwaldczyków” francuskich!), którzy pod wpływem ofensywy niemieckiej uchwaliли głosować i *głosowali za budżetem wojennym p. Clemenceau*, a więc dali miliardowe środki w ręce swego zajadłego przeciwnika politycznego i społecznego, aby zadokumentować jedność narodu francuskiego w wojnie! To są fakty wymowne.

W poprzednim rozdziale wspomniałem o tym, że konserwatyści z Izby Panów postanowili w r. 1915 zabrać w swoje ręce lwią część wpływów na sprawę polską. Działo się to wobec bliskiego — wówczas — rozwiązania sprawy w duchu „austropolskim”. W jesieni 1915 ważyły się losy Polski rzekomo w tym właśnie kierunku. Berlin wówczas miał Wiedniowi zostawić wolne ręce, jak chce rozwiązać problem polski ze swego stanowiska. Chodziło o przeciwdziałanie im w Kole, a równocześnie o przyjęcie ich do NKN, z którego byli w r. 1914 ustąpili. Socjaliści w Kole mieli być ceną za zrzeczenie się intryg konserwatystów przeciw Legionom... Koło miało tak czy owak zagarnąć całą politykę polską w Galicji. Tak stały sprawy w listopadzie 1915 roku i wtedy zaczęli się socjaliści zastanawiać nad pytaniem: wstąpić do Koła, czy nie? W połowie listopada pojechał Daszyński nad Styr do Piłsudskiego, aby usłyszeć jego zdanie. Piłsudski radził wstąpić. Z powrotem porozumiewał się Daszyński z reprezentantami PPS w Warszawie; nie mieli niczego do zarzucenia. Następnie zwołano zarząd PPSD na dzień 9 stycznia 1913 i zarząd powziął następującą uchwałę:

„Klub polskich posłów socjalno-demokratycznych ma wstąpić do Koła Polskiego w parlamencie austriackim. Wzywa się wszystkich posłów do wykonania tej uchwały”.

W „Naprzodzie” pojawił się komentarz do tej uchwały, w którym znajdujemy następujący ustęp:

„Po dwudniowych, niezwykle gruntownych naradach uchwaliła nasza najwyższa dzisiaj instancja partyjna wezwać polskich posłów socjalistycznych do wstąpienia do Koła Polskiego. Po ćwierćwiekowej blisko walce przeciw polityce Koła Polskiego, uchwała partii naszej głębokie wywoła wrażenie w Polsce i poza nią i zmusi do zastanowienia się głębszego nad warunkami życia narodu, w których takie zjednoczenie takich dotąd przeciwnieństw

stało się koniecznością, rozumem stanu i wskazaniem szczerego, uczciwego patriotyzmu.

Żadna korzyść naszej klasy czy naszej partii nie mogła odwieść nas od złączenia się z innymi stronnictwami w chwili strasznego przełomu wojennego, żadna pokusa nie była dość silną, aby rozdzielić obóz narodu na zwalczające się i osłabiające obozy partyjne. I jeszcze jedno. Nie zdradzamy tajemnicy: Oto w dyskusji, najbardziej sumiennej i wyczerpującej, jakie z dziejów partyjnych pamiętamy, nie powoływano się prawie wcale na to, jakie zmiany wojna wywołała w partiach socjalistycznych innych narodów. Rozumiano dokładnie, że nie ma w Europie drugiego cywilizowanego, rozwiniętego narodu, którego los mógłby być porównanym do losu narodu polskiego”.

Potem odbyły się jeszcze liczne posiedzenia Komitetu Wykonawczego, jeszcze raz posiedzenie Zarządu, a w dniu 23 marca 1916 wstąpili posłowie PPSD do Koła, gdzie złożyli *deklarację*, z której cytujemy kilka ustępów:

„My polscy posłowie socjalistyczni, wstępujący z polecenia Zarządu partii do Koła Polskiego w parlamencie austriackim, oświadczamy:

Wykonujemy uchwałę Zarządu w tym przeświadczeniu, że krok nasz spotęguje siły całego narodu polskiego w okresie wojny, której cała niemal ziemia nasza jest pobojuwiskiem.

Uważamy zespolenie wszystkich sił narodu jako jeden z koniecznych warunków powstania na ziemi polskiej państwa, którego formy nie chcemy tutaj przesądzać. Jakiegokolwiek siły o jakiegokolwiek zamiarach decydować zechcą o losach narodu polskiego, powinny one zastać ten naród mocno zjednoczony w jednym, silnym jako prawo przyrody, dążeniu do wolnej państwowości mającej być wynikiem krwi polskiej przelanej na polach niezliczonych bitew, ofiar nie ludzkich całego narodu i jego niewygasłego nigdy prawa do życia godnego narodów cywilizowanych i wolnych. Tymi zasadami wiedzeni przystąpiliśmy dnia 16-go sierpnia 1914 r. do NKN i te same zasady wyłącznie przyświecają nam i obecnie w łączeniu się ze stronnictwami, istniejącymi w Kole Polskim, gdy bieg wypadków tego od nas wymaga.

Jako współtwórcy i — na polu polityki czynni żołnierze wojska ożywieni jesteśmy poczuciem obowiązku i baczności nad tym, aby to wojsko zawsze i wszędzie mogło godnie spełniać służbę wojenną na korzyść narodu i pod jego sztandarem.

Wstępując w szeregi Koła Polskiego, nie wstępujemy do niego jako do klubu politycznego, lecz chcemy stworzyć solidarną całość reprezentantów narodu polskiego, mieszkającego w granicach Austrii. Solidarność ta ma być wskazaniem dla całej Polski, że zjednoczenie całego narodu jest w oczach naszych w czasie tej wojny niezłomnym nakazem polskiego rozumu stanu, nakazem dla wszystkich Polaków.

Trzymając wysoko sztandar naszego stronnictwa, nie roniąc żadnej z naszych zasad przewodnich, pragniemy, aby naród polski i świat cały widział nasz sztandar w złączonym szeregu polskim, aby zrozumiano, że socjalizm polski dąży do wyzwolenia narodu”.

Podkładem politycznym wstąpienia socjalistów polskich do Koła w *owym czasie* — co należy wyraźnie podkreślić — *było ich dążenie do połączenia Galicji z Królestwem*. Czy kto da temu dążeniu nazwę „austropolskiej” polityki, czy zatem ujmie ten problem nie ze względu na cel, a raczej ze względu na drogę do tego celu wiodącą, to istoty rzeczy nie zmienia. Jeżeli ktoś podczas wojny, właśnie wojenną drogę do tego celu wybrał, nie może zasługiwać na faryzeuszowskie potępienia i zarzuty odstępstwa. Pięć milionów Polaków w Austrii chce połączyć się z państwem polskim i to stało się centralnym politycznym dążeniem socjalistów polskich w Austrii. Dla Galicji było to spełnienie się jej „maksymalnego” niejako programu. Nie będę tu się rozwodził nad szczegółami. Wystarczy spojrzeć na mapę Polski, policzyć ludność, dowiedzieć się ilu Polaków, ilu robotników polskich

znalazłoby się wtenczas razem w państwie polskim, rozejrzeć się w układzie gór i rzek., kopalń i skarbów natury w Polsce, a istota tego polityczno-narodowego dążenia okaże się silniejszą, niż wszelkie skrupuły, które nie tracąc swojego znaczenia, ustąpić muszą na plan drugi. Jeżeli urzeczywistnienie się tego programu nie da się przeprowadzić w czasie określonym, cóż komu z tego potem przyjść może, że miał takie, czy inne skrupuły...

A właśnie bliskim miał być ten czas, w którym socjaliści nabrali byli wewnętrzne przekonania, że urzeczywistnienie się ich dążenia nie jest utopią. Najciekawsze, że ci, którzy byli innego zdania, albo w ogóle sceptycznie traktowali „austropolskie” rozwiązanie, opierali całe swoje nadzieje na Berlinie i na rzekomej chęci Niemców z Rzeszy przyłączenia do Polski raczej Wilna, niż Krakowa!... „*Wilno — czy Kraków!*” oto było pytanie, rozwiązywane wówczas na obie strony; raz Wilno trzeba było ratować, bo Krakowowi „na razie nie grozi wynarodowienie”, drugi raz znów wskazywano na oczywistą niemożliwość zbudowania w tej wojnie Polski bez Krakowa... Któryż Polak może wziąć za złe obrońcom Wilna lub Krakowa w tym pochodzie do państwa polskiego, że kładli silniejszy nacisk na swoje ukochane miasto? Socjaliści polscy w Galicji wstąpili do Koła, aby sparaliżować wszelkie wpływy zewnętrzne, liczące na rozdwojenie i rozbicie Polaków w ich walce o Polskę. Wpływów tych, jak okazał rok 1917, było bardzo wiele w samej Austrii, tak u góry jak i u dołu... Wstąpili do Koła, aby nie pozwolić na politykę „dworaków”, którzy sądzili, że właśnie w Kole przyszedł czas jej rozkwitu. Zdaniem moim jeden i drugi powód był wystarczająco ważnym; jedno i drugie zadanie zostało w ciągu dwu lat pobytu socjalistów w Kole dość pomyślnie wypełnionym.

Jako ludzie i jako socjaliści ponieśli posłowie PPSD *ogromną osobistą ofiarę* przez wstąpienie do Koła. Przyzwyczajeni do działalności i energicznej pracy, musieli w Kole tracić najdroższy czas wśród wiecznego niedoleństwa i wprost niebywałego próżniactwa ogromnej większości swoich zacnych kolegów kołowych. Kto tego sam nie przeżył, ten nie uwierzy... Jest np. w Kole polskim pewnik, że „*na posiedzenie Koła spóźnić się nie można!*” To znaczy: choćbyś przyszedł najpóźniej, jeszcze się nie spóźnisz... W ciągu tych dwóch, lat, nie wiem, czy był pięć lub sześć razy pełny, rzeczywisty komplet tego szacownego klubu narodowego... Najprostsza uchwała wlokła się w Kole tygodniami, a dochodziła do skutku wśród bezustannego udawania się na osobne narady poszczególnych stronnictw. Nikt nie chciał płacić najdrobniejszej składki na cele Koła. Lokal i personal pomocniczy opłacał w r. 1915/16 z własnej kieszeni p. Biliński! Potem prezesaował Koło czcigodny *prezes rady powiatowej w Wadowicach*, a potem już, od września. 1917 aż do chwili, gdy to piszę — w kwietniu 1918 — Koło nie potrafiło wybrać — prezesa! Rozpędzało się coś pięć razy, wybrało raz nawet na trzy tygodnie prezesa i utknęło w bezkrólewiu, jak w piasku. Rozpadło się, a prezesa nie wybrało! A intrygi! Wprost z posiedzenia szli pewni „kolarze” do dziennikarzy, aby im podać przekręcone złośliwie i oszczerczo mowy, czy fakty z Koła. Nie zostawiano na sobie wzajemnie suchej nitki poza plecami kolegów. Kilku posłów znanych jest w Kole jako „informatory” rządu, lub *Neue freie Presse*... Kto nie chce, może dowiedzieć się ich nazwisk. A *przemówienia w Kole!* Są tam mówcy, którzy wprost jarmarcznym patosem wzbudzają w szeregach tłumione łkanie śmiechu... Sami „inteligenci” oczywiście, nie żadni prostaczkowie!

W takiej to atmosferze wytrzymali posłowie PPSD przez dwa lata. Hamowali zapędy magnackiej kliki z Izby Panów, aż ją nie mał w zupełności usunęli od polityki Koła. Zwalczali agrariuszów i przeszkadzali niezdrowym apetytom kapitalistycznym, czy karierowiczowskim, a przede wszystkim wykazywali, że *dzisiejsza forma Koła jako jednolitego klubu jest niemożliwym anachronizmem*. W sprawie ogólnonarodowej przygotowywali zwrot z 28 maja 1917 r., zmusili Koło do zajęcia się obroną Legionistów i w pełnej Izbie stawiali sprawę polską w znany sposób, którego tutaj nie mamy możliwości omawiać. W walkach o *chleb i aprowizację, o odbudowę kraju*, a następnie w żmudnej pracy nad *konstytucją dla Galicji*, którą miano wyodrębnić, socjalistyczni posłowie zmusili Koło do respektowania tężyzny, pilności, punktualności i wiedzy, z jaką traktowali każde zadanie. Weszli do Koła w epoce największego natężenia absolutyzmu w Austrii. Hr. Stürgkh rządził wówczas niepodzielnie, o ile jakikolwiek rząd *cywilny* mógł swoje funkcje nazywać „rządzeniem”... Partia została unicestwioną, wziętą do wojska, zmuszoną do pracowania w zmilitaryzowanych fabrykach i kopalniach. O wolności prasy, stowarzyszeń, zgromadzeń nie było mowy. Zgromadzenie poufne, zwołane w Wiedniu przez prezydenta parlamentu Sylwe-

stra, zostało zakazane! Szczegółów opisywać tu nie możemy. Wywarcie najdrobniejszego wpływu na rząd było dla polskiego klubu socjalistycznego niemal wykluczone. Wpływ na całość reprezentacji polskiej był natomiast możliwy i wywierali go socjaliści. Okazało się to w dwóch sprawach bardzo wyraziście. Mam tu na myśli *konflikt z baronem Burianem*, ówczesnym ministrem spraw zagranicznych i pracę nad konstytucją dla „wyodrębnionej” Galicji. W jednej i drugiej sprawie rola socjalistów była typowym przykładem wykonywania ważnych dla kraju zadań, dla których wstąpili do Koła Polskiego.

Lato 1916 było dla Polski i dla Austrii brzemienne w następstwa niepomysłne. Bitwa pod Łuckiem miała swoje skutki. W Kole jednak i w NKN panowała zwykła cisza i nie miano tu poczucia, jakoby miały nastąpić jakiegokolwiek zmiany... Z końcem czerwca postawił w NKN Daszyński imieniem opozycji NKN wniosek, którego pierwsza część *żądała od dyplomacji austro-węgierskiej oświadczenia się w sprawie polskiej*. Większość traktowała wniosek niechętnie, zasłaniając się brakiem kompetencji. Wówczas Daszyński zobowiązał się skłonić prezesa Koła p. Bilińskiego do interwencji w duchu wniosku, pojechał do Ischl, letniej siedziby prezesa i uzyskał jego pismo do Buriana, oparte o wniosek. Na dzień 21 lipca zwołano Komisję polityczną Koła i tu przeżyli Polacy dziwne chwile. Oto otrzymano od p. Buriana aż dwa listy: jeden z oświadczeniem się ogólnikowym rządowi w sprawie polskiej, drugi z żądaniem, aby pierwszego listu prezes nikomu nie odczytywał, ani treści jego nie podawał... W początkach sierpnia już był p. Bobrzyński w Wiedniu, gdzie tworzyły się zarysy *aktu 5 listopada*. W październiku zaś zebrało się Koło Polskie na którym poseł dr Lieberman postawił wniosek: „Koło Polskie wyraża głębokie ubolewanie, że Kierownictwo spraw zagranicznych monarchii austro-węgierskiej nie utrzymywało w toku pertraktacji z rządem niemieckim o sprawę polską kontaktu z powołaną reprezentacją narodu polskiego i lekceważyło opinię społeczeństwa. To lekceważenie stało się źródłem szeregu błędów, popełnionych przez p. ministra spraw zagranicznych, które wyrządziły niepowetowaną szkodę narodowi polskiemu, obrażając jego uczucia i naruszając jego najżywniejsze interesy”. Wniosek ten uchwalilo Koło 28 głosami przeciw 15. Po raz pierwszy od lat pięćdziesięciu mógł być taki wniosek uchwalony w Kole. Charakterystyczne z tego posiedzenia są jeszcze inne wnioski, np. wniosek posłów Marka i Moraczewskiego: „Koło Polskie stwierdza, że dążeniem naszym jest powstanie *niepodległego państwa polskiego, jednoczącego cały naród polski*. Nie wyrzekając się tej naczelnej zasady, stwierdza Koło Polskie, że *wynikiem obecnej wojny powinno być utworzenie niepodległego państwa polskiego, składającego się z Galicji i Królestwa Polskiego, zabezpieczonego od wschodu dawnymi krajami Rzeczypospolitej*”.

Wniosek ten upadł. Oprócz socjalistów głosowali za nim tylko pp. Sliwiński, Tertil, Zieleniewski... Był to czas wędnięcia oficjalnej polityki „austropolskiej”, czas przygotowania do ogłoszenia aktu 5 listopada.

O *akcie 5 listopada* i jego politycznym znaczeniu dla Polski, nie mam zamiaru w tych szkicach pisać. Dla Galicji oznaczał on zaprzeczenie jej dążeń. Gorzką tę pigułkę chciano Polakom galicyjskim osłodzić tzw. „*wyodrębnieniem Galicji*”. Koło Polskie miało przygotować konstytucję i cały układ administracyjny dla tej wyodrębnionej „prowincji-państwa”. Pracowano całą zimę od grudnia do marca po cztery do pięciu posiedzeń na tydzień. Dwaj socjalistyczni posłowie Daszyński i Diamand mieli tu sposobność do pracy w obronie każdego prawa ludowego i obowiązek ten spełnili w ten sposób, że Zarząd PPSD na wniosek posła Moraczewskiego wyraził im obu uznanie, i podziękowanie. Głęboko sięgająca reforma sądownictwa, skarbowości i administracji ogólnej, a przede wszystkim oparcie całego życia społecznego i politycznego na demokracji, oto był owoc tej pracy konstytucyjnej, która nie przyoblekła się wprawdzie w instytucje, ale pokazała światu, że Polacy jako całość wcale nie są, ani nie potrzebują być w niczym narodem reakcyjnym. Socjaliści niemieccy byli zachwyceni daleko sięgającą demokracją projektu polskiej konstytucji i głośno to uznawali. Gdyby socjalistów wówczas w Kole nie było, oznaczałoby to dla przyszłości najbliższej ciężkie niebezpieczeństwo.

Ale „wyodrębnienie” nie przyszło do skutku. Opierano je w Wiedniu na pewnym pomysle dworskiej polityki, żeby z pominięciem parlamentu (od trzech lat nie zwoływano!) cesarz patentem ukonstytuował Austrię na jakiejś nowej podstawie; przy czym Galicja miała być „wyodrębnioną” i zbliżoną przez to samo do Królestwa Polskiego, nie należąc doń państwowo. W przeciwieństwie do Niemców burżuazyjnych, którzy całą

swoją politykę oparli na tym mającym przyjąć „patencie”, Polacy wcale nie akcentowali tego, jakoby ich nadzieje miały się spełnić tylko na tej drodze; przeciwnie Koło uchwaliło dwukrotnie na wniosek Daszyńskiego *domagać się od rządu zwolnienia parlamentu*.

Wiosna r. 1917 przyniosła *w dniu 30 maja otwarcie parlamentu...* Miesiąc przedtem rząd hr. Clam-Martinica odebrał Polakom wszelkie nadzieje na wyodrębnienie Galicji. Akt 5 listopada zamykał im drogę do Królestwa. Programy z 16 sierpnia 1914, ponawiane 8 sierpnia 1915 i 1 maja 1916 o państwie polskim z Królestwa i Galicji złożonym. runęły w przepaść. Powstała luka głęboka... Kiedy więc Koło zebrało się dnia 14 maja, postawili socjaliści w Kole program, obejmujący szerszy zakres polityki polskiej, *program ratujący przynajmniej dążenie narodu do bytu państwowego bez względu na chwilową możliwość zrealizowania formy tego państwa*. Wniosek socjalistów dał inicjatywę do całego szeregu wniosków: pp. Głębińskiego, Hallera, Tetmajera itd. Nadto stały na porządku dziennym wnioski p. Stesłowicza, Angermana i Diamanda zapowiadające, że *Koło Polskie znajduje się w opozycji do rządu*. Dnia 16 maja przystąpiono do głosowania. Pierwszy wniosek Daszyńskiego odrzucono. Zostawały wnioski Tetmajera i Głębińskiego. Ten ostatni miał ustęp o koronie polskiej dla cesarza. Uchwalono wniosek Tetmajera, a następnie Stesłowicza. Zwołano też *koło sejmowe na dzień 28 maja do Krakowa*. Dzień przedtem zebrane w Krakowie Koło Polskie, uchwaliło 49 głosami przeciw 2 głosom Abrahamowicza i Lubomirskiego, sławną rezolucję, której tekst brzmiał ostatecznie:

„Koło Polskie sejmowe stwierdza, że jedynym dążeniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej zjednoczonej Polski z dostępem do morza i uznaje się solidarnym z tym dążeniem.

Koło sejmowe stwierdza dalej międzynarodowy charakter tej sprawy i uznaje jej urzeczywistnienie za porękę trwałego pokoju.

Polskie Koło sejmowe wyraża nadzieję, że życzliwy nam cesarz Austrii sprawę tę ujmie w swe ręce.

Wskreszenie państwa polskiego przy pomocy Austrii zapewni jej naturalnego i trwałego sprzymierzeńca”...

Rezolucja z 28 maja oznaczała dla Polski „wolną rękę” wśród odmetów wojny światowej. O jej realizacji mówić przed ukończeniem wojny, jest rzeczą nie prowadzącą do celu. Była ona pewnego rodzaju psychiczną koniecznością po upadku programów, które uważano za „pozytywne”. Odpowiada też ona w pewnej mierze programowi zasadniczemu PPSD, jakieśmy to już w pierwszym rozdziale podkreślili. Wobec „austro-polskiej” polityki brzmiała jak jej zaprzeczenie. Stąd szalona opozycja stańczyków przeciw niej, stąd rozbiecie Galicji i skandaliczne sceny z drugiego Koła Sejmowego w dniu 2 września, gdy stańczycy próbowali ją obalić! Ma ona tę dobrą stronę, że każdy Polak może się na nią zgodzić i że nie ulega zmianom „pozytywnych” programów, opierających się z natury rzeczy na zmiennym układzie sił itd. Jeżeli już tzw. „pozytywne programy” runęły w przepaść, niechaj przynajmniej masa narodu skupia się koło hasła, które obejmuje jej zasadnicze dążenia wśród zmieniających się wiecznie szans urzeczywistnienia... Gniewała i gniewa pewnych „polityków” — dla wielkiej masy narodu jest nadzwyczaj pożądaną.

W kilka tygodni po 28 maja posłowie socjalistyczni musieli się podjąć długiej, niesłychanie mozolnej i pełnej moralnych wstrząśnień *akcji ratunkowej dla Legionistów*. Akcja ta wynikała z ogólnego stanowiska partii wobec „Piłsudczyków” tj. Legionistów, uważających bezwarunkowo za swojego wodza Komendanta Piłsudskiego. Analiza stosunków, jakie zapanowały w Legionach, po ich przeniesieniu do Królestwa i oddaniu pod komendę gen. Beselera, zajęłaby tutaj zbyt wiele miejsca. Zaznaczyć jednak należy, że chociaż PPSD nie miała najmniejszego wpływu na *odmówienie przysięgi ze strony większości żołnierzy i oficerów* (lipiec 1917), to jednak zręczny manewr stańczyków zrobił z tego „akcję socjalistów”. Kiedy w pół roku później (luty 1918) nastąpiła druga i ostatnia katastrofa w Legionach, socjaliści nie odplacili równą miarką, nie napadli na Stańczyków, lecz zachowali się całkiem inaczej... Ale rezultatem wydarzeń warszawskich z lipca 1917 był cały szereg nieustających interwencji posłów socjalistycznych, wśród których najwięcej trudu wzięli na siebie posłowie Bobrowski, Lieberman i Moraczewski. Jedną kwestią stanowiła podczas pobytu socjalistów w Kole Polskim najcięższy i najprzykrzejszy temat rozmów wśród członków PPSD: *kwestia głosowania za budżetem*. Im silniej partia zaczynała żyć

znowu pełniejszym życiem, im cięższymi stawały się warunki tego życia w Galicji, tym bardziej piekącą stawała się i sprawa głosowania posłów socjalistycznych za budżetem w parlamencie. Że socjaliści, jako skrajnie opozycyjna partia nie powinni głosować za budżetem państwa, które nie jest socjalistycznym, to w kołach PPSD nie ulegało nigdy żadnej wątpliwości. Odnosi się to do czasów normalnych, chociaż i tutaj mamy w dziejach parlamentarnych klubów socjalistycznych w Europie bardzo liczne przykłady, że i w czasach pokoju socjaliści francuscy, angielscy i niemieccy głosowali za budżetem wrogiego sobie państwa. W czasie walki „bloku” francuskiego o *oddzielenie Kościoła od państwa* i w walce liberałów angielskich *przeciw Izbie Lordów*, socjaliści popierali czynnie rząd i głosowali za budżetem. W czasie wojny zmieniły się jednak poglądy na taktykę parlamentarną socjalistów bardzo radykalnie. *Francuzi, Niemcy, Anglicy głosowali za budżetem*. Wspominaliśmy już, że niedawno temu *najskrajniejsi* socjaliści francuscy głosowali za budżetem. Kiedy wśród Niemców austriackich wybuchła kwestia w zimie 1918 czy głosować za budżetem, czy nie, doniesiono mi z niemieckich kół oficjalnych socjalistów, że Fryderyk Adler, zabójca hr. Stürgkha z więzienia swego miał wyrazić swą zgodę na głosowanie za budżetem. Niemieccy socjaliści właśnie wtedy głosowali też za budżetem, kiedy od ich głosów zależało, czy budżet przejdzie, czy nie... Kiedy tego „niebezpieczeństwa” nie było, głosowali śmiało przeciw budżetowi. Warunki parlamentu podczas wojny są w ogóle inne niż podczas pokoju... W tych ramach ogólnych należałoby dopiero rozpatrywać kwestię głosowania za budżetem i wówczas okazałyby się *szczególne warunki*, wśród których jakaś partia decydować się musi na głosowanie za lub przeciw! Czescy posłowie nie głosowaliby prawdopodobnie za budżetem ani razu w tej wojnie, bo głośno twierdzili, że *tej wojny nie chcą od początku*. Ale tutaj nie socjalizm decydował...

Polscy posłowie socjalistyczni właściwie raz tylko głosowali za budżetem, a raczej decydowali na równi z innymi kolegami w Kole Polskim, że należy głosować za budżetem. Było to w październiku 1917 roku. W czerwcu bowiem 1917 roku Koło Polskie dało nowemu rządowi dra Seidlera swoje głosy za budżetowym prowizorium, jako czysto techniczną koniecznością państwową. Za to usunęło gabinet hr. Clam-Martinića z ministrami §14, a przede wszystkim z ministrem kolei bar. Forsterem! Hr. Clam-Martinić upadł w czerwcu, bo nie mógł dostać ani budżetu, ani prowizorium budżetowego do końca czerwca; dr. Seidlerowi uchwalono prowizorium na cztery miesiące, aby móc zobaczyć ile dotrzyma z niezmiernie długiej listy ponętnych obietnic...

Dopiero w październiku było więc głosowanie za budżetem, wyrazem niejako stosunku parlamentarnego Koła Polskiego do rządu dra Seidlera. Polacy mieli żądań litanie całą! Rząd dra Seidlera obiecywał zaspokoić przynajmniej najważniejsze z nich; w szeregu konferencji doszła do skutku formalna umowa na piśmie między rządem a Kołem. Otóż w toku tych pertraktacji zaobserwować można było u niektórych socjalistów niemieckich oryginalne zakłopotanie o to, czy Koło Polskie będzie głosowało za budżetem, czy nie?.. Troska ta dziwna płynęła z bardzo prostego zapatrywania: jeżeli Koło Polskie będzie — jak zawsze — głosowało za budżetem, to budżet będzie miał większość zapewnioną i socjaliści niemieccy będą mogli głosować *przeciw budżetowi*. Wówczas i tradycji rewolucyjnej stałoby się zadość i — rząd miałby budżet. Ale jeżeli Koło — pod wpływem posłów socjalistycznych — zapomni o swej roli, jeżeli rzuci swe głosy *przeciw* budżetowi? Ha, wówczas socjaliści niemieccy musieliby ratować rząd i państwo i musieliby głosować za budżetem!... Tak się stało np. w marcu 1918 przy następnym głosowaniu. Więc nic dziwnego, że dbali o swoją „cnotę” socjaliści niemieccy przeznaczali Kołu Polskiemu z góry rolę „niecnotliwego”, aby móc czystość swoich piórek zachować... Epizod ten warto zanotować, aby uczynić grę parlamentarną w Wiedniu łatwiej zrozumiałą dla niejednego.

Umowę Koła z rządem podał „Naprzód” w dosłownym brzmieniu, więc nie będę jej tu rozbiarał. Wszystkie ciała PPSD, wszyscy jej członkowie mieli sposobność zajrzenia w ten sposób w otwarte karty; *ani jeden głos protestu nie podniósł się w październiku z szeregów partii*. Notuję to, ażeby podnieść, że protesty podniosły się potem pod wpływem „lewicy” niemieckiej w Wiedniu... Widziała ona bardzo bystro „błąd” polskich socjalistów, a pokrywa milczeniem gorszy „błąd” swoich najbliższych, bo niemieckich socjalistów w cztery miesiące potem. Będzie może kiedyś sposobność, aby się nad tym zjawiskiem bliżej zastanowić; dziś wystarczy je zanotować. Mówiono wiele przy tej okazji o rozbiciu w klubie

posłów PPSD Jak zwykle przesadzono. Bo jakież tu mogło być rozbitcie, gdy większość klubu godziła się na *czteromiesięczne* prowizorium, a jeden z posłów socjalistycznych stał w Kole wniosek na uchwalenie dwumiesięcznego!

Rozpatrując głosowanie polskich socjalistów w październiku, a niemieckich w cztery miesiące później, widzimy te same powody, te same obietnice, te same myśli i głośno przytaczane motywy partyjnej polityki. Nie jest bowiem rzeczą łatwą *w środku wojny* zdecydować się nawet wrogowi wojny, nawet partii przeciwnej polityce państwa wojnę toczącego, zdecydować się na odmówienie temu państwu środków wojennych. Trudności — o których tu pisać nie mogę — są dwojakie: wewnętrznej i zewnętrznej natury. *Wewnętrzne* trudności streszczają się w groźbie *rozpędzenia parlamentu*. *Zewnętrzne* były dla Polaków w tym, że właśnie wówczas hr. Czernin, ówczesny minister spraw zagranicznych, obiecywał najgorętsze poparcie połączenia Galicji z Królestwem...

Żadne państwo w Europie, prowadzące wojnę, czy neutralne, nie znalazło się w czasie ostatnich lat czterech w tym położeniu, żeby parlament groził rządowi odmówieniem budżetu, chociaż idzie tu wszędzie o miliardy. *Niemcy* mają 121 posłów socjalistycznych w Reichstagu, *Francja* 100, *Anglia* około 60, a jednak nigdzie tam frakcja socjalistyczna nie postawiła żadnego swojego rządu w położenie bez wyjścia. W Rosji zaś październikowej rządził Kiereński i socjaliści — „mienszewiki”, którzy bez żadnego pozwolenia parlamentarnego rzucali w otchłań wojny miliardy rubli! W Austrii socjaliści niemieccy rzucili swoich 40 głosów na korzyść rządu, gdy Koło Polskie zawiodło w zimie 1918. Różnice między „prawicą” a „lewicą” socjalistyczną niemal tu nie istnieją, jak tego widzieliśmy przykłady w Austrii i we Francji. Wojna pociąga bowiem za sobą niezwykłe konsekwencje w całym życiu, a więc i w parlamentarnym.

Dopiero traktat w Brześciu postawił przed polskimi posłami sprawę głosowania przeciwko budżetowi w takich warunkach, że całe Koło było zdecydowane rzucić swoje głosy przeciw rządowi, aby go obalić i zmienić przez to kierunek polityki wojennej państwa.

IV. SOCJALIŚCI WYSTĘPUJĄ Z KOŁA POLSKIEGO

Dnia 9, lutego 1918 podpisano w Brześciu Litewskim traktat pokojowy między Austrią a Ukrainą Republiką Ludową i w artykule II. tego traktatu odstąpiono Ukrainie polską ziemię chełmską i podlaską. Dnia 12 lutego na ratuszu krakowskim postawił poseł Daszyński w Komitecie międzypartyjnym wniosek urządzenia w niedzielę 17 lutego 1918 Zgromadzeń protestujących w całym kraju, a poseł Moraczewski zaproponował przeniesienie terminu na poniedziałek 18 lutego. Dzień 18 lutego był dniem olbrzymiego poruszenia milionów Polaków w Austrii. Niesocjalistyczne czynniki w Komitetach postanowiły, żeby w tym dniu — Polacy *zaprzyśięgli* „nie dać ziemi...” Socjaliści odradzali od tej patetycznej formy, lecz musieli ustąpić... Koło Polskie uchwaliło jednogłośnie protest napisany przez posła Daszyńskiego i odezwę przezeń przedłożoną. Protest odczytał dnia 20 lutego prezes Koła bar. Goetz w parlamencie i po kilku dniach z prezesostwa ustąpił — z powodu tarć z narodową demokracją. Imieniem socjalistów przemawiał tego samego dnia poseł Daszyński. Między Kołem a rządem zawrzała walka. Koło zerwało stosunki z rządem, *który przez to stracił większość*. Za kilka dni kończyło się uchwalone w październiku prowizorium budżetowe. Polacy mieli sposobność rząd *obalić*. Po audjencji u cesarza dnia 7 marca postanowiła większość $\frac{2}{3}$ Koła Polskiego rząd uratować i wyjść podczas głosowania z Izby. Dziesięć minut przed głosowaniem w parlamencie *uchwalił Klub PPSD jednogłośnie z Koła wystąpić i głosować przeciw rządowi*. 59 posłów polskich niesocjalistycznych wyszło z Izby i rząd otrzymał budżet przy czynnej pomocy socjalistów niemieckich...

Ulubioną tezę prasy konserwatywnej od szeregu miesięcy było: Socjaliści polscy nie mogą prowadzić narodowej polityki od czasu, kiedy na Wschodzie zamiast caratu rządzi *rewolucja bolszewicka* i to miało być jedynym powodem wystąpienia ich z Koła Polskiego. Nie możemy tutaj niestety zająć się tym tematem bliżej, zwłaszcza że nie tracimy nadziei, iż w tych interesujących sprawach Wschodu *wkrótce osobną pracę uda się napisać*.

Tu chcemy tylko podnieść dwie daty: Rewolucja bolszewicka zwyciężyła w listopadzie 1917, a socjaliści wystąpili z Koła w marcu 1918. W czasie zaś wojny i rewolucyjnych, błyskawicznie szybkich przemian w Rosji, cztery miesiące są długim okresem. I jeszcze jedna refleksja. Oto np. organ socjalistów niemieckich „Arbeiterzeitung” najsilniej i najkonsekwentniej nawoływał do pomagania „bolszewikom”, do ochraniań rezultatów ich zwycięstwa; a jednak nie przeszkodziło to niemieckim socjalistom w głosowaniu za budżetem dla rządu, który żył i tryumfował z powodu upokorzenia bolszewików!... Nie potrzeba było motywów *petersburskich* do wystąpienia socjalistów polskich z Koła, wystarczyły polskie...

Ćwierć wieku organizacji uratowało socjalistów polskich od ujemnych skutków ostatniego kryzysu. Na drugi dzień po wystąpieniu z Koła, każdy wiedział, co i gdzie ma robić. Miano przede wszystkim więcej czasu! A potem nie potrzebowano niczyjego poklasku, tak jak lata długie nie obawiano się gróźb niczyich...

Powyższy tekst ukazał się jako broszura w Krakowie w roku 1918.

GŁOSUJ ZA POLSKĄ! UWAGI O TYM, JAK ROBOTNICY POLSCY MAJĄ GŁOSOWAĆ PODCZAS PLEBISCYTU

Państwo polskie odzyskało wolność i niepodległość po stu z górą latach niewoli u obcych. Trzy miliony rosyjskich, pruskich i austriackich żołnierzy pilnowało, abyśmy kajdan nie zrzucili; sto tysięcy urzędników wymierzało nam obce, wrogie nam prawa, język polski wypędzono nam ze szkół i z urzędów. Ziemię polską wykupowano lub zabierano nam przemocą. Pracę robotnika polskiego płacono gorzej niż pracę Niemca, Czecha lub Moskala. Lasy w górach naszych zrabowali obcy, węgiel i ropę naftową wykupili obcy za półdarmo; sól zabrały obce rządy jako własność państwową.

Ziemia polska i ludzie polscy byli w niewoli przez lat sto z górą. Wyzyskiwano naród polski pod każdym względem. Nie pozwalano mu nawet modlić się, tak jak chciał.

A jednak wydobyliśmy się z niewoli! Nie jako Austriacy czy Prusacy czy Moskale, ale jako *Polacy, jako naród, jako państwo polskie!* Przemoc trzech największych państw, które przed wiekiem rozebrały Polskę, była za słaba, aby naród polski dłużej utrzymać w niewoli. Widocznie była i jest w nas siła większa niż obca przemoc. *Silą tą jest lud polski, jest dusza masy chłopów i robotników polskich.*

Do tego ludu polskiego zwracam się dziś przed głosowaniem plebiscytowym, aby się wraz z nim zastanowić nad tym, jak robotnik polski głosować powinien.

*

Naród drugiej klasy!

Naród jakiś przyłączony do obcego narodowego państwa staje się czymś gorszym i pośledniejszym niż naród panujący, niż naród w większości będący. Czy w tym państwie rządzi samowładny car-despota, czy też parlament, to zawsze biada mniejszości, biada zniewolonemu narodowi! ... Niektórym z nas zdawało się, że to tylko szowinizm burżuazji lub pycha feudalnych panów uciskać może Polaków, a gdy przyjdą do liberałowie lub socjaliści, to nam jako narodowi pod obcym rządem będzie bardzo dobrze. Mylili się ci, co tak myśleli. Podam tu kilka przykładów, znanych z mego osobistego doświadczenia w życiu publicznym. Uciskał na Górnym Śląsku Polaków król pruski Wilhelm II Hohenzollern, zapowiadał nieraz zagładę w obłąkanych przemówieniach, w których ogłaszał siebie za narzędzie woli boskiej. Ponieważ był protestantem, więc wielu katolików-Polaków schroniło się pod skrzydła „Centrum” katolickiego. I cóż się pokazało w dość krótkim czasie? Oto kardynał katolicki dr Kopp z Wrocławia był takim samym wrogiem Polaków, jak i Hohenzollern. Wobec tego wielu socjalistów-Polaków uciekło się pod opiekę niemieckiej partii socjalno-demokratycznej. I znowu doczekali się wkrótce, że niemieccy socjaliści chcieli zabronić polskim robotnikom utworzenia własnej, polskiej partii socjalistycznej i uchwalili to na swoim zjeździe.

Hohenzollern chciał z nas mieć Prusaków, „Centrum” chciało z nas mieć katolików, socjaliści niemieccy chcieli z nas mieć socjalistów, ale żaden z nich nie pozwalał nam być Polakiem! Każdy z nich chciał, żebyśmy byli Niemcami!

Hohenzollern brał z nas podatki i rekruta. Centrum brało nasze pieniądze na kościół i nasze głosy przy wyborach, socjaliści niemieccy zbierali nasze opłaty do stowarzyszeń i nasze głosy przy wyborach, ale żaden z nich nie chciał pozwolić, żebyśmy mieli *własne* polskie państwo, polskich księży i polską partię socjalistyczną, polski język w urzędzie i szkole, polski sąd i polski parlament i żaden Niemiec nie chciał zwolnić nas z niewoli narodowej. Przeciw Polakom były w obcych państwach prawa wyjątkowe. Co wolno było Niemcowi lub Moskalowi, tego nam nie wolno było. Polaków uważano za buntowników za to tylko, że nie chcieli się wyrzec swojej *własnej* wolności. I znowu wszystkie klasy Niemców czy Moskali, chcących nam zabrać język i ziemię, zgodne były w tym, żeby Polaków gorzej traktować niż swoich. Wszystko miało być przeciw nam. Monarchista krzyczał, że nie uznajemy władzy monarchy, liberał wołał, że jesteśmy wstecznikami, socjalista obcy chciał nas uczyć rozumu, jakbyśmy swojego własnego nie posiadali. Wszyscy radzili nam, żebyśmy się poddali i znosili w pokorze, co nam obcy rozkażą. Wykreślono imię nasze ze świata i wyzyskiwano bezbronny i pracujący lud polski gorzej niż bydło.

Na próżno starano się obrzydzić nam państwo polskie. Na próżno obiecywali nam klerykałowie i socjaliści niemieccy, że uszanują nas i naszą narodowość, nasz język macierzysty i naszą pracę, byleśmy tylko nie pragnęli własnego polskiego państwa!

W praktyce w sądzie, w urzędzie, na zgromadzeniu, w stowarzyszeniu mówiono do Polaków po niemiecku, a polski język usuwano. Sądziłi nas obcy, nauczali w szkole obcy, a nam dawano jakby jałmużnę, jakieś drobne ustępstwa, i kazano nam się cieszyć nimi.

W Austrii żyły ze sobą liczne narody, ale do zgody między nimi nigdy nie przyszło. Austria też musiała zginąć z tego powodu, że była wielonarodowym państwem. Dopiero pod koniec niektórzy ludzie zrozumieli, że każdy naród ma sam sobą się rządzić, czyli mieć swoje własne państwo.

Ale straszna nauka, jakiej udzielił narodom upadek Austrii, jakże prędko została zapomniana!

A potężne Niemcy i ich upadek po wojnie światowej! Przed pięćdziesięciu laty zabrali Niemcy francuskie dwie prowincje Alzację i Lotaryngię. Złakomili się na węgiel i na rudę żelazną, chociaż i sami mieli to u siebie w domu. Pięćdziesiąt lat uciskali ludność, oświadczyli, że chociaż liczą u siebie 60 000 000 ludzi, nie oddadzą za nic w świecie jednego miliona ludzi w Alzacji i Lotaryngii. Woleli wywołać najstraszliwszą wojnę, posłać na śmierć półtora miliona żołnierzy, drugie tyle wprowadzić do kalectwa, zniszczyć miliony rodzin robotniczych i chłopskich, byle tylko nie oddać zagrabionego kraju! A dziś, gdy wojnę przegrali, musieli oddać i kraj, i węgiel, i rudę żelazną, i zapłacić największą kontrybucję wojenną, o jakiej ludność słyszała. Czy myślicie, że ta straszna lekcja ich czego nauczyla? Nie, bo to samo chcą dziś robić z *polskim* krajem, z Górnym Śląskiem! Po co? Aby nad Polakami panować, aby polską ziemię i polską pracę dalej wyzyskiwać. Któryż Polak zechce im w tym jeszcze dopomagać? Czy znajdzie się Polak, który by za Niemcami głos oddał w plebiscycie? A przecież to Niemcy mają przysłowie: „*Nur die allerdümmsten Kälber wählen sich ihren Metzger selber*” (tylko najgłupsze cielęta głosują na swoich rzeźników).

Któryż naród dzisiaj zechce sam szyję swoją oddać w niewolę?

Gdyby konferencja pokojowa w Paryżu miała znajomość stosunków narodowych na Górnym Śląsku, to by była powinna od razu postanowić, że *polskie ziemie i polski naród mają należeć do polskiego państwa*, ale Niemcy przedstawiali swoim opiekunom, że to niepolskie ziemie i niepolski lud tam mieszka; dlatego postanowiono plebiscyt, to znaczy uchwalono, żeby sam naród powiedział, czy uważa się za Polaków, czy za Niemców. A więc pokażmy, czym się czujemy. Powiedzmy, czy się czujemy Niemcami, czy Polakami, bo od naszych głosów zależeć będzie w przyszłości, czy my i dzieci nasze będą wolnymi ludźmi w wolnym narodzie, czy jakimiś *niewolnikami drugiej klasy*, którzy będą musieli słuchać obcego rozkazu.

*

Kłamstwa pruskich agitatorów

Gdyby polskiego robotnika czy rolnika zapytano po prostu, czy jest Prusakiem, to by odpowiedział: Nie — jestem Polakiem. I sprawa byłaby skończona.

Dlatego agitatorzy pruscy inaczej biorą się do dzieła i prawią:

- Polska jest państwem, gdzie rządzi szlachcic i ksiądz.
- Polska jest państwem biednym i zadłużonym.
- Polska nie dba o robotnika i rolnika.
- Polska jest państwem militarnym.
- Polska jest państwem słabym.

I dlatego ma robotnik czy rolnik głosować przeciw Polsce.

Inni agitatorzy sprowadzają przy pomocy rządu mąkę, cukier, automobile, dają pieniądze, żeby tylko skusić ludność, aby sprzedała swoje święte, wielkie prawo za misę soczewicy...

Pomówimy więc o argumentach agitatorów pierwszych, bo o tych należy pomówić. O tych zaś, co za kilogram cukru czy mąki chcą kupić duszę ludzką, nie będziemy mówili, bo to są ludzie nie tylko podli, ale głupi, nie rozumiejący wielkiego czasu, w którym naród żyje.

*

Czy w Polsce rządzą szlachcic i ksiądz?

Dnia 10 lipca 1919 r. uchwalił polski Sejm „reformę rolną”. Na czym ona polega? Na tym, że należy ziemię wielkiej szlachty i magnatów biskupich *wykupić* i dać ją małym rolnikom, co albo wcale ziemi nie mają, albo mają jej za mało. *Była za tym większość chłopów i robotników w Sejmie*. Jeżeli robotnicy i rolnicy Górnego Śląska wyślą do tego polskiego sejmku swoich posłów, to będzie w sejmie jeszcze znaczniejsza większość robotniczo-chłopska i dopilnuje, żeby „reformę rolną” w czyn wprowadzić. Pewno, że szlachcic polski, tak samo jak junkier pruski, chciałby chłopem rządzić, ale czasy jego w Polsce dawno minęły i lud roboczy w Polsce da sobie radę ze szlachtą prędzej niż Niemcy ze swoimi magnatami wiejskimi. Lud polski jest właśnie w walce ze swoją szlachtą i obowiązkiem robotnika polskiego na Śląsku jest pomóc swoim braciom w tej walce.

Niech się tylko polski lud razem zbierze, to zaprowadzi w Polsce taki porządek, żeby mu było dobrze w tej Polsce. Ale co by było, gdyby rolnik czy robotnik polski został pod panowaniem pruskim? Gdyby się porwał do walki przeciw pruskim rabusiom, w tej chwili zaczęto by krzyzczeć, że „*Polacy się zbuntowali przeciw państwu*” i traktowaliby ich jako zdrajców państwa! A przeciw zdrajcom miano by pod ręką kule karabinów i armaty... Z walki ekonomicznej zrobiono by zaraz walkę przeciw państwu. Dlatego prostą rzeczą jest, *żeby właśnie dla osłabienia wpływu szlachty polskiej przyłączył się chłop i robotnik polski do państwa polskiego*. W swoim narodzie niech każdy stara się spełnić swój obowiązek społeczny i polityczny. Niechaj Prusacy swój dom oczyszczą, a my już u siebie w Polsce sami porządek zrobimy. Do tego nie potrzebują Polacy Niemców.

W ogóle należy dodać, że jeżeli w jakim kraju jest chwilowo czy urodzaj lepszy, czy rząd lepszy, czy warunki życia lepsze, to nie wynika z tego, że inne narody mają się zrzekać swoich państw i przyłączyć się do tego kraju. Przeciwnie, należy uczyć się u obcych, ale mądrzejszych, ażeby dobre i pożyteczne rzeczy u siebie w czyn wprowadzać. Niemcy przed wojną miały u góry rządu cesarza obłąkanego, ale nie wyrzekały się z tego powodu swego narodowego państwa i nie przyłączały się do republiki francuskiej!

A od polskiego robotnika i chłopu wymaga się, aby przy plebiscycie przyłączył się do gnębiącego go państwa pruskiego? Jest to zaślepienie, które ustać musi, jeżeli *każdy Polak będzie śmiało i otwarcie głosował za Polską*.

*

Czy Polska jest państwem biednym i zadłużonym?

Polska ma ziemię urodzajną i lasy wielkie, ma węgiel, sól i ropę naftową w swojej ziemi. Ma robotników dzielnych, których sprowadzali Prusacy do swoich kopalń i do swojego rolnictwa. *Ziemia i praca to bogactwo największe*. Dlaczegożby Polska miała pozostać ziemią biedną? Kto udowodnić może, że Niemcy będą bogatsze od Polski? Można śmiało powiedzieć, że po przyłączeniu Górnego Śląska Polska w krótkim czasie będzie miała i bogactwa swojej ziemi, i pracę przemysłową dobrze nagradzaną. A co do *długów wojennych*, to Polska ma ich mniej niż Niemcy na głowę ludności. Prawda, że na ziemi polskiej toczyła się straszna wojna światowa, że Polskę obrabowali Niemcy, a niemieccy urzędnicy i oficerowie wywozili z Polski żywność, ile tylko było można, ale z tego chyba wynika, że skoro rabunek i wywożenie masowe żywności ustało po wojnie, to w Polsce będzie żywności i pracy dość.

*

Czy Polska nie dba o robotnika i chłopca?

Pierwszym czynem zmartwychwstałej Polski było równe prawo *wyborcze* dla robotnika i chłopca. Drugim czynem był dekret o 8-godzinnym *dniu pracy*. Ustawa o reformie rolnej daje chłopu *biednemu ziemię*. To wskazówki, po jakiej drodze pójdzie państwo polskie, jeżeli jeszcze więcej w nim będzie robotników i chłopów.

*

Czy Polska jest państwem militarystycznym?

Ci sami Prusacy, co przeciw Polakom utworzyli bandy „Grenzschutzu” i „Reichswehry”, powiadają obłudnie, że Polska ma zbyt wielką armię, że jest państwem militarystycznym. W listopadzie 1918 r. było w Polsce cztery tysiące wojska. Wtedy na nią napaść chcieli i potem napadli i Czesi, i Prusacy, i bolszewicy, i Ukraińcy ze wszystkich stron! Cóż dziwnego, że Polska zaczęła się bronić, że stworzyła armię i odparła Czechów, Ukraińców i bolszewików, a Niemców zmusiła do liczenia się z wojskiem polskim.

Niemcy zaś powiadają, że oni mają wojsko „ochotnicze”, a Polacy wojsko z *poboru* i dlatego w Niemczech lepiej. Otóż wszyscy spokojni obywatele w Niemczech stwierdzają, że te „ochotnicze” wojska to największe bandy „tyłowych” żołnierzy, którzy za dobre pieniądze służą i dręczą ludność. Kto był 5 lat na froncie, ten ma wojny dość i nie pójdzie do żadnych „ochotniczych” wojsk za pieniądze. I tylko ci, co się kryli za frontem daleko i objadali wsie i miasta, teraz zasmakowali we wojnie i gotowi są dalej służyć. Żadne wojsko nie może tak bezwzględnie i źle traktować spokojnych ludzi jak ci „ochotnicy” w Prusach. Co innego jest milicja ludowa jako system, który zastąpi całą armię, a co innego dzisiejsze „ochotnicze” organizacje wojskowe, gdzie gromadzą się najgorsi wrogowie pracującego ludu. Nie należy zatem tych spraw mieszać ze sobą. Polacy nie pchali się do wojska tak jak Niemcy, i Polacy nie wytworzyli militarystyki w Europie.

*

Czy Polska jest państwem słabym?

Powiedzieliśmy na początku, że sto lat niewoli nie zgmiotło narodu polskiego. Rosja miała największe przestrzenie ziemi i największą armię. Prusy były i przemysłowo rozwinięte, i zbudowały u siebie najsilniejszy militarystyk, a jednak polskiego chłopca ani polskiego robotnika nie pokonały! Jest więc w Polsce siła ogromna. Jeżeli ta siła będzie miała swoje państwo i swoją wolność, to siła ta jeszcze wzrośnie. Do czego zdolny jest naród miłujący wolność, o tym świadczy historia Wielkiej Rewolucji francuskiej. Wtedy przed stu trzydziestu laty uderzyła na Francję cała koalicja państw wrogich. Anglia, Austria, Prusy, Hiszpania, Rosja, papież byli przeciw Francji. Francja była wtedy mniejszą od Polski. A jednak nie poddała się, rozbiła i pobiła wszystkich złączonych ze sobą wrogów. Każdy naród zdobędzie się na takie bohaterstwo, jeżeli czuje, że trzeba bronić swojego życia, swojej przyszłości.

Po pięcioletniej wojnie wszystkie narody w Europie są słabe i potrzebują pokoju. I Polska potrzebuje pokoju, pracy spokojnej, chleba i wytchnienia. A czy pokój będzie zapewniony, jeżeli Prusacy zabiorą polską ziemię i polski lud? Nie! Przeciwnie, jeszcze jedno nowe zarzewie wojny będzie w Europie. *Kto chce pokoju, ten niechaj każdemu narodowi na jego ziemi da wolność i niepodległość.* Niechaj cudzego nie rabuje, bo taki rabunek mści się i prowadzi całe państwo do zagłady!

*

Gospodarcze względy

Są i tacy, którzy powiadają: po cóż nam po wojnie nowych granic? Po co dzielić narody i państwa granicami? Po co robić politykę „nacionalistów” i „szowinistów”? Niech będą państwa wielkie, niech cała Europa będzie jednym państwem, niech powstaną „Stany Zjednoczone Europy”. I zaraz dodają: „A więc Polacy, wyrzeczcie się swojego państwa”...

Niechby tak powiedział taki „bezgraniczny” pan te słowa Prusakom, a wnet doczekałby się tego, żeby mu krzyknęli: *Precz!*

Prusacy, pobici w wojnie światowej, także nie chcą się złączyć z innymi Niemcami, nie mówiąc o innych narodach. Każdy z nich wie dobrze, że państwo daje narodowi dopiero zbroję i siłę dla obrony, *broni od niewoli obcej* i jest polem rozwoju dla narodu. Pewno, że ludy Europy kiedyś się zrozumieją albo może utworzą jedno wielkie państwo „*Stanów Zjednoczonych Europy*”, ale aby utworzyć spółki wolnych, trzeba samemu być

wolnym. Nie robi spółki owca z wilkiem, nie może być równości, gdy jeden jest wolny, a drugi niewolnikiem.

Szowiniści pruscy nie rozumieją, że grabiąc cudze ziemie, uciskając obce narody, sami sobie szkodzą. *Kto się nauczył krzywdzić obcy naród, ten będzie potem krzywdził i swój własny.* Rosja i Prusy narabowały tyle obcej ziemi, że musiały wieki całe utrzymywać wielką armię dla obrony tej zdobyczy nieprawnej. Wyczerpały się na wykarmienie militarystów, wydawały miliardy na wojsko, utrzymywały w honorach różnych generałów — wrogów ludu, aż wreszcie upadły same i łup swój musiały utracić. Kto uczy kraść i rabować u sąsiada, ten doczeka się złodziei i rabusiów w domu własnym! Żadne gospodarstwo nie potrzebuje rozboju i kradzieży cudzej ziemi. Nie jest prawdą, że gospodarka jakiegoś narodu, oparta na rabunku cudzej ziemi i cudzej wolności, przynosi narodowi temu pożytek. Najbogatsze kraje nie muszą być największe. Holandia, Belgia, Szwajcaria są krajami bogatymi i małymi równocześnie. Są to kraje demokracji i postępu. Mało w nich wojska, mało generałów, król cieszy się tam małą władzą, ale są za to na drodze rozwoju, całkiem innej niż była carska Rosja — największy kraj na świecie, albo Prusy Hohenzollernów, które chciały podbić i wyzyskać świat cały.

Gdzie jest silna gospodarka rolnicza i przemysłowa, tam dobro i taniość towaru zachwala ten towar u sąsiadów. O tym, żeby zmuszać tych sąsiadów do kupowania towarów czyichś, zmuszać za pomocą zaboru cudzej ziemi, nie wolno dziś mówić w Europie! To wolno było robić kapitalistom w koloniach, tam wolno było biednym Murzynom sprzedawać szkiełka i perkal za złoto i kość słoniową, ale w Europie nie ma murzynów i nie wolno cudzej ziemi uważać za swoją kolonię! Kto chce mi towar sprzedać, musi i mój towar kupować. Kto chce polskiemu ludowi sprzedawać wyroby przemysłowe, ten musi za polski towar zapłacić. Do tego wystarcza wolna wymiana towarów między niepodległymi narodami, *a nie wolno w tym celu zabierać cudzej ziemi!*

To samo jest z pracą ludzką. Kto chce mieć u siebie polskiego robotnika rolnego, polskiego górnik czy polskiego rzemieślnika, to niech go dobrze zapłaci. Ale nie wolno tego robotnika zrobić swoim niewolnikiem w państwie pruskim, nie wolno go pozbawić jego praw i odepnąć go z opieki, jaką mu może dać i da państwo polskie! Nie wolno ludu polskiego pozbawiać państwa polskiego.

*

Kiedy narody będą żyły w zgodzie?

Solidarność i braterstwo narodów to największa myśl ludzkości. To szczyt ideałów największych ludzi świata. Daleko jeszcze nam wszystkim do osiągnięcia tego celu. Ale dążyć do niego musimy wszyscy nie tylko przez poszanowanie drugich, ale przez szacunek własnego ducha. Kto się człowiekiem czuje, kto godność ludzką wysoko stawia, ten nauczyć się musi uszanować duszę w każdym człowieku. Kto chce swojej wolności, ten zrozumie wolność drugiego. Niepodległość każdego narodu to podstawa pokoju i solidarności międzynarodowej. Nie będzie solidarności ani pokoju, jeżeli jedni będą wolni, a drudzy pozostaną niewolnikami! Cóż to za bracia byliby, z których jeden cieszyłby się wolnością, a drugiego gnębił? Kto chce spokoju, ten niechaj nie będzie „imperialistą”, tj. niech nie nabiera cudzej ziemi i cudzego ludu!

*

Mniejszości narodowe

Narody nie żyją od siebie tak odosobnione i rozgraniczone, żeby między nimi zawsze można pociągnąć prostą linię jako granicę. Na pewnym terytorium jest wieś polska obok wsi czeskiej lub niemieckiej. Stąd czasem trudno bardzo narody sąsiednie rozgraniczyć. Ale choć trudne wyjście, jest jednak wyjście. Gdy np. po plebiscycie powstanie granica między Polską a Niemcami, to Niemcy będą jeszcze w małej liczbie na polskiej ziemi mieszkali, a Polacy na niemieckiej. Jedni i drudzy będą wtedy „mniejszością narodową”. Czy będą bez praw narodowych? Nie. Należy im się *w ich wsi* mowa ich ojczyzna w urzędzie, należy im się poszanowanie ich zwyczajów, szkoła dla ich dzieci itd. Ale ta mniejszość *nie będzie miała praw większości*. Dlatego rozumna granica powinna być taka,

żeby pozostawić jak najmniejsze „mniejszości narodowe”, żeby o ile możności wszyscy Polacy byli w państwie polskim, wszyscy Czesi w czeskim, a Niemcy w niemieckim. Zapyta kto, czy to na wieki tak się narody mają rozdzielać? Nie na wieki, ale dziś w ustroju burżuazyjnym, kiedy jeszcze szaleje nacjonalizm, imperializm, wyzysk i ucisk narodów, nie ma innej drogi, jak tylko naród nasz uchronić od tarcia z drugim, uchronić od przemocy i wyzysku obcych. Pewno, że jest i wyzysk swój własny wszędzie. *Ale nie trzeba do jednego wyzysku dodawać jeszcze cudzego!*

*

Czyja kultura wyższa?

Będzie Wam, robotnicy polscy, mówił pruski agitator, że naród polski ciemny, głupi i bez kultury. Człowiek ten jest sam albo bez kultury, albo głupi. Nie potrzebuję wykazywać, że Polska przez tysiąc lat wydała spośród siebie tysiące znakomitych i wielkich ludzi, poetów, myślicieli, administratorów itd. Wystarczy, jeżeli powiem tylko, że nie ma kultury bez mowy ludzkiej i że mowa ludzka, mowa każdego cywilizowanego ludu, tworzyła się tysiące lat, że mieści w sobie życie duchowe milionów ludzi przez te tysiące lat. *Nie ma kultury bez narodu i bez jego języka!* Tylko ciemni i zarozumiali dorobkiewiczze pruscy mogą mówić, że oni dopiero nauczą Polaków kultury. Kiedy patrzyłem na tych zarozumiałców, na tych „Kulturträgerów”, odczuwałem wstręt i obrzydzenie, bo oni to siali pomiędzy narodami waśń, wmawiając w jednych, że są podobni do bogów, a drugich poniżając do rzędu bydła! *Każdy naród może się coś u drugiego pięknego i dobrego nauczyć! Ale nie wolno poniżać ani gnębić żadnego!* Rzymianie uważali się za panów świata tak długo, aż przyszli germańscy barbarzyńcy i rozbili całe państwo rzymskie i nie zostało z niego nic prócz szczątków. Prusacy tak długo krzyczyli, że są „Herrenvolk” („naród panów”), aż stali się narodem pobitym i rozbitym.

Muzyka, poezja, malarstwo, rzeźba, słowem sztuki piękne mają źródło swoje w duszy mas ludowych. Nikt zaś nie może powiedzieć, która masa ludowa ma w sobie więcej źródeł piękna. Są wieki całe, że jakiś naród przoduje drugim, są znów wieki, że idzie za drugimi. Kto tępi narody, ten jakby zrywał struny z harfy świata. Cóż komu z tego przyjdzie, że będzie miał harfę tylko o jednej strunie?! *Nie tępić, lecz rozwijać trzeba narodowości. A rozwijać je może wolność narodów, niepodległość i poszanowanie ich odrębności.* Rozwinięte narody będą kiedyś zjednoczone w Ludzkość, ale nie ludzkość kalek i niewolników, lecz zdrowych, wolnych i solidarnych ludzi.

Socjalizm nie przeczy narodowości, lecz ją dopiero budzi i do głębi uświadamia. *Demokracja* nie jest zniszczeniem narodowości, lecz jej najwyższą formą rządów.

Dłatego ludu polski — *głosuj śmiało za Polską!* Głosuj za sobą, głosuj za wolnością i niepodległością narodu Twojego! Nie wstydz się siebie samego! Bądź swobodnym i szczęśliwym w swobodnej, szczęśliwej Polsce!

Powyższa odezwa ukazała się pierwotnie w formie broszury w Katowicach w roku 1920. Odbito w drukarni „Gazety Robotniczej”.

KSIĄDZ W POLITYCE

Po wszystkich wsiach i miasteczkach z każdej niemal ambony sypią się bezecne klątwy na socjalistów, zapowiedzi klerykalnych wieców i wezwania, aby chłopci prenumerowali księżę pisemka. W konfesjonatach obrabia się przede wszystkim kobiety; przy chrzcie, ślubie, pogrzebie wyłazi klerykalne sztydło z worka, wszędzie ksiądz ma jakieś dzikie pretensje do ludzi, żeby go w polityce słuchali, na jego kandydatów przy wyborach głosowali. A poza kościołem dzieje się jeszcze gorzej. Na czele podburzonych „wiernych” staje taki brutalny ksiądz i wzywa do bicia wszystkich, którzy mają inne przekonania polityczne.

Warto więc spokojnie zawczasu zastanowić się nad tym, jak wygląda i wyglądać musi ksiądz w polityce dzisiejszej.

Polityka jest to obrona interesów jakiejś klasy społecznej w gminie, kraju i państwie. Inną więc będzie polityka klasy ubogiej, nic nie posiadającej, np. robotników, a inną u bogaczy, u klasy posiadającej. Robotnik będzie dążył przede wszystkim do tego, aby jego klasie było lepiej w społeczeństwie. Pragnie on dlatego krótszego dnia pracy, lepszej zapłaty, bezpłatnej szkoły, bezpłatnej opieki lekarskiej i szpitalnej, pensji dla chorego, kaleki, starca, wdowy i sieroty. Aby to osiągnąć, musi robotnik o to walczyć. Musi więc mieć równe prawo wyborcze do gminy i państwa, musi mieć wolność słowa druku, oświaty, prawo wolnego zgromadzania się i stowarzyszania.

Chłop na wsi potrzebuje więcej roli, lasu, łąk i pastwiska, potrzebuje organizacji kredytowej i wytwórczej, spółek handlowych, a poza tym ma zupełnie te same interesy, co i robotnik.

Całkiem inaczej wyglądają potrzeby i interesy fabrykantów, bankierów, wielkich posiadaczy gruntów lub kopalń.

Wiedzą oni, że gdyby robotnicy i chłopci uzyskali większość w gminie lub sejmie, wówczas uchwaliliby ustawy korzystne dla klasy pracującej, a nie dla tych, co żyją z cudzej pracy. Dlatego starają się trzymać robotnika i chłopca w ciemnocie i głupocie, żeby tylko nie poznał swojej siły i nie zaczął walczyć, bo w walce muszą przeciw milionom ludu zwyciężyć garsteczkę bogaczy.

Każdy środek dobry dla bogaczy, żeby tylko chłopca i robotnika otumanić, zgnębić, trzymać w zależności. Wojsko, policja, kryminaliści bronią majątku i władzy kilkunastu tysięcy bogaczy; mnóstwo urzędników, adwokatów, pisarzy pracuje dla nich całe życie, trzymając się pańskiej klamki.

Ale najdzielniej dla bogaczy i dla ich władzy stara się i pracuje kler katolicki u nas.

Na pierwszy rzut oka trudno to zrozumieć, skąd właśnie księża, a więc niby następcy Chrystusa, syna cieśli, biednego „syna człowieczego”, który nie miał domu i jedno miał — darowane — ubranie na sobie, i skąd ci księża tak bronią bezprawia dzisiejszego, dlaczego oni właśnie występują przeciwko robotnikom i chłopcom, skoro tylko ci chcą walczyć o swoje najważniejsze interesy.

Księża to synowie biednych ludzi, chłopów lub drobnych rzemieślników i zdawałoby się, że przylączę się oni do chłopskich i robotniczych partii politycznych, wystąpią ostro przeciwko bogaczom! Tymczasem wszędzie u nas ci księża najgoręcej bronią bogaczy, a wyklinają socjalistów i ludowców.

Ani ewangelia, ani pochodzenie przeważnej ilości księży nie każe im prowadzić tej niegodziwej, niemoralnej polityki, którą oni dzisiaj u nas uprawiają.

Skądże ta polityka księży?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy rozważyć kilka rzeczy.

Kler katolicki oddzielony jest u nas od reszty narodu i jego klas mnóstwem rzeczy. Już na teologii uczą go przeróżnych, zupełnie niepotrzebnych i fałszywych wiadomości, a natomiast nie zapoznają ani z nauką, ani z życiem. Taki młody ksiądz, wyszedłszy z seminarium, jest zazwyczaj bardzo ciemnym człowiekiem. Wyświęcą go, a więc zrobią go „zastępcą” Boga na ziemi, dadzą mu nadzwyczajną, nadludzką władzę religijną, kółko wygołą z tyłu głowy i przyobleką w długą, czarną rewerendę, przy czym musi zgolić brodę i wąsy. Nie wolno mu się wcale żenić, ani mieć dzieci. Nikogo w razie jakiegoś konfliktu nie wolno mu słuchać, jak tylko biskupa i papieża. Wyodrębniono więc takiego młodego, ciemnego teologa zupełnie ze społeczeństwa, a przykuto w zupełności do rozkazów hierarchii, tj. władzy kościelnej, siedzącej w Rzymie.

Ponieważ jednak Rzym i papież muszą popierać interesy rządów i dworów panujących, bo od tego zależy wpływ papieża na całym świecie, więc oprócz Rzymu musi taki ksiądz słuchać rządu, zwłaszcza tam, gdzie od tego rządu bierze jako urzędnik rządowy pensję, bogate dochody i spodziewać się odeń może posad kanonicznych, biskupich i arcybiskupich, do czego przywiązane są ogromne dobra, pałace, dochody itd.

A Chrystus, a syn cieśli? Ksiądz łatwo sumienie swoje uspokoi tym, że przecież papież i biskupi to następcy Chrystusa na ziemi. Co oni każą, to jakby Chrystus kazał... A oni każą zwalczać socjalizm, oni każą wyklinać z ambon pisma chłopskie i robotnicze, oni każą brać gorący udział w wyborach i głosować za klerykałem.

Z takimi pojęciami dostaje ksiądz parafię, gdzie zaczyna liczyć swoje dochody. Najpierw pensja rządowa, potem dochód z gruntów parafialnych, a wreszcie dochody z parafian. Za mszę, za śluby, za potrzeby gotówką, a to kury, jaja, ręczniki, napitki, przędziwo, pieczywo przy tysiącnych sposobnościach znosić muszą ludziska na plebanię. Taki starodawny zwyczaj, tak gdzie indziej robią, więc się z tego „prawo” proboszcza zrobiło. Ksiądz to wszystko zabiera, spienięża, bydło pasie, robociznę oszczędza, zaczyna dobrze żyć po prostu. Zaczyna mu się wydawać, że on nie tylko zastępca Chrystusa we wiosce lub miasteczku, ale i członek klasy panującej, reprezentant worka pieniężnego, którego dochody płyną z religijności parafian. „Apetyt przybywa podczas jedzenia” — mówią Francuzi i słusznie, zwłaszcza wobec naszych tłustych proboszczów. Im więcej z nich który grosza zbierze, tym gorszy, tym butniejszy, tym chciwszy znowu na grosz. Biada więc chłopu, co by zaczął przeciwko proboszczowi szemrać! Proboszcz go znieważy z ambony, odmówi sakramentów, dziecka mu nie ochrzci, ślubu nie da, ogłosi za wroga religii i Boga. A może to zrobić bezkarnie, jeżeli biskupowi umie się przypodobać i rządowi stać się przy wyborach pożytecznym. W ten sposób wyrasta szczególnego rodzaju „kapitalista”, człowiek, który nie potrzebuje mieć fabryki, ani nawet i wielkich dóbr, ale za to, za swoje czynności religijne dostaje wspaniałe wynagrodzenie i to od biednej masy, zwłaszcza od chłopów, bo robotnicy miejscy już zmądrzeli i z pieniędzmi swymi do księdza nie spieszą, a jaj i kur i przędzy nie mają do darowania. I „Nie sieje on ani orze”, a zbiera wspaniałe nieraz dochody.

Księża u nas zatem są majątkowo częścią klasy średniej i poza polityką biskupów i Rzymu bronią swoich „dochodów” tak samo zajadle, jak mniejszy bankier lub średni fabrykant. Tylko że niczego nie produkują, a odprawiają różne obrzędy. Wprawdzie głoszą oni, że ubóstwo jest cnotą, ale wierzą w to tak długo, jak długo są biednymi wikarymi; skoro tylko dorwą się do probostwa, zaczynają kupować papiery wartościowe i składają pieniądze do kasy oszczędności, a nad każdym złotym, wytargowanym od chłopu, trzęsą się chciwie. Nigdzie też nie ma tylu skąpców i chciwców, co wśród proboszczów.

Z tego już widzimy, że księża są pewnego rodzaju zamkniętą kastą, oddzieloną od biedaków, od całej masy ludu nie tylko przez wychowanie w seminariach, odrębny strój, beżeństwo itd., ale odróżniają się odeń także majątkowo, mając w tym interes, żeby od swoich parafian jak najwięcej wydobyć pieniędzy, co wobec zubożenia ludu staje się ciężarem tego ludu.

Oprócz tego wśród hierarchii kościelnej, wśród kardynałów i biskupów wytworzyły się pojęcia o władzy kościoła, pojęcia dawne, dobre może w wiekach średnich, jakich trzysta lub czterysta lat temu, ale dzisiaj wprost szkodliwe i niemożliwe.

Dawniej kościół był wszechpotężny. Miał olbrzymie skarby, hodował setki tysięcy próżniaczych mnichów i mniszek, miał swoje wojsko, swoje twierdze, swoją policję; szkoły należały do niego wyłącznie prawie. Ale wszystko to opierało się na pańszczyźnie chłopskiej, na niewoli ludu i na jego nieruchomości.

Dzisiaj kościół już nie ma szkół, a ma je kraj i państwo; nie ma swojej policji, a stał się policjantem na usługach kapitału; klasztory podupadły, bo nie ma komu żywić pasożytów; biskupi nie mają swoich wojsk. Chłopskiej pańszczyzny nie ma, a jest tylko chłopska bieda, która zabiera się do walki z uciskiem i wyzyskiem. Ale wśród biskupów i księży wielu jest takich, co marzą o tym, jak to było dawniej, o dawnej potędze papieża i biskupów. W ich głowach jeszcze są wieki średnie, ich myśli o trzysta lat za późno się rodzą, jeszcze ciągle nie rozumieją, co się wkoło nich dzieje...

A ponieważ wierzą w diabłów i w piekło, więc wszędzie wietrzą „robotę szatana” i wszystko, czego nie rozumieją — wyklinają i potępiają.

Taki fanatyk zaludnia świat aniołami lub diabłami — tylko ludzi nie widzi na świecie i ludzi tych nie rozumie. Z jednej strony oczekuje jakichś cudów, z drugiej widzi same dzieła „diabelskiej, nieczystej siły”, jakichś masonów, Żydów, bluźnierców...

Gdyby kto chciał wierzyć w Boga, ale ominął po drodze księdza, już bluźnierca! Uroiło im się w głowach, że Bóg jest zawsze po stronie księdza, chociaż przysłowie mówi, że „piekło wybrukowane tonzurami księży”. I nic dziwnego, że potem taki klerykał cieszy się z ambony, jeżeli się spali stodoła ludowcowi lub socjaliście we wsi, bo to w jego oczach „kara boża” za to, że czytał mądrzejszą gazetę lub za to, że nie wierzył w księże brednie na zgromadzeniu wypowiedziane, albo głosował inaczej, niż „jegomość”. Jak się u klerykała stodoła pali, to zwykle nieszczęście — u socjalisty: „dopust boży”.

Ksiądz się wtrąca do szkoły i do gminy, bo chce mieć z nauczyciela bierne, pokorne narzędzie swojej woli, a szkołę zrobić — tak, jak to dawniej bywało — dodatkiem do kościoła. Wreszcie, przyzwyczajwszy się do władzy w kościele chce ją wykonywać i w gminie!

Nikt mu się sprzeciwić łatwo nie może, bo z ambony go bez apelacji potępi, a często zbezczęści w brutalny sposób. Gdyby mu się kto przy tym sprzeciwił, zostanie ukarany za znieważenie kościoła.

Stąd wyradza się w księżach dzika nietolerancja, buta i zarozumiałość o sobie niesłychana. Nawet dzisiaj, gdyby mogli, paliliby swoich przeciwników na stosie, tak jak to czynili przez setki lat, w których tysiące niewinnych ludzi spalili lub zamęczyli podczas „świętej” Inkwizycji.

Biedny nasz lud ma więc na swoim grzbiecie całą czarną nawałę polityków księży, którzy złączywszy się pod rozkazami biskupów, chcą narzucić chłopu i robotnikowi wielką ilość posłów klerykalnych, aby sokami i siłami robotniczymi odnowić i odświeżyć wpływy księży. Oczywiście że księża są najgorszymi obrońcami klasy pracującej, bo zamiast praw chcą jej dać jałmużnę, a zamiast uczyć odwagi cywilnej i obrony interesów tu na ziemi, mówią ciągle chłopu o pokorze i o nagrodzie — niebie. Sami oczywiście nie dadzą ślubu lub nie pochowają nikogo za „nagrodę na drugim świecie”, lecz żądają gotówki i to wiele więcej, niż im się wedle prawa należy...

Taki ksiądz politykujący miesza ciągle rzeczy ziemskie z niebieskimi lub piekielnymi, widzi wszędzie „masonów” czy diabłów, każe się modlić tam, gdzie działać trzeba, każe być pokornym, gdzie trzeba być opozycyjnym, a zawsze i wszędzie zasłania swoją ziemską, często marną osobę Panem Bogiem, przez co staje się gorszym bluźniercą, niż największy niedowiarek. Używać bowiem religii dla uzasadnienia np. zwolnienia i księży od podatków, albo dla obrony wyzyskiwaczy czy dla sfalszowania prawa wyborczego, to w czasach dzisiejszych nikczemność, to największa klęska dla prawdziwego i religijnego uczucia! A iluż księży to robi w polityce bez żadnych ceremonii! A ma to takie następstwa, że w ślad za księżmi pierwszy lepszy ich świecki naganiacz także w podobny sposób Boga wciąga do polityki! Aż doczekaliśmy się tego, że endecja i chadecja używają religii tak w agitacji wyborczej, jak niegdyś szlachta używała wódki i kielbasy... Nie wiadomo nawet, co gorsze, czy dawna szlachecka metoda upijania ludzi wódką, czy dzisiejsze klerykalne ogłupiania i straszenia piekłem.

Naturalnie, że nie mówimy tutaj o księżach poszczególnych, którzy mogą być nie tylko uczciwymi, ale rozumnymi i pożytecznymi politykami ludowymi. Wszak nawet w obozie socjalistycznym są szlachetni i mądrzy księża, których jednak biskupi za to ścigają i prześladują; wszak jeden z bardzo pięknych listów do chłopów napisał mężczyzna za wolność ks. Ściegienny.

Ale tam, gdzie księża prowadzą politykę swojej kasty, będąc, na usługach rządu, klas wyzyskujących i zacofania, czyli np. w Polsce politykę klerykalnej „ósemki”, tam należy ich wszelkimi siłami zwalczać i przeszkodzić im w nadużywaniu kościoła i religii przeciwko chłopom i robotnikom. Im zajadlej oddadzą się księża na posługi bogaczy, panów i rządu, tym prędzej osiągną ich smutne skutki tej zabójczej polityki, bo księża nie żyją z bogaczy, a z ubogich. Bogaczy jest mało na świecie i bogacze nie chodzą do kościoła; połowa z nich nie ma żadnej religii, a modli się tylko do „złotego cielca”. Biedni natomiast tłumnie idą do kościołów, biedni jałmużnę dają kościołowi, z biednych księża majątki zbierają. Jeżeli tym biednym otworzą się kiedyś oczy na szkaradzeństwo

samolubnej, wrogiej ludowi i jego prawom polityki księżowskiej, wówczas nietrudno przewidzieć, czym się to dla księży i ich sakiewek skończy!...

Te skutki, to kres zajadłego klerykalizmu. Dzisiejsze rozwydrzenie klerykałów w Polsce wywoła też i wywołać musi odpór ze strony ludu. Minęły czasy panowania księży, minęły epoki ich wyłącznego przywództwa. Dziś lud się ocknął i rewerendą mu już oczu nie nakryją.

Tekst pierwotnie ukazał się w w tygodniku „Głos Zagłębia – organ Polskiej Partii Socjalistycznej w Zagłębiu Dąbrowskim”, nr 11, 11 maja 1924. Przedrukujemy za portalem Lewicowo.pl.

CZY SOCJALIŚCI MOGĄ UZNAĆ „DYKTATURĘ PROLETARIATU”?

Walka, którą prowadzi zorganizowana pod sztandarem socjalizmu klasa robotnicza, jest walką o dziejowym olbrzymim zakresie. Jest to nie tylko dźwiganie się milionów ludzi z okrutnej zależności gospodarczej, nie tylko wywalczenie praw obywatelskich w państwie, lecz jest to także ruch wyzwoleńczy duchowej i moralnej natury.

Ruch socjalistyczny dawno już przestał być ruchem ślepego żywiołu, dawno już potęgą klasy robotniczej oświecona jest przez naukę ścisłą, przez doświadczenia pokoleń, przez pracę talentów rosnących w samej walce.

Ale żaden ruch masowy nie pozbywa się żywiołowości swojej klasy. W chwilach przełomowych, w chwilach zaostrania się walk społecznych czy politycznych, masy (nie tylko robotnicze) skłonne są do reagowania żywiołowymi odruchami gniewu lub rozpacz, odruchowymi, nie liczącymi się ani z nauką, ani z dziejowym doświadczeniem. Płacą też za to nieraz najokrutniejszymi stratami, osłabieniem i uwstecznieniem.

Wiedzą o tym rządzący i często cały swój „rozum stanu” zużywają na to, żeby wrogi ruch masowy doprowadzić do ślepej żywiołowości, do szaleństw i jawnie nonsensownych uproszczeń w tym tylko celu, żeby postawić masę w położeniu bez wyjścia... Karabiny maszynowe nowoczesnych armii odgrywają potem swoją straszliwą rolę.

Uproszczenia symplistyczne olbrzymich zapasów dziejowych, kształtujących się bogatym wzorem zależnie od układu sił społecznych, dziejowego znaczenia danej klasy, państwowych racji stanu, położenia gospodarczego, stopnia organizacji itd. — będą zawsze pociągaly umysły ludzkie, tak jak nie da się prawie wytepić znachorstwa, prorocstwa, wróżek itp. rzeczy i to nie tylko u prostych ludzi, lecz i u obdarzonych stopniami uniwersyteckimi.

Pierwszą żywiołową akcją nowoczesnego proletariatu obserwujemy przed przeszło stu laty. Palenie przez robotników fabryk, aby w ten prosty sposób zniszczyć nienawistnego konkurenta — maszynę, było wówczas najbardziej popularnym, lecz najmniej utrzymać się dającym, jako droga walki, odruchem żywiołowym. Ja sam mogłem jeszcze obserwować w Krakowie bunt biednych szewców, którzy usiłowali zdemolować sklepy z tanim, fabrycznym obuwem...

Niezapomniane są spory, prowadzone nie tak znów dawno przez socjalistów w Królestwie, na temat terroru ekonomicznego, hasła znakomicie upraszczającego trudną walkę klasową proletariatu. Hasło to doprowadziło było w praktyce do powstania najgłupszych, jakie widziano, organizacji rzekomo socjalistycznych i rzekomo rewolucyjnych, po których na szczęście dzisiaj śladu w Polsce nie zostało.

A sławna „*greve generale*” (strajk generalny)? Owo uproszczenie tak popularne we Francji przed laty jeszcze dwudziestu, a tak dziecinne, że dzisiaj nikt o czymś podobnym nie chce nawet mówić. A przecie było to tak cudownie proste: Strajk generalny trzeba robić tak długo, aż się ustrój kapitalistyczny załamie i — przyjdzie ustrój socjalistyczny. I znowu utworzyły się, oparte na tym znachorstwie, odrębne organizacje, mające tylko jeden — najsmutniejszy — rezultat, że rozbiły jednolitą partię francuską na długie lata!

*

Dzisiaj mistrzami uproszczeń najradykałniejszych pod słońcem są komuniści, a kluczem centralnym tych uproszczeń jest ich hasło dyktatury proletariatu, tym pewniej jako generalny środek rzucane światu, że przecież dziesiąty rok mija, odkąd zorganizowali ogromne państwo na zasadzie owej dyktatury proletariatu.

Zastanówmy się tedy nad rosyjską dyktaturą proletariatu. Socjaliści europejscy zebrali już tak bogaty materiał w tej sprawie, że możemy operować szeregiem pewników, czyli rzeczy ustalonych.

Po trzech latach gigantycznej wojny, powołującej pod broń kilkanaście milionów żołnierzy, po wyniszczeniu gospodarczym kraju, po ujawnieniu zdrady państwowej u góry, po okropnych klęskach wojennych i zdeorganizowaniu armii, wybucha w roku 1917 w Rosji rewolucja, w której najbardziej rewolucyjni bolszewicy logiką rewolucyjną biorą

górec i zwołują konstytuante. Powołali do głosu cały naród. I oto okazuje się, że olbrzymia większość przedstawicieli tego narodu jest za parlamentarną demokracją! Gdyby wola tych przedstawicieli spełniła się, otworzyłoby się olbrzymie pole pracy obywatelskiej i walki politycznej dla stu kilkudziesięciu milionów ludzi. Granice Europy posunęłyby się aż do Uralu... Bolszewicy upraszczają sprawę, otaczają konstytuante — karabinami maszynowymi, rozpędzają ją haniebnie, odrzucają demokrację parlamentarną i proklamują przeciw olbrzymiej większości narodu dyktaturę swojej partii, nazywając to nielogicznie dyktaturą proletariatu. Despotyzm zwyciężył. Azja przesunęła swoje granice aż do — Zdobunowa...

Dyktatura proletariatu jest w Rosji bolszewickiej od początku rządem gwałtu i przemocy mniejszości nad większością. Mniejszość rządząca nie wynosi nawet pół procenta ludności i utrzymuje się przy władzy przez tak okrutną i krwawą przemoc, że żadne inne cywilizowane społeczeństwo podobnie dzikiej tyranii nie zniosłoby.

Niepodobna wyobrazić sobie kraju w Europie Zachodniej, ulegającego władzy, pod której rządami skonało z głodu siedem, a jak inni badacze twierdzą, jedenaście milionów ludzi w jednym roku! Ale za pomocą okrucieństw, godnych dawnych carskich, bolszewicka dyktatura proletariatu nie osiągnęła żadnych celów ideowych proletariatu. Przeciwnie, zaprzeczyła im wszystkim.

Robotnik rosyjski walczył przez długie lata bohatersko o wolność polityczną, otrzymał od bolszewików niewolę; walczył o poprawę bytu, otrzymał nędzę; walczył o rozwój obywatelski, otrzymał biurokrację sowiecką.

Przemoc tak znikomej mniejszości musiała z natury rzeczy wziąć sobie do pomocy trzykrotnie większą liczbę pomocników obcych, często wrogich władzy sowieckiej, i nie mogła zorganizować społeczeństwa na zasadzie proletariackiej, a już zgoła socjalistycznej.

Toteż wkrótce po mordach i rzeziach, po przejawieniu się rzekomo najbardziej dyktatorskiej władzy, bolszewicy ustępują dobrowolnie przed kapitalizmem i przed bogatym chłopstwem, a resztę przemysłu i handlu organizują w państwowych trustach, nie mających nic wspólnego z socjalizmem ani z proletariatem. Nędza blisko dwu milionów bezrobotnych, krocie tysięcy walęśających się po Rosji sierot, ucisk despotyczny całej ludności i ciągle starania rządu o dostanie pieniędzy od kapitalistów zagranicznych za sprzedane skarby ziemi rosyjskiej, oto są owoce owej potwornej dyktatury proletariatu.

Sprawcy tej ponurej tragedii proletariatu — bolszewicy — mają odwagę powoływania się na... Karola Marksa! On to miał być ich nauczycielem, jego to wskazania miały się na terenie Rosji urzeczywistnić!

Karol Marks, piszący swoje genialne dzieła w połowie XIX wieku, przewidywał apriorycznie moment takiego rozwoju siły robotniczej w społeczeństwie kapitalistycznym, że do wprowadzenia w życie ustroju socjalistycznego potrzeba będzie kiedyś tylko krótkiego czasu przejściowej dyktatury zorganizowanej klasy robotniczej, która już właściwie zwyciężyła przez swoją potęgę w społeczeństwie najwyższej rozwiniętych, tworzącym obiektywne warunki dla powstania społeczeństwa socjalistycznego. Cała teoria Marksa polega na głównej przesłance: na potężnym rozwoju kapitalizmu, działającego ekonomicznymi środkami na społeczeństwo w kierunku jego zrewolucjonizowania, przez oderwanie mas chłopskich od roli, sproletaryzowanie warstw średnich i ogromny wzrost liczebny i potęgę organizacji proletariatu, mającego przed sobą kapitał nowoczesny, skoncentrowany w ręku nieznacznej mniejszości. „Wywłaszczyteli będą wywłaszczeni” — pisze Marks, przy czym wywłaszczyteli to znikoma mniejszość, a wywłaszczani to olbrzymia większość społeczeństwa.

Jak się przedstawiać będzie ostatnia faza przejścia ustroju kapitalistycznego w ustrój socjalistyczny, tego oczywiście największy nawet geniusz ludzki naprzód przewidzieć nie może. Toteż Marks wskazywał na konsekwencje rozwoju kapitalizmu nowoczesnego przy najwyższym jego natężeniu, a więc przy równoczesnym rozwoju potęgi klasy robotniczej, zorganizowanej pod sztandarem rewolucyjnego socjalizmu.

Rosyjska rzeczywistość mogła stworzyć tylko potworną karykaturę przypuszczeń Karola Marksa. Toteż gorąca wyznawczyni Marksa i zwolenniczka bolszewizmu, ale żyjąca przez całe życie w Europie, dr Róża Luksemburg, musiała potępić bolszewizm za zdeptanie demokracji przez dyktaturę.

Polska Partia Socjalistyczna okazała w dziejach swoich jedną z największych — moim zdaniem — zalet, że miała zmysł rzeczywistości i usiłowała zawsze nadać kierownemu przez się ruchowi organizację walki, odpowiedzialną za tę walkę. Odpowiedzialność bowiem polityczna w ruchu masowym oznacza równocześnie niezdawanie się na łaskę losu czy ślepego żywiołu.

Odrzuciła też ów terror ekonomiczny, który zalecali niegdyś znachorzy, odrzuciła, a raczej nie przyjęła wcale „zbawczej” roli strajku generalnego jako pewnego środka zwycięstwa i uzbrojona w cały aparat wiedzy i doświadczenia dziejowego odepchnęła dyktaturę proletariatu jako aktualną drogę walki z ustrojem kapitalistycznym w Polsce.

Postawiwszy na czoło swego programu minimalnego „Niepodległą demokratyczną republikę ludową” i doszedłszy do znacznego wpływu z końcem wojny światowej, proklamuje PPS tę republikę, opiera ją na powszechnym prawie głosowania, na swobodach obywatelskich i na reformach społecznych.

„Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej” w Lublinie, zarówno jak i rząd tow. Moraczewskiego, Praussa, Ziemięckiego, Arciszewskiego i Malinowskiego nie mają pilniejszego zadania, jak przeprowadzenie wyborów do konstytuanta, opartych na pięcioprzymiotnikowym prawie głosowania. Konstytuanta daje ogromną większość wrogom klasowym PPS, ale nikt w jej szeregach nie myśli o otoczeniu jej karabinami maszynowymi! ...

W dziewięciu latach istnienia Republiki Polskiej prowadziła PPS szereg zaciętych bojów o rozwój klasy robotniczej, stworzyła nowy swój program partyjny, ale nigdy nie poszła na komunistyczne uproszczenia swej taktyki bojowej.

Warto przytoczyć tutaj odnośne zdanie z programu naszego — pisanego ręką niezapomnianego towarzysza Feliksa Perla — zdania jasne i niedwuznaczne:

„Ustrój socjalistyczny nie może być urzeczywistniony wbrew większości społeczeństwa, musi tedy oprzeć się na zasadach demokratycznych”.

„Podnoszenie środków represji, a nawet terroru do godności trwałego systemu, zwłaszcza zaś opieranie przebudowy społecznej na bezwzględnych dyktatorskich rządach mniejszości — niezgodne jest z istotą Socjalizmu i nie może prowadzić do wyzwolenia klasy robotniczej”.

„Dlatego PPS odrzuca tak rozumianą i stosowaną «dyktaturę proletariatu» wysuwając natomiast dążenie do rządów socjalistycznych, opartych na masach pracujących miast i wsi — zgodnych z wolą większości społeczeństwa — kontrolowanych przez ogół obywateli”.

Oto wskazania naszego programu partyjnego.

A teraz zastanówmy się nad wartością taktyczną hasła dyktatury proletariatu w Polsce. Na pierwszy rzut oka można ocenić różnice, jakie istnieją między warunkami Rosji a jakiegokolwiek kraju w Europie, o ile chodzi o urzeczywistnienie dyktatury proletariatu. Byliśmy świadkami — po wojnie światowej — dwu prób urzeczywistnienia dyktatury, w Bawarii i na Węgrzech⁸. Obie nie przetrwały próby czasu kilkunastu tygodni i obie sprowadziły na kraj rządy najczarniejszej reakcji.

O ile chodzi o Polskę, to nie ma ona do obrony przewrotu, przeciw któremu chciałyby wystąpić zagranicą, owych niezmiernych, słabo zaludnionych, pozbawionych komunikacji przestrzeni, którymi rozporządza rząd bolszewicki.

Dyktatura proletariatu urzeczywistniona tutaj, musiałaby się liczyć z wrogą demonstacją sąsiadów. Liczyli się z tym np. towarzysze austriaccy nawet wtedy, kiedy chwilowo mieli ze wschodu rewolucję komunistyczną w Budapeszcie, a z zachodu — taką rewolucję w Monachium! Polska tak samo jak Austria nie jest wyspą oddzieloną od świata...

Dyktatura proletariatu w Polsce byłaby w danych warunkach dyktaturą komunistyczną. O dyktaturze zwycięskiej socjalistów nie może być mowy. Dla tej prostej przyczyny, że w walce o zwycięstwo dyktatury staliby w pierwszych szeregach komuniści, którym

⁸W warunkach radykalizacji nastrojów społecznych w powojennej Europie komuniści przejęli władzę w 1919 r. — w marcu na Węgrzech i w kwietniu w Bawarii. Usiłowali wzorem komunistów rosyjskich zrealizować program dyktatury proletariatu, ale szybko rządy ich upadły. [przypis autorski]

Rosja pospieszyłaby z natychmiastową pomocą i to tak wielką, że w krótkim czasie Polska dzieliłaby losy Gruzji.

Ale gdyby już chciano zupełnie zamknąć oczy na istnienie bolszewickiego sąsiada, gdyby przypuszczono na serio, że dyktaturę zwycięską ogłosi tylko PPS i Związki Zawodowe, to i wtedy wartość taktyczna środka dyktatury jest nie tylko zerem, ale nietrudno przewidzieć, że rezultatem jej byłoby tylko zniszczenie PPS.

300.000 zorganizowanych zawodowo robotników, to jeden procent narodu. Chęć dyktatorskiego rządu tego jednego procenta nad olbrzymią większością musiałaby pchnąć tę większość do zaciętej obrony demokracji przeciw dyktatorom. Role zmieniłyby się diametralnie. Nowoczesna klasa robotnicza nie wytrzymałaby tego nacisku, znaczna jej część wystąpiłaby przeciwko dyktaturze wraz z resztą społeczeństwa w imię programu socjalistycznego, potępiającego represje i terror jako sposób rządzenia.

PPS opuściłaby swoją podstawę programową, rozbiłaby się, i upadkiem swoim ożywiłaby najszaleszą reakcję faszystowską, klerykalną i nacjonalistyczną.

Nie jest bowiem prawdą, że partie mają dowolny wybór środków i dróg, prowadzących do celu. Drogi muszą być związane z celem i już Lassalle powiedział, że „inne drogi inne rodzą cele”...

Pomysł zaś wprowadzenia dyktatury, aby za jej pomocą urzeczywistnić na powrót demokrację w Polsce, nosi w sobie znamiona tak humorystyczne, że słusznie nazwał go jeden z dowcipnych towarzyszy „sposobem dojścia do utworzenia rządu koalicyjnego”, bo mniejszość socjalistyczna w uratowaniu za pomocą dyktatury systemu demokracji nie miałaby innej drogi do objęcia rządów, jak — koalicja! ...

Taktyka partyjna musi stosować się do warunków, w których walczy partia. Otóż warto zanotować, że Polska znajduje się obecnie w środku pomyślnej koniunktury gospodarczej, że armia polska nie jest wcale zdeorganizowana, że polityka zagraniczna jest pokojowa i że socjaliści polscy rozumieją ogromne dla socjalizmu znaczenie niepodległego państwa polskiego, łączącego wszystkie dzielnice polskie. Całkiem inne zatem są to warunki niż w Rosji dziesięć lat temu, kiedy w piekle rozpaczy i nędzy dziesiątków milionów ludzi rodził się godny piekiel pomysł dyktatury znikomej mniejszości nad większością, kiedy żołnierze, zabijawszy swoich oficerów, runęli w zgłodniały kraj, aby „grabić nagrabione”...

*

Niejednemu wydawać się może, że pomysł taktyczny dyktatury jest zaostreniem opozycji. Z tego, cośmy dotąd poznali, jest to tylko zaprzeczenie swoich własnych podstaw, zboczenie na manowce taktyczne, gdzie czekałaby ruch socjalistyczny klęska i rozbicie.

Zaostrenie opozycji przez wyrzeczenie się własnego programu, przez zaprzeczenie demokracji — bo dyktatura jest jej zaprzeczeniem — o której zwycięstwo socjaliści polscy walczą przez całe pokolenie, jest zboczeniem z właściwej drogi walki i to zboczeniem niepotrzebnym.

PPS znajduje się w stosunku do rządu w opozycji i głównym motywem tej opozycji jest metoda tego rządu załatwiania spraw publicznych, metoda rządzenia trzydziestoma milionami obywateli. Metoda to polega na zupełnym sparaliżowaniu parlamentu i kontroli demokratycznej w państwie. Przeciwko tej metodzie wysuwa PPS hasła demokracji parlamentarnej, będąc przekonana, że Polska bez tego systemu idzie ku zgubie. PPS znajduje się u początku tej walki. Każdy z nas wie dobrze, że nie chodzi tu tylko o istniejący dzisiaj sejm ani nawet o drugi sejm, nie chodzi o ten czy inny przepis konstytucji, lecz o to, aby masy narodu przywiązać do demokracji, ochronić od zguby jakiegokolwiek bądź rodzaju dyktatury i uczynić wolnymi obywatelami wolnego państwa!

Opozycja jest dla socjalistów chlebem codziennym. Wypływa to z położenia klasy pracującej w państwie kapitalistycznym. Opozycja nie pozbawiła nas nigdy największej trzeźwości w ocenie środków taktycznych walki. Bywaliśmy w różnych sytuacjach w Polsce niepodległej. Prowadziliśmy walkę opozycyjną o najróżniejszych stopniach natężenia. Byliśmy w rządzie trzykrotnie, tolerowaliśmy inne rządy, nie zawahaliśmy się przed krwa-

wą obroną naszych praw, kiedy nie mieliśmy innej drogi, ale nigdy nie opuściliśmy swojej podstawy programowej. Nigdy nie używaliśmy środków zabójczych dla nas samych!

Przeżyliśmy w Polsce coś około 18 rządów, wśród których byli wrogowie, czyhający na samą naszą egzystencję. Sztandar nasz nie upadł w walce, szeregi nasze nie malały.

Czyżbyśmy nie mogli przetrzymać sanacji? Czyżby właśnie sanacja miała podyktować nam taktykę szkodliwą, nie naszą?

Nie wierzę w to. Opozycja nasza ma do zdobycia jeszcze krocie tysięcy nowych zwolenników, pole ogromne do walki o rząd dusz ludzi pracy i o zwiększony nasz wpływ w społeczeństwie. Całe szeregi środków taktycznych mamy do dyspozycji. Wkrótce znajdziemy się w walce wyborczej do sejmu, wykluczającej wszelką myśl o dyktaturach...

A prześladowania?

Żadna partia rewolucyjna nie lęka się prześladowań. Nie takie znosiliśmy z humorem. A może modne jaczejki mają nas rozsadzić? Nie znam lepszej obrony od jaczejek, jak trzymanie się jasnego programu własnego i zrozumiałej, celowej taktyki. To są najlepsze gwarancje jedności naszej.

Przeżyłem przeszło czterdzieści rządów, z których połowa przynajmniej groziła socjalizmowi zgubą.

Nigdy jednak nie czułem beznadziejnej rozpacz, że owe groźby gotowe są się spełnić. I teraz żadnej rozpacz nie odczuwam.

Tekst pierwotnie opublikowano w dziesiątą rocznicę rewolucji październikowej w piśmie „Robotnik” (nr 277 i 279 z 9 i 11 listopada 1927), a następnie wydano w postaci osobnej broszury (Lublin 1927). Przedrukujemy za portalem Lewicowo.pl.